
VE RI
TAS

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC: ŻYCIE I PISMA

OPRACOWAŁ
DR. MARYAN SZYJKOWSKI

TOM VI.

PRZEKŁADY DRAMATYCZNE

KRAKÓW · MCMVIII · NAKŁADEM RODZINY
KSIĘGARNIA G. GEBETHNERA I SPÓŁKI



CAŁY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY PRZEZNACZONY NA FUNDACYĘ KONKURSOWĄ IMIENIA WŁADYSŁAWA LUDWIKA ANCZYCA.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

DRAHOMIRA

TRAGEDYA W 5 AKTACH

JÓZEFA WEILENA

OSOBY:

DRAHOMIRA, wdowa po Wratysławie, królu czeskim.
WACŁAW, jej syn 18-letni.
LUDMIŁA, matka Wratysława.
TUMAN, rycerz łużycki.
BOGDAN } wojewodowie.
BOLEMIL }
GOMON } naczelnicy ludu.
TRAS }
OJCIEC PAWEŁ, apostoł chrześcijański.
MLADA, poufna Drahomiry.
STARZEC.
NIEWIASTA.

WOJEWODOWIE. — WOJOWNICY. — LUD.

Rzecz dzieje się r. 923 w Pradze, wyjąwszy czwartego aktu, który odbywa się w zamku Tynie.



AKT I.

Komnata na zamku wyszehradzkim. W głębi, po schodach, wnijście do altany, panującej nad dziedzińcem zamkowym. W oddaleniu starożytna Praga. — Po obu stronach wysokie podwoje, na prawo okno, na lewo z przodu tron.

SCENA PIERWSZA.

GOMON i TRAS
(wpadają burzliwie z lewej strony, na czele wielu mężów zbrojnych w topory i oszczepy).

GOMON.

Tu jej niema. — Gród przewrócić cały!
Rwać wrzeciądze! rąbać drzwi w kawały!
Czech nadzieja zwie się Drahomira!

TRAS.

Za mną! za mną! znajdziem nieszczęśliwą!
(Wypada z częścią zbrojnych przez drzwi na lewo).

GOMON *(przypadając do drzwi po prawej).*

Ha! tu! jeszcze — hola! otwórz! żywo!

BOLEMIL *(stojąc poza drzwiami).*

Nazad!

GOMON.

Nazad? — nie rozumiem!...

(Bijąc potężnie we drzwi).

Dalèj!

Otwórz chmyzie, bo stal drzwi rozwali!

BOLEMIL *(roztwierając drzwi i stając w progu).*

Co chcesz?

GOMON.

Ty tu?! Kundlu starej baby,
Ludomiły chytrej, ty psie raby,
Tu — gdy wszystko stąd się wyprowadza?!
Książę umarł — w grobie wasza władza,
Drahomira będzie naszym księciem!

BOLEMIL.

Ta poganka?.. Nigdy!...

GOMON.

Spróbuj zgrajo
Wziąć jej rządy — to za jednem cięciem
Jak makówki łby wam pospadają.
Gdzie jest księżna? mów! gdzie skarb nasz drogi?
Precz stąd!... puść mię!... Hej, gdzie ukrywacie
Księżnę, co ją wielbi lud jak bogi?

BOLEMIL *(zastępując mu drogę).*

Zwłoki księcia leżą w tej komnacie.

GOMON.

Kłamiesz!

BOLEMIL *(roztwierając drzwi na oścież).*

Więc patrz, głupcze ty zażarty!

GOMON *(biegnie aż do progu, a zajrzawszy w głąb, cofa się, przejęty zgrozą).*

Tak, trup księcia — ha, na Czernoboga!
Twarz mu grozą dyszy jeszcze sroga.
Zda się wołać: »Hej pogańskie czarty!
Do kościoła!» — Lecz oka blask żywy
Zgasł już. U stóp nadęty jak sowa,
Mrucząc pacierz, klęczy mnich fałszywy.

(Grożąc pięścią w stronę komnaty).

Bogdajby cię pchnęły w grób me słowa,
Aby wraz się zwalił trup na trupa!

BOLEMIL.

Czcij choć zmarłych, gdy ci nic świętego,
I nim ziemska pójdzie w grób skorupa,
Milcz! bo święci tego ciała strzegą.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — TRAS *ze swymi z lewej strony, prowadząc* MLADĘ.

TRAS.

Próżno szukać — puste wsze komnaty.
W jednej tylko dziewczę to płakało,
Przywiezione tu z łużyckiej chaty.

GOMON *(do Mladej).*

Mów! mów prędzej, co się z księżną stało?

MLADA.

Była północ — siedzę rozmarzona
Po nad łożem, w którem troską blada
Księżna spała. Wtem dworzanin wpada,
Krzycząc z trwogą: Książę! książę kona!

Drahomira, drżąca od przestrachu,
Z jękiem bólu zrywa się na nogi
I jak stała, z wrzaskiem: »O mój drogi!«
Pędem leci do pańskiego gmachu.
W zmroku nawet nie błądziła wcale,
Choć u księcia tyle lat nie była.

TRAS.

Serce męża wzięła jej Ludmiła.

GOMON.

A oboje trzymał mnich w rozdziale.

MLADA.

Biegnę za nią... słucham u podwoi,
Wtem rozdziera straszny krzyk powietrze:
Drzwi roztwarto, a przy zwłokach stoi,
Mając lica od giezełka bledsze,
Moja pani — obok zaś Ludmiła
I tuż mnicha postać się czerniła;
Zewsząd zgraja trwożnych dworzan biegła.
Drahomira raz krzyknęła drugi
I jak martwa na me ręce legła.
Bezprzytomną tu przynoszą sługi.
Na swem łożu, bólem zgruchotana,
Jak głaz zimny leży aż do rana,
A jęk tylko, co mię dotąd pali,
Wieścił życie.

GOMON.

Dalej! o mów dalej!

MLADA.

Ledwie słońce wzniosło swe promienie,
Wstaje dumna, by myśl znów odwagi

Zaczerpnęła przez postanowienie
I sędziego każe wołać Pragi.
Palog nadbiegł — o czem rozmawiali
Nie wiem — potem kazała mi zostać,
I widziałam jak wyniosła postać
Znikła z sędzią w drzwiach królewskiej sali.

GOMON.

O ten Palog, wcale mu nie wierzę;
Człek dwu-licy, chętny nam i wrogom:
W nocy w lasach z nami służy bogom,
W dzień znów chrześcjan mruczy wciąż pacierze.

TRAS.

Jeśli księżnę wydał w moc Ludmiły
To zginęła, bo ta chcąc znieść tamy,
Które w księżnie przeciw Niemcom mamy,
Drahomirę wtrąci do mogiły.

MLADA *(w największej trwodze).*

O mój Jesse, stwórco sił przestworza!
O Ładonie! nad nią wznieś swą dłoń,
Wybaw biedną z strasznej ręki Chworza,
I od potęg Czernoboga broń.

GOMON.

Spieszmy bracia! musim ją ocalić!

TRAS.

Spieszmy, spieszmy, póki jeszcze czas!

MLADA.

O zbawcie ją, zbawcie z rąk tej żmii,
Od złych wrogów, straszniejszych od Nii!

(Zwracając się ku lewej stronie).
Ja wam wskażę którędy iść...
(Patrzy w głąb na lewo).
Alić
Wszak to księżna spieszy tu do nas.

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — DRAHOMIRA. — PALOG.

DRAHOMIRA
(nie widząc obecnych, wpada w najgwałtowniejszem wzruszeniu i Mladę, chcącą ją uścisnąć, odtrąca na bok).

MLADA.
O najdroższa!

DRAHOMIRA.
Precz! precz! precz odemnie!
Jam zdeptaną! Kto rąk dotknie mych,
Ten skalany, ze mną strącon w ciemnie!
(Spostrzega rycerstwo).
Czego chcecie?...

GOMON *(upadając na kolana).*
Do nóg upaść twych.

TRAS *(klękając także).*
I hołd księżnie nieść w imieniu ludu!

DRAHOMIRA *(z pogardliwem zdziwieniem).*
Co to znaczy?... czyż dożyłam cudu?
Mój lud?... hołdy?... a toż znowu co?
Któż z was dawniej kiedy o mnie spytał?
Któż z was wiedział, gdym ja w dniach rozpaczy

Włos szarpała? Kto mię kiedy witał
W całej Pradze? — Kto mię widział? — Kto?!
Los mię gnębił gorszy niż żebraczy,
Sroga przemoc syna mi wydarła;
Pocieszenia wam zabrakło słów!...
Drahomira była wam umarła —
Dziś skąd hołdy?... skąd ta miłość znów?!

(Z pogardą).

Ja was nie znam! nie wierzę i tyle
Wszystkim Czechom!

(Do Paloga).

O kłamiesz i ty
Lisie stary — wszakżeś ty Ludmile
Nie powiedział, com kazała ci!

PALOG.

O przez świętych!...

DRAHOMIRA *(przerywając mu).*

Nie klnij mi na czarta!

PALOG *(wznosząc rękę do przysięgi).*

Więc na bogi!

DRAHOMIRA.

Nie bluźń im bezczelny!

(Boleśnie).

Czyżby mogła wiedźma ta zażarta
Serca matki zdeptać jęk śmiertelny?
Co człek może, wszystkom to czyniła,
Zdjąwszy pychę, szłam w pokorze do niej,
Do niej, co mnie z martwych zwłok ustroni,

Żem poganka, za drzwi wytrąciła...
U stóp schodów stojąc, drżąca cała,
Słałam ciebie z prośbą cichą, rzewną,
Z jaką rozpacz błaga przemoc gniewną,
By mi syna choć raz widzieć dała,
Który dzieckiem został mi wydarty,
Co mu ojca wziął dziś los zażarty,
Rzekłżeś jej to?...

PALOG *(potwierdzając skinieniem głowy).*

Na twe rozkazanie.

DRAHOMIRA.

Czyś ją pytał — o klnę to pytanie! —
Czy pozwoli, bym tam do komnaty
Ucałować przyszła kraj jej szaty?
Mów, czyś pytał?...

PALOG.

Tak, pytałem pani.

DRAHOMIRA *(coraz rzewniej).*

Czyś rzekł: — Wszystko czem mi serce rani
Chcę dziś złożyć w niepamięci grobie —
Pomnieć tylko, że nas ciężko obie
Los okrutny w jednym dniu zacina,
Że ja męża — ona traci syna;
Że jej brakło starych lat podpory,
Mnie sieroctwo, obcej, trudno znieść.
Więc niech obie rządzim te przestwory —
Że chcę wraz z nią kroki syna wieść,
Że żyć będziem w zgodzie, jak przystoi
Krewnym — miłość dawny gniew zagoi.
Czy to wszystko powiedziałeś jej?...

PALOG.

Wszystko! wszystko! — toż mi wierzyć chciej.

DRAHOMIRA.

A cóż ona?

PALOG.

Wszakżeś już słyszała.

DRAHOMIRA.

Tylko dwakroć — wprawdzie się w mózg wryło
Każde słowo — ale mów raz trzeci:
Gdy choć słówko zmianą mi zaświeci,
Gdy w niem znajdę choć tej zmiany ślad,
Będę wierzyć — wierzyć z całą siłą,
Żeś ty skłamał — żeś bez serca gad.

PALOG.

Z nią nie możesz mówić: w ciężkiej doli
Wciąż się modli, gdyż się obrzęd zbliża.
Ani syna widzieć ci pozwoli,
Bo on z księdzem klęczy u stóp krzyża,
Dla rodzica żebrząc o zbawienie.
Zwyczaj chrześcian, wcale ci nieznany,
Wszystkie ludzkie gani zatrudnienie,
Póki leży trup niepogrzebany.

DRAHOMIRA *(w największym bólu).*

«Gani wszelkie zatrudnienie ludzi?!»

(Wyciągając rękę ku komnacie).

Słyszysz! słyszysz martwa ty powłoko?!
Niech cię jęk mój z snów śmiertelnych zbudzi!
Słyszysz: — wdowę, tkniętą tak głęboko,
Ona cieszyć, przycisnąć do łona,

Syna przywieść w macierzyński próg,
Nie ma czasu — bo się modli ona,
Nie ma czasu — bo tak chce jej Bóg:
I gdy matki w bólu pierś się rwie,
Ona ból ten zatrudnieniem zwie!

(Z dumą prostując się).

O ty Boże! Boże ty nieznany!
Jeśliś równy bogom mej ojczyzny,
Gdyś jak oni święty, nieskalany,
To oblicze od tej zwróć zgnilizny,
I nie słuchaj co ten syczy gad,
Bo jej modły to bluźnierstwo — jad!

GOMON.

Tyś szła do niej — myślisz więc, że żmija,
Gdy się łasi, to już nie zabija?

TRAS.

Wszak masz władzę, więc spłać jej sowicie,
Dźwignij z pyłu starą naszą wiarę,
Dźwignij prawa, wiece nasze stare,
A na nowo rozkwitnie twe życie.

DRAHOMIRA *(w największej tęsknocie).*

Obym mogła uciec z tej krainy,
O Łużyce! kraju mój jedyny,
Wciąż o tobie tęskne serce śni.
Odra z Łabą, rodne dwie siostrzyce,
Srebrnym nurtem pieszczą me Łużyce,
W nie ja biedna, puszczam moje łzy.
W gajach świętych płonie stos ofiarny,
Ziemi mojej mnich nie skalał czarny,
Co wyrywa mężów z łona żon

I wydziera z rąk macierzy syna —
Niech zmarnieje matka i dziecina,
   Byle on wzniósł Bogu swemu tron!
O tam jeszcze, w cieniach swej dąbrowy,
Lśni bóg wojny, Harwit pięcio-głowy,
   Lśni tarcz święta, co nam darzy bój:
Tam śród gromad, pełnych silnej wiary,
Mój najmilszy tęskni ojciec stary,
   Srebrnowłosy gołąbeczek mój.
O jakbym dziś łzami zlana, zbladła,
Mój ojczeńku do twych nóżek padła,
   Szepcąc tkliwie: «Przyjm dziecinę twą!»
Tak jak niegdyś, radość twa jedyna,
Syn twój wracał w mury Budziszyna
   Z ciężkiej walki wracał, zlany krwią.
I zmieniony przez śmiertelne rany,
Przy twych nogach upadł syn kochany,
   I zaledwie tyle zebrał tchu,
By rzec: «Bój ten ciężki a wróg skałą,
Syn twój walczył, lecz gdy sił nie stało,
   Wierny bogom, przyszedł skonać tu».

SCENA CZWARTA.

DAWNI, TUMAN.

TUMAN *(stając przed Drahomirą).*

Sława bogom!

DRAHOMIRA *(z niezmiernem zadziwieniem).*

Co? Co?! sen czy mara?

GOMON *(podejrzliwie do Mladej).*

Kto ten obcy?

MLADA *(cicho).*

Z Łużyc woj waleczny,
Ich oboje wiąże krew i wiara.

DRAHOMIRA *(wlepiając w niego osłupiony wzrok).*

Ty tu przy mnie?!... o mój Jesse wieczny!

TUMAN.

Z ponad Łaby dążę w twoje progi.

DRAHOMIRA *(z serdecznem wylaniem).*

Bogi! wielbię waszą moc wspaniałą!
Ledwie w duszy rodzi się strapionej
Jęk tęsknoty do ojczystej strony,
Już życzenie obleka się w ciało,
Już przybywa zwiastun z mego kraju.
W którymż świętym podsłuchałeś gaju,
Czyż Dobrogost podszepnął ci sam,
Że tak bardzo pragnę z Łużyc wieści?

TUMAN *(ponuro).*

O już święty gaj tam nie szeleści,
Ani świeci żadne bóstwo tam.

DRAHOMIRA *(wzdrygając się z przerażeniem).*

Czyś szalony?... czy plwasz w własne gniazda?

TUMAN.

Zbieg!... — przecz zmysłów nie straciłem wprzód?

DRAHOMIRA.

Co zbieg? Tyś zbieg?! — Ty ojczyzny gwiazda?!

TUMAN.

Tam przed krzyżem pada w pyle lud.

DRAHOMIRA.

Co?! — lud Syrbów! mój lud dziarski, cudny —
I on pada u stóp krzyża w pył?!

TUMAN.

Milczkiem z Niemiec wdarł się mnich obłudny
I używszy zwodnej mowy sił,
Między Syrbów rzucił waśni kość,
Zjednał wodze — a lud biedny...

DRAHOMIRA *(przerywając mu z boleścią).*

Dość!
I tam? — i tam — to nie może być!
Jeśli masz łuk, napnij go i lotem
Pierś mą biedną ostrym przeszyj grotem!
Tak nie mogę — o tak nie chcę żyć...
Lecz wprzód ojciec zgniótłby mnichów rój,
Chyba że już umarł ojciec mój?!

TUMAN.

Tyś wyrzekła — umarł ojciec twój.

DRAHOMIRA *(zakrywając oczy).*

Ha!... On umarł, a z nim blask mej ziemi,
Kąt ostatni, gdzie cześć bogi miały,
Runął w przepaść, strącon z szczytu chwały,
I tyś był tam i nie walczył z niemi?
I zgon bogów przeżyć czoło masz!!

TUMAN.

Ciemną nocą rozbójników zgraje
Z siekierami wpadły w święte gaje,
Gdzie gontyna — wszak to miejsce znasz.

DRAHOMIRA.

Czyli je znam? — on mię o to pyta:
Tam świetnieje posąg Harewita.
Tam króluje bóg zjednania, Ham.
Listków dębu nie śmie tknąć burz siła,
Tam za ojca zawszem się modliła,
I on pyta czy to miejsce znam?!

TUMAN.

Z żagwią przodem biegły mnichów roje,
Szczując rzesze z całych swoich sił,
Jak mąż kolcem gna rumaka w boje
Z dzikim wrzaskiem: »W pył bałwany! w pył!«
Już dąb święty w uścisk padł pożogi...

DRAHOMIRA *(z rosnącem wzruszeniem)*.

I ni jeden nie padł trupem mnich?
I nikt ciałem nie zasłonił bogi?
Mieczem czaszek nie rozwalił psich?!...

TUMAN.

Garść nas wiernych — śród niej promienisty
Starzec biały, wyniosły jak dąb.

DRAHOMIRA.

To mój ojciec — orzeł mój srebrzysty,
Wzrokiem zdolny złych potrącić w głąb.

TUMAN.

Gdy się zjawił, skamieniały zgraje,
Lecz bluźnierca nowe hasło daje;
Znów okropniej dziki zawył wrzask..
I wnet bogów objęły postronki,
Pękły siłą potrzaskane członki.
Jak w kurzawie majestatu blask.

Gdy Ham runął, zadrżały niebiosy,
Ziemia jękła pod brzemieniem tym.

DRAHOMIRA *(w najgwałtowniejszej trwodze).*

A ów starzec? starzec srebrno-włosy,
Mów! — mów prędzej, co się stało z nim?!...

TUMAN.

W swe ramiona posąg chwycił z siłą,
I padł razem uczepiony doń.
Swym ciężarem bóstwo go zmiażdżyło.
(Chwila milczenia).

DRAHOMIRA *(w ciężkiej boleści pogrążona).*

W prochu bogi... w prochu ojca skroń...
Pieniem śmierci — śmiechy mu szydzące.
W przeszłość świętą krocie łotrów plwało...
I to wszystko wobec was się stało
Bogi wielkie, wieczne, wszechwiedzące?!...
I z was żaden z chmur nie zstąpił tronu,
Żaden z piekieł nie wpadł, pomstą gnany,
By ukarać ten gwałt niesłychany?!
Czyście słabi — jak człek bliski zgonu?
Czy zgrzybiali — jako mąż zgrzybiały?
Czy też w bezmoc popadli wieczyście,
Że was łacno strącić z szczytu chwały,
Jako wicher zwiędłe strąca liście!
(Upada na krzesło i zasłania twarz rękami).

TUMAN.

O stój księżno — nie bluźń. W więzach ciasnych
I jam bluźnił, zwalczony od wrogów;
Nienawiścią, jadem żmij dyszący
Kląłem ludzi, matkę, świat i bogów.

Gdy wtem nagle staje w blaskach jasnych,
Dni ubiegłych obraz czarujący:
Niby w borze, przed dawnemi laty,
Znowu młodem widzę się chłopięciem,
Na niedźwiedzie idąc z naszym księciem.
Już się toczy na nas zwierz kudłaty...
Ojciec rzekłszy: — «Śmiało! bij Tumanie!»
Założywszy ręce zdala stanie.
Ciskam oszczep — trafiam — pierś się broczy,
Z rykiem pędzi na mnie wprost poczwara,
Już gorąca dech mi dławi para...
— »Ratuj książę!« — krzyknę — A z uboczy:
— «Sam się ratuj» — odrzekł — «nie szczędź pięści!»
Więc w pierś z siłą wbijam ostrz bułata,
Pada niedźwiedź, sobą mnie przygniata.
Że tchu brakło i kość żeber chrzęści.
— «Ratuj ojcze» — wołam na wpół żywy,
A on na to: — «Ratuj się chłopczyno!»
Więc się wzmagam i nóż, broń jedyną,
Wbijam w serce...
Ciężar spadł straszliwy
I na nogi, krwią oblany, wstałem.
A twój rodzic rozśmiał się i mówi:
«Już dostoisz teraz niedźwiedziowi,
Moc twych pięści dać ci poznać chciałem!»
Gdy mi klęski ciężko pierś rozdarły,
W imię bogów zdał się szeptać zmarły:
»Wstań Tumanie — nieś do Czech złą wieść,
Drahomira wróci bogom cześć«.

DRAHOMIRA *(głucho powtarza do siebie).*

«Wstań Tumanie — nieś do Czech złą wieść,
Drahomira wróci bogom cześć».

(Odgłos dzwonów pogrzebowych daje się słyszeć i trwa ciągle, aż do wnijścia Ojca Pawła na scenę).

GOMON.

Dźwięk pogrzebny.

TUMAN.

Komuż Niemiec dzwoni?

MLADA.

Księcia Czechów wzięła wieczna noc.

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — OJCIEC PAWEŁ i ORSZAK POGRZEBOWY.

O. PAWEŁ *(za drzwiami po prawej stronie).*

Z prochu powstał i w proch się obróci
Grzesznik — niegdyś książę ziemi tej.

TUMAN *(do siebie, nową natchniony myślą).*

Umarł — mnich mu pieśń pogrzebną nuci,
Gwiazda wschodzi dla nadziei mej.

(Drzwi po prawej stronie roztwierają się. — Wychodzi z nich orszak dworzan z pochodniami. Za nim grabarze, niosący na barkach trumnę, okrytą kirem. Za trumną postępuje Ojciec Paweł).

O. PAWEŁ *(uroczystym tonem).*

Ziemią pokryty, w cieniach pogrzebany,
Prochu do prochów grzeszne ciało nieś;
Lecz Ty w dobroci Boże nieprzebrany,
Duszę tę grzeszną na niebiosa wznieś!

DRAHOMIRA *(która dotąd bez czucia patrzała przed siebie, nagle prostuje się, staje przed zwłokami i woła silnym głosem).*

Trumnę na ziem złóżcie tu grabarze!

O. PAWEŁ.

Ustąp! Ustąp! bo cię Bóg ukarze!
Przecz śród drogi zatrzymujesz nas?

DRAHOMIRA.

Do mnie Palog!

PALOG *(wysłuchawszy cichego zlecenia księżnej, woła z przerażenia).*

Rozważ...

DRAHOMIRA *(tonem rozkazującym).*

Milcz i idź!

O. PAWEŁ *(występując naprzód).*

Hej grabarze, nieście trumnę wraz!

DRAHOMIRA *(odtrącając go na bok).*

Precz! jeśli sam nie chcesz trupem być.
(Do grabarzy groźno).
Trumnę na ziem!

GRABARZE *(stawiają trumnę na ziemi).*

DRAHOMIRA *(do ojca Pawła gwałtownie).*

Ustąp! mówię ci.
Praw mych wdowich ty nie wydrzesz mi.
(Przystępuje do trumny i klęka przed ciałem).
O mój mężu, książę mój i panie,
Przecz tak wcześnie rzucasz ojców próg
I w twych borach lube polowanie
I miecz groźny, przed którym drżał wróg?
Syna — zanim wzrósł na wojownika,
Żonę — która łez wylewa zdrój,
Która na cię woła — «drogi mój!

Jam nie chytra, nie złośliwa, dzika,
Jam śród męczarń nieraz próbowała
Wydrzeć z serca dawną wiarę mą,
Com ją z mlekiem z piersi matki ssała,
A w jej miejsce w serce przyjąć twą.
Ale próżno — o uwierz mi w trumnie,
Gdyś za życia nie chciał wiary dać —
Jam nie mogła — słaby rozum u mnie,
Gdy nie pojął — nie mógł w serce wlać.
Tyś nie żądał, bym obłudną była,
Przebacz, przebacz, żem cię tak martwiła».

O. PAWEŁ *(popędliwie)*.

Czy chcesz, by cię trup wysłuchał głuchy?
Klęcz przed Bogiem, jemu oddaj cześć,
Niech nawróci serce twe do skruchy.

(Do grabarzy rozkazująco).

Wziąć to ciało i do grobu nieść!

DRAHOMIRA *(porywając się z oburzeniem)*.

Co? mąż taki, serce takie prawe
Ma pójść w ziemię robactwu na strawę?!

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — PALOG.

PALOG *(stając przed Drahomirą)*.

Coś kazała — stało się.

DRAHOMIRA.

O dzięki!

(Na zamkowym dziedzińcu słychać wesołe okrzyki ludu).

O. PAWEŁ *(z świętobliwą zgrozą).*

Wrzask wesoły z czyich bluźni ust?

TUMAN *(wbiegając po schodach do altany i spoglądając z niej na zamkowy dziedziniec).*

Lud się zbiega tu ze wszystkich stron,
Grono dziewic niesie kwiatów pęki,
Męże szczapy, oraz zeschły chrust;
Stos olbrzymi coraz wyżej rośnie,
A tłum wiernych wita wciąż radośnie
W szkarłat zdobny ten ostatni tron.

DRAHOMIRA *(tonem rozkazującym).*

Złożyć na szczyt księcia święte zwłoki,
Niech wraz spłonie pancerz, hełm i broń,
Giermek wierny i bojowy koń,
Niech płomienie buchną pod obłoki!
  Dać mi żagiew! — sama stos podpalę,
Niech płomienie buchną pod obłoki,
Niech przez ogień wielki mąż, wspaniale
Na on górny Wawel wiedzie kroki.

O. PAWEŁ *(zasłaniając sobą trumnę).*

O biada ci! wstrzymaj się przeklęta!
Chcesz szkaradę wrócić nam dyabelską,
Palić chrześcian, jak pogańskie cielsko,
Doń ma prawo tylko ziemia święta.
Niech przytułek znajdzie w niej bezpieczny,
Aż gdy straszna trąba archanioła
Wstrząśnie nieba i z grobowców zwoła
Grzeszne ciała na sąd ostateczny.
Ja nie zadrżę przed twym groźnym wzrokiem,
Zwłoki zbawię własnej krwi potokiem.

TRAS *(do Pawła dziko).*

Precz stąd klecho, — na nic twoje czary,
Dbaj o życie, a nie folguj gębie,
Bo wnet wznowię ojców zwyczaj stary,
I Wełtawy ciemne zmierzysz głębie.

(Posuwa się ku niemu).

O. PAWEŁ *(w uroczystem natchnieniu).*

O pójdźcie do mnie! pospieszcie katy,
Jam tutaj na służbie pana,
Młodzieńcem zbiegły z matczynej chaty
Nieść światło duszy pogana.
Przed świętem słowem najdziksza rzesza
Niewiernych w pył się korzyła,
Bo kędy idę Pan cuda wskrzesza
I jego wspiera mię siła.
Do mnie pogany, patrząc w niebiosy
Starzec bez żadnej obrony,
Dając wam miłość za wasze ciosy,
Męczeńskiej czeka korony.

(Zbrojny tłum wznosi miecze).

DRAHOMIRA *(stając pomiędzy nimi a Pawłem).*

Nazad! — niech włos nie spadnie mu z głowy;

(Do Pawła).

Czarny kruku tej niemieckiej sowy,
Te me słowa do niej nieś jak chart:
Że mą głowę koroną dziś zdobię,
Że ją dzisiaj sama biorąc sobie,
Będę w prawdzie, czem byłam na żart,
Panią Czechów!

(Wszyscy prócz Pawła).

Sława Drahomirze!

DRAHOMIRA.

Rzecz jej także, że dziś książe młody
Ma być zwrócon — głowę dziś postrzyże,
Ja mu sama chrzesne zmyję wody,
Ducha wzniosę, wychowam na męża,
Serce dla Czech — ramię do oręża,
A dla bogów pełne wiary dni.

WSZYSCY *(uderzając radośnie w oręże).*

Wacławowi niechaj sława grzmi!

DRAHOMIRA *(zwracając się do Pawła).*

A że bogom winnam to jedynie,
Żem swobodę odzyskała znów,
Więc wam nory spalę w mej krainie,
A was wszystkich wypędzę jak psów;
W proch ołtarze pójdą i kościoły,
Jak w proch poszedł Harewit i Ham,
Jak mój ojciec przez was legł w popioły,
Tak zniszczenie zapowiadam wam.
A gdy ogień w perzynę was strawi,
Radość błyśnie śród zgnębionych strzech:
Jesse z góry nam pobłogosławi
I powróci dawną sławę Czech.

(Porywa zapaloną pochodnię z ręki dworzanina i wybiega na lewo, za nią biegną tłumy. — Paweł zostaje, wznosząc oczy i ręce w górę).

WSZYSCY *(prócz Pawła).*

Sława! Sława! Sława Drahomirze!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Sala na Wyszehradzie — w głębi wysokie drzwi, ciemną, rozdzielającą się w środku, zasłonięte oponą. — Na prawo drzwi; na lewo okno i dwoje drzwi pobocznych — po obu stronach na przodzie krzesła tronowe.

SCENA PIERWSZA.

LUDMIŁA. — BOLEMIL.

BOLEMIL.

Sejm się zebrał, pani wielowładna,
Wojewody oczekują na cię.

LUDMIŁA.

A gdzie ona?

BOLEMIL.

Siedzi w swej komnacie.
Odkąd wniwecz spełzła chęć szkaradna,
Gdyś jej zwłoki odebrała syna
I kazała pogrześć jak należy —
W swej komnacie srogie skargi szerzy,
Wzywa bogów i nas wciąż przeklina.

LUDMIŁA *(jakby do siebie z boleścią)*.

Wzywasz wszystkich, oprócz Zbawiciela,
Który jeden ma łask wszelkich zdrój,

A obrony od nieprzyjaciela
Chce od głazu ciemny umysł twój.

BOLEMIL.

Za Wełtawą zbiera się czerniawa
I fałszywym bogom dając cześć
W Drahomiry praw obronie stawa;
Tuman z Łużyc ma ten motłoch wieść.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — DRAHOMIRA.

LUDMIŁA *(spostrzegając wchodzącą do Bolemila).*

Wracaj do nich, gdy się wiec zgromadzi,
Niech w me imię Ojciec Paweł radzi,
Ja tam przyjdę, wezwiesz mię w potrzebie.
(Bolemil skłoniwszy się księżnie, odchodzi).

SCENA TRZECIA.

LUDMIŁA. — DRAHOMIRA.

(Pierwsza na przodzie z prawej strony, druga podobnież z lewej.)

LUDMIŁA *(tonem poważnym).*

Drahomiro chciałam widzieć ciebie.
(Drahomira stoi jakby nie słyszała).
Drahomiro czy nie słyszysz mnie?

DRAHOMIRA *(ponuro).*

Gdzie jest mój syn?

LUDMIŁA.

Z zamku moim Tynie.

DRAHOMIRA.

Wszak jam matka, moja krew w nim płynie,
Przecz nie przy mnie zapytuję cię? —

LUDMIŁA.

Do rozmyślań czas mu jest potrzebny,
Za rodzica duszę błaga ninie.

DRAHOMIRA.

Lecz gdyś obrzęd rwała dziś pogrzebny,
Gdyś mi żagiew wydzierała z ręki,
Nie zważając na me wdowie jęki,
To mógł wówczas przy tobie być on!
Hańbę moją widzieć mógł, a potem
Patrzeć nie mógł, jak lud się pokotem
Słał na klęczkach, przynosząc mi tron.

LUDMIŁA.

Tron?...

(Długo wpatrując się w Drahomirę).

Jak stoi z podniesioną głową,
Sypiąc z oczu żary błyskawicy:
Istny obraz upadłej grzesznicy,
Która w żywe nie chce wierzyć słowo.
Patrząc na cię wzdrygam się i boję.
Taką byłam w dzikich dniach młodości,
Tkwił w mej duszy tak ostry cierń złości,
Że gdy wspomnę, łez wylewam zdroje.

DRAHOMIRA.

Tyś wiedziała, żem pogańskie dziecię,
Więc dlaczegóż tę zdziczałą płonkę
Dziecku swemu dałaś za małżonkę?

LUDMIŁA.

Wieść chodziła, żeś miła jak kwiecie,
Więc cię chciałam wyrwać z moc szatańskich,
A przez ciebie zbawić i twój naród;
I w początku błysł nadziei zaród,
Boś słuchała wzniosłych nauk pańskich
I pojęłaś nasze już obrzędy.
Szłaś w ślad męża i sądziłam już
Żeś zbawiona — aż...

DRAHOMIRA *(przerywając jej z pogardą).*

Aż poznałam błędy;
Wasza wiara sercu hart odbiera,
W trwogę zmienia męstwo bohatera,
Bo to wiara niewolniczych dusz.

LUDMIŁA *(z świętobliwą trwogą).*

O mój Boże!... usta me zbluźniły,
Jak jej usta dzisiaj bluźnią Ci,
Aż Cię Panie błędy me wzruszyły,
I niemocą zagroziłeś dni.
Gdy strach śmierci starł mej pychy rogi:
Gdym wołała: Panie mój! o Panie!
Do Twej łaski racz mi wskazać drogi! —
Tyś mi zesłał swoje zmiłowanie.
Co mi łatwem, czemuż tak dla ciebie
Ma być trudnem? — czyż przeminął czas?
Czyż dla ciebie zabrakło łask w niebie?...

(Drahomira milczy).

Lecz napróżno wołam, bo to głaz,
Próżno do tej zatwardziałej duszy
Zdawna puka człowiek, los i On!

Zdziczałego serca nic nie wzruszy,
Byłaś... będziesz...

DRAHOMIRA *(z silnem przekonaniem.)*

Wierną aż po skon
Nienawiści, kiedy ją kto wzbudzi,
Wierna słowu póki będę żyć,
Com je dała ostatniemu z ludzi,
A mym bogom nie mam wierną być?

LUDMIŁA *(namiętnie).*

Więc bezbożna zmarnij w twym uporze!...
(Powstrzymując się przerażona).
O Wszechmocny, cóżem ja wyrzekła?!...
Kląć?... wszak Boża miłość nieskończona,
Wszak zbrodniarza, kiedy w skrusze kona,
Miłosierdzie Boże zbawia z piekła...
A ja grzeszna to stworzenie Boże
Śmiałam przekląć!...
(Z wielką skruchą).
Panie przebacz mi!
(Przyciskając serce).
O burzliwa czyż nie schłodniesz krwi?

DRAHOMIRA *(chłodno).*

Coś rzec miała?...

LUDMIŁA *(uspakajając się).*

Słuchaj mię cierpliwie.
Choć mi wrogą jesteś bez powodu,
Ja dla ciebie miłość jednak żywię;
W księdze dziejów książęcego rodu
Jest niejedna karta ciemna, krwawa.

Ile razy śmierć zabrała pana,
Bój śród możnych o następstwo wrzał:
Wojewodów rzesza rozhukana
Wybierała z rodu Przemysława
Tego księciem, co miecz dłuższy miał.
Dziś na szczęście w karbach są szlachetni
I po ojcu następuje syn;
Lecz nasz Wacław jeszcze jest nieletni,
A przez ciebie burzy się dziś gmin;
Toż i pany znów podnoszą głowy,
Więc zwołali stary czeski wiec
Radzić, komu tron Przemysławowy
Dać... przed sąd swój chcą majestat wlec!
Mająż sądzić pany swe poddani,
Takichżeto doczekałam dni?

DRAHOMIRA.

Mnie słuchają — wiedzą, żem ja pani,
Pokój stanie — lecz wprzód ustąp ty!

LUDMIŁA.

Ja ustąpić — nie — to być nie może,
Tyś poganka — a tu chrześcijan świat.
Codzień w liczbę rosną sługi Boże,
W Chrysta wierzy sam narodu kwiat,
Nowe gminy wstają z każdym dniem:
Nie — nie możesz władać państwem tem.

DRAHOMIRA.

Większość ludu strzeże ojców wiary.

LUDMIŁA.

Tak, gmin podły, co się nurzać pragnie
W błędach starych, jak zwierz w gęstem bagnie.

Strzeż się, — nie budź strasznej tej poczwary,
Raz zbudzona lud pochłonie twój.
Gdy książęta wpadną w waśń namiętną,
Wśród narodu niezgód zagra tętno
I wybuchnie krwawy bratni bój.
Gmach nasz runie i — czy o tem wiesz,
Jaką Bóg cię dotknie karą? —
Syn twój pierwszy może paść ofiarą!
Kochasz syna?

DRAHOMIRA.

Ty mnie pytać śmiesz?...
Któż nad matkę kochać może więcej
Dziecię wzrosłe pod oczyma jej;
Lecz pacholę, wzięte jej przemocą,
Co płakała za niem dniem i nocą,
Kocha tkliwiej i goręcej.

LUDMIŁA *(z pośpiechem).*

Więc dziś miarę daj miłości twej!
Wszak w zaparciu tylko jej dowody,
Zatem zaraz udaj się przed wiec,
Oświadcz radnym, że dla świętej zgody,
By w zarodzie waśni stłumić żary,
Gdy chrześcijan nie chcesz przyjąć wiary,
Praw do tronu twoich chcesz się zrzec.

DRAHOMIRA *(chłodno).*

Zrzec?... a dalej?...

LUDMIŁA.

Aby twej chciwości
Raz dogodzić, więc na wdowie wiano
Wybierz sobie najpiękniejsze włości,
Gród czy zamek, nawet ukochaną

Weź siedzibę, mój najmilszy Tyn,
Zabierz sługi, weź mój skarb książęcy,
O, tem lepiej, im zabierzesz więcej,
Tylko... tylko...

DRAHOMIRA.

A mój syn? mój syn?!

LUDMIŁA.

Syn?...

DRAHOMIRA.

Jam matka! On mój! mieć go muszę,
Ja hart wleję w młodą jego duszę,
Ja na męża wychować go chcę.

LUDMIŁA *(z przerażeniem)*.

Och ty zrobisz z niego świętokradcę,
Poganina — Boże! O nie! nie!

DRAHOMIRA.

Co?!... Ty syna nie chcesz oddać matce?
A w tej ziemi z kapłanami piekła
Chcesz rej wodzić i tumanić lud?!
Obłudnico! chcesz bym się wyrzekła
Syna, w zamian za jakiś tam gród!
Za koronę zdartą z mojej głowy,
Chcesz dać z łaski skarbiec własny mój!
Za lud za mnie umrzeć dziś gotowy,
Ofiarujesz swych służalców rój,
By śledziła mię ta czerń przeklęta!
Maszże czoło do mnie mówić tak?
Język hojny, ale dłoń zamknięta.
O bezwstydna! czy ci zmysłów brak?...
Wszystko, wszystko ciskam ci pod nogi:
Skarby, sługi i twój miły Tyn —

Lecz w boleściach zrodzony, mój drogi,
Niech powraca syn mój! o mój syn!...

SCENA CZWARTA.

DRAHOMIRA. — LUDMIŁA. — BOLEMIL.

BOLEMIL *(wchodzi środkiem do Ludmiły).*

Krzyż i świętą przyniesiono księgę,
Więc na imię Wszechmocnego Pana,
Z Ojcem Pawłem złożym wraz przysięgę,
Żeś regentką przez księcia obrana.

LUDMIŁA *(do Drahomiry).*

Ty nie idziesz. — Czyś ostatnie twe
Rzekła słowo?...

DRAHOMIRA.

Prędzej bogów wiń,
Jeśli rzekną naraz: tak i nie!

LUDMIŁA *(w największem rozjątrzeniu).*

A więc zostań i gdy tak chcesz — giń!
(W uniesieniu pobożnem).
Bóg mój ze mną — po cóż skargi sieję?
On niewiastę, w ducha moc ubogą,
Wesprze siłą, wzmoże jej nadzieje,
I zbawienia poprowadzi drogą.
(Odchodzi z Bolemilem).

SCENA PIĄTA.

DRAHOMIRA *(sama — patrząc przed siebie).*

Jak się wślizga w serca wąż zdradziecki,
Pełznąc w prochu i jak zdradnie syczy,

W uszy możnych słodki słówek miód,
By oburzyć na mnie wiec szlachecki,
Potem jak psa powieść mię na smyczy!
Lecz ja żyję i polegnę wprzód
Nim ustąpię. -- Czuję, że w tej chwili
Tchnienie bogów otacza mą skroń,
Czech pomyślność w ręce me złożyli,
Walcząc z krzyżem za nich wznoszę broń.

(Wyciągając ręce ku niebu).

O znak dajcie, żeście ze mną w mirze!

SCENA SZÓSTA.

DRAHOMIRA. — TUMAN.

TUMAN *(wchodząc z prawej strony).*

Sława bogom! — sława Drahomirze!

DRAHOMIRA.

Cóż Tumanie?... jakąż niesiesz wieść? —
Czy lud w zbrojne zbiera się gromady,
By mnie wynieść, a pogromić wrogów?

TUMAN.

Stokroć więcej, niźli ludzkie rady,
Bo zwiastuję tajną wolę bogów,
Którym właśnie składaliśmy cześć.
Dwa rumaki białe jakby z śniegu,
Które ludzkich nie dźwigały ciał,
Niesprzęgane, nieużyte w biegu,
Kapłan bogom na ofiarę dał.
Wpośród modłów nieomylni wieszcze
Z tryskającej wywróżyli krwi,

Że korona czeska dzisiaj jeszcze
Z łaski niebios będzie daną ci,
Że dziś jeszcze koniec chrześcian godom.

DRAHOMIRA *(z zachwyceniem).*

Więc mi przecież objawili cud!
(Odwraca się ku lewej stronie).
Hej! koronę i płaszcz mi przynieście!

TUMAN.

Wieść o wróżbie rozbiegła się w mieście,
Chwiejni spieszą do szeregów twych,
A okrzykiem grzmi radości lud.

SCENA SIÓDMA.

DRAHOMIRA, TUMAN, MLADA *(niosąca płaszcz książęcy)* *i* DWORZANIN *(z koroną na poduszce).*

DRAHOMIRA *(do Mladej, chwytając za koronę).*

Daj! Daj!
(Mlada pomaga księżnie przytwierdzić koronę).

DRAHOMIRA *(do dworzanina).*

Idź i powiedz wojewodom,
Że Czech księżna czeka tutaj ich:
Że już niema o czem radzić więcej,
Lecz hołd złożyć władzy mej książęcej.
(Dworzanin odchodzi przez drzwi środkowe).

DRAHOMIRA *(utwierdza koronę na głowie).*

Mam ją przecież.

TUMAN.

O kto cię raz zoczy
W tej korony zdobną w blask uroczy,
Zginie za cię, albo z tobą wraz.

DRAHOMIRA *(do Mladej).*

Płaszcz mi podaj!

(Do Tumana).

A mój zastęp święty
Dzielnych mężów, młodzi nieugiętej,
Kto prowadzi?

TUMAN.

Ja, Gomon i Tras.

DRAHOMIRA.

Gdzie waleczni?

TUMAN.

U stóp Wyszehradu,
Lecz choć wrogi strzegą wszystkich wrót,
Przez ich ciała, śród pocisków gradu
Dojdziem tutaj.

DRAHOMIRA.

Więc pospieszaj w lot
I zawiadom na bój iść gotowych,
Że nim słońce pospieszy się skryć,
Blask pożogi świątyń Chrystusowych,
Dzień im wskrzesi!

TUMAN *(do siebie z uniesieniem).*

Moją musi być!

(Odchodzi razem z Mladą, przez drzwi po lewej stronie).

DRAHOMIRA *(patrząc w głąb)*.

Ha to ona... radnych tu prowadzi,
Lecz potrafię godnie przyjąć ich.

SCENA ÓSMA.

Opona w głębi rozsuwa się. — LUDMIŁA *wchodzi naprzód.* — *Za nią postępuje* BOGDAN, *pomiędzy* BOLEMILEM *i* PAWŁEM. — *W głębi* WOJEWODOWIE.

LUDMIŁA *(do wojewodów)*.

Bóg wam zapłać za to, że się radzi
Przychylacie do przedłożeń mych.
Lecz gdy ona nie chce wnijść w układy,
Niechże sama dowie się z ust rady,
Co ją czeka.

(Do Bogdana).

Teraz w imię Pana
Wojewodo mów!

BOGDAN.

Ja, syn Milana,
Bogdan z Milan, głowa w możnych radzie,
Zgromadzonej tu na Wyszehradzie,
By nieść ulgę w wielkiej Czech żałobie:
Drahomiro! oznajmuję tobie,
Iż stanowim: że po śmierci księcia,
Gdy nieletni ma panować nam,
Nie oddawać rządów w dłoń chłopięcia,
Zwłaszcza że ich nie chce przyjąć sam.

DRAHOMIRA.

Komuż to rzekł?...

BOGDAN *(wskazując Ludmiłę).*

Księżnie przedostojnej,
Swojej babce. — Więc wojewodowie,
By kraj zbawić od domowej wojny,
Chcą powierzyć zarząd silnej głowie.
Lecz nim losy rozsądzono tronu,
Badaliśmy: czy nasz książę miły,
Co poświęcał żywot nam i siły,
Myślał o nas także w chwili skonu —
A odwieczny zwyczaj w naszem kole
Czci pośmiertną nawet książąt wolę.
Wtem dwaj męże, godni wszelkiej wiary,
Zaprzysięgli, że umierający
Kazał berło oddać księżnie starej.

DRAHOMIRA.

Któż są owi wiarogodni męże?

BOGDAN.

Ojciec Paweł.

DRAHOMIRA.

Kłamca z przysiąg drwiący!

BOGDAN.

I Bolemil.

DRAHOMIRA.

Wróg krzywoprzysięże!

BOGDAN.

Oto księcia są ostatnie słowa:
Gdy nie mogłem skłonić mojej żony,
By fałszywych bogów się wyrzekła:
Gdy wstręt taki do Jezusa chowa,
Że, by zbawić duszę mą od piekła,

Aż ją rzucić byłem przymuszony;
A więc żądam, aby po mym zgonie
Na książęcym nie zasiadła tronie
I usilnie proszę moją matkę,
Gdy mnie wezwie Bóg przed Swoje sądy,
By w dłoń wzięła nad Czechami rządy,
A w opiekę syna i czeladkę,
Niech wraz...

LUDMIŁA *(przerywając mu).*

Przestań! — pierś się moja wzdyma.
Czyż już dla mnie innej drogi niema?
Jakaś trwoga gnębi moją duszę;
Mamże mitrę włożyć na tę głowę,
Którą tchnienie mrozi już grobowe?
Czyliż berło w tę rękę wziąć muszę,
Którą zwykłam karcić grzeszne ciało?

(Wznosząc ręce ku niebu).

Panie! chwilę wyzwolenia zbliż!

O. PAWEŁ *(występując naprzód).*

Ty się wahasz?... Bóg cię wzywa śmiało,
Czyż zbyt ciężkim zdaje ci się krzyż?
Kogo tutaj gniecie on do ziemi,
Tego wzniesie między wybranemi.

BOGDAN *(postępując ku Ludmile, z wojewodami).*

Skłoń się księżno, bezrząd kraj uciska,
Los nasz w tobie, siła w twojej sile:
O zbaw Czechy!

LUDMIŁA *(w zachwycie).*

Chwilę — jeszcze chwilę!
O mój Boże, jakaż mi myśl błyska,
Jakiż promień w duszy spływa ciemnie.

On pochodzi, Boże mój, od Ciebie.
Niezbadane drogi twoje Panie,
Ujść przed tobą chciałam nadaremnie,
Coś rozkazał, Stwórco, niech się stanie.

(Zwracając się ku wojewodom).

Ani prośby, męki, ni cierpienia,
W tej niewieście, chciwej krwi i rządu,
Nie zniszczyły pogańskiego trądu.
Rzuca niebo dla złudnego cienia,
Cała ziemską żądzą rozogniona;
Jedno tylko bóstwem jej — korona,
Jednem tylko szczęściem — panowanie.
Jeśli zadość żądzy się tej stanie,
Może zbawim duszę tę od zmazy.

O. PAWEŁ.

Co chcesz czynić?

LUDMIŁA *(wznosząc ręce ku niebu).*

Przebacz mi mój synu,
Że przełamać twoje śmiem rozkazy;
Tyś je wydał, by nam szczęście dały
Ja je łamię dla Jezusa chwały;
Sam do tego Bóg mię skłania czynu.

(Do Drahomiry).

Drahomiro! w imię Wratysława,
Słuchaj, co ci wobec rady wieszczę:
Ja na ciebie zlewam moje prawa,
Weź koronę czeską dzisiaj jeszcze,
I rządź nami.

DRAHOMIRA *(z niepohamowaną radością).*

Co ja słyszę? bogi!
Czy w istocie chcesz mi oddać władzę?

LUDMIŁA.

Na Chrystusa! I Wacław twój drogi
Wróci — Ja go sama przyprowadzę.

DRAHOMIRA.

Co?!...

LUDMIŁA.

Lecz wprzódy na twe bogi stare
Tu przysięgę wiecom złożyć chciej,
(A wiem pewno, że dotrzymasz jej)
Że wraz przyjmiesz świętą naszą wiarę,
Dla Chrystusa, nie dla ziemskich względów,
Że Wacława będziesz strzedz od błędów.
A jak tylko przyjmiesz święty chrzest,
Wraz drogiego uściskamy obie.

O. PAWEŁ *(z namaszczeniem do Ludmiły)*.

O niewiasto, błogosławię tobie,
Ty nie mówisz — Bóg w twych uściech jest.
(Zwracając się do Drahomiry).
Niech ci Zbawca rozpoznanie da.

DRAHOMIRA.

Co?! Ja mam być chrześcijanką — Ja?...

BOGDAN.

Zrób to księżno — dla nas wszystkich zrób!

DRAHOMIRA.

Sądzisz, że mnie tronu blask oślepił,
Iż dozwolę, by zarazę szczepił
Mnich w mem dziecku?... Prędzej legnę w grób!

BOLEMIL.

Przysiąż!... Twój wróg do nóg ci upadnie.

SCENA DZIEWIĄTA.

DAWNI. — PALOG *wchodzi głębią.*

PALOG.

Zbrojne rzesze cisną się bezładnie,
I z okrzykiem: Sława Drahomirze —
Rąbią wrota i zwalają krzyże.

LUDMIŁA.

Niech im bramy roztworzą co tchu!
Na dziedziniec tłumy wieść ciekawe,
Tam niech stoją, aż rozstrzygniem sprawę,
A ich wodzów przyprowadzić tu!

(Palog odchodzi).

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — GOMON. — TRAS. — WOJOWNICY.

LUDMIŁA.

O czem radzim niech wie cały lud.

GOMON *(na czele zbrojnych wpadając gwałtownie).*

Zaczekajcie!

TRAS *(podobnież wywijając mieczem).*

Głos nasz damy wprzód!

LUDMIŁA *(spokojnie do Drahomiry).*

Raz cię jeszcze pytam wobec rady,
Czy chcesz błędów odrzec się szkarady?
Czy przysięgniesz?

GOMON.

Czego ona chce?

LUDMIŁA.

Odpowiadaj!...

DRAHOMIRA.

Nie! i stokroć nie!
Ja chrześcijanką?... ja mam czcić obrazki,
Zmienić wiarę, jak się szata zmienia,
I wziąć inną, która podług was
Jest miłością — wiarą jest zbawienia,
Łagodności, pojednania, łaski,
Słowem, wiarą bez wszelakich zmaz?
Wyście mnie w te przywabiwszy strony,
Niewolnicą uczynili z żony,
Oto łaska waszej wiary jest!
Wyście męża, com mu była bogiem,
Mym zaciętym uczynili wrogiem, —
Oto miłość, którą daje chrzest!
Wy przemocą dziecię me jedyne
Wziąwszy, struli każdą mą godzinę —
Otóż to jest łagodności zdrój!
Wy okrutni z poza gór przybysze,
Wyniszczywszy świętych gajów cisze,
Bogom Słowian wydaliście bój! —
I bezczeszcząc wszystko, co nam święte,
Lud, gęślarzy mordowali skrycie —
To zbawienia — pojednania blask!
I wy teraz namawiać mię śmiecie,
Bym przyjęła gusła te przeklęte?
Nie chcę zgody ani waszych łask!
Ja mam rzucić bogi me wśród klęski,
Bogi, które od zamierzchłych czasów,
Synów sławy wiedli w bój zwycięski...
Strzegli naszych chatek, pól i lasów,
Pomagając zasiewać i żąć?!

I tych, którym pierwsze ust mych dźwięki,
Pierwsze modły, pierwsze me piosenki
Poświęcałam — mam wyszydzać, kląć?! —
I dla kogo? — Czy dla Nieznanego,
Co jest niby — a gdzież Go widzieli? —
Wiarę ojców mych porzucić mam?
I dla kogo? — czy dla Syna Jego,
Co na Wschodzie na krzyż wbić go mieli?
Czcijcież obu, lecz ja Ich nie znam —
Znać Go nie chcę — Jak On nie zna nas!

O. PAWEŁ.

Milcz nieszczęsna! przestań bluźnić już,
Hamuj język, co jak ostry nóż
W każdem słowie zgubny niesie raz.

DRAHOMIRA *(w natchnieniu).*

O bogowie, co w piorunie burzy,
W błyskawicy, gdy się niebo chmurzy,
Bytność swoją objawiacie nam! —
A najczęściej w sercu, w tej miłości
Co znać daje, że bóstwo w niem gości:
Swą potęgą zadajcie im kłam!
Niech siarczysty roztrzaska ich grom!
Niech się na nich zwalą szczyty gór!
Niech nawiedzi każdy gród i dom
Wojna, ogień, powodzie i mór!
Wszystkie pola deszcz zaleje krwawy!
Niech głód blady szarpie ich wnętrzności!
Niechaj matki w braku wszelkiej strawy
Własnych dziatek ogryzają kości!
Sprawcie, by mąż każdy z trwogi wył! —
A wstyd hańbił skronie białych głów!

Sprawcie!... bogi już mi brakło słów...
Brakło przekleństw... i kląć... brakło sił...

O. PAWEŁ.

Spełniasz miarę...

LUDMIŁA.

Tłumi litość we mnie,
Jak chrześcianka, jak kobieta, matka,
Ostrzegałam — czerpiąc do ostatka
Wszelkie środki — wszystko nadaremnie.
Więc jak księżna mówić teraz muszę,
Która pomnąc na rozkazy Boże,
I na chrześcijan zagrożone dusze,
Szaleństw twoich dłużej znieść nie może:
Obumarła gałąź mego rodu,
Całe drzewo chcąca zatruć zdradnie,
Niech odcięta od pnia wraz odpadnie.
Precz stąd nędzna! — Wychodź z tego grodu,
Gdzieś wstyd tylko i zgorszenie siała,
Wyjdź i pomnij, abyś nie wracała:
Tyś wygnana!

WOJEWODOWIE.

Wygnana!

DRAHOMIRA.

Wygnana?

(Do Wojewodów).

Czyż ni jeden w całem radnem kole
Nie przemówi za mną?

O. PAWEŁ.

W imię Pana
Rzeknę: Amen.

GOMON *(występując naprzód groźno).*

Lecz ja nie pozwolę!

TRAS *(z towarzyszami wznosząc miecz).*

Śmierć tym łotrom sława — sława księżnej!

DRAHOMIRA *(bieży do okna, roztwiera i woła).*

Czy ty słyszysz ludu mój potężny?
Drahomirę chcą wypędzić oni!

GOMON *i* TRAS *(do swych stronników).*

Hej do broni!

LUD *(za oknem).*

Do broni! do broni!

TRAS *(dziko).*

W pień tę zgraję! bij, morduj i pal!!

BOLEMIL *(do wojewodów, zasłaniając Ludmiłę).*

Brońmy księżnej!

LUDMIŁA *(odsuwając go na bok).*

Precz! ja się nie kryję.

(Występując przed Gomona i Trasa).

Dalej w serce, które dla was bije,
Śmiało wbijcie ostrą swoją stal!
Roztrzaskajcie tę zsiwiałą głowę,
Co wciąż środki wymyślała nowe,
By zapewnić wielkość, szczęście Czech!
Wasza matka życie swe w ofierze
Dając, Boga będzie błagać szczerze,
By wam dziatki odpuścił ten grzech!

GOMON *(zmieszany — cofając się).*

Czy ją szatan przemawiać tak uczy?

TRAS.

Jej wzrok sprawia dziwny w duszy lęk.

SCENA JEDENASTA.

DAWNI. — PALOG.

PALOG *(wpadając z przerażeniem).*

W całej Pradze rokoszu grom huczy,
Z wszystkich ulic słychać broni szczęk!

DRAHOMIRA *(wyrywając miecz jednemu ze zbrojnych).*

Za mną! za mną! to słowo «Wygnana»
Hasłem naszem. — Jak skra rozdmuchana,
Jak pochodnia, rzucona w snop strzechy,
Niechaj pożar w całe niesie Czechy!
Niech cześć bogów podniesie się wzwyż!
Niechaj runą jak nasze bożyszcza,
Ich kościoły w popiół, gruz i zgliszcza!
Śmierć chrześcianom! Niech przepadnie krzyż!

(Wypada — za nią Tras, Gomon i zbrojni z ludu).

BOLEMIL.

Towarzysze za miecze!

LUDMIŁA *(do swoich).*

Precz z mieczem!
Przed wyrokiem Bożym nie ucieczem,
Pójdę sama! — Bóg mój i me serce
Mnie powiodą. — Ujrzym, czy morderce
Wznieść na matkę ośmielą się dłoń.

Ta poganka obcą dla nich była,
Jam się z książąt ziemi tej zrodziła,
Jam im przyszłe hodowała pany,
I zwycięży Pan ukrzyżowany:
Krzyż i berło, oto moja broń!
(Odchodzi — za nią wszyscy).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Dziedziniec zamkowy na Wyszehradzie; w głębi gród starożytny, kamienny, w ostatnich dwóch kulisach wysokie bramy, stanowiące wnijście. Na przodzie z prawej strony ława kamienna.

SCENA PIERWSZA.

GOMON — *potem* TUMAN.

GOMON *(z mieczem w ręku wchodzi w zwątpieniu z lewej bramy).*

Wszystko na nic — losy nas zawiodły.
Drży z przestrachu, cofa się gmin podły,
Ni proźb słucha, ni pogróżek boi,
Bo mu serce trwoga ścięła lodem.

TUMAN *(z prawej strony, z dobytym mieczem pędząc przed sobą kilkunastu zbrojnych).*

Nędzni tchórze! — w oczach wam się dwoi,
Tam plac bitwy! piersi zwracać przodem,
Kto się cofnie, łeb roztrzaskam mu!

GOMON.

Dokąd?

TUMAN.

Bić się! wroga znieść co tchu!
Naprzód!

(Do Gomona).

Bracie! czy chcesz pomódz nam?

GOMON.

Bić się? — głupstwo! — mara! Patrzaj tam!
(Wskazując na lewo).
Otoczona bezbronną drużyną,
Księżna ręce to wznosi, to składa,
Z ócz jej wrogów zaciętych łzy płyną,
Na kolana lud przed nią upada.
Zewsząd spieszą niewiasty i starce
Ubóstwionej hołd złożyć włodarce.
Butna młodzież, gmin zbrojny i męże
Pod jej stopy miotają oręże.
Nie miecz groźny, lecz słodkie jej serce
Bierze górę w tej bratniej rozterce.

TUMAN *(z rozjuszeniem).*

Któżby wierzył — krew się w żyłach ścina —
Widząc jak się stawia nam zuchwała;
Zda się prędzej pierzchnęłaby skała.
Lecz tam jeszcze stoi Drahomira,
Przy mnie także dzielnych rąk secina.
Kto bezbronny, niech z ziemi broń zbiéra,
Chwyta kamień, szczapę albo żerdź,
Śmierć Ludmile! Chrześcianom śmierć!
(Wypada).

SCENA DRUGA.

GOMON *(sam).*

Idź! idź walczyć — daremny twój opór.
(Wchodzi na ławkę i patrzy w głąb na lewo).
Już się biją, w powietrzu lśni topór,
Z rąk Tumana pierwszy pada cios...
Ha!... Ludmiła, ten wcielony szatan,

Choć u nóg jej człowiek legł rozpłatan,
Nie ustąpi kroku i na włos.
Nad jej głową miecz Tumana błyska.
(Porywając oręż).
I ja z wami!
(Zeskakuje z ławy i bieży ku bramie po lewej stronie, lecz w połowie drogi zatrzymuje się).
Ha, nikczemne psy!
Zastęp zbrojny pierzcha przed staruchą,
Broń rzucona dźwięczy o ziem głucho,
Zewsząd okrzyk uwielbienia grzmi.
A Ludmiła idzie coraz dalej,
Czart zwyciężył — niechaj was grom spali!

SCENA TRZECIA.

GOMON. — DRAHOMIRA. — TUMAN. — TRAS.

TRAS.

Och te czary! z piekłem ma przymierze!

DRAHOMIRA *(rzucając miecz na ziemię).*

Precz z tym mieczem, co mi pali dłoń!
(Zrywa koronę z głowy).
Precz z koroną, co mi hańbi skroń!
(Ciska płaszcz na ziemię).
Precz z purpurą, co wstyd niesie mi!
(Rzucając się na płaszcz).
Skonam na nim, gdym straciła władzę.

TUMAN.

Stój! co czynisz? ty chcesz umrzeć — ty!?
Czyż garść ludem? całeż Czechy w Pradze?

Za Wełtawą straszna czerń się zbierze,
Zwołam męże, co w słowiańskiej wierze
Pragną skonać — i zwyciężym los!

DRAHOMIRA *(w pół podniesiona spogląda w głąb, wyciągając rękę ku lewej stronie zamku).*

Ha... tam jeszcze jest pogrzebny stos...
Zczerniał dymem, iskry mu potrzeba,
Aby płomień buchnął aż do nieba.
Grzmij Perunie! niech grom rzuci chmura,
Niech w tym ogniu rozpacz mą ochłodzę!

TUMAN.

I to mówi mężna Łużyc córa?
Kiedym leżał skrępowany srodze,
Gdy mię ojca krew broczyła święta,
Któż mi dał moc, abym rozgryzł pęta?
Myśl — myśl boska, że pójdę do ciebie,
Że ty zemsty rozżarzysz pochodnie,
Że pomścimy wspólnie mnichów zbrodnie,
Że dłoń twoja chrześcian w Czechach zgrzebie,
Że zebrawszy plon z tej zemsty żyzny,
Razem ze mną wrócisz do ojczyzny.
Gdy raz tylko ci się nie powiodło,
Czy chcesz zgraję naśladować podłą,
Gdy strwożona drżysz przed czynem swym?
Jakiem czołem śmiesz urągać im?

GOMON.

Wszak czas jeszcze. — Jam ci gotów przysiądz,
Że z mych żaden nie cofnie się wstecz,
Nim świt błyśnie, nie jeden znów tysiąc
Za twe prawa dzielny wzniesie miecz.

TRAS.

Z domu do dom, gród przebiegnę cały,
Wzruszę Pragę jak powodzi fal,
Na me słowa wzruszą się i skały,
A kto stchórzy w pierś mu wbiję stal!

TUMAN.

Idź i rzecz im: że dziś kres ostatni,
Że gdy księżna kraj opuści raz,
Już na zawsze zostaniecie w matni,
Wolność zginie na wieczysty czas.
Z Drahomirą dziatek, żon uśmiéchy,
Wiara, bogi ulecą stąd tłumnie,
W niewolników was zamienią mnichy,
A Ludmiła depcąc kark wam dumnie,
Do kościołów poszczuje lud psami,
Wiece stare w marny pójdą dym.
Niech więc idą z krzyżem — albo z wami!
Idź! — i com rzekł, zaraz powiedz im.

(Tuman i Gomon odchodzą).

SCENA CZWARTA.

DRAHOMIRA. — TUMAN.

DRAHOMIRA *(w tem samem położeniu, co wprzód na ziemi).*

O bogowie! cóżem zawiniła,
Że tak srogo dotykacie mnie?
Wszakżem zbrodnią nie splamiona żadną.
Od dzieciństwa wierniem wam służyła,
Byłam żoną i córką przykładną,
Przecież mi tu źle na ziemi — źle!
Matkę miłą utraciwszy młodo,

Pilniej strzegłam drogich ojca dni:
On mię pragnął odziać w blask książęcy,
Więc mię tutaj z wianem i urodą
Przywieziono — i ojca już więcej
Nie widziałam — o ciężki mój los!
A mnich ciągle szeptał mi do ucha,
Krzyż wskazując, abym przeszła doń:
Lecz nie zdołał złamać mego ducha.
  Zato wyście tryumf dali wrogom,
Cios za ciosem bije w moją skroń.

TUMAN.

Więc żelazo niech klnie na kowala,
Że je w ogniu rozżarza, a potem
Do zziębienia ciężkim wali młotem,
I śród żaru znowu je rozpala
I powtórnie na kowadło wlecze,
Niech więc krzyczy w głośne dzwoniąc szczęki:
— »Cóż ci winien biedny metal człecze,
Że tak ciężkie zadajesz mu męki?«
Lecz mistrz wcale nie zważa na wrzaski,
Grzmi perlikiem aż skry sypią blaski.
Mniejsza o jęk, o cierpienia, ból;
Wal mój chłopcze, tęgo młotem wal!
Aż żelazo zamieni się w stal,
W stal niezgiętą; to metali król,
Co stwardniały w tem starciu upartem
Wszystko w świecie przewyższa swym hartem.

DRAHOMIRA *(spoglądając boleśnie w niebo)*.

Słońce gasnąc w płomienistej fali,
Obraz złudny Bożych daje łask.
  My — to iskry. Szydzą z nas bogowie

Jak z tych iskier — żaden się nie żali,
Gdy się mieciem, szarpiem śród pożogi,
Aż w bagnisku nasz zagaśnie blask.

TUMAN.

To nie bogi — ona się wyśmieje,
Gdy zobaczy jak tracąc nadzieję,
Drahomira bogi swe przeklina.

DRAHOMIRA.

Słyszysz?! Bije wygnania godzina.
(Zrywa się z postanowieniem).
Niechże weźmie wszystko po tułaczu
Lud — który się przed jej okiem płoszy,
Kraj — co zawsze dla mnie był macoszy,
Gród — to miejsce męczarni i płaczu.
I biedniejszą wracam niż przybyłam,
Bo młodości mojej świeże kwiatki,
Dumę, męstwo, ufność, sił dostatki,
Wszystko, wszystko tutaj zostawiłam.
W dzikich górach znajdę gdzieś pieczarę,
Tam z bogami będę żyć w pokoju,
A nie mogąc toczyć za nich boju,
Sama siebie oddam na ofiarę.
Lecz niech dziecię ujrzę wprzód kochane,
Bo inaczej — niech drżą!... ja zostanę.

SCENA PIĄTA.

DRAHOMIRA. — TUMAN. — PALOG.

PALOG *(wchodząc z głębi po prawej — do siebie, nie widząc obecnych na scenie).*

Coraz ciszej — ustała już flaga,
Wprawdzie jeszcze snują się gromadki,

Pięść ściskając — lecz to burz ostatki,
Mogę donieść, że spokojna Praga.

DRAHOMIRA *(zastępując mu drogę).*

W sam czas idziesz — czy cię Jesse zsyła?
Mów czy spełnisz jedno me życzenie.

PALOG.

Rozkaż tylko.

DRAHOMIRA.

Gdzie teraz Ludmiła?

PALOG.

W swej kaplicy składa dziękczynienie
Za zwycięztwo wielkie, a niekrwawe.

DRAHOMIRA.

Kto się cieszy — tén chętniej próśb słucha.
Idź i powiedz, iż przez serce prawe
Zwyciężyła opór mego ducha,
Że się w wszystkiem poddaję jej woli;
Kraj opuszczę, nie zakłócę im
Spokojności — niech tylko pozwoli
Widzieć syna, pożegnać się z nim.

PALOG.

Z nim się żegnać? wszak go niema w mieście,
On jest w Tynie.

DRAHOMIRA.

Więc niech śle na Tyn.
Niech mu każe przybyć tu, a wreszcie
Sama pójdę tam, gdzie jest mój syn,
Wszak to blisko, lecz choć o mil sto,
Pójdę chętnie po krzemieniach, boso;

Ból mi szczęściem, a krew będzie rosą,
Bym dziecinę zobaczyła mą.

PALOG *(wzruszony).*

Boże...

DRAHOMIRA.

Powiedz, że ją błagam rzewnie,
Wznosząc dłonie z pochyloną głową,
O to jedno błagam tylko słowo.
Ona matka, nie odmówi pewnie.
Gdy mi nie da mówić z nim bez świadka,
Niechaj przyjdzie — niech przysłucha się,
Strzeże spojrzeń, jakie mu śle matka,
Pocałunki niechaj zliczy me,
Bylem tylko mogła go oglądać.

TUMAN *(uderzając nogą w ziemię).*

Hańba! hańba! — nie masz bogów w niebie!

DRAHOMIRA *(biorąc za ręce Paloga).*

Ja nie mogę wynagrodzić ciebie,
Bom żebraczka...

PALOG.

Czyliż śmiałbym żądać?

DRAHOMIRA.

Wprawdzie dać ci nie powinnam wiary;
Wszystkim służysz...

PALOG.

Posłuchaj mię księżno:
Czas jest straszny, a jam człowiek stary,
Wszystko tutaj gniewno i orężno;
O tron czeski i o Bożą chwałę

W całym kraju walka wre gorąca,
Starych ludzi butna młodzież strąca,
Ci znów tłumią kroki jej zbyt śmiałe,
Któż przewidzi jaki koniec wojnie?
Cóż mam czynić? — ot... czekać spokojnie.
Aż się skończy sroga waśń w narodzie,
Nie obrażać tego, ni owego,
Kochać dawnych, Boga czcić nowego,
Wszystkim służyć i z każdym być w zgodzie.

(Odchodzi do zamku).

SCENA SZÓSTA.

DRAHOMIRA. — TUMAN.

TUMAN.

Obym raczej nurzał się w krwi strudze,
Jak twój ojciec — obym skonał prędzej,
Niźli patrzał jak pochlebiasz słudze,
Śląc z błaganiem do tej starej jędzy
Na to tylko, by odmową wzgardy
Znać ci dała, co znaczy los twardy.

DRAHOMIRA.

Nie odmówi i mej prośbie zadość
Zrobić musi — wszak straciła dziécię,
Wie co boleść, wie co matki radość;
Gdyby mogła kupić jego życie,
Własne życie oddałaby pewno,
Czyż więc wzgardzi prośbą moją rzewną?

TUMAN.

I cóż zyskasz choć ją spełnić raczy?

DRAHOMIRA.

Głupcze! — Czy wiesz co to matka znaczy?
Czy wiesz, że gdy blask rozpromieniony
Oka mego w źrenicę mu wbiję,
Całą siłą wzrok zatopię w nim,
Gdy go swemi obejmę ramiony,
Usta moje w jego usta wpiję,
Wiesz co będzie? — On na wieki mym!
Wtedy próżno drżąc z rozpaczy cała,
U nóg moich będzie się czołgała,
W łzach błagając: — wnuczę oddaj mi!
Na to tylko bym odmową wzgardy
Znać jej dała co znaczy los twardy,
Znać jej dała — co to znaczą łzy.

(Oglądając się w głąb).

Pst — ktoś idzie — zda się, że to ona
Memi prośby idzie zniewolona,
O wiedziałam — oprzeć się nie śmiała,
Choć jest sroższą, niźli wilczy ród,
Choć jest twardszą, niżeli ta skała,
Piastująca ten odwieczny gród.

SCENA SIÓDMA.

TUMAN. — DRAHOMIRA. — O. PAWEŁ *(wychodzący ze drzwi zamkowych).*

DRAHOMIRA *(biegnąc z radością ku bramie zamkowej i spostrzegłszy O. Pawła, nagle zatrzymuje się wzdrygając).*

Ty?! — Co tu chcesz? — czyżem cię prosiła...

O. PAWEŁ.

Z odpowiedzią śle mię tu Ludmiła.

(Wskazując na Tumana).

Każ mu odejść!

DRAHOMIRA *(popędliwie).*

Ty idź mnichu zdradny;
Przed nim nie mam tajemnicy żadnej...
Ani z tobą żadnej dzielić chcę,
Precz z mych oczu!...

(Powściągając się, do siebie).

O spokojniej serce,
Słuchaj, słuchaj tego przeniewiercę.

(Łagodnie do Pawła).

Jam pokorna, gdy cię ona śle.

(Tuman na skinienie Drahomiry usuwa się w głąb).

O. PAWEŁ.

Naprzód dzięki, żeś uznała grzechy
I Chrystusa potęgę bez granic,
I spostrzegłszy, iż opór twój na nic,
Bez odwłoki opuścić chcesz Czechy.

DRAHOMIRA.

O nie dziękuj, bom ja więcej chciała!

O. PAWEŁ.

Nie żądałaś więcej — będziesz miała:
Idź do zamku, zabierz co ci gwoli
I opuszczaj jako księżna kraj.

DRAHOMIRA *(popędliwie).*

Bawidełka zabrać mi pozwoli —
Zabierz wszystko, a syna mi daj!
O bezczelni!

(Powściągając się znów).

Przebacz. — Jestem w szale.
Nie dręcz mnie już — wszak próżna obawa,
Tyś tu przyszedł przywieść mi Wacława.

O. PAWEŁ.

Nie...

DRAHOMIRA *(z przerażeniem).*

Co? co! nie?!

O. PAWEŁ.

Nie ujrzysz go wcale.

DRAHOMIRA.

Co ty mówisz?...

O. PAWEŁ.

Nie myśl o tem dłużej.

DRAHOMIRA.

Lecz dlaczegóż? wszak chcę żegnać go...

O. PAWEŁ.

Niepodobna...

DRAHOMIRA *(popędliwie).*

Niepodobna!... O!...
Kłamiesz! niech mi ona to powtórzy.

O. PAWEŁ.

Przez me usta ona tu stanowi,
Jam posłuszny tylko rozkazowi.

DRAMOMIRA *(gwałtownie).*

To nieprawda!

(Powściągając się).

O powiedz mi czemu?
Gdybyś powód dał jak słońce jasny,
Nie wystarczy dla mej głowy ciasnej.

O. PAWEŁ.

Przez współczucie ku wam, miłość k'niemu.

DRAHOMIRA *(śmiejąc się dziko).*

Przez współczucie? miłość?! czy słyszycie?

O. PAWEŁ.

Chciej posłuchać — wszak znasz swoje dziécię,
Wszak wiesz jaka dusza jego tkliwa,
A nieszczęście zasłużone, czy nie,
Ciężkim bólem serce mu przeszywa.
Mamże go tu przywieść w tej godzinie,
Gdy rozpaczy, żalom puszczasz wodze,
Gdyś wygnanką pozbawioną tronu?
To wspomnienie piekłoby go srodze
Całe życie, nawet w chwili skonu.

DRAHOMIRA.

Mieć go muszę!... przycisnąć do łona,
Choćbym miała przypłacić to życiem!

O. PAWEŁ.

Lecz cóż powiesz, jeśli za przybyciem,
Gdy ku niemu wyciągniesz ramiona,
A on wtenczas spojrzy na cię chłodno,
I odtrąci matkę swą wyrodną,
Która szydzi z obrzędów dlań świętych?
Pewno umrzeć wolałabyś raczej,
Niż doczekać takich chwil przeklętych.
Więc oszczędzić chcemy ci rozpaczy.

DRAHOMIRA *(wybuchając gniewem).*

Podły wybieg — nędzne fałszu sidła,
Z łona matki miałby uciec syn?
Ja dowiodę, że to są mamidła!
Gdyby jęki serca zaniemiały,
Gdyby drogi zawaliły skały,
Dla czci samej muszę iść na Tyn.

O. PAWEŁ *(z pogardą).*

Tożto twoja skrucha jest niewiasto?
Zbyt wczas barwa spadła ci zdradziecka.

DRAHOMIRA.

Precz ty gadzie! Wzburzę całe miasto,
Wszystkie matki z nad kolebki dziecka,
Dom, gdzie jedno chłopię u rodzica,
Wszędzie głosząc podłość tę zdradziecką,
Bój zapalę!

(Grożąc Pawłowi).

Strzeż się, bo wilczyca
Nie tak straszną, jak mój wściekły gniew!

O. PAWEŁ *(poważnie i z siłą).*

Więc ci nie dość — więc ci jeszcze mało?
A więc znowu chcesz przelewać krew?!
I rokoszem zalać Pragę całą,
I tych tchórzów co rzucili miecz
Szczuć do boju za mniemane prawo?
Drahomiro! cofnij groźbę wstecz,
Którą gardzim, twym nadziejom wbrew.
Słuchaj — w imię księżny i Wacława,
Jako poseł sprawujący władzę,
Oznajmuję, że jeśli przed nocą

Nie wyjedziesz, buntując lud w Pradze,
To cię każem wywieść stąd przemocą.
Idź niewierna! Idź w puszcz twoich głębie,
Gdzie się lęgną wilki i jastrzębie,
I rozboje jako one czyń.
Jak przed wiarą dusza twoja dzika,
Tak przed tobą gród się ten zamyka.
Idź niewierna! Przepadnij i zgiń!

(Odchodzi do zamku).

SCENA ÓSMA.

DRAHOMIRA. — TUMAN.

(Ściemnia się coraz bardziej).

TUMAN.

Masz odpowiedź! na pokorę — wzgardą,
Na łzy twoje masz odmowę twardą;
Tą monetą zwykle oni płacą.
Jam nie książę ani syn książęcy,
Lecz gdyby mnie takie psy, ladaco,
W twarz naplwali tak wielką zniewagą,
Ha! przysięgam na mą szablę nagą,
Jużby słońca nie widzieli więcej!

DRAHOMIRA *(chwyta za rękojeść puginału sterczącego za pasem).*

Chcesz ich śmierci?!

(Wzdrygając się).

O jak w oczach ciemno!...
Ciemniej jeszcze w biednej duszy mej,
Groźne widma snują się przedemną,
A pośród nich krwawa postać jej!...
Straszno!...

SCENA DZIEWIĄTA.

DRAHOMIRA. — TUMAN. — MLADA.

MLADA *(wchodząc z prawej strony).*

Zbiegłam za tobą pół grodu...

DRAHOMIRA.

Daj mi rękę!

MLADA *(podaje jej rękę).*

Pali jak zarzewiem.

DRAHOMIRA.

Jakaż zimna, jakby kawał lodu,
Czy to moja?... czy też twoja — nie wiem.
Mnie tak zimno.

MLADA *(podnosząc płaszcz z ziemi).*

Oto płaszcz twój leży.
(Okrywa ją płaszczem).

DRAHOMIRA *(odrzucając go).*

Duszno... parno... nie chcę tej odzieży!

TUMAN *(klękając przed nią).*

U nóg twoich klękam Drahomiro!
Odkąd znam cię, w szczęściu, czy w katuszy,
Jak bogini królujesz w mej duszy.
Lecz jeżeli teraz z chęcią szczerą,
Dysząc zemstą nie dorośniesz w czyn,
To w mem sercu bóstwo twoje padnie
I w niem będzie rządzić wielowładnie,
Na krzyż wbity chrześcian Boży Syn.

DRAHOMIRA *(walcząc z sobą — w rozstroju).*

Co w mej głowie szumi? Co tak huczy?...
Myśli pędzą z płonącego serca,

Czarne... duszne jak pożaru dym;
A w powietrzu straszny dźwięk: «morderca»
Wciąż mię głosem prześladuje swym.
Czyż w mem łonie upiór, co się tuczy
Krwią człowieczą?... Czyjej żądasz krwi?
Skąd myśl dzika, co ją chciwie chłepce,
Czy wróg jaki w ucho mi ją szepce?

(Jakby w obłąkaniu rzuca się na przeciwną stronę sceny).

Precz! precz!... i tu!... coraz głośniej brzmi.

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — GOMON. — TRAS *i kilkunastu wojowników.*

TUMAN *(biegnąc naprzeciw nich).*

Pójdźcież radzić, jak znieść te uroki,
Drahomiry serce pętające!
Tak was mało?

GOMON.

Na dole tysiące.
Okrzyk zemsty bije pod obłoki:
— «Śmierć Ludmile!»

DRAHOMIRA *(z krzykiem).*

Coś wyrzekł? Śmierć komu?
Ha! ustąpcie myśli czarne, krwawe,
Precz z mej głowy! precz puszczyki z domu!
Wy swym jękiem zwiastujecie skon!

(Biegnie do drzwi zamkowych i dobija się).

O Ludmiło na me, na twe bogi,
Jedno słówko tylko rzecz łaskawe,
Pozwól! pozwól by tu przybył on!

Daj mi syna, by rój duchów zmierzchły
Myśli szału z ogniem swych pochodni,
W jego świętej obecności pierzchły,
Tobie życia — a mnie szczędząc zbrodni.

(Bije w bramę, drzwi się otwierają).

SCENA JEDENASTA.

DAWNI. — PALOG.

PALOG *(ukazując się w bramie).*

Czego chcecie?

TUMAN.

Do księżnej nas prowadź!
Prędzej stary!

PALOG.

Księżna z swą drużyną
Opuściła gród ten przed godziną,
By się z księciem w Tynie obwarować.
Czy wnijdziecie?

DRAHOMIRA.

Raczej w wężów gniazdo!

TUMAN.

Ha przeklęcie! kret się zarył w jamę,
Co tu robić?...

(Do Paloga).

Łotrze zamknij bramę,
Nie wnijdziemy!

(Palog wraca do zamku i bramę zamyka).

DRAHOMIRA.

Gaśniesz moja gwiazdo,
Gdy ja tutaj staczam bój daremnie,
By odpędzić duchy żądne krwi —
Ona przy nim szydzi sobie ze mnie,
Z biednej matki, gdy wylewa łzy,
I westchnienia, jakby jęk boleści
Z oddalenia dziecku swemu śle.

GOMON.

W całej Pradze głuche krążą wieści,
Które pewnie wrogi twe rozsiały,
Że nasz książę ciebie wyparł się
I z przestrachem powtarza lud cały,
Że pogańskiej nie chce znać macierzy,
Że sam kazał z Czech wypędzić ją.

DRAHOMIRA.

O niegodni! — Któż temu uwierzy,
By syn matkę nienawidził swą?!
To nieprawda! Mówię wam, fałsz szpetny,
Który podła wymyśliła zdrada:
Mnie wypędza Wacław mój szlachetny?!

(Prowadzi Mladę naprzód).

Słuchaj!... powiedz! tyś tam była Mlada,
Gdym stęskniona wysłała cię rano
Drogą, która tobie tylko znaną.

MLADA.

Z bernskich jarów, po uboczy stroméj
Wnijść do zamku można przez wyłomy,
Które kryje gęsty tarnin krzak.

TUMAN *(do siebie na boku).*

Wieść cudowna!

DRAHOMIRA.

Cóż ci on powiedział?

MLADA.

Rzekł, iż radby lotem ptaka przedział
W mig przelecieć; kazał cię uściskać.

DRAHOMIRA.

Kto nie kocha czyż przemawia tak?

MLADA.

I narzekał, iż nie może zyskać
Pozwolenia, by zobaczyć cię.

DRAHOMIRA.

Czy słyszycie?

(Z rozrzewnieniem).

O mój ty jedyny,
Zpoza kraty słyszę jęk ptaszyny,
Która żale rozpościera swe.
Kto mię kocha, komu jestem miła,
Niech go zwróci, bym udowodniła
Przed mym ludem kłamstwo chytrych żmij.

TUMAN.

Ja przywiodę!

DRAHOMIRA.

O spiesz! spiesz Tumanie!
Dojdź do niego, a gdy w drodze stanie
Ktokolwiek bądź, miecz mu w piersi wbij.

TUMAN.

Jedno tylko...

(Ponuro).

Ja ją zabić muszę!

TRAS.

Ale stara z piekłem ma sojusze,
Przez nie bój dziś wygrała zażarty,
Szatan pomoc znów jej będzie nieść.

DRAHOMIRA.

Lecz te wiedźmy, choć naturze wbrew
Są wpół ludzie, a na poły czarty,
Przecież w sobie ludzką mają krew.
Szatan w duszy, lecz człowiecze ciało
Tak jak serce głazem nie stwardniało,
Jednym ciosem można zabić je!...

TUMAN *(uradowany).*

Och to słowo najmilszem mi w świecie!...
Można zabić... i...

DRAHOMIRA *(silnym głosem).*

I zabija się!

(Wyrywając z za pasa sztylet).

Pójdź tu wierny — chciwy krwi sztylecie,
W niej brak uczuć, a ja mam je znać?
Że koronę — że cześć moją grabi,
Mogę jeszcze przebaczenie dać,
Lecz gdy dziecię z łona matki wabi
I chce stargać święty związek krwi,
Niechże za to krwią zapłaci mi!

TUMAN.

Mam ją zabić?

DRAHOMIRA *(odwróciwszy twarz od Tumana, wciska mu sztylet w rękę).*

Zabij! Zabij! Zabij!

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

Dziedziniec zamkowy w Tynie. Po prawej stronie zamek z bramą, do której kilka wchodów prowadzi, przed nią na przodzie drzewo, pod którem kamienna ława, wzdłuż sceny po stronie lewej mur zewnętrzny, umocniony basztą, biegnie pomiędzy drugą a trzecią kulisą; przed murem rośnie gęsty krzak, którego gałęzie, zasłaniające wyłom, można rozsuwać, w samej głębi kaplica z wieżyczką i dzwonem. Drzwi jej są roztwarte, lecz wnijście zasłonięte szkarłatną, w połowie dzielącą się firanką. Za podniesieniem zasłony świta — nieco później wschodzi słońce.

SCENA PIERWSZA.

O. PAWEŁ *(sam, stoi na schodach, patrząc w przestrzeń).*

Pierzcha noc ciemna, a jako swe gońce
Różane zorze wysyła już słońce,
Nim samo w blaskach dźwignie się wspaniałe,
Tobie na chwałę.
Srebrzystą falą Wełtawa połyska,
Wstaje zwierz leśny z swego legowiska
I ptaszę wita w powietrznym przestworze
Wielkość Twą Boże!
I Twoje ze snu powstają już dzieci,
O spraw! niech z mrokiem myśl grzeszna uleci
I czyste serca niosą ci witanie:
Święty nasz Panie!

Niech usta czyste z ufnością do Ciebie
Wołają: Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Święć się Twe imię, a wola Twa święta
O nas pamięta!
Chleba naszego daj nam powszedniego,
Odpuść nam winy z miłosierdzia Twego,
O! niech dziękczynne zabrzmią wiernych głosy
Panu w niebiosy.

(Dzwonek na wieżyczce zaczyna bić srebrnym głosem, słychać organ, co jednak dzieje się bardzo cicho i nie przeszkadza mówiącym na scenie. O. Paweł idzie powoli ku kaplicy i klęka na stopniach, wiodących do drzwi. Następne osoby wchodzą zwolna na scenę).

SCENA DRUGA.

BOGDAN i BOLEMIL *(wchodzą głębią z lewej strony).* — STARZEC, NIEWIASTA i LUD *(obojej płci z prawej strony).*

BOGDAN.

Cicho przeszła noc brzemienna w burze.

BOLEMIL.

I przecudne rano Bóg nam śle.

BOGDAN.

Jakby martwej dano znać naturze,
Że dziś księżna pocznie rządy swe.

(Idą ku kaplicy).

STARZEC.

Dzięki Boże, że me długie latka
O ten piękny przedłużyłeś dzień!

NIEWIASTA.

O Ludmiła, to nieszczęsnych matka,
Boże! w radość jej cierpienia zmień.
Kędy ona zwróci swoje kroki,
Szczęście za nią zdaje się iść w ślady;
Przed nią pierzcha i czar i uroki,
Zła choroba, smutek i głód blady;
Za nią chętnie oddałabym życie
Jak mą wiarę, choć mi drogą była,
O bo ona od śmierci zbawiła
Mojej córki konające dziécię.

STARZEC.

Gdym schorzały, wyglądając skonu,
Błagał Boga o śmierć lub pociechę,
Ona — księżna z wysokiego tronu —
Znijść raczyła pod ubogą strzechę
I wzruszona losem złym kaleki,
Własną ręką podawała leki,
Darząc starca strawą, wygodami,
Jakich w życiu swem nie zaznał wprzód!
O mój Boże! błagam cię ze łzami!
Pobłogosław jej dostojny ród.

O. PAWEŁ *(podnosi się i stanąwszy we drzwiach kaplicy mówi):*

Dalej dziatki do kaplicy! Wiernych
Na modlitwę zwołuje już dzwon,
Za łask tyle wielkich, a niezmiernych
Nieśmy pienia przez zastępów tron.

SCENA TRZECIA.

(Drzwi zamkowe otwierają się, wychodzi z nich orszak: najprzód dzieci, potem mężczyźni i kobiety. Obecni na scenie łączą się z nimi, nakoniec wychodzą:

WACŁAW i LUDMIŁA.

Wszyscy idą do kaplicy. — Dzwonek milknie, lecz organ brzmi ciągle przez całą następującą scenę. — Widownia przez chwilę pusta).

CHÓR *(w kaplicy).*

Któryś za nas cierpiał rany,
Chwała Ci Panie!
Broń od głodu, ognia, wody
I ród książąt ukochany
Od wszelakiej strzeż przygody,
Prosim cię Panie!

SCENA CZWARTA.

TUMAN *(wchodzi przez wyłom w murze i rozsunąwszy krzaki wychyla głowę, a obejrzawszy się, występuje naprzód).*

Cóż za droga! przepaść i urwiska,
Wciąż z pod nogi usuwa się głaz,
Pędząc w rzekę pada w głąb łożyska
I grzmi fala, by mię chciała wraz
Z złomem skały porwać w swe odmęty.
Jesse! w ciało każdy kamień odziej,
Na twe słowo niech się stanie mężem,
Bym w dzień jasny z memi sokolęty
Zdobył zamek siłą i orężem,
A nie nocą wkradał się jak złodziej
I w obronie najpiękniejszej sprawy
Jak rozbójnik czyn popełniał krwawy.

(Pauza).

Gdym się na szczyt tej opoki wspinał,
W nocnej ciszy ciągle mi się zdało,
Że w powietrzu imię moje brzmiało.
Czyż to ona trwożna za mną ściga,
Aby wydrzeć z moich rąk puginał?
Już zapóźno — już stal groźna miga,
Dłoń wzniesiona... i już cuchnie trup,
Nim się spełni sprawiedliwość krwawa,
Dostać muszę w moją moc Wacława,
Drahomirę zjedna mi ten łup.

(Patrzy w głąb kaplicy).

Stara jest tam, padła na kolana
I przed krzyżem tonąc wzrokiem w drewnie,
O coś błaga. — O nie prosisz pewnie
O śmierć nagłą, co tu niezbłagana
Czyha na cię — ani możesz śnić,
Że wnet pęknie życia twego nić.

(Idzie naprzód).

Wszędzie pustka, wszyscy są w kaplicy,
A więc zanim modły skończy gmin,
Trzeba spiesznie wyszukać świetlicy,
W której mieszka Drahomiry syn.

(Odchodzi w głąb na prawo).

SCENA PIĄTA.

LUDMIŁA. — WACŁAW. — BOGDAN. — BOLEMIL. — O. PAWEŁ. — STARZEC. — NIEWIASTA i LUD.

(Wszyscy wychodzą według tej kolei z kaplicy).

BOLEMIL *(do Ludmiły).*

Bóg was wspieraj!

BOGDAN.

Wyruszamy w drogę
Gród sposobić na wasze przybycie
I zbyteczną bierzem stąd załogę.

BOLEMIL.

Goniec z miasta przybył tu o świcie
Z dobrą wieścią, że Prażanie radzi
Widzieć księżnę, że ich czeka moc
Na gościńcu.

LUDMIŁA.

Niech was Bóg prowadzi,
Będę w Pradze, nim zapadnie noc.

BOLEMIL *(zbliżając się do Wacława).*

Bądź zdrów książę.

WACŁAW.

Spieszno wam do miasta?

BOLEMIL.

Tak mój książę.

WACŁAW.

Niech was wiedzie Bóg!
(Idzie za nim i mówi z cicha).
O tam w Pradze biedna jest niewiasta,
Raczcie wstąpić w samotny jej próg
I powiedzcie, że tu do ostatka
Wacław w smutku życie swoje téra.

BOLEMIL.

Jak się zowie?

WACŁAW.

Zwie się Drahomira,
Moja matka... biedna moja matka.

BOLEMIL.

O mój książę, spełnię twe życzenia.
(Odchodzi w głąb z Bogdanem na lewo; Wacław siada na kamiennej ławie pod drzewem, zatopiony w myślach).

O. PAWEŁ *(zbliżając się do mogiły).*

Z za Wełtawy konający człowiek
Przysłał po mnie, bym go do zbawienia
Wiódł przy śmierci.

LUDMIŁA.

O spiesz! spiesz co żywo,
By nim zdążysz wprzód nie zawarł powiek.
Ślij do Boga duszę tę szczęśliwą.
(O. Paweł odchodzi w głąb na prawo).

LUDMIŁA *(zwracając się ku niebu).*

Kiedyż moja, wolna z więzów ciała,
Pójdzie w kraje, kędy wieczna chwała
Wciąż dla Ciebie Zbawicielu brzmi!

STARZEC *(zbliża się i całuje brzeg szaty Ludmiły).*

O włodarko! żyj nam, żyj najdłużej,
Czas ci jeszcze do onej podróży,
Niech Bóg strzeże twoich świętych dni.

LUDMIŁA.

Cóż mój stary — czy bóle ustały?

STARZEC.

Odkąd księżno byłaś w mojej chacie,
Wszystko dobrze.

LUDMIŁA *(do niewiasty).*

A twój wnuczek mały?

NIEWIASTA.

Z swoją matką Boga prosi za cię.

LUDMIŁA.

Niech was strzeże moc Bogarodzicy,
Ja za chwilę zamek ten porzucę:
Rząd mię kraju wzywa do stolicy,
Bądźcie zdrowi — kiedyś tu znów wrócę
Spędzić przy was dni moich ostatki;
Bądźcie zdrowe lube moje dziatki.

STARZEC.

Niechże Pan Bóg strzeże cię potężnie.

WSZYSCY.

Sława! Sława! sława naszej księżnie!
(Rozchodzą się w rozmaite strony).

SCENA SZÓSTA.

LUDMIŁA. — WACŁAW.

LUDMIŁA *(zbliża się do siedzącego Wacława i trąca go lekko).*
Synu!

WACŁAW *(podnosząc się z przestrachem).*
Co to?

LUDMIŁA.

Długo spoczywało
Oko moje na twem smutnem licu,
Tyś stęskniony... po kim? wyznaj śmiało,
Czy po ojcu?...

WACŁAW *(wzdychając boleśnie).*

O tak... po rodzicu,
Lecz!...

LUDMIŁA.

Co?

WACŁAW.

Nic... nic.

LUDMIŁA.

Cóż cię trapić może?

WACŁAW.

Mnie... nic.

LUDMIŁA.

Wyznaj, wszakże we mnie masz
Przyjaciółkę... matkę!

WACŁAW.

Matkę?! Boże!

LUDMIŁA.

Powiedz! powiedz!

WACŁAW *(wybuchając wielką boleścią).*

A więc niech tak będzie!
Kiedym wczoraj ujrzał przy obrzędzie
Pogrzebowym bladą matki twarz,
Gdym zobaczył jak w strasznej boleści
Pogrążona, okiem mię swem pieści,
Tak pieszczoty spragnioną dziecięcej,
Ledwiem nie padł...

LUDMIŁA *(gwałtownie).*

Nie myśl o niej więcej,
To stworzenie odepchnij zbrodnicze.

WACŁAW.

Wszędzie, wszędzie widzę to oblicze,
Gdzie się zwrócę, oko jej mię śledzi,

Ściga za mną, tkwi we mnie boleśnie
W nocy, we dnie, na jawie i we śnie,
Lecz nim wyznam księdzu na spowiedzi
Sił nie miałem wyznać tego ci,
Żem nieszczęsny.

LUDMIŁA *(z zadziwieniem)*.

Nieszczęśliwym ty?
Ty, któremu życie me oddałam,
Ty, któremu zdobyć chciałam szczęście?
Klątwą dla nas było jej zamężcie.
Wszystkich, wszystkich środków próbowałam,
Chciałam oddać zamki, sługi, włości,
Tron przez ojca twego mi oddany,
Ciebie nawet wnuku mój kochany,
Byle tylko, zrzekłszy się swych złości,
Chrzest przyjęła: by tylko dla duszy
Litość miała. O! jej nic nie wzruszy.

WACŁAW.

Na twe dary cóż ci rzekła ona?

LUDMIŁA.

Nie mój drogi, nie powtórzę za nic
Bluźnierstw, które czartem nawiedziona
Bez hamulca, wstydu, liczby, granic,
Wciąż zionęła przeciw prawdom świętym,
Cześć bałwanom niosąc swym przeklętym.

WACŁAW.

Biedna matka!

LUDMIŁA.

Nie przestając na tem,
Do rokoszu czerń podburza ciemną,

Lecz ujrzawszy, iż Bóg trzyma ze mną,
Że nie zwalczy Chrystusa bułatem,
Wraz wilczyca przemienia się w jagnię
I u nóg mych woła, lejąc łzy,
Że raz tylko widzieć ciebie pragnie,
Że już potem, ulegając mi,
Do swych Łużyc prostą wróci drogą.
Lecz poznałam, że pozorną cnotą
Chytrość kryje — i gdym larwę zdarła,
Jad wściekłości na mnie swój wywarła,
Grożąc nową wojną i pożogą.

WACŁAW.

Więc ci w oczy bój wydała nowy?

LUDMIŁA.

Nie — to Paweł przyniósł mi jej groźby.

WACŁAW.

Wszakże z tobą żądała rozmowy?

LUDMIŁA.

Tak — lecz spełnić mogłamże jej prośby
Po zniewagach, które na mnie miota,
Po szyderstwach, które ciska wciąż?
Miał mię widzieć zdradziecki ten wąż,
Co mi zatruł wszystkie dni żywota?...

WACŁAW *(łagodnie)*.

Tylkoż dla niej drzwi zaparte są?
Wszak Zbawiciel w godzinie skonania
Ku łotrowi serce swoje skłania,
Wszak twa ręka hojnie biednych darzy,
Sama szukasz kalek i nędzarzy,
Zdroje pociech — a odtrącasz ją?

LUDMIŁA.

Stokroć gorsza od najgorszych w świecie!

WACŁAW *(przerywając jej)*.

Nie kończ, nie kończ, wszakże ona przecie
Matka moja, wdowa po twym synie,
Najbiedniejsza z biednych w tej krainie,
W ciężkim smutku błagała cię rzewnie,
A w twem sercu miejsca dla niej brak.—
Coś zrobiła, dobrem było pewnie,
Lecz mnie boli, żeś zrobiła tak.

LUDMIŁA *(z gwałtownością)*.

Wyczerpała mą cierpliwość do dna,
Wysechł uczuć macierzyńskich zdrój,
Względów, łaski, pociechy niegodna,
Nie chcę wiedzieć nic o tym potworze,
Lecz... co widzę? Co to jest o Boże?
(Wpatrując się w Wacława).
W tem łagodnem oku sędzia mój?
Duch drży we mnie, serce me w obawie,
Czyliż byłam dla niej zbyt surową?
Zbyt surową? — o mów, mów Wacławie,
Czy tak sądzisz? — Powiedz jedno słowo,
O mój wnuku, wszak mię dobrze znasz!
Z łagodnością długom ją błagała;
Lecz mi albo nie odpowiadała,
Lub zniewagi rzucała mi w twarz.

WACŁAW.

Jam nie sędzia; dla biednego syna
Ani skarga, ni wyrzut przystoi,
Prośby niosę do litości twojej.
(Klęka przed nią).

LUDMIŁA.

Co ty czynisz?!

WACŁAW.

O moja jedyna!

SCENA SIÓDMA.

LUDMIŁA. — WACŁAW. — TUMAN.

(Tuman wysuwa się z poza baszty i ujrzawszy Ludmiłę chce się na nią rzucić, lecz obecność Wacława powstrzymuje go, przechodzi na lewą stronę sceny i ukrywszy się w krzaku, przysłuchuje się rozmowie).

WACŁAW *(klęcząc przed Ludmiłą).*

Tyś słodkiemi błagała ją słowy,
Nie szczędziłaś prośby ni namowy.

TUMAN *(do siebie cicho).*

Jeszcze nie czas.

LUDMIŁA *(do Wacława, nie widząc Tumana).*

O tak — tak mój luby.

WACŁAW.

Za to dzięki składam uroczyste,
Jednak jednej nie zrobiłaś próby.

LUDMIŁA.

Jakaż wzruszy serce to skaliste,
W którem gości sprośnych czartów siła?
Cóż pokona tę naturę złą?

WACŁAW.

O spełń jedno, o co cię prosiła!
Puść mnie do niej, pozwól mówić z nią.

LUDMIŁA *(przerażona).*

Chcesz ją widzieć? O przez Boga w niebie,
Ona słowy omami cię zdradnie,
Pochlebstwami przyciągnie do siebie
I na zawsze serce twe mi skradnie.

WACŁAW *(z rozrzewnieniem).*

Jeszcze w oko syna nie spojrzała,
Jeszcze głosu mego nie słyszała,
Ani prośby z ust dzieciny swej...

LUDMIŁA.

Czyż dokażesz przez tak krótką chwilę,
O com próżno prosiła lat tyle?
To napróżno, nic nie będzie z niej.

WACŁAW *(powstając).*

W tobie widzi przemoc, co ją pęta,
Więc dlatego dusza ta niezgięta
Szła na przekór przez tak długi czas;
Lecz gdy prośba z ust wybiegnie syna,
Gdy zawołam: »O matko jedyna
Zostań z nami! nie opuszczaj nas!
Jam wychowan w Chrystusowej wierze,
W zdroju wiary, nadziei, miłości,
Patrz w mej duszy jaki spokój gości.
Wiara z niebem daje mi przymierze,
W każdej chwili Boże skarbi łaski,
Każdą chwilę słodzi mi żywota.
Każdy dzionek w jasne stroi blaski
I wieczności otwiera mi wrota!
  Możesz złem być, przez com ja szczęśliwy?
Wszak z ust moich nie przemawia wróg,

Ale syn twój w prośbie błaga tkliwej,
Niechże jeden połączy nas Bóg!«

TUMAN *(do siebie na stronie).*

Nie dam jej się widzieć z tym młokosem,
Aż ta stara zakończy swe dni.

LUDMIŁA *(wzruszona do głębi).*

Mój Wacławie, mówisz takim głosem,
Że gniesz serce i wyciskasz łzy.

WACŁAW

Jako gwiazda w blaskach słońca tonie,
Tak me słowa zgasną obok tych,
Które dla niej chowam w mojem łonie,
Które przy niej z ust wylecą mych.
Ból lat tylu, palący zarzewiem,
Zgaśnie naraz w wymarzonym śnie —
Gdy ją ujrzę, co jej powiem? — nie wiem,
Ale to wiem, że usłucha mnie.

LUDMIŁA.

Ty ją zbawisz, jeśli zbawić można
Tę grzesznicę; twa ją wzniesie dłoń.
Boże przebacz, widzę jak jest zdrożna
Na upornych nienawiści broń.
Słusznie na mnie synu mój narzekasz,
Z matką twoją postąpiłam źle,
Jako z chorym nierozsądny lekarz,
Co go groźbą z łoża dźwignąć chce.
Samolubną miłość moją była,
A jej zazdrość jak ognisty żar;
Przebacz Panie, żem tak przewiniła,
Miłosierdziem srogość zastąp kar.

Nie trać synu czasu ni odwagi,
Do stolicy kilkadziesiąt staj,
Tam ją znajdziem — jeśli uszła z Pragi;
Pójdziem w pogoń choć na świata kraj.

WACŁAW *(w uniesieniu).*

Na koń! na koń! O serce leć wprzód!
Spiesz ją wstrzymać póki jeszcze czas.
Jak po spływie potopowych wód,
W znak przymierza z wszechmocną potęgą,
Niebo barwną przybrało się wstęgą,
Tak dziś miłość niech przybierze nas.

LUDMIŁA *(chwytając Wacława za rękę).*

O ja ciebie do niej zaprowadzę
Mój Wacławie. Córę nawróconą
Przyjmę chętnie w macierzyńskie łono,
A lud czeski, wierny lud nasz w Pradze,
Gdy w objęciach zobaczy nas dwie,
Zgadujące wzajem swoje chęci,
Dzień ten błogi szczęścia łzą uświęci,
O mój synu!

TUMAN *(ponuro na stronie).*

Jadąc do stolicy,
Na swej drodze możesz spotkać mnie.

LUDMIŁA *(do Wacława).*

Czekaj na mnie, nim z tych ruszym stron,
Pójdę pacierz zmówić do kaplicy,
Niech na drogę błogosławi On.
Głos nadziemski, niby głos anioła
Głąb mej duszy poi brzmieniem błogiem
I grzesznicę przed ołtarze woła,

Aby na twarz upadła przed Bogiem.
Gdy się nagle dola nasza zmienia
I tak ważna chwila się przybliża,
Muszę wprzódy szukać u stóp krzyża,
Szukać męstwa, sił i pokrzepienia.
Błagać Stwórcy, by w Swojej litości
Najprzód skruszył serce jej narowne,
Potem zrobił usta twe wymowne
I starł pychę, co w mem sercu gości.
A jeśli z nas które godne kary,
Jeśli w grzechach swych upornie trwa,
Jeśli Panie trzeba Ci ofiary,
Niech ofiarą tą zostanę ja!
(Odchodzi do kaplicy).

SCENA ÓSMA.

WACŁAW, *później* TUMAN.

WACŁAW.

Jeszcze chwila, a wnet do niej zdążę
I raz zedrę te posępne kiry,
Co mą młodość otaczały...

TUMAN *(stojąc przed Wacławem).*

Książę!

WACŁAW *(strwożony).*

Kto ty jesteś?

TUMAN.

Sługa Drahomiry.

WACŁAW.

Mojej matki?

TUMAN.

Tak jest.

WACŁAW.

Ja znam ciebie:
Tyś jest Tuman. Na ojca pogrzebie
Jam cię widział, gdy toporem zbrojny
Podburzałeś lud do bratniej wojny.

TUMAN.

Tak mój książę — lecz na widok cudu,
Kiedy wzrok twej babki świątobliwej
Broń wytrącił z rąk groźnego ludu,
Wszechmoc wiary uznałem prawdziwej
I obrzydłych błędów moich nędzę.

WACŁAW.

O bo jedna tylko wiara jest.

TUMAN *(z zapałem)*.

Któż Chrystusa oprze się potędze?
O mój książę! kiedym przyjął chrzest,
Wnet w mej duszy świętej wody władza
Zagasiła wszelką myśl zbrodniczą.

WACŁAW.

Czegóż żądasz? — co cię tu sprowadza?

TUMAN.

Przebacz książę, iż tak tajemniczo
Skrytem przejściem wdzieram się w te progi,
Lecz się bałem, ażeby mię straż
Nie dostrzegła, nim zobaczę cię.

WACŁAW *(zdziwiony)*.

Do mnieś przyszedł — chciałeś widzieć mnie?

TUMAN.

Ciężka dola tu mnie, książę drogi,
Sprowadziła. — Tam u stóp zamczyska
Drahomira — skarb najdroższy nasz,
Matka twoja, obłąkania bliska,
Traci rozum!

WACŁAW *(przerażony).*

O mój Boże!

TUMAN *(z silnem wzruszeniem).*

Och!
Gdybyś widział jak w strasznej rozpaczy,
Myśląc, że cię nigdy nie zobaczy
U bram zamku rzuciła się w proch...

WACŁAW *(z boleścią).*

Matko moja!

TUMAN.

Tęskność i żal krwawy
Tu ją przygnał. Chce widzieć te ściany,
Kędy więdnie syn jej ukochany
I wraz potem w głębi wód Wełtawy
Skończyć życie...

WACŁAW *(w niezmiernej obawie).*

Prowadź mię gdzie ona.

TUMAN.

Pójdźmy książę!

WACŁAW.

Lecz od zamku bram
Klucz u księżnej... W modłach pogrążona
Wyjść nie zechce.

TUMAN.

A więc...

WACŁAW.

Pójdę sam
I ubłagam...

TUMAN.

Zapóźno już będzie.

WACŁAW.

Cóż uczynić?

TUMAN.

Inną drogę wskażę.

WACŁAW *(wahając się)*.

Lecz Ludmiła...

TUMAN.

Maż cię ona wszędzie
Jak na pasku małe wodzić dziécię?
Tu o matki twojej idzie życie!
(Idzie ku wyłomowi w murze i rozsuwa gałęzie).
Tędy książę!

WACŁAW *(zdziwiony)*.

Tędy?

TUMAN.

Tu nas straże
Nie dostrzegą. Ocalim ją może,
Jeśli jeszcze nie umarła.

WACŁAW.

Boże!
Ocal mi ją!

TUMAN.

W męstwo pierś twą zbrój.

WACŁAW *(biegnąc ku wyłomowi).*

Spieszmy! spieszmy!

TUMAN *(do siebie).*

Mam cię, ośle mój.

(Obydwa znikają w wyłomie. — Scena przez chwilę pusta).

SCENA DZIEWIĄTA.

DRAHOMIRA. — MLADA *(wchodzą z poza baszty zamkowej).*

DRAHOMIRA.

Boczną furtką weszłam niedojrzana.

MLADA.

Zacz nie tędy?

(Wskazuje na otwór w murze).

Bałam się Tumana

Spotkać.

MLADA *(oddychając).*

Och, jestem spokojna;
Widno jeszcze nie spełniona zbrodnia.
Wszakże prawda, księżno przedostojna,
Że stal wydrzesz z rąk tego przychodnia,
Co czyn krwawy chce podzielić ze mną?
Bo jam głównie winna zbrodni tej:
Ja wskazałam drogę potajemną —
Wszak nie każesz zamordować jej?

DRAHOMIRA.

Zamordować? Precz z tem słowem szpetnem,
Jam ją sądzić przyszła tu i skazać,

Jako księżna rządząca ten kraj.
Życie moje było wciąż szlachetnem,
Podłym czynem nie myślę go zmazać,
Tak mi Jesse wspomożenie daj!
Karząc winną majestatu zdrady,
Przeniewiercom straszny przykład dam
I w Tumana tu pobiegłam ślady.
Czyliż zdala oczekiwać mam,
Aż się spełni na niej krwawy sąd?
Tak, gdy kary wybije godzina,
Do stolicy wezmę mego syna.

MLADA *(z przestrachem)*.

Pani miła, racz wysłuchać mnie!
O uchodźmy co najprędzej stąd.

DRAHOMIRA *(powolnie)*.

Całą drogę namyślałam się:
Rozejrzawszy duszy mej zakątki,
Miłosierdzia wydobyłam szczątki
I patrząc na ten zwiędły kwiat,
Policzyłam z żelaznym spokojem,
Co jej było, a co było mojem!
Wszystko, wszystko, w ciągu tylu lat.
I zamknąwszy długie obliczenia
Z chłodnem sercem rzekłam do sumienia:
Błąd lub słuszność twym wyrokiem stwierdź!
A sumienie widząc krzywdę całą,
Z bezstronnością samo rzec musiało:
Śmierć niegodnej i jeszcze raz śmierć!

SCENA DZIESIĄTA.

TUMAN. — DRAHOMIRA. — MLADA.

TUMAN *(wychodząc z otworu mówi do siebie).*

Już się teraz z rąk mych nie wywinie,
Uledz musi zakochana w synie.
(Ukazując się Drahomirze).
Drahomiro żywo, czas do czynu!
Ona jest tam, prędzej, chwila minie
I nie wróci.

MLADA *(z przestrachem).*

A więc twym zamiarem
Tam ją zabić?
(Do Drahomiry)
O nie puść go tam!

TUMAN *(odtrącając ją).*

Nie przeszkadzaj dziewko swoim gwarem.
Tu przed chwilą widziałem go sam:
Na kolanach o schylonem czole
Prosił — ona odtrąca pacholę,
Grożąc srogo, że go w pęta skowa,
Gdy powtórzy jeszcze raz te słowa.
(Od tej chwili gra idzie bardzo szybko aż do odeścia Tumana do kaplicy).

DRAHOMIRA.

Chciał biedz do mnie?!

TUMAN.

Wołał na nią z płaczem:
»Puść mię! puść mię! o nie bądź tak srogą,
Przed rozstaniem niech raz się zobaczem«.

DRAHOMIRA.

A cóż ona?

TUMAN.

Odtrąca go nogą
»Precz!« wołając »w tobie także bije
Serce pogan!«

DRAHOMIRA.

Och! ja ją zabiję!

MLADA *(z przestrachem)*.

Ona, bogi! — gdy się modli ninie,
Czyliż śmierć jej będzie bogom miłą,
Czyż się godzi?

TUMAN.

A czyż się godziło
Wpaść w gaj święty jako wpadli ongi,
Zabić ojca księżnej przy gontynie,
Gdy zasłaniał bogów swych posągi?

DRAHOMIRA.

Mam od chrześcian litościwszą być?
Niech wyzionie ohydną swą duszę
U stóp krzyża.

MLADA *(rzucając się jej do nóg i chwytając za suknię)*.

O wstrzymaj go!

DRAHOMIRA *(wyrywając się do Tumana)*.

Idź!

(Tuman odchodzi do kaplicy).

DRAHOMIRA.

Jednym ciosem gmach obłudy skruszę!

MLADA.

Drahomiro, cóżeś uczyniła?!

DRAHOMIRA *(z postanowieniem).*

Ja ją widzieć muszę konającą,
Gdy cierpienia z oblicza jej strącą
Fałsz, przewrotność, któremi wciąż żyła.
Śmierć przełamie najzuchwalszy kłam!
Wtedy ujrzysz na zmienionej twarzy,
Jak się wściekłość niepomszczona żarzy,
Jak kląć będzie bogom, światu, nam,
Gdy szalonej zemsty swej nie dopnie,
Gdy nie ujrzy mnie zwalonej w proch,
Gdy korony nie strąci mi...

LUDMIŁA *(w kaplicy wydaje okrzyk bolesny).*

Och!

DRAHOMIRA.

Ha!... stało się.

MLADA *(biegnąc ku drzwiom kaplicy).*

Okropnie! Okropnie!

SCENA JEDENASTA.

DAWNI. — LUDMIŁA. — TUMAN.

LUDMIŁA *(ukazuje się we drzwiach, przyciskając lewą pierś; Mlada podpiera ją i chwiejącą prowadzi do kamiennej ławy).*

Cóżem winna... o człowieku... rzecz!
Cóż ci winnam?

TUMAN.

Czyż cios mylnym był?
Czy ta stara ma tak wiele sił?
Lecz tym razem nie ujdziesz mi...

(Dobywa miecza i chce ugodzić powtórnie Ludmiłę).

DRAHOMIRA *(odtrącając go).*

Precz!

(Do Ludmiły).

Moja wola — chociaż jego ręka —
On ją spełnił.

LUDMIŁA *(z boleścią).*

Och... nie może być...
Drahomiro serce moje pęka...

DRAHOMIRA.

Ja kazałam!

TUMAN *(na boku do siebie).*

Wnet przestanie żyć.
Względem więźnia ostrożność podwoim,
By się matka nie widziała z nim.

(Wychodzi przez wyłom w murze).

LUDMIŁA.

Biada!... biada, tyś mordercą moim.

DRAHOMIRA *(z pogardą).*

Nie mordercą, ale sędzią twym;
Zasłużyłaś na śmierć winy twemi,
Swym rokoszem przeciw władzy mej,
Na wieść kary w całej czeskiej ziemi,
Wszystkim prawym sercom będzie lżej,
Bo wróg bogów, ziemi Słowian wróg
Zgruchotany leży u mych nóg.

LUDMIŁA *(z wysileniem).*

O mój Boże!... i to... w chwili właśnie,
Gdy jej syna sama oddać mam.

DRAHOMIRA *(z radością).*

O wiedziałam, każdy z chrześcian gaśnie
Z fałszem w ustach, o kłam, jeszcze kłam!
Lecz nie złudzi mnie obłuda twa.
  Dość już tego, bądź szczerą, jak ja!
Mą nienawiść otwarcie ci głoszę,
Twoje męki to moje rozkosze.
Boś mi skradła koronę z mej skroni
I pieszczoty syna skradłaś mi.
Gdyby Tuman nie dał mi swej dłoni,
Sama oręż w pierś wbiłabym ci!

LUDMIŁA *(słabym i przerywanym głosem).*

Gdy Zbawiciel... mój... krwią zlewał... krzyż
Nie złorzeczył... mordercom swym... lecz
Przebaczał... ja... przebaczam... zbliż
Się córko... błogo... sławię!...

DRAHOMIRA *(przerażona krzycząc).*

Precz
Z tem słowem!... błogosławieństw kram
Zabierz sobie... One pierś mi krają...
Gdy te usta bólem skonu drgają.
Bądź prawdziwą!... taką jak cię znam.
Masz do śmierci zaledwie chwil kilka...
Więc twą zemstę w słów pioruny zbij
I zbójczynię, zanim głos umilka,
Nie błogosław, lecz — na bogi — klnij!

LUDMIŁA *(wyciągając rękę i robiąc w powietrzu krzyż, mówi zaledwie dosłyszalnym głosem).*

Bło... go... sła... wię! Boże... przebacz jej!...

(Umiera).

MLADA *(nachyliwszy się nad Ludmiłą).*

Już skonała.

DRAHOMIRA *(gwałtownie).*

Kłamiesz!

MLADA.

O już z niej
Duch uleciał.

DRAHOMIRA *(z przerażeniem).*

Póty musi żyć
Aż mię przeklnie!... Mlado!... żywo! nuż!
Przyłóż ucho do jej ust!

(Mlada czyni to).

DRAHOMIRA *(szarpiąc Mladę).*

No cóż?
Żyje?

MLADA.

Serce jej przestało bić.

DRAHOMIRA *(biegnie do Ludmiły i porywa ją za rękę).*

Ty żyć musisz! wstań! no zbudź się z snu!
Przebaczenie twoje zabierz sobie,
Ja ci nie dam póty spocząć w grobie,
Aż mię przeklniesz!

MLADA *(oglądając się w głąb).*

Tłumy śpieszą tu.

SCENA DWUNASTA.

DAWNI. — STARZEC. — NIEWIASTA. — MĘŻCZYŹNI. — KOBIETY. — DZIECI *(wbiegają z różnych stron).*

STARZEC.

Cóż się stało?

(Spostrzegając Ludmiłę).

Boże! w krwi potoku,
Nasza matka, opiekunka!

WSZYSCY *(z okropnem przerażeniem).*

Ha!

MLADA.

Och ratujcie!

DRAHOMIRA *(zastępując im drogę).*

Na bok! ani kroku!

STARZEC.

Kto nam matkę zamordował?

DRAHOMIRA *(śmiało).*

Ja!
Drahomira, prawa księżna.

NIEWIASTA.

Boże!

WSZYSCY *(wznoszą ręce).*

Śmierć jej! śmierć jej!

STARZEC *(zasłaniając Drahomirę).*

Stójcie! nikt nie może
Dotknąć winnej, aż orzecze sąd.
Wziąć ją pod straż, lecz strzedz od zniewagi.
Do stolicy powieziem ją stąd.
Sam Bóg pomści ten okropny dzień.
(Bierze ją za rękę i oddaje tłumowi).
Pod sąd wiedźcie!

TŁUM *(otaczając Mladę i Drahomirę).*

Do Pragi! do Pragi!

SCENA TRZYNASTA.

DAWNI. — TUMAN. — ZBROJNI.

TUMAN *(wpadając na czele zbrojnych)*.

Precz hołoto, bo was wytnę w pień!
Spieszmy księżno — Wacław w naszej mocy,
Nikt go teraz nie wydrze nam z ręki,
Huf mój dzielny zasłoni nas.

DRAHOMIRA.

Dzięki,
Żeś się pomścił niedoli sierocej.
(Do siebie przerażona, patrząc w głąb).
Ha... to ona... tu i tam. Jak oczy
Wlepia we mnie... Och ten wzrok mię dławi
Jak łagodny... pierś jej krwią się broczy,
Wznosi ręce... i wciąż błogosławi...
Czyż mam wierzyć, że chrześcian Bóg
Jest miłością?... że miłością tchnie,
I przebacza, choć znieważa wróg,
Że jest lepszym niźli bogi me?...
(Zasłania oczy)
Och to straszno!...
(Prostując się).
Ha, niech wszyscy przeczą,
Żem ja słuszny wykonała czyn...
Błogosławią, lub też mi złorzeczą,
Nie dbam o nich!... nie dbam!...
(Z trwogą).
Znowu ona!...
Och ten Chrystus... czyż on nas pokona?!...
O!...

(Zwracając się nagle).

Tumanie! gdzie mój syn?! mój syn!...

(Wypada przez wyłom, za nią Mlada i Tuman. Lud grupuje się około zwłok Ludmiły).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

Komnata na zamku wyszehradzkim, taż sama, co w akcie pierwszym, z altaną w głębi i wschodami.

SCENA PIERWSZA.

DRAHOMIRA i MLADA *(wchodzą z prawej strony).*

DRAHOMIRA *(niecierpliwie).*

Za cóż Tuman, śląc nas dwie w te strony,
Z moim synem nie staje na dworze.

MLADA.

Z wichrem tutaj pędząc na przegony,
Wyminęłaś wszystkich.

DRAHOMIRA.

To być może,
Lecz się trwożę, to zadługo trwa.

MLADA.

Może Tuman zatrzymał się w puszczy,
By tajemnie przed oczami tłuszczy
Stos ofiarny naszym bogom wznieść.

DRAHOMIRA.

Potajemnie?! Wszak ich dola zła
Przeminęła. Dzisiaj, dawnej chwale

Powróconych, podźwigniem wspaniale
I z Wacławem będziem nieśli cześć.
Czy nie słyszysz, jak w obłoki bije
Krzyk zebranych pod książęcy dom,
By mnie witać?

MLADA *(z obawą).*

Słyszę... wicher wyje
I zdaleka groźnie huczy grom.

DRAHOMIRA.

Lud tam stoi, słyszę jego głos,
Idź i zobacz.

MLADA *(wychodzi po stopniach do altany i patrzy).*

Próżno szuka wzrok...
Nic nie widzę, tylko czarny stos,
Coś go dała wznieść dla męża zwłok.

DRAHOMIRA.

Cóż to znaczy — gdzież jest lud mój miły?
Sama jestem... samą nie chcę być,
Nie, nie... zmarli nie wstają z mogiły...
Ja chcę w szczęściu z mym Wacławem żyć.

SCENA DRUGA.

PALOG *(z lewej strony).* — DRAHOMIRA. — MLADA.

DRAHOMIRA *(biegnąc naprzeciw Paloga).*

Mów Palogu! wszak wesoło w Pradze,
Lud się cieszy, żem ja wzięła władzę,
Że poganka księżną ich zostanie,
Wszak się cieszą?

PALOG.

O posłuchać racz:
W całej Pradze jęk i narzekanie,
Lud swych domów i pracy odbieżał,
Jęk, żałoba wszędzie, jakby ano
W każdej izbie trup na marach leżał.
Krzyczą: »Matkę nam zamordowano!«
W całej Pradze jeden tylko płacz!
Wczoraj jeszcze ją nienawidzili,
A dziś tylko cnoty liczą jej:
Jak sieroty tuliła i wdowy,
Jak strapione pocieszała słowy,
Jak nędzarzy w strasznej głodu chwili
Ratowała ze szczodroty swej.

DRAHOMIRA.

Och, to wszystko podstęp i obłuda.
Już śmiertelnie ranna wciąż kłamała,
Że do zgody była wciąż gotową,
Że mi syna przyprowadzić chciała,
Abym wspólnie królowała z nim,
Że...

(Do Mladej).

Jak brzmiało ostatnie jej słowo?

MLADA *(powtarzając).*

Błogosławię! Boże przebacz im.

DRAHOMIRA *(do Paloga).*

Słuchaj! stałam i wbiwszy w nią oczy,
Drażniąc ranę, co się posoczyła,
Ona w chwili, gdy śmierć wzrok już mroczy,
Wciąż obłudnie mnie błogosławiła;
Winna śmierci.

(Palog wstrząsa głową).

Czego wstrząsasz głową,
Czy nie wierzysz mi? Co?!

PALOG *(z zakłopotaniem).*

Księżno... ja?

DRAHOMIRA *(oglądając się z obawą).*

Tak i ona bladą swą grobową
Głową wstrząsa... lecz przed piersią mężną
Musi pierzchnąć ta skrwawiona mgła.

SCENA TRZECIA.

DAWNI, GOMON.

DRAHOMIRA *(do Gomona).*

Jesteś przecie — no i cóż Prażanie,
Jak obchodzą swoje zmartwychwstanie?

GOMON *(w niezmiernem wzruszeniu).*

Uchodź, uchodź przedostojna księżno!

DRAHOMIRA *(z zadziwieniem).*

Co ty mówisz?

GOMON.

Uchodź! myśmy wszyscy
Razem z tobą zatracenia bliscy.
Zewsząd tłumy tłoczą się bez ładu,
Jak rój wściekły rozdrażnionych pszczół,
Pędząc prosto w mury Wyszehradu.
Gdy tu wpadną, rozedrą cię w pół.

DRAHOMIRA.

Grożą temu, co im wolność dał?!

GOMON.

Śmierć jej zgubny podszepnął ci szał.
Przecz ją zabić dałaś? Do niewoli
Wziąć ją było, trzymać tu zamkniętą,
Krew książęca u Słowian jest świętą.
Dziś lud ciebie w złej opuszcza doli,
Nienawidzi i przeklina z serca,
Wrzeszcząc: »Rządzić nie będzie morderca!«

DRAHOMIRA *(ze wzgardą).*

Och, głos ludu to stugębny smok,
Cóż okrzyki ślepych szczeniąt znaczą?
W jednej chwili otworzę im wzrok,
Zmienią myśl swą, gdy tylko zobaczą,
Jako mnichów i krzyż strącę w pył,
A kraj zbudzę, co w chrześcijaństwie gnił.

SCENA CZWARTA.

GOMON. — DRAHOMIRA. — PALOG. — MLADA i TRAS.

TRAS *(wchodząc z lewej strony).*

Wracam księżno.

DRAHOMIRA.

Jakto? wracasz sam?
Wszak cię słałam, byś z przyległych włości
Lud rolniczy tu sprowadził nam
Wraz z bogami, które w chwili burz
Musiał skrywać.

TRAS *(smutno).*

O, ukrytych już
Niema bogów nigdzie.

DRAHOMIRA.

O radości!
Widząc bogi wydobyte z cienia,
Naród czeski jeden okrzyk wyda:
Dla Dziedzilii znowu zabrzmią pienia,
Na Hradczanach, chwale Światowida,
Ku czci wiecznej uczynię stolicę.
Gdzież są bogi?

TRAS.

Lud je na ulicę
Wyniósł, potłukł i porzucił w kał.

DRAHOMIRA *(przerażona)*.

Kłamiesz! lud mój życieby swe dał
Za nich!

TRAS.

Przez lat ukrywane tyle,
Świetność swoją w jedną stracą chwilę.
Lud zaciekły podeptał je nogą,
Przeklinając ojców wiarę srogą,
Bo ta wiara mordy każe siać.
Do chrześcijańskich zbiega się kapłanów,
Chce na tronie chrześcijańskich panów,
A twej władzy wcale nie chce znać.

DRAHOMIRA *(z ogniem)*.

To nie prawda!

TRAS.

Matek mnóstwo leci,
Pędem niosąc do kościołów dzieci,
Tam błagają, by im dano chrzest.
Gdy z twej woli zginęła Ludmiła,

Wiarę, bogi, wolność tyś zabiła,
Ogrom klęsk tych twojem dziełem jest.

DRAHOMIRA *(w silnem wzruszeniu).*

Nędzny motłoch zdradza nie mnie samą,
Lecz i bogów, swemu szczęściu wbrew.
Jam zerwała, co mu było tamą.
(Patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem).
Znowu ona — o Jesse mię strzeż!
Precz Ludmiło! cóż odemnie chcesz?!
Poco tutaj z za kąta się wleczesz
Wężu stary... ubroczony w krew?
Czyż mię męczyć będziesz wciąż starucho?
Precz! precz! wzrokiem straszliwie mię pieczesz.

PALOG *(przerażony).*

Boże wielki!

DRAHOMIRA.

Szepczesz mi na ucho:
Żem się w mojej rachubie zawiodła,
Żem me szczęście pogrzebała w grobie,
To nie prawda! Kłamiesz maro podła!
Ja zwyciężę! o tak, na złość tobie,
Na złość Bogu twemu — ja zwyciężę!
Czy ty myślisz, że ja się dla gminu
Tak strasznego dopuściłam czynu?
Czy ty myślisz, że żądają bogi
Wspomożenia od niewieścich sił,
Mogąc gromem świat obrócić w pył?
Nie... mym celem był mój Wacław drogi.
Wszak po skonie wszystko widzisz jasno,
Jeśli kłamię — że inaczej, twierdź!
Pozbawiłaś syna matkę własną,
A ja zato zadałam ci śmierć!

MLADA *(z przerażeniem porywa Drahomirę za rękę).*

Ona... bogi, co się dzieje z nią,
Drahomiro! skrzep się... o, bądź mężną!

DRAHOMIRA.

Gdzie jest Tuman?... wszak on zabił ją,
Gdzie jest Tuman! Tuman!

SCENA PIĄTA.

DAWNI i TUMAN.

TUMAN *(który nieco wprzód wszedł, występując naprzód).*

Jestem księżno!

DRAHOMIRA.

Prędzej, czekam wieki,
Gdzie jest Wacław?

TUMAN.

Przy mnie.

DRAHOMIRA.

Pragnę lotem ptaka
Być już przy nim.

TUMAN.

Z tamtej strony rzeki
Jest w obozie.

DRAHOMIRA.

Chcę go widzieć.

TUMAN.

Potem
Muszę z tobą rozmówić się pierwej.

DRAHOMIRA.

Później! później.

TUMAN *(cicho do Drahomiry).*

Muszę mówić wraz.
Każ im odejść — niechaj nikt nie przerwie
Nam rozmowy.

DRAHOMIRA *(do obecnych).*

Zostawcie tu nas!
(Niecierpliwie).
Prędko! prędko!

TUMAN.

Długie cierpieć lata
Wszystkie męki zawiedzionych snów
I ten ciężar, który mię przygniata,
Związać w słowo — to tak trudno!

DRAHOMIRA.

Mów!
Gdzie jest Wacław?

TUMAN.

Rzekłem: w bezpieczeństwie.

DRAHOMIRA *(coraz niecierpliwiej).*

A więc?

TUMAN.

Tyś mi była przeznaczoną
Od dzieciństwa. Miałaś być mą żoną,
Ze mną razem rządzić w Łużyc księstwie.

DRAHOMIRA.

Więc cóż? cóż?... mów!

TUMAN.

Rodzic twój dostojny,
Chcąc przymierza, oddał księciu Czech

Twoją rękę. Jam o tem nie wiedział,
Bom z margrafem wśród gorącej wojny
Staczał boje w obronie mych strzech.
Tak los srogi zrobił wieczny przedział
Między nami. Dziewczę moje hoże
Inny posiadł.

DRAHOMIRA.

I cóż mię to może
Dziś obchodzić?

TUMAN *(z żalem).*

Tak... Kiedy stal bryźnie
U bułata, cóż po rękojeści?
Przecz ufałem stałości niewieściej!...

(Po krótkiem milczeniu).

Drahomiro, przecież w mej ojczyźnie
Byłem pierwszy — i nieraz Łużyce
Miecz mój dźwigał z ostatecznej toni.
I gdym wracał z zwycięskiej pogoni,
Tłumy ludu, niewiasty, dziewice
Kwiat miotały na uczczenia znak,
A mężowie w bojach osiwieli,
Dłoń mą ścisnąć za cześć sobie mieli.
Czyż nieprawda?

DRAHOMIRA.

Prawda — było tak.

TUMAN *(z boleścią).*

Dziś tak nie jest jako wówczas było,
Wawrzyn z głowy mej uleciał precz,
Bo me ramię w pierś niewieścią wbiło
Sztylet, zamiast w piersi wroga miecz.

DRAHOMIRA.

Mój Tumanie, tyś mi moje dziécię
Zwrócił. Ja cię nagrodzę sowicie.

TUMAN (*z radością*).

O wiedziałem — wszak mi bogów grono
Oznajmiło, kiedy padał zwierz
Na ofiarę, że będziesz mą żoną.

DRAMOMIRA (*z zadziwieniem*).

Czyś szalony?

TUMAN.

Toż szaleństwem zwiesz,
Że tak pragnę byś została mą?
Wszak tą ręką wiodłem twoje kroki
Niemowlęce; nią grzebałem zwłoki
Ojca twego!

DRAHOMIRA (*z odrazą*).

O precz z ręką tą!
Krew masz na niej.

TUMAN.

Dziś się powiązały
Nasze losy. Musim iść wciąż razem,
Byłaś ręką, a jam był żelazem,
Zostań moją!

DRAHOMIRA (*gwałtownie*).

Człeku ty zuchwały!
Jakiem czołem chcesz mię brać w zamęźcie?
Żeś mi syna ocalił, masz szczęście,
Gdyżbyś pewno tych szalonych słów
Pożałował.

TUMAN *(dumnie)*.

Któż jesteś kobiéto,
Że się ważysz tak przemawiać? Mów!
Nakazałaś mord — a więc płać myto!
Znasz łużyckie na dłużników prawa.
Toż wierzyciel wnijść w twój może próg,
Wywlec z chaty z powrozem na karku,
Złych płatników sprzedać na jarmarku.
Jam wierzyciel, zapłać mi mój dług!

(Gwałtownie).

Wszelki opór na nic się nie przyda.
Zapłać!

DRAHOMIRA.

Syna! syna oddaj mi!

TUMAN.

Nie proś darmo, bo na Światowida
Uroczyście poprzysięgam ci,
Że dopóty nie oddam Wacława,
Aż mi spłacisz moją należytość.
On rękojmią — niech się wprzódy sprawa
Z nami skończy.

DRAHOMIRA *(przerażona)*.

Tumanie! miej litość
Nad cierpieniem nieszczęśliwej matki.
Wszystko, co mam, wszystko weź dla siebie,
Skarb książęcy, ale litość miej.

TUMAN.

Wprzódy ziemia żywcem mię pogrzebie,
Nim odstąpię. — Co mi tam dostatki,
Precz z jałmużną, ja chcę ręki twej!

DRAHOMIRA.

Wprzód go oddaj... rozważę... a potem
Dam odpowiedź za twoim powrotem...
Może...

(Z niezmierną odrazą).

Nie... nie... włosy mi się jeżą,
Jak małżonka rzucić się w ramiona,
Krwią tej starej pobryzgane świeżą.
Nie! nie! nigdy! — jabym wprzód skonała!
Och Ludmiło, tyś groźniejszą jeszcze,
Niż za życia; głos twój wciąż szeleszcze,
A moc strasznych błogosławieństw działa.

TUMAN.

Więc mą rękę odrzucasz stanowczo?

DRAHOMIRA.

Tak, stanowczo!

TUMAN.

Dosyć próżnych słów!
Leć, gdy chciałaś, w tę zasadzkę łowczą,
Ja zabieram stąd mój zbrojny huf
I Wacława, co jest więźniem moim.
Gdy myśl zmienisz, idź za nurty rzeki,
Tam śród puszczy taborami stoim.
O wierzaj mi! czas ten niedaleki.
Zanim słońce błyśnie po raz trzeci,
Przyjdziesz do mnie, z murów tych wygnana
I uznając za męża i pana,
Błagać będziesz, bym pośród zamieci
Bronił...

DRAHOMIRA.

Nigdy!

TUMAN.

Wnet bój z wrogiem stoczę,
Wytnę mnichów, dumny krzyż zgruchoczę
I powrócę chwałę bogom mym!
Czy dokążesz tego ty niewiasto,
Silna w uściech, lecz w działaniu licha,
Albo syn twój — ten niewieściuch? (Miasto
Miecza, daj mu świecę mnicha).
Lub Czech wątły z piosenkami swemi,
Przyzwyczajon wciąż iść z biegiem wód.
Ja jednego męża znam z tej ziemi,
Co cię zbawić może i twój lud,
Który wrogom nie ustąpi piędzi
I śród boju krwi swej nie oszczędzi —
On tu w Czechach musi księciem być.

DRAHOMIRA.

Któż to?

TUMAN (*wyniośle*).

Tuman. — On cię czeka — przyjdź!

(Odchodzi na lewo).

SCENA SZÓSTA.

DRAHOMIRA (*sama, biegnąc za nim*).

Mój syn!... czekaj!... Wstrzymaj się Tumanie!
O dlaczegóż nie poszłam z nim raczej,
Już mój Wacław matki nie zobaczy!

(Biegnąc w głąb).

Hej kto żyje niechaj śpieszy tu!

SCENA SIÓDMA.

DRAHOMIRA. — GOMON. — TRAS. — PALOG. — MLADA — *później* BOLEMIL.

WSZYSCY *(wbiegając spiesznie).*

Co się stało?!

DRAHOMIRA.

Tuman mi Wacława
Porwał — na koń! ścigajcie co tchu!...

BOLEMIL *(wchodząc z lewej).*

Gdzie jest książę!

DRAHOMIRA *(chwytając go za rękę).*

O Bóg cię tu śle!

BOLEMIL *(odtrącając ją).*

Precz odemnie niewiasto ty krwawa!
Puść mą rękę i nie kalaj mnie!

DRAHOMIRA.

O zabij mię, lecz wyrwij go z toni!
Tuman moje zaufanie zdradził,
Porwał syna, w głąb puszcz uprowadził,
Za Wełtawę. O ratuj go, broń!

BOLEMIL *(biegnie w głąb wołając).*

Konia! konia! Hej kto żyw do broni!
Naprzód! naprzód! co wyskoczy koń!

(Wybiega, a za nim reszta mężczyzn).

SCENA ÓSMA.

DRAHOMIRA. — MLADA.

DRAHOMIRA.

Czegóż czekam, kiedy tam wrze bój,
Gdy paść może ofiarą mych win.
Niech z nim razem trupem legnę!
(Chce biedz).

MLADA *(zastępując jej drogę).*

Stój!
Gdy stąd wyjdziesz, rozszarpie cię gmin.

DRAHOMIRA.

Niech zabija! lżej ginąć od stali.
(Wyrywa się i biegnie w głąb. Wtem słychać silny łoskot).

DRAHOMIRA *(przerażona, zatrzymując się).*

Co to?...

MLADA *(wbiegając po schodach do altany).*

Wichru rozhukana siła
Stos pogrzebny na wpół rozwaliła,
A dokoła błyska i grom wali.

DRAHOMIRA.

Oby raczej we mnie trzasnął grom!
Oby raczej burza wśród zamieci
Na mą głowę zwaliła ten dom!
(Krzycząc przerażona).
Patrz! czy widzisz w ciemności, tam świeci
Ócz jej próchno...
(Ucieka na drugą stronę sceny).

Patrz jak się naigrawa,
Że zły Tuman wydarł mi Wacława,
Że on ginie!...
Nie, to być nie może.

(Pada na kolana).

O wy bóstwa nieba! piekieł! ziemi!
W prochu błagam zwróćcie odeń razy
I rękami obrońcie go swemi.

(Zrywa się).

Wyście głuche o przeklęte głazy,
Więc Ty ratuj chrześcijański Boże!

(Klęka wznosząc ręce).

Ty, którego zawsze miałam za nic,
Mówią, iż przez miłość niezmierzoną
Ty przebaczasz, choć kto ciężko zgrzeszył;
Że gdyś umarł, matki Twojej łono
W srogiej męce miecz boleści przeszył.
Ja cię błagam, na Twej matki męki,
Miłosierdzie okaż mi bez granic,
Mego syna z wrogów wybaw ręki.

SCENA DZIEWIĄTA.

MLADA. — DRAHOMIRA. — BOGDAN.

BOGDAN *(wchodząc z lewej strony).*

Syn twój wolny. — Książę nasz zwycięski
Sam tu idzie.

DRAHOMIRA *(zrywając się).*

Jezu Nazareński!
Tyś jest Bogiem.

BOGDAN.

U samego brodu
Uderzamy — wszczął się bój zacięty,
Nam na pomoc lud przybywał z grodu.
Lecz szło ciężko, walcząc na przeboje,
Ostro siekły Tumanowe woje,
A wtem Wacław...

DRAHOMIRA *(z trwogą).*

Cóż?

BOGDAN.

Zwalił Tumana
Mieczem z konia, niby Michał święty
Czarta...

DRAHOMIRA *(z rozrzewnieniem).*

Co? mój Wacław?!

BOGDAN.

Pokonana
Zgraja pierzchła.

DRAHOMIRA.

O jakżem szczęśliwa!...
(Ze łzami radości).
On tak mężny, tak ojców swych godny.

BOGDAN.

Wciąż okrzykiem czeski lud z wszej strony
Twego syna do korony wzywa:
»Wratysława dziedzic nieodrodny
Niech zasiądzie tron osierocony!«

DRAHOMIRA *(w upojeniu).*

Ocalony!... bohater tej ziemi!
Głaz za głazem ze mnie zwala się,

Więc piersiami odetchnij całemi
Dumna matko.

(Oglądając się).

Och gdzież on jest? gdzie?

BOGDAN *(patrząc w głąb).*

Już tu śpieszy.

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — WACŁAW. — BOLEMIL. — WOJEWODOWIE.

DRAHOMIRA *(ujrzawszy Wacława, biegnie naprzeciw).*

Czyliż mogłam śnić...
Mam go przecież... o Wacławie, pójdź!

WACŁAW *(wzruszony zatrzymuje się — do siebie).*

Ha, to ona — o potrójna stali
Chroń mię... Sercu, dziś nie wolno czuć...

DRAHOMIRA *(wyciągając ręce ku niemu).*

O mój synu!

WACŁAW *(z godnością — obracając się ku wojewodom).*

Wyście mię obrali
Księciem: w ręku mem spoczywa
Świętych sądów szala sprawiedliwa.

DRAHOMIRA.

Sąd na potem. — Och jam tak tęskniła.
Przecz się wahasz? mój!...

WACŁAW *(przerywając jej silnym i donośnym głosem).*

Gdzie jest Ludmiła?

DRAHOMIRA.

O nie trwóż się — już jej dumna postać
Przecudnych nie zmąci nam snów.
O pójdź prędzej w me objęcia.

WACŁAW *(rozkazująco).*

Zostać!
Zabójczynio! gdzie Ludmiła? mów!

DRAHOMIRA *(przerażona).*

Co to znaczy? Bogi najłaskawsze!!
(Chce go wziąść za rękę).

WACŁAW *(odtrąca ją).*

Precz odemnie, tyś zbroczona krwią,
Cień zabitej dzieli nas na zawsze.

DRAHOMIRA *(z trwogą).*

Cień zabitej?... czy ty widzisz go?
(Czyni poruszenie rękami, jakby chciała cień odepchnąć).
Odstąp maro! — skryj się w ciemnym grobie!

WACŁAW.

Utraciłaś już na zawsze syna.
(Boleśnie).
Och jam na cię czekał tyle lat
I błagałem Boga, byś jedyna
Była przy mnie, marzyłem o tobie.
Wreszcie niebo chmury już rozprasza,
Wreszcie wiosna zieleni się nasza,
A tyś szczęścia podeptała kwiat.

DRAHOMIRA.

O mój synu!...

WACŁAW.

I padł cios okrutny
Właśnie, gdy mnie oddawała tobie.

DRAHOMIRA.

Nie wierz! nie wierz! to był fałsz wierutny,
Ona kłamie teraz nawet, w grobie,
Kłamstwem będą usta jej skażone.

WACŁAW.

Mnie i czeską niosła ci koronę.

DRAHOMIRA.

Być nie może...

WACŁAW *(wznosząc rękę)*.

Przysięgam na Boga,
Że gdyś sztylet w zbójcy dłoń wciskała,
Ona w niebo za cię modły słała.

DRAHOMIRA *(wzruszona)*.

Więc to prawda? więc to prawda sroga!
Och jak myśli w głowie mej się mącą...
Więc przebaczyć była mi gotową...
(Po krótkiem milczeniu).
Tak... widziałem ją błogosławiącą...
Tak... słyszałam ostatnie jej słowo...
Ha... gdzież teraz wszystkie me zamiary?
Gdzie potęga niezłomnego ducha?
W jednej chwili twierdza pada krucha
Mych przekonań, męstwa, sił i wiary.
O niech żywcem ziemia mnie pochłonie,
Bo przed wstydem nie mam gdzie się skryć.
W tym zamęcie, w tych zwątpieniach w łonie
Nie chcę dłużej i nie mogę żyć.

WACŁAW *(z boleścią, patrząc na nią).*

O jak pierś ma ściska się boleśnie,
Jak rój cierpień gniecie mię nad miarę!
Troską w męża dojrzałem zbyt wcześnie.
Jestem księciem ledwie godzin parę,
A już pokój odemnie daleki,
A już szczęście zgasło mi na wieki.
Tam przedemną matka nieszczęśliwa,
A tu przed nią nieszczęśliwy syn!
Niemasz łaski — powinność go wzywa,
By ją sądził wedle ciężkich win.

DRAHOMIRA.

Sądź bez względu — jakom ja sądziła,
A mej duszy stokroć będzie lżej.
Komuż winnam, żeś w młodzieńczej sile
Rozwinięty jak uroczy kwiat?
Ona tobie drugą matką była,
Ona strzegła twych dziecinnych lat,
A ja zamiast za to być Ludmile
Wdzięczna — w zamian śmierć zadałam jej.
Winnam śmierci!

WACŁAW.

Tracę sił ostatki.
(Po długiej wewnętrznej walce).
Syn nie może sędzią być swej matki.
W niepamięci straszny czyn twój grzebię,
Ale idź stąd — opuść ziemię tę,
Bo ratunku niemasz tu dla ciebie,
Gdzie lud zemsty za śmierć księżny chce.

DRAHOMIRA.

O mój synu, na pamięć rodzica!
Błagam ciebie, miej na matkę wzgląd.

Wiem, że jestem srogą jak wilczyca,
Lecz wysłuchaj, zanim złożysz sąd.

WACŁAW *(odwracając się od niej).*

Odejdź! odejdź!

DRAHOMIRA *(rzewnie).*

Synu mój kochany,
Puść łzę jedną na me spiekłe rany.
Czyż tak serce zatwardziałe masz?

(Wacław odwraca się, kryjąc wzruszenie).

Wspomnij na me trudy i boleści,
Nie dość, że mnie dziecię nie popieści,
Lecz od matki swą odwraca twarz!...
Jam w cierpieniach srogich cię powiła,
Jam do łona ciebie nie tuliła
I nie znałam, co to pieszczot raj.
A dziś stracić na wieki cię muszę,
Więc nim na te skażesz mię katusze,
Choć raz nazwę słodką matki daj.

WACŁAW.

Och, z boleści pęknie biedne serce.

DRAHOMIRA.

Wszak Ludmiła mnie, swego mordercę,
W chwili skonu pobłogosławiła.

(Rzucając się przed nim na kolana).

O mój synu! o dziecino miła,
Czy w twej piersi uczuć wysechł zdrój?
Nie zwróciż się do mnie twoja główka,
Nie masz-że już dla matki i słówka?

WACŁAW *(waha się przez chwilę, a potem z rozdzierającym krzykiem rzuca się w jej objęcia).*

Moja matko!... matko!...

DRAHOMIRAA *(rzucając mu się do nóg z łkaniem).*

Synu mój!

SCENA OSTATNIA.

DAWNI. — O. PAWEŁ.

O. PAWEŁ *(uroczyście).*

Do kościoła, burza grzmi straszliwa.
Żar błyskawic przerzyna obłoki,
Do kościoła, tam już księżnej zwłoki
Wprowadzone. Dzwon pobożnych wzywa
Na modlitwę za umarłej grzechy.

WACŁAW *(wydziera się z objęć Drahomiry i otrząsnąwszy się z wzruszenia, mówi silnie).*

Drahomiro! opuszczaj ten gród!
Ja tu nie mam dla ciebie pociechy.
Moją matką odtąd czeski lud.
(Biegnie w głąb i rzuca się łkając na piersi Bogdana)

O. PAWEŁ *(zbliżając się do Drahomiry, jeszcze klęczącej).*

Ratuj duszę twoją nieszczęśliwą
I chrzest przyjmij. — On ocali cię.

DRAHOMIRA *(podnosząc głowę).*

Odstąp mnichu! wiarę się zdobywa
Przekonaniem, a przymusem — nie.

O. PAWEŁ.

Przekonanie niech syn wzbudzi w tobie,
Niech do nieba drogę wskaże ci.

DRAHOMIRA *(patrząc na Wacława z rozrzewnieniem).*

Och, dla niego wszystko w świecie zrobię.

(Zrywa się i postępuje kilka kroków ku Wacławowi. Scena zaciemnia się coraz bardziej, grzmoty oddawna huczące powiększają się — błyska).

DRAHOMIRA *(do Pawła).*

Słyszysz!...

O. PAWEŁ.

Burza...

DRAHOMIRA *(wzdrygając się).*

Nie — to Perun grzmi!

(Grom uderza w głębi sceny za altaną, zapala w dole stos, z którego wkrótce płomienie wybuchaią).

MLADA *(z przerażeniem).*

Grom zapalił pogrzebowy stos!

DRAHOMIRA *(w uniesieniu).*

Ha, rozumiem, to jest bogów głos.
Tym piorunem znak mi z nieba dano,
Abym strzegła wiarę mą zachwianą,
Mnie wołają nasze bogi stare.

O. PAWEŁ *(wzdrygając się).*

O bezbożna, dopełniłaś miarę!

DRAHOMIRA *(w natchnieniu do Pawła).*

Kres się zbliża — wysłuchaj mą spowiedź.
Z serca tylko wytryska zdrój żywy
Wiary: z bólów wyrasta jej kwiat,
Czy me bogi, czy twój Bóg prawdziwy
Pewność tylko da mi tamten świat,
Chcę pewności. — Idę po odpowiedź,

Bądź zdrów synu, w nieba ręce złożę
Twoją przyszłość, ciebie i twój los!

(Biegnie w głąb na schody i stamtąd raz jeszcze zwraca się do Wacława).

Bądź zdrów synu!

(Wyciągając ręce nad płomienie).

Idę do was!

(Rzuca się z altany w ogień).

WSZYSCY *(z przerażeniem).*

Boże!

MLADA *(która wybiegła za Drahomirą).*

Już jej niema!

BOGDAN.

Już ją pożarł.

WACŁAW.

Och!...

BOLEMIL.

Już jej ciało objęły płomienie.

O. PAWEŁ *(wznosząc ręce ku niebu).*

O nieszczęsna, w piekielne czeluści
Samaś poszła i na zatracenie
Już cię powiódł człowieczeństwa wróg!

WACŁAW *(zbliża się wolnym krokiem do Pawła, kładzie mu rękę na ramieniu i mówi uroczyście).*

Nie mój ojcze. — Stwórca jej odpuści,
Bo najczystszą miłością jest Bóg.

(Zasłona spada).

KONIEC.

FEDRA

TRAGEDYA W 5 AKTACH WIERSZEM

G. KONRADA

OSOBY:

TEZEUSZ, król Aten.
HIPOLIT, syn jego i Antyopy, królowej Amazonek.
MINOS, król Krety.
FEDRA, } jego córki.
ARJADNE, }
PIRYTOUS, syn Zewsa i Dii.
ARICYA, z rodu Pallantydów, królującego dawniej w Atenach.
OENONE.
ARCYKAPŁAN AFRODYTY.
DEMARCH ATEŃSKI.
DYONIZOS, bóg szału i wina.
MŁODY RYBAK.
NIEWOLNIK.

LUD ATEŃSKI. — KAPŁANI. — MŁODZIEŃCY. — DZIEWICE. — ORSZAK MINOSA. — ORSZAK TEZEUSZA. — BACHANTKI. — FAUNY. — SATYRY.

Akt I w Krecie. — Akt II na wyspie Naxos. — III, IV i V w Atenach.



AKT I.

Sala marmurowa w pałacu Minosa z otwartą arkadą na morze.

SCENA PIERWSZA.

FEDRA

FEDRA *(siedzi w pobliżu arkady z lutnią w ręku, wpatrując się z zachwyceniem w morze).*

O jak przecudnie złociste promienie
Słońca spływają w zwierciadlane morze;
   Ciemnych szafirów przestworze
   Wznieca w duszy zachwycenie.
Dziś, kiedy błogie szczęście mym udziałem,
   Inaczej czuję te wdzięki.
Blaski zachodu, purpurę jutrzenki,
Jakież to piękne...
                    Uniesiony szałem
Duch rwie się w przestrzeń...
                    Do stóp mych wód tonie,
Gdzieś z krańców świata toczą się wspaniale,
Śląc ku brzegowi pląsające fale;
Chciwie je piasek rozpalony chłonie,
One w nim niknąc przynoszą mu chłody
Białych pian twoich modry oceanie.
   W dniu jak ten pięknym bogini urody,
Miłości, wdzięków, zrodzona w tej pianie,

Wenus nadobna wybiegła z wód łona
I z kryształowych wzbiwszy się przeźroczy,
Na widok świata uroczy,
Stała zdumiona.
W dniu jak ten pięknym w to ciche ustronie
Zstąpił Apollo z Olimpu wyżyny
Skosztować szczęścia w śmiertelników gronie,
Jakiem obdarza ziemia swoje syny
W świetlanych sferach, wśród eterów tchnieni
Bóstwo nadziemskie uległo tęsknocie
Do gąszczu lasów, do polnej zieleni,
Do zdrojów, w chłodnej tryskających grocie,
Mruczących ciche pasterzom piosenki...
Tu w zachwyceniu uroczem i błogiem
Sam zapomniał, że jest bogiem...
Tu wodnej nimfy ujęły go wdzięki,
Z Oceanidą, w mirtowych drzew cieniu,
Marzył na kwiatów kobiercu;
Gdy biło serce przy sercu,
Świat im w czarownem zniknął upojeniu...
Tej błogiej chwili zawdzięcza swe życie
Ona Pazyfee, moja ukochana
Matka niebiańską światłością odziana,
Najpiękniejszego z bogów cudne dziecię.
Tak i mą istność promienne ich blaski
Wciąż przenikają od końca do końca;
Jam córa ziemi, ale z bogów łaski
Ród mój wywodzę od słońca.
O Febie! niech mię dobroć twa wysłucha...
Zlej na mnie darów twych zdroje,
Tchnij w łono moje płomiennego ducha,
Jam tu sierotą! smutne życie moje.
Myśli krążą w błędnem kole,

W sercu króluje mąż ozdobny laurem,
Mąż, co zwycięski bój wiódł z Minotaurem
I długą ludu zakończył niedolę.
On nie przeczuwa cichej mej miłości,
Swobodnie snując żywota nić złotą,
Zamiast powracać do Aten, tu gości,
A tam lud z trwożną czeka go tęsknotą.

SCENA DRUGA.

FEDRA. — ARJADNE.

ARJADNE *(wchodzi z pośpiechem, pomieszana).*

Siostro ratuj! ratuj mię!

FEDRA.

Co tobie?
Czemu płaczesz?

ARJADNE.

O bogi! cóż zrobię?!
Z Tezeuszem uchodzim tej nocy.

FEDRA *(tknięta).*

Co?

ARJADNE.

Tu zostać już nie w jego mocy,
A bezemnie nie oddali się.
Przeznaczenia wyrok niecofniony
Mnie wypędza w oddalone strony,
Mam uchodzić w nieznane mi kraje,
A co kochane, wszystko tu zostaje!
Ileż uczuć biednem sercem miota...
Żal i miłość... boleść i tęsknota...
O ja ginę! Fedro, ratuj mię!

FEDRA *(przezwyciężając się)*.

Więc nie kochasz?

ARJADNE.

O kocham nad życie!

FEDRA.

Przecz więc płaczesz, grymaśne ty dziecię?
Ja cię pojąć nie mogę Arjadno...
Wdzięki twoje sercem jego władną...
Jego sercem, sercem Tezeusza!
Bogi wielkie! i toż cię nie wzrusza?
Gdy ci chwałę niesie swą w ofierze,
Gdy on miłość swoją daje ci,
Gdy żyć możesz przy tym bohaterze,
Żyć z nim wiecznie... ty wylewasz łzy?!

ARJADNE.

Więc ty twierdzisz, że mam być szczęśliwa?

FEDRA.

Całą Grecyę sławą swą okrywa,
Cała Grecya śpiewa jego czyny,
Cała Grecya splata mu wawrzyny
I ty pytasz, czyś szczęśliwą? — Ty?!

ARJADNE.

Nigdy szczęście w całej swej potędze
Śmiertelników nie bywa udziałem —
Źle ich dola w przeznaczenia księdze
Zapisana. Słabi duchem, ciałem,
Ulegają pod ciosem cierpienia;
Lada troska w proch szczęście ich zetrze.
Kwiat rozkoszny, najczystsze powietrze

Często w sobie kryje śmierci tchnienia.
  Porzucając ojczyznę na zawsze,
Że nie wrócę, przeczucie mam wieszcze
O strzeżcież mię bogi najłaskawsze!

FEDRA.

A więc zostań!

ARJADNE.

Tezeusz dziś jeszcze
Stąd odpływa, gdy cienie zapadną;
Jechać muszę. Za biedną Arjadną
Ścigać będzie przekleństwo rodzica
Po odmętach nieprzejrzanych mórz;
Fale wzburzy sroga nawałnica,
Niebo żary ogarną płomienne,
Okręt tonie pochłoną bezdenne...
  O ja Krety nie zobaczę już!

FEDRA.

Za cóż płyniesz, kiedy cię tak drażni
Płonna mara chorej wyobraźni?
W tobie trwoga — w nim króluje siła,
Więc ci zgubą grozi to małżeństwo.

ARJADNE.

Iść z nim muszę! — gdybym go straciła,
To mię czeka śmierć albo szaleństwo.
  Dlań ni życia ni ofiar nie szczędzę.
Gdy nadziei nikł blask mu ostatni,
Z labiryntu wywiodłam go matni,
Zbawczą w rękę podając mu przędzę.
Zato ojca gniew ściga mię srogi;
O poniosę śmierć chętnie okrutną,
Aby tylko szczęśliwym był drogi!

Lecz w mej duszy tak ciemno, tak smutno...
Biedne serce ściska się boleśnie.
Was porzucić — to okropny cios!
O z tęsknoty ja umrę przedwcześnie,
Jako wichrem połamany kłos!

FEDRA.

Duszo słaba! Dlaczegoż niestety
Nie mnie Tezej pokochał, lecz ciebie?
O jak chętnie pod inne podniebie
Z tej przeklętej uciekłabym Krety,
Którą rządzi tyran bez litości,
Okrucieństwem przerażając świat,
Tchnący zemstą i pełen srogości

ARJADNE *(z przerażeniem).*

Stój! to ojciec!

FEDRA.

Nie ojciec — lecz kat!
Myśl, że on jest ojcem naszym, boli...
Oburzenie mi grozą pierś wzdyma,
W nim nie ojca, lecz mamy ojczyma.
Precz z tej ziemi, już dość tej niewoli!
O Minosie nie chcę więcej słyszyć,
Dzisiaj z sobą zabierzecie mnie.

ARJADNE.

Jakto Fedro, chcesz nam towarzyszyć,
Czyż ci nie żal rodzinnych stron?

FEDRA.

Nie!
Jedno miejsce... grobowiec mej matki
Rzucam z żalem..., lecz ufam, że przecie

Miłość ludu wyręczy jej dziecię
I jej pomnik codzień w świeże kwiatki
Zdobić będzie.

ARJADNE.

O tak! bo jej cnoty
Wiecznie będą żyć w ludu pamięci,
Bo on co rok wspomnienie jej święci.

FEDRA *(z uniesieniem).*

Gdy cię Minos dzieweczką uroczą,
Obleczoną w ideału wdzięki,
Córa słońca za małżonkę brał —
Czyż przeczułaś, jakie cię otoczą
Gorzkie chwile i nieznośne męki,
Zgotowane przez zazdrości szał?
Nie zmiękczyła okrutnego serca
Ani słodycz, ani blask urody,
Codzień hojny łez zbierałeś plon.
Cnocie twojej urągał bluźnierca,
Schnąłeś przy nim kwiateczku mój młody,
Aż nakoniec zgotował ci skon.
Tak nam zbiegłaś w nadziemskie krainy
Pazyfee... a duch twój dziś gości,
Wyzwolony z wątłych ciała szat,
W jasnych sferach, w gwiaździstej światłości,
Pośród bogów wesołej drużyny,
Kędy cię twój nie dosięgnie kat.
Z tobą szczęście z tej ziemi uciekło,
Dziś on jęczy, cierpieniem znękany,
Straszny ludom, ale nie kochany,
Bo sam stworzył koło siebie piekło
I bój wiodąc z myślami czarnemi
Czas wspomina, gdyś była na ziemi

Córki nawet spotkawszy go bladną,
Jak lud cały one przed nim drżą,
Dość już tego!... o moja Arjadno
Weź mnie z sobą — nie chcę widzieć go!

ARJADNE.

Już się ściemnia i Feba wóz bieży
W kraje nocy. Zmęczone bieguny
Toną w blasku purpurowej łuny
I od morza powiewa wiatr świeży;
Tarcza słońca dotyka już fali,
Chłodny żywioł ją wkrótce pochłonie;
Jeszcze chwila — a ujrzym tam w dali
Zbawcze czółno, prujące wód tonie;
W tem to kruchem czółenku bezzwłocznie
Los i przyszłość królewskich cór spocznie.

(Wznosząc ręce).

O bogowie przeznaczeń, nadziei,
Poprowadźcie naszych statków bieg...
Apollinie! córy Pazyfei
Wiedź bezpiecznie na gościnny brzeg!

FEDRA.

Bogi z nami, pochodzim z ich rodu,
Więc nas zbawią od nieszczęść i burz;
Do Pallady zawiodą nas grodu,
Po przepaściach niezgłębionych mórz.
Niech pociski straszliwych burz warczą,
Nas Apollo zasłoni swą tarczą.
Czoło jego ciemny laur ocienia,
Gdy zahuczy groźnymi pioruny,
Trwoga pada na wszystkie stworzenia;
Kiedy lutni złocistej tknie struny

Same bogi słuchają zdumieni,
Spływających z Parnassu gór pieni,
Gdzie kastalski, srebrny bije zdrój
I w mej piersi zdrój pieni tych tryska,
I w mej duszy niebianów żar błyska.
Tyś je wzbudził cudny Febie mój!
Gdy mi czoło rozpalone płonie,
Zefir zlekka liście drzew kołysze,
Czuję rozkosz niewymowną w łonie,
Czuję wówczas, że jest przy mnie on.
I zdaje się, że w górze gdzieś słyszę
Boskiej pieśni harmonijny ton.

ARJADNE.

Blask niebiański otacza cię wkoło
I krąg świateł ozdabia twą skroń,
Przed wielkością twoją schylam czoło,
Kiedy trąca o lutnię twa dłoń.
Otoczona duchy promiennymi,
Błądzisz sama wśród kwiecistych pól
Muz siostrzyco — a za cóż na ziemi
Dzielisz z nami cierpienia i ból?

FEDRA.

O... bogowie dawnoby mię wzięli
Do sfer górnych, do krainy mar,
Lecz czekają, zanim mi udzieli
Biedna ziemia największy swój dar.
Jest to rozkosz, której dziwna siła
Samych bogów tu zwabia do nas:
Jest to miłość! — obym doświadczyła
Raz jej czaru i skonała wraz.
Tyś szczęśliwa, bo ty jej uroku

Już doznałaś — bo ogniem jej tchnie
On ku tobie... i łzy lśnią w twem oku?...
O Arjadno! nie pojmuję cię.

ARJADNE.

Fedro! chwila rozstania już bliska,
Cóż dziwnego, że smutek i żal
Zakrwawione serce moje ściska?
  O pójdź siostro, pójdź ze mną na chwilę
Do tych gmachów, do wspaniałych sal,
Gdzieśmy pierwszy dnia promyk ujrzały,
Gdzieśmy w pierwsze dnie wiosny igrały,
Kędy wspomnień zostawiamy tyle...
  Tam pieszczotą nas matka darzyła,
Tam mnie jeszcze wspomnienie jej pieści,
O pójdź, pójdź tam — a znajdzie się siła
Do zwalczenia rozstania boleści.

(Biorą się za ręce i odchodzą).

SCENA TRZECIA.

(Widownia przez chwilę pozostaje pustą — potem słychać coraz bliżej melodyę piosenki. Na małem czółnie zjawia się rybak, a zatrzymawszy się na środku, zarzuca sieć i śpiewa).

RYBAK.

Płyń łódko w dal
Po grzbiecie fal;
Pogoda nam się uśmiecha,
Śród lubych pień
Przemija dzień,
Piosenkę roznoszą echa.
La, la, la, po grzbiecie fal
Płyń łódko w dal, płyń w dal. } bis.

Hej szybko leć
W zdradliwą sieć,
Nie przeczuwając zagłady,
W przestworach toń
Piosenko dzwoń
Na cześć powabnej najady.
La la la, po grzbiecie fal } bis.
Płyń łódko w dal, płyń w dal. }

(Podnosi sieć i odpływa — w chwilę później Tezeusz z Pirytousem ukazują się w łodzi, a po przybiciu do lądu, umocniwszy ją do balustrady marmurowej, wysiadają).

SCENA CZWARTA.

TEZEUSZ i PIRYTOUS.

PIRYTOUS.

Jak brzmi lubo rybaka piosenka,
O jak szczęsne natury to dziécię!...
Nic nie pragnie, niczego nie lęka,
Młodość, piękność i siłę w rozkwicie,
Wszystkie skarby tej ziemi posiada.

TEZEUSZ.

Brakże ich nam?

PIRYTOUS.

Lecz on się nie skrada
Nocną porą tajemnie do celu,
Więc szczęśliwszy.

TEZEUSZ.

Luby przyjacielu
Zews twym ojcem, więc na syna głowę
Marnotrawnie zlewa swoje dary,

Co dnia prawie zsyła szczęście nowe;
On uprzedza wszystkie twe zamiary,
On rozjaśnił życia twego ciemnie,
Przyjaciela zsyłając ci we mnie.

PIRYTOUS *(obejmując ręką szyję Tezeusza).*

Przyjaźń twoja jest dla mnie zbyt drogą,
O Tezeju! Kocham cię goręcej,
Niźli usta wypowiedzieć mogą!
Lecz też przez to boleję tem więcej,
Gdy cię widzę w zdradzieckiej tej Krecie,
Gdzie cię Minos uwikłał w swe siecie;
Olśnionego wdziękiem córy lubej,
Wróg twój skryty prowadzi do zguby.
Nad przepaścią stoisz śmiałku dumny,
Kołysany tkliwych uczuć snem;
Lada chwila runą te kolumny.
Precz więc z tego przeklętego domu!
Uchodź! uchodź! — póki jeszcze czas!
Zda się słyszę już w chmurach huk gromu
I drży ziemia, co pochłonie nas.

TEZEUSZ.

Poprzysiągłem miłość mej Arjadnie,
Poprzysiągłem, że ją wezmę z sobą —
Mamże teraz porzucić ją zdradnie,
Okryć biedną na wieki żałobą?
Niechaj przy mnie rozkwitnie jej życie,
Tam w Atenach niechaj pozna raj!

PIRYTOUS.

O nie łudź się, bo biedne to dziécię
Umrze, jeśli opuści swój kraj,
Brak jej męstwa, co umie w potrzebie

Z wrogim losem uparty bój toczyć;
Przepaść uczuć dzieli ją od ciebie,
Której ona nie zdoła przekroczyć.
Tu ją zostaw — może też powoli
Zmiękczyć ojca uda się dziewicy,
Że na związek wasz kiedyś pozwoli;
Nie zapomnij, że i Ateńczycy,
Lud ten płochy, tak skory do zmiany,
Cudzoziemki nie przyjmie zbyt mile.
Tezeuszu!... O jakież to chwile
Chcesz zgotować dla swojej wybranej!

TEZEUSZ *(ze wzruszeniem).*

Wiesz, że z Aten co rok na ofiarę
Szedł do Krety dorodnej kwiat młodzi,
A lud wołał wśród jęków i płaczu:
»Któż nas zbawi? — Kto nas wyswobodzi?«
Ja zabiłem okrutną poczwarę,
Jam wyzwolił ich od krwi haraczu...
Przecież, mimo odwagę i męstwo,
W labiryncie zaginąłbym krętym,
Gdyby ona przędziwem rozpiętym
Nie wskazała zbłąkanemu dróg;
Więc Arjadne mi dała zwycięstwo.
Gdy z nią wrócę w domowy mój próg,
Lud wybiegnie nad morze gromadnie,
Na cześć naszą podniesie okrzyki
I na przesąd nie zważając dziki
Hołdy złoży zbawczyni Arjadnie!

PIRYTOUS.

Miłość snuje ci przyszłość tak piękną,
Lecz czyż nie wiesz, że w murach stolicy
Pallantydów są liczni stronnicy?

Że twe wrogi zbrodni się nie zlękną,
By cię tylko pozbawić korony? —
Ty Minosa ród znienawidzony
Wbrew ich woli prowadzisz do tronu.
Czyli tego dokażesz? — Zobaczem.
Jeśli bogi cię zbawią od zgonu,
To zostaniesz na wieki tułaczem,
Zgubę sobie zgotujesz i jej!...

TEZEUSZ.

Jeśli za to, że z prawicy mej
Legł Minotaur, bunt zrobią me wrogi
I niewierny odstąpi mię lud —
To mu cisnę koronę pod nogi
I na zawsze opuszczę ten gród!
Lecz Arjadny nie odstąpię za nic
I gdzieś zdala od Attyki granic,
Przy pomocy przyjaciół drużyny,
Znajdę nową ojczyznę i tron.
Przyjacielu, inne cię przyczyny
Na tak smętny nastroiły ton;
Wiem ja dobrze, co cię niepokoi,
Co wyrosło w twojej wyobraźni —:
Ty się lękasz, bym dla żony mojej
W tkliwej naszej nie ostygł przyjaźni.

SCENA PIĄTA.

CIŻ SAMI. — ARJADNE i FEDRA.

PIRYTOUS.

Otóż i ona!

TEZEUSZ *(spiesząc naprzeciw Arjadny).*

O dzięki ci miła,
Żeś mą prośbę gorącą spełniła.

Lecz ty płaczesz?... dlaczegoż?... O bogi!
Ha rozumiem — to z mojej przyczyny,
Bo przezemnie opuszczasz kraj drogi,
Bo cię z łona wydzieram rodziny —
O jak ciężki popełniłem błąd!

ARJADNE.

Prędzej, prędzej — uchodźmy już stąd!
Wsiądźmy w czółno, każ rozwinąć żagle,
Poco zwiększać pożegnania ból?
Ja cię sama do ucieczki naglę,
Bo zginiemy, gdy zejdzie nas król!

TEZEUSZ *(żegnając Fedrę).*

Bogi z tobą!

ARJADNE.

Ona z nami płynie.

TEZEUSZ *(zadziwiony).*

Co?...

FEDRA.

Tak, z wami — o zabierzcie mię!
Bez was Kreta zmieni się w pustynię,
Wszak na świecie jest nas tylko dwie,
Dwie siostrzyce, dwie biedne sieroty,
Chcesz-że związek potargać ten ścisły? —
Ja tu zginę, lub utracę zmysły,
Albo z ręki polegnę despoty.
Tyś wyzwolił swych ziomków, a za ten
Tryumf — zemstę Minos przysiągł ci.
Gdy więc ujdziesz kryjomo do Aten [1]),

---

[1]) W tem miejscu tekst popsuty; wypuszczono wiersz, który kończył okres i rymował z przysiągł ci. *(Przyp. wyd.).*

Chcesz mej śmierci? — ponieść ją z ochotą
Dla was drodzy odwagi dość mam;
Tylko bogów błagać będę o to,
Aby szczęście zgotowali wam.

TEZEUSZ.

Przestań Fedro — rozpacz cię uwodzi;
Któżby ciebie rozdzielać chciał z siostrą?
Płyń wraz z nami, wsiadajmy do łodzi,
Bogi wiatru niech żagle rozpostrą,
Niech Posejdon po przejrzystej fali
Poprowadzi lekkiej nawy bieg,
Niech od zemsty Minosa ocali
I zaniesie na gościnny brzeg —
Idźmy!

(Wszyscy zwracają się ku brzegowi. Przodem idzie Fedra z lutnią w ręku, a stanąwszy nad morzem wyciąga, jakby ogarnięta natchnieniem, ręce ponad fale. Za nią chwiejącym krokiem postępuje Arjadne, oglądając się z boleścią poza siebie. Tezeusz i Pirytous idą za niemi i sprowadzają obie do łodzi — poczem odpływają wszyscy. W czasie sceny poprzedniej noc zapadła i wszedł księżyc w nowiu).

SCENA SZÓSTA.

MINOS *później* NIEWOLNIK.

MINOS *(wchodząc spiesznie).*

O, nie! — nie wytrzymam dłużej,
Świat mi obmierzł, korona i dom,
Nad mą głową wciąż wyje ryk burzy
I po gromie uderza w nią grom.

Lud ucieka od moich obliczy,
Sen od łoża stroni dobroczynny,
Bogi zdala — i tylko Erynny
Wciąż mię chłoszczą ciosami swych biczy.
Więc się zrywam i uchodzę z gmachu,
Gdzie mię dławi czarnych myśli gad;
Ale widma zgryzoty i strachu
W lasy, w pola pędzą za mną w ślad —
I daremnie w tej ciemnej zamieci
Z twardym losem wciąż szamocę się,
Wszyscy — nawet własne moje dzieci
W mej niedoli opuszczają mnie.
I tak błądzę jak dziki zwierz w kniei,
Ręka bogów wszędzie mnie dosięga,
Srogą zemstą za śmierć Pazyfei
W każdej chwili odpłacając mi,
A na domiar jeszcze ten włóczęga
Przybył zatruć ostatnie me dni.
I swym mieczem Minotaura zgładza:
Straszny potwór, przed którym drżąc cała
Grecya, woli mojej ulegała.
Dziś upada nad nią moja władza,
A zła córa, własne moje dziécię,
W tej wyprawie ocala mu życie!
Lecz zawcześnie głosisz tryumf gachu!
Nazbyt łatwem zwycięstwem omamion,
Ujść nie zdołasz Minosowych ramion,
Śmierć cię czeka: dziś jeszcze w tym gmachu
Radość twoja w rozpacz się zamieni,
Wściekła niemoc usta twe zapieni,
Gdy powalon wić się będziesz z bólu
U stóp moich.

NIEWOLNIK *(wbiega z przerażeniem).*

O potężny królu!

MINOS.

Co się stało?

NIEWOLNIK.

O panie!

MINOS.

Mów żywo!

NIEWOLNIK.

Z wieścią tutaj biegnę nieszczęśliwą,
Ale trwoga usta mi zamyka.

MINOS.

Prędzej!

NIEWOLNIK.

Wszyscy w trwodze i żałobie
Bo ów obcy i królewny obie
I towarzysz tego Ateńczyka...

MINOS *(chwytając go za piersi).*

Kończ nieszczęsny!

NIEWOLNIK.

Wszyscy gdzieś zniknęli,
Greckie statki opuściły gród,
Zdala w świetle księżyca się bieli
Żagiel nawy na przestrzeni wód.

MINOS *(wstrząsa nim).*

Kłamiesz! kłamiesz!

(Puszcza go).

O Fedro! Arjadno!
To nieprawda!

NIEWOLNIK.

Wszyscy uszli wraz.
To przysięgam!

MINOS *(w największej rozpaczy).*

O niechaj upadną
Te sklepienia! niech ich ciężki głaz
Na zbolałą głowę moją zleci!
Bijcie gromy... ziemio pochłoń mię!
O nieszczęsny!

(Z największą boleścią).

Dzieci moje, dzieci!
Dziatki moje, gdzie jesteście gdzie?!

(Ocucając się).

Ha precz z żalem!

(Wznosząc ręce).

Bodaj je strąciły
Furje zemsty w otchłanie aż na dno
Morza!

(Wstrzymuje się).

Nie, nie... och ja nie mam siły
Was przeklinać.

(Z boleścią).

O moja Arjadno...
Fedro moja!

(Pauza).

Jak złym ojcem byłem
Teraz widzę, gdy was utraciłem.

(Po krótkiem milczeniu z wściekłością).

Lecz nie ujdzie ten zbrodniarz przeklęty,
Co mi wydarł miłość moich cór.

(Woła).

Hej tu do mnie!

(Dworzanie i zbrojni wpadają z pochodniami).

Osadzić okręty!
Pójdziem w pogoń — Kto pierwszy ich schwyta
Tego Minos swym zięciem powita.

(Część dworzan odchodzi).

W mórz przestworzach, za szczytami gór,
Przed mą zemstą nigdzie się nie schroni!
W pięściach moich czuję siły lwie.
O nie ujdziesz!

(Do orszaku).

Dalej, do pogoni!

(Grożąc).

Ja cię znajdę! ja zabiję cię!

(Odchodzi — za nim orszak i Dworzanie.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Wybrzeże morskie na wyspie Naxos, w uroczej południowej okolicy; w pośrodku, na wzgórku, w głębi, ołtarz Dionizosa.

SCENA PIERWSZA.

ARJADNE *(sama na scenie, wpatruje się w okolicę).*

Cichym spokojem tchnie ten piękny kraj,
Otoczon wkoło błękitami fal,
Jakby bogowie umyślnie wybrali
Lube to miejsce na miłości raj.
Leciuchny zefir łagodne śle tchnienie,
Orzeźwiający niosąc z morza chłód;
Rannego słońca złociste promienie
Igrają w toni zwierciadlanych wód.
Stubarwnych kwiatów stubarwne kielichy,
Rozkoszną wkoło rozlewają woń
I jakiś spokój poważny i cichy
Zasiadł na łonie tych uroczych błoń;
Przyroda tutaj śmiertelnika pieści
I nigdzie jęku nie słychać boleści.

(Pauza).

Ja tylko jedna w tej lubej krainie
Nieukojony czuję w sercu ból,

Mnie tylko jednej dzień po dniu wciąż płynie,
Ciężko i smutno śród pięknych tych pól,
Ja tylko szczęścia nie zaznam już więcej, —
W walce z sumieniem młodości schnie kwiat,
Bom pozbawiła pieszczoty dziecięcej
Biednego ojca śród sędziwych lat.
Och! on mnie pewnie w tej chwili przeklina,
Bo dlań pociechy nie istnieje zdrój,
Bo go niewdzięczna odbiegła dziecina,
O jakżeś biedny drogi ojcze mój!
Jam go rzuciła dla obcego męża,
O nigdyby cię nie spotkał ten cios,
Gdyby nie Fedra, co słowami węża
Sumienia mego przytłumiła głos.
On mi był szczęściem, on wszystkiem na świecie,
On mą radością i otuchą był —
Dzisiaj porzucon przez niewdzięczne dziecię,
Błądzi śród gmachów, kędy szczęsny żył.
O — Fedra mojej nie pojmuje troski,
Marząc na łożu usypanem z róż
I kraj rodzinny i dom nasz ojcowski,
Wszystko, o wszystko zapomniała już.
Własnemu sercu przepisując prawa,
Z dziwną odwagą śmiało idzie w dal;
Słońcem jej miłość, poezya i sława,
Dusza jej nie zna, co smutek i żal.
Gdy wyobraźni rozpuści pogonie
I z strun wyleje harmonijny dźwięk:
Zrywa się Tezej, twarz ogniem mu płonie,
Iskrzącem okiem pochłania jej wdzięk
I niewymownym zachwytem porwany,
Tonąc w rozkoszy czarownych jej pień,
Traci świat z oczu, jakby go niebiany

Urokiem swoich otoczyli tchnień.
Gdy ich oboje ten urok owładnie,
Gdy na nich zstąpi Latonowy syn,
Nie wiedzą o tem, że w biednej Arjadnie
Omdlewa serce pod brzemieniem win.

SCENA DRUGA.

ARJADNE. — PIRYTOUS.

PIRYTOUS.

Witaj Arjadno!

ARJADNE.

Bądź mi pozdrowiony
Synu Zewsowy! i jego wspaniałem
Światłem w niebiański blask przyobleczony;
Cóż cię sprowadza?

PIRYTOUS.

Arjadno! mym celem
Pomówić z tobą — zbyt długo milczałem,
Milczeć już dłużej daremne starania,
Kiedy do zwierzeń serce mię nakłania.
Wiesz, że Tezeja jestem przyjacielem,
Kiedyście miłość uczuli ku sobie,
Patrzałem na to z boleścią ukrytą,
Że serce jego mam dzielić z kobiétą,
A jeszcze z wrogą niewiastą — bo w tobie
Widziałem tylko Minosową córę,
Nieprzyjaciółkę ojczystych mych stron,
Stworzenie mściwe, okrutne, ponure;
Śniłem, że w tobie odrodził się on,
Nie mogąc nawet uwierzyć tak snadno
W szczerość oddanej przez ciebie usługi,

Patrzałem na cię ze wstrętem czas długi.
Dziś, gdy cię bliżej poznałem Arjadno,
Wyznaję z wstydem, żem źle cię osądził,
Wyznaję z wstydem, żem ciężko pobłądził.
Również i Fedrę — duch to niepojęty...
Zda się że niebios otacza ją woń,
Że nad nią bogów ulata krąg święty,
Wieńcem laurowym zdobiących jej skroń.
O, ileż obie jesteście wyższemi
Od wszystkich niewiast tej ziemi!
Któraż z nich wasze posiada przymioty
Mieszkanki krainy chmur?
Świat tylko ziemskie zwykł rodzić istoty,
Lecz takich jak wy nie wydaje cór!

ARJADNE.

I ty nie z ziemskiej pochodzisz krainy
Potomku bogów — Zews rodzicem twym.

PIRYTOUS.

Po cóż w te ziemskie zstąpiłaś niziny
Z szczytów Olympu? Po co w świecie tym
Błądzisz Arjadne? Dlaczegoś tak smutna?
Czemu przeplatasz łzami każdy dzień?
Tezeusz mękę ponosi okrutną,
Widząc, że cierpisz i nikniesz jak cień.
Łzy twe wyrzutem są mu w każdą chwilę,
Że cię z ojczyzny uprowadził w świat;
On mniema, że go nie kochasz już tyle,
Jak gdy twych uczuć rozwijał się kwiat.

ARJADNE.

I cóż mu szkodzi, że moje łzy płyną...
Czyż mało jeszcze poświęciłam wam?

Nie wolnoż tęsknić za drogą krainą,
Za biednym ojcem, co pozostał tam?

PIRYTOUS.

Lecz Tezejowi twa żałość jest ckliwą,
Mniemał, że przy nim nie braknie ci nic.
Spojrzyj na Fedrę — jak ona szczęśliwą,
Jaka to błogość promieni z jej lic!
Nadziemskich istot urokiem owiana,
Gdy stanie w całej wspaniałości swej,
To Afrodyte, Athene, Dyjana,
Zdają się wszystkie spływać w postać jej.
Odkąd tu bawi — nowe jakieś wdzięki
Rozlały na nią niewymowny czar,
W oku jej błyszczą promienie jutrzenki,
Zdolne rozpalić w sercu niebian żar.

ARJADNE.

Wiem, że piękności jej niedorównywa
Biedna Arjadne... ale w łonie mym
Dla Tezeusza płonie miłość tkliwa,
Całe me szczęście upatruję w nim!
Lecz nie złagodzi ta miłość rozpaczy,
Uśpić ją może tylko życia kres.
O proś Tezeja! niechaj mi przebaczy,
Że nie potrafię wstrzymać moich łez.

SCENA TRZECIA.

ARJADNE. — PIRYTOUS. — TEZEUSZ.

TEZEUSZ *(wchodzi i widząc boleść Arjadny, załamuje ręce)*.

Znowu płaczesz?!... O z boleścią patrzę
Na twe męki. Nic-że nie złagodzi

Twego smutku? Nic-że go nie zatrze?
  Odkąd weszłaś do złowieszczej łodzi,
Co cię z krain ojczystych wydarła,
Wciąż się karmisz boleścią przesadną,
Wciąż rozpaczasz!
                                O moja Arjadno!
Czy już miłość w twem sercu umarła?
  Za czem tęsknisz — czy do twojej ziemi?
Wszak zaledwie znałaś królów gmach.
Czy za ojcem? – Wszak on czyny swemi
Budził w sercach odrazę i strach!
I was obie dręczył od powicia,
Żeście ledwie nie straciły życia.
  Drżałaś wiecznie przed jego obliczem,
Minos zgrozą przejmował cię wciąż...
On więc wszystkiem? Ja dla ciebie niczem?
Wszystkiem ojciec, niczem przyszły mąż?!
  A jam marzył... marzyłem szalony,
Że w mem sercu zbuduję ci tron,
A tymczasem żal nieutulony
Jak trucizna gotuje ci zgon!

ARJADNE *(obejmując Tezeusza).*

Czemże ojczyzna bez mego Tezeja,
Czem biedne życie bez ciebie mój drogi?
W tobie me szczęście, w tobie ma nadzieja...
Lecz czyż ja winna temu, że mię bogi
Tak niewytrwałym opatrzyli duchem,
Że mnie wspomnienia przykuli łańcuchem
Do domu ojca, do matki mogiły?...
  Miej litość luby i przebacz sierocie,
Że się nie umie opierać tęsknocie,
Że do walk z losem zabrakło jej siły.

TEZEUSZ.

Lecz dlaczegóż ja jestem skazany
Patrzeć ciągle na twe rzewne łzy?
Nie Arjadno — nie pojmę tej zmiany
Zaszłej w tobie w ciągu kilku dni;
Wszak niedawno wzajemny, czarowny
Związek uczuć zdał się łączyć nas;
Dziś w mej piersi żar płonie gwałtowny,
A tyś zimna jak z marmuru głaz.

ARJADNE.

O mój Tezeju, dwa uczucia sprzeczne
Wciąż mną miotają... pragnę być przy tobie
I wrócić pragnę. Lecz gdy się odwieczne
Spełnią wyroki, gdy spocznę już w grobie,
Poznasz zapóźno, zbyt dzisiaj surowy,
Czy byłam zimną jak głaz marmurowy.

SCENA CZWARTA.

ARJADNE. — TEZEUSZ. — PIRYTOUS. — FEDRA.

FEDRA *(wchodząc spiesznie).*

Ścigają nas na morzu nawy,
Widziałam je ze szczytu skał;
Na czele ich sam Minos krwawy,
Zemsty go tu sprowadza szał.
Uchodźmy stąd! Jego pogonie
W zakrętach skał nadbrzeżnych zmyl;
Nie zna tych wód, a więc zatonie,
O spiesz się, spiesz! nie traćmy chwil!

TEZEUSZ.

Mam uchodzić? Przed kim?!... Przed Minosem?
O nie Fedro! Niech rozstrzyga stal

Między nami. Cios odeprę ciosem
I zwyciężę, lub śmierć na dnie fal
Znajdę. W Krecie byłoby szaleństwem
Chwytać oręż; tam miał ogrom sił,
Tu się przemoc równoważy z męstwem,
Tu go zwalczę i powalę w pył.

(Dobywa miecza i chce iść).

ARJADNE *(chwytając Tezeusza za rękę).*

Czy chcesz, żebym umarła z rozpaczy,
Widząc ojca rodzonego w krwi?
Chcesz go zabić?! O zabij mnie raczej!
Nim go dotkniesz, serce przebij mi!

TEZEUSZ *(usiłując się wydrzeć).*

Puść mię!

ARJADNE.

Pomnij, jeźli wdasz się w bój,
Ja mu tarczą — bo to ojciec mój!
Mnie ugodzisz!

PIRYTOUS *(który dotąd z nad brzegu, w głębi, na wzgórzu, śledził na morzu nawy, ukazujące się z daleka, wraca spiesznie naprzód).*

Całe prawie morze
Minosowe pokrywają nawy;
Straszna przemoc... myśleć o oporze
Niepodobna!

(Do Tezeusza).

Wiesz, żem chciwy sławy,
Że tam biegnę, gdzie krwawy bój wrze,
Ale walczyć z tak przeważną siłą
Nie odwagą — szaleństwemby było.
Uchodź!

TEZEUSZ.

Nigdy!... odstąp! puszczaj mię!

FEDRA.

A więc pragniesz, by zgraja siepaczy
Mnie zawlekła w głębie jego naw?
Wszak wiesz o tem, że mi nie przebaczy...
Precz z tym mieczem! zabij mię — lub zbaw!

TEZEUSZ *(chowając miecz do pochwy).*

Żądasz tego?... niech się stanie Fedro!
Sławę moją poświęcam twej woli,
O ty nie wiesz, jak ciężko to boli,
Gdy mężowi laur z czoła obedrą.
Stokroć milszym dlań śmiertelny cios.

PIRYTOUS.

Prędzej, prędzej!

TEZEUSZ *(idzie w głąb i spogląda na morze).*

Niech spełni się los,
Idźmy!

FEDRA *(wzywając Arjadnę, chwyta ją za rękę).*

Siostro!

ARJADNE.

Ja tutaj zostanę.
Och, ja ojca mego widzieć muszę!
I najsroższe poniosę katusze,
Byle ujrzeć rysy ukochane.
Wy go wszyscy tyranem zowiecie,
Ja wiem przecież, że to ojciec mój,
Że ubłagać potrafi go dziecię,
Że go zmiękczy pokutnych łez zdrój.
Gdy usłyszy słowa córki tkliwe,

To gniew jego jak poranne mgły
Pierzchnie. Przy mnie wrócą mu szczęśliwe,
Od lat wielu utracone dni.

FEDRA.

Zaślepienie uwodzi cię siostro!
Czyż ci srogość Minosa nieznana?
Kiedy w ręce siepaczy oddana,
W łonie twojem poczujesz stal ostrą,
W chwili śmierci wspomnisz słowa me!
Usłuchaj mię, o moja jedyna!
Na swą miłość Tezej cię zaklina!
On cię błaga! On tak kocha cię,
A ty, goniąc za urojeń marą,
Wciąż rozpaczą udręczasz go swą,
Chwiejnych uczuć czynisz go ofiarą...
Och Arjadno! ty nie kochasz go!

ARJADNE *(odsuwając Fedrę na bok).*

Odstąp Fedro! przyszłość ma nieznana...
(Wskazując niebo)
Tam zapisana.
(Biegnie do ołtarza Dionizosa w głąb i otacza go ramionami).
Dionizosie! o boże natchnienia,
Ratunku szukam przy ołtarzu twym.
Spojrzyj z Olimpu na moje cierpienia,
Zlituj się, zlituj nad nieszczęściem mym!
Ty na tej wyspie odbierając cześć,
Strapionym pomoc powinieneś nieść.

TEZEUSZ *(usiłując odciągnąć Arjadnę od ołtarza).*

Arjadno pójdź... w imię mej miłości!
Nie trać chwil drogich... uchodźmy, już czas!

ARJADNE *(nie zważając na niego, w zachwyceniu).*

Spraw, niech w mem sercu zcichną namiętności,
Od mego ojca odwróć zgubny raz.
Jakieś tajemne szeptają mi głosy,
Że się rozstrzygną tutaj moje losy,
To głosy bogów.

TEZEUSZ.

Dniu stokroć przeklęty!
Arjadno, w sercu twem uczucia brak,
Chcesz-że dziś sama stargać węzeł święty,
Co nas połączył?!...

ARJADNE *(z boleścią).*

A zacóż mię tak
Nielitościwie dotykacie bogi,
Tam stary ojciec, tu Tezej mój drogi!
Kto mi z nich milszy... och, już sama nie wiem.
Myśl o mym ojcu ognistem zarzewiem
Pali pierś moją. Gdy mi nie przebaczy,
Umrę z rozpaczy!
Gdy stracę ciebie, szczęście me jedyne,
Z żałości zginę!
Serce drży w łonie... jakieś czarne mary
Snują się kręgiem... U stóp się otwiera
Bezdenna przepaść... w głowie płoną żary
Czuję, że życie w piersi mej zamiera,
Że jakiś zamęt, chaos, zgiełk niemiły
Ogarnia umysł... ha brak... brak mi tchu —
I nikną siły...
Uchodźcie sami... niech ja... skonam tu...

(Omdlewa u stóp ołtarza).

TEZEUSZ *(gorzko).*

To jej miłość! serce me odtrąca...
O biada mi!

FEDRA *(namiętnie).*

Lecz za to goreje
W sercu mojem miłość dla cię wrząca;
O Tezeju! ja się nie zachwieję,
Ciebie kocham! w tobie tylko żyję,
Uczuć moich nie chcę dłużej kryć.
Niech mię ojciec przeklina, zabije!
Umrzeć wolę, niż bez ciebie żyć!

PIRYTOUS *(powracając z głębi).*

Prędzej! ziemia stopy moje pali,
Chwila jeszcze, a schwytają nas.

TEZEUSZ.

Tak, uchodźmy prędzej jak najdalej
Z miejsc fatalnych, gdzie bachantek tchnienie
Budzi w sercu namiętne płomienie;
Jam tu dłużej zostać nie powinien.

(Zwracając się do Arjadny).

O Arjadno, żegnam cię! Kto winien,
Wyrok bogów niech osądzi nas.

(Fedra i Pirytous odciągają Tezeusza od Arjadny i uprowadzają go).

SCENA PIĄTA.

(Słońce zachodzi — zmrok zapada).

ARJADNE *(przychodzi zwolna do siebie).*

Gdzież ja jestem... gdzie jesteś mój drogi?
Wszak przed chwilą byłeś jeszcze tu.

(Ogląda się).

Wszak i Fedra była tu... O bogi!
Czyliż jeszcze jestem w mocy snu,
Co mię nocy ogarnął cieniami?
Głosy wasze niech noc tę rozedrą.

(Woła).

Tezeuszu! jam tutaj, ja z wami!
Chcę uchodzić... Tezeuszu! Fedro!
Ja tu jestem! czyż głosu Arjadny
Nie słyszycie?

(Słucha z natężeniem).

Bogi! co to znaczy?!...
Głucha cisza... odpowiedzi żadnej...
Echo tylko roznosi głos w dal.

(Wbiega na skałę).

Ha, tam żagiel wśród zmierzchu majaczy,
Jakaś nawa na przestworzu fal
Ku północy szybko wody pruje
Tam... tam... Trwoga duszę mą przejmuje,
Nawał uczuć w okrutnej rozterce
Pierś rozrywa!

Czyż mieliby serce
Mnie porzucić w tej dzikiej ustroni?

(Wpatruje się w przestrzeń).

Och! ten okręt!... Nie, wzrok mię nie myli...
Znam tę nawę... to oni! to oni!
Bogi wielkie! więc mię opuścili...
Uszli razem!... uszli stąd bezemnie!

(Zbiega na dół i zatapia się w myślach).

Teraz z oczu spada mi zasłona!
On ją kochał... kochał ją tajemnie.
On mię zdradzał... zdradzała rodzona!

(Po krótkiem milczeniu).

Moc wyroków spełnia się straszliwa,
Co zagładza Minosowy dom!
Blask ognisty chmury już przeszywa,
Jeszcze chwila, a uderzy grom.

(Z boleścią).

Więc z ojczyzny wywiozłeś mnie na to,
Bym na wyspie zmarniała odludnej?!
Jam twej mowie wierzyła ułudnej...
Śmierć i zdrada za to mi zapłatą!
Własna siostra z chytrością gadziny
W tę bezdenną wtrąciła mię toń,
Po tę miłość, po skarb mój jedyny,
Świętokradzką wyciągnęła dłoń!

(Z uniesieniem).

O skarzcie ją bogi najłaskawsze!
Ja przeklinam! przeklinam cię Fedro!
Niechaj Furye twe serce rozedrą,
Jak ty moje rozdarłaś na zawsze!

(Łagodnie).

Lecz Tezeja ochrońcie bogowie...
Choć niewdzięczny, ja przebaczam mu.
O Arjadnie niech kiedyś się dowie,
Że mu aż do ostatniego tchu
Była wierną... Że z szczytu tych skał
Dni i noce wyglądając wieści,
Gdy z okrutnej konała boleści,
Duch jej słowa przebaczenia słał
Tezejowi.

(Słychać za sceną zrazu cichą, potem coraz głośniejszą muzykę, zapowiadającą pojawienie się orszaku Bachusa.

Chór bachantek odzywa się w oddaleniu. Arjadne, która po ostatnich słowach usiadła pod ołtarzem, podnosi głowę i nadsłuchuje).

Jakieś tony
Ciche jak strumienia szmer...
Jakiś dźwięk niewysłowiony
Dolatuje z górnych sfer.
I wciąż niżej... niżej spływa,
Śród zefiru lekkich tchnień,
A wzburzony duch się zrywa
Od namiętnych serca drżeń.

(Zrywa się i ogląda wokoło).

Któż to poi pierś moją śpiewy czarownemi,
Czyżby jeszcze istniało szczęście na tej ziemi?

(Chór zwolna, ale coraz bardziej przybliża się).

Jakaś dziwna pieśń namiętna,
Z cichej harmonii urosła...
Dzika a wzniosła
I w mem odbija się łonie.
Pierś żarem płonie,
Dreszcz przenika wszystkie tętna,
Ha, to on! pan tej wyspy, w orszaku swych sług,
Dionizos... szału bóg!

SCENA SZÓSTA.

ARJADNE. — BACHANTKI. — SATYRY. — FAUNY — *później* DIONIZOS *z orszakiem.*

(Zachodzące słońce potokami szkarłatnego światła oblewa scenę. Chór satyrów, faunów i bachantek, strojnych winogradem i bluszczem, trzymając w rękach flety, ta-

lerzyki miedziane, puhary złote, bębenki, zakrzywione laski, obwinięte wstęgami (tyrsosy) — wpada na scenę z szaloną wrzawą w pląsach. — Arjadne przelękniona chroni się u stóp ołtarza Dionizosa).

CHÓR.

Evoe! Dzień i noc!
Śród dolin, lasów, skał,
Dyonizos nam dał
Potrójną czaru moc:
Wesołość, wino, szał,
Evoe! Dzień i noc
Chór faunów i satyrów,
Bachantek hoży rój
Niech wznosi huczny śpiew.
Chór bachantek,
A wina złoty zdrój
Rozpala wrzącą krew.

CHÓR OGÓLNY.

Dionizos sam
Przywodzi nam,
Evoe! Evoe! hej!
Tu królem on,
Z złocistych gron
Niebiański nektar lej.

(Bachantki i Fauny otaczają Arjadnę).

JEDNA Z BACHANTEK *(do Arjadny).*

Dionizos, bóg rozkoszy,
Chce osuszyć łezki twe.
Z jagód twoich smutek spłoszy,
Dionizos kocha cię.

CHÓR OGÓLNY.

On miłości pragnie twej,
Evoe! Evoe! hej!

ARJADNE *(starając się wydobyć z ich kręgu, mówi błagalnie).*

O miejcie litość! wesołość boleśniej
Po ciężkiej stracie rani serce me,
Trudno się oprzeć ochoczej tej pieśni,
Nad moją dolą ulitujcie się.

CHÓR *(otaczając Arjadnę, zniewala ją iść na przód sceny).*

Wszak Tezej zdradził cię,
Uchodzi z Fedrą w dal.
On nie wart ciebie, nie!
Więc porzuć próżny żal,
Dionizos szału król,
Miłości pragnie twej,
On twój złagodzi ból,
Evoe! Evoe! hej!

(Pląsając, otaczają Arjadnę dokoła).

ARJADNE *(z wysileniem mówi).*

Precz stąd bachijskie demony!
Szalone przerwijcie kręgi,
Nie ułudzi mię ich czar,
Kto raz miłości potęgi
Doznał i stracił ten dar,
Ten już na wieki zgubiony.

CHÓR.

Dionizos już przybywa,
On miłości pragnie twej,
O Arjadno! tyś szczęśliwa!
Evoe! Evoe! hej!

(Dionizos zjawia się na wozie, zaprzężonym dwoma lwami, w orszaku bachantek w głębi).

ARJADNE *(spostrzega go i wpatruje się w niego z zachwyceniem).*

Bogi! cóż to za zjawienie!
Młodzian w blaskach jaśniejący,
Przecudny w urodzie swej.

CHÓR.

Evoe!

ARJADNE.

Och całe moje istnienie,
Wskróś przenika żar palący,
Płomień gore w piersi mej.

CHÓR.

Evoe!

ARJADNE.

Dionizosie, w twe ramiona
Jakaś siła niepojęta
Gwałtownie porywa mnie.
I Arjadne pogardzona,
Rwąc zdeptanych uczuć pęta,
Dionizie, kocha cię!

(Dionizos wyciąga ku niej ręce).

DIONIZOS.

Arjadno!

(Podnosi ją na wóz i posadziwszy obok siebie, obejmuje).

CHÓR.

Dionizos, bóg wesela,
Uwielbieniem dla cię tchnie,
Nieśmiertelność ci udziela,

Dionizos kocha cię!
On miłości pragnie twej,
Evoe! Evoe! hej!

(Fauny, satyry, bachantki szalony krąg zataczają wokoło wozu Dionizosa, wstrząsając tyrsami, puharami i narzędziami muzycznemi — wśród zgiełku zasłona zapada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Gaj nad wybrzeżem morskiem, opodal Aten. — Obydwie strony sceny osłaniają drzewa i krzewy strefy południowej. — W głębi widok na nieprzejrzane morze.

SCENA PIERWSZA.

(Aricya, w skromnej szacie białej bez wszelkich ozdób, zdradzającej niedostatek, siedzi na przodzie sceny, pogrążona w smutnych dumaniach i dopiero przy końcu monologu wstaje).

ARICYA.

Boleść i smutek... łzy, cierpienia
Dni mej młodości przędły,
Wszystkie nadzieje i marzenia
Wcześnie zagasły, zwiędły.
Patrzałam na śmierć ojca, matki
I na zgon lubych braci...
Los srogi cudne mrożąc kwiatki,
Cały nasz ród zatraci.
Ponuro płyną dni samotne
W zimnym, nieczułym świecie,
Zniknęło szczęście bezpowrotne,
A wkoło grom, zamiecie.

I pędzę żywot mój sierocy,
  Łzy wylewając rzewne,
Nie dają ulgi, ni pomocy
  Niebiosa na mnie gniewne.
O jakże radabym w mogile
  Połączyć się z mojemi,
Tam mię czekają słodsze chwile,
  Niż na tej wrogiej ziemi.
Kiedyż was ujrzę drogie cienie
  W krainie dusz wybranych,
W nieśmiertelności szat promienie
  Tęczowe przyodzianych?
Gdy błądzę śród samotnych gajów,
  Czuję ich miłe tchnienia,
Cichy ich szept, jak szmer ruczajów:
  »Aricyo, do widzenia!«
A choć zgnieciona burz nawałą,
  Tracę już sił ostatki,
Jedno mi jeszcze pozostało:
  Błogosławieństwo matki.
Jej to cień drogi, ukochany,
  Wspiera mnie w ciężkiej drodze,
Serca zbolałe gojąc rany,
  Siły dodaje w trwodze,
O niech się skończy bój ten srogi
  Z losami okrutnemi,
Użalcie się Aricyi bogi,
  Zabierzcie mnie z tej ziemi
Na elizejskie, ciche pola,
  Zabierzcie duch sieroty,
Gdzie wszystkim jasna świeci dola
  I wiek panuje złoty.

SCENA DRUGA.

ARICYA. — HIPPOLIT.

HIPPOLIT *(oglądając się na morze).*

Już ich widać — spieszy lud ateński
Na brzeg morza, by powitać męża,
Który siłą ducha i oręża
Strzaskał jarzmo tyranii kreteńskiej.
Przecz nieszczęście Fedrę tu przywiodło
Z Tezeuszem? — Gród srodze się zżyma,
Bo wyższego nadeń w Grecyi niéma.
Ateńczyków srodze więc ubodło,
Że mu wstrętne plemię Minosowe
Chce narzucić Tezej na królowę.
Jam przyganiał, jako lud przygania,
Lecz dziś czuję zamiast smutku radość,
Bo mój ojciec, pragnąc pobłażania,
I mej prośbie łatwiej zrobi zadość!

ARICYA.

Jakąż prośbę masz doń Hippolicie?

HIPPOLIT.

Jaką?... Ja sam siebie nie poznaję...
Wszak wiesz, jakie prowadziłem życie —
Dzikie dotąd były me zwyczaje,
Niewzruszony na wdzięki dziewicze,
Gdym Atenkę napotkał uroczą,
Odwracałem ze wstrętem oblicze;
Miłość, jako uczucie niegodne
Męża, serce potępiało chłodne.
Więc otoczon młodzieżą ochoczą,
Biegłem w bory, uzbrojon oszczepem,

Walczyć tury, niedźwiedzie lub dziki,
Lub ścigałem za jeleniem — stepem...
Wrzawa bitew, wojenne okrzyki,
Wycie burzy były mym żywiołem —
Pieśnią — wrogów konających jęk!
Lotem wichru, z podniesionem czołem
Biegłem, kędy grzmiał oręża szczęk,
W chaos walki...

(Tkliwie).

Tyś Aricyo miła
Wówczas tutaj smutne dni pędziła.
Raz cię ujrzałem, jak w blaskach miesiąca,
Patrząjąc w srebrne Cefizowe fale,
Im swoje ciche powierzałaś żale.
O byłaś wtenczas tak zachwycająca,
Taka urocza, tak pełna ułudy,
Iż zadziwiony, że twego cierpienia,
Iż wdzięków twoich nie widziałem wprzódy,
Wrosnąłem w ziemię jak posąg z kamienia.
Wtedy raz pierwszy serce mi zabiło
Uczuciem dziwnem a potężnem siłą —
Dawny Hippolit na zawsze legł w grobie.
Odtąd Cefizu szmer wciąż mi szeleści,
Twa cudna postać ducha mego pieści,
Odtądbym zawsze żyć pragnął przy tobie,
Odtąd...

ARICYA *(z uniesieniem).*

Bogowie! — o cóż to ja słyszę?!...
Jakiż nadziemski, harmonijny ton,
Pieszcząc me ucho, przerywa tę ciszę,
Która oddawna wróżyła mi zgon?...
Ty ku nieszczęsnej, wzgardzonej sierocie

Wyciągasz luby szlachetną twą dłoń;
Po raz to pierwszy w tym skwarnym żywocie,
Zefirek szczęścia ochładza mą skroń.
  Po raz to pierwszy bogi mi łaskawsze,
Po raz to pierwszy przyjazne brzmi słowo;
  O tyś mnie podbił czarowną twą mową,
Pragnę być twoją na zawsze!

HIPPOLIT.

A więc mnie kochasz ty dziewczę urocze?!
O teraz w siły urosłem pół-boga!
By cię pozyskać Aricyo ma droga,
Z losem i ludźmi zacięty bój stoczę,
Zwalczę — lub zginę!...

ARICYA.

Chociaż we mnie płynie
Krew Pallantydów, którzy w tej krainie
Chwalebnie władzę dzierżyli przez wieki,
Byłam w Atenach obcą... odtrąconą...
  Dziś, gdy Tezeusz chce zdobić koroną
Dziewczę przybyłe aż z Krety dalekiej,
Aby pozyskać dla Fedry uznanie,
Królewnie dawnej życzliwszym się stanie.
  Nasze rodziny dzielił nieprzeparty
Wstręt... Niechaj zniszczy odwieczne te waśnie
Związek w Hymena świątyni zawarty,
A lud ateński tej zgodzie przyklaśnie.
  O błagaj swoich, niech biedną nie gardzą,
Niechaj zezwolą na moje zamęźcie,
Bo ja tak pragnę, o pragnę tak bardzo,
Chociaż raz poznać na świecie tym szczęście!
Niechże mi błyśnie po latach cierpienia

Poranek jasny, pogodny, promienny,
Jakoby oddech czarowny, wiosenny,
Co ziemię w cudną szatę ozielenia.

HIPPOLIT.

Więc się me błogie spełniają zamysły,
O które serce trwożyło się drżące;
W twoich oczętach łzy szczęścia zabłysły,
Twarzyczkę róże rumienią kwitnące;
Błogie wesele w tem oku jaśnieje,
Przez długie lata zaciemnionem łzą.

ARICYA.

Bo ty w mem sercu zbudziłeś nadzieje,
Które, sądziłam, że na wieki śpią,
Zbudziłeś życie!
O bo ty jeden, drogi Hippolicie,
Osieroconej, karmionej goryczą,
Ponętą słowa, jak pieśnią dziewiczą,
Wdzięczny, nieznany ukazałeś świat,
I kojąc smutki niewypowiedziane,
Wskrzeszasz do życia więdniejący kwiat.

HIPPOLIT.

O gdybym zdołał twe łzy wypłakane
Zamienić w szczęścia zdrój niezamącony,
U stóp twych złożyć wszej ziemi korony!
Lecz miłość tylko, która nie przeminie,
Biedny Hippolit może oddać ci!

ARICYA.

O! tej miłości, miłości jedynie
Ja pragnę! — o niej serce moje śni —
Ona mi wszystko, wszystko wynagrodzi.
Wiem, jaka ciężka czeka nas godzina,

Wiem, że twój rodzic nie łatwo się zgodzi
Wziąć dziewczę biedne za żonę dla syna.
Ale przeczucia złe niechaj rozprasza
Cudowny szczęścia wschodzącego brzask.
Niechaj tak trwałą będzie miłość nasza,
Jako wieczystych gwiazd na niebie blask!

HIPPOLIT.

Rodzica mego znam i mocno wierzę,
Że jak najchętniej spełni me nadzieje,
Gdy mu z ufnością, otwarcie i szczerze
Wypowiem wszystko, co w sercu się dzieje.
Wszak mu nie obcą miłości potęga,
Zechce-ż potępić uczucie to w synie,
Gdy sam dla Fedry po koronę sięga?
Niechaj szał pierwszych uniesień przeminie,
A wraz odemnie wyznanie usłyszy,
Że ciebie kocham.

ARICYA.

O wstrzymaj zwierzenia,
Niechaj się zwolna rozwija w zaciszy
Rozkosznych uczuć tajemniczy kwiat;
Zdradzać przed ludźmi najświętsze marzenia
Zbyt wielki hazard... Czyż nie wiesz, że świat
Szczęściu kochanków bez miary zazdrości?
A nie umiejąc sam pojąć miłości,
Chce innym stargać marzeń złotą nić.

HIPPOLIT.

O w takim świecie czyż mógłby kto żyć?!

ARICYA.

O tylko młodzian i królewski syn,
Wzrosły wśród szczęścia i pochlebców grona,

Cnót szuka w świecie, a nie widzi win;
Bo dusza jego czysta, wypieszczona,
Nie znając, co to nienawiść i kłam,
Żaliż uwierzy, iż może być głazem
Serce człowieka? — Ja świat lepiej znam.

HIPPOLIT.

Życzenia twoje są dla mnie rozkazem.
Lecz czyliż zdołam to chować w ukryciu,
Co tak uroczy nadaje blask życiu?
Czyliż nakażę wzburzonemu łonu
Przytłumić szczęścia tryskający zdrój?...

ARICYA.

O mnie nie trudno kryć choćby do zgonu
Miłość dla ciebie Hippolicie mój.
Ja nie chcę szukać przed ludźmi z niej chluby...
Ginie pół szczęścia, gdy świat o niem wie.
Dosyć mi wiedzieć, że mię kochasz luby,
Że tylko dla mnie bije serce twe.

(Oboje odchodzą).

SCENA TRZECIA.

(Lud ateński w radosnym zgiełku zbiega się ze wszystkich stron. Starcy, niewiasty, dziewice i młodzieńcy, niosąc wieńce i kwiaty, zapełniają scenę, patrząc ku morzu w stronę, z której okręt Tezeusza nadpłynie).

CHÓR MŁODZIEŃCÓW i DZIEWIC.

Niech żyje Tezeusz wspaniały!
Pogromca potwory kreteńskiej,
Atenom przysporzył on chwały,
Od hańby lud zbawił ateński.

Jego dłoń
Zbawiła nas!
Niechaj żyje bohater wsławiony!
Jego skroń
Ozdobi wraz
Lud attycki w laurowe korony.

CHÓR STARCÓW *(ponuro)*.

Lecz pocóż wiedzie nam
Minosa krwawy płód.
Zła Fedra, jak on sam,
Ujarzmić zechce lud.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

O nie, nie trwóżcie się
Obawą płonnych mar,
Pallas przez moce swe
Odwróci zgubny czar.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW i DZIEWIC
(na widok nadpływającego okrętu spieszą na brzeg).

Patrz, oto już widać brzeg nawy,
Na niej stoi Tezeusz zwycięski,
Atenom przysporzył on sławy,
Od hańby lud zbawił ateński.
Jego dłoń
Zbawiła nas!
Niechaj żyje bohater wsławiony!
Jego skroń
Ozdobi wraz
Lud attycki w laurowe korony.

(Na nadpływającym okręcie ukazuje się Tezeusz na przodzie, w pełnem uzbrojeniu, otoczony orszakiem wojowników).

SCENA CZWARTA.

TEZEUSZ. — ORSZAK TEZEUSZA. — LUD.

TEZEUSZ *(z okrętu do ludu).*

Wracam do Aten zwycięscą; walka stoczona chwa-
[lebnie,
Za łaską bogów odwiecznych mały nasz hufiec nie-
[tknięty.
Zginął ów potwór okrutny, któremu w haracz ha-
[niebnie
Słały co roku Ateny okręt z hożemi chłopięty.
Pustką dziś stoi Labirynt, ofiary ustały krwawe.
Niech brzmią radosne okrzyki na cześć swobody wie-
[czystej!

(Odwracając się do swych towarzyszy).

Zstąpcie na ziemię waleczni! Bogom poświęcim tę
[nawę,
Która nas wiodła do zwycięstw i w kraj przyniosła
[ojczysty.

(Wojownicy wysiadają z okrętu. Mężczyźni i niewiasty cisną się z uniesieniem około Tezeusza. Po przeminięciu pierwszej radości ukazuje się Fedra na pokładzie nawy. Równocześnie Hippolit i Aricya wchodzą na przód sceny. Zdumienie ludu na widok pięknej i przejętej poetycznem natchnieniem Fedry, w miarę jej słów zmienia się w szał uwielbienia i zachwytu. Fedra zstępuje z okrętu i posuwa się zwolna naprzód).

SCENA PIĄTA.

DAWNI i FEDRA.

FEDRA *(w białej fałdzistej szacie, wlokącej się nieco, okryta draperyą, bogato bramowaną złotem, z laurem na skroni. Wyciąga*

ramiona naprzód, spogląda z zachwyceniem na wszystkie strony i pozdrawia wzruszony lud).

Bądź mi pozdrowion grodzie ponad grody,
  Hellady perło bez ceny!
Stolico piękna, miłości, swobody,
  Cudne witajcie Ateny!
O, na wasz widok lica moje płoną
  Szczęścia, zachwytu szkarłatem,
Wzruszone serce rozsadza me łono,
  Tyś mi ojczyzną! ty światem!
Pallas cię tworząc, grodzie ty wspaniały,
  Darzy mądrością twe syny,
Gracye powabem uroku odziały
  Córy twej pięknej krainy.
O nowe słońce tu mi zajaśnieje
  Po burzach, smutkach, tęsknocie,
Tobie mą przyszłość, me szczęście, nadzieje
  Powierzam, Grecyi klejnocie!

DEMARCH *(występując naprzód).*

Córo nadziemskich przestrzeni,
Pazyfy urocze dziécię,
Patrzymy na cię w zachwycie,
Czarem twych wdzięków olśnieni.
Nad twem obliczem śnieżystem
Blasków lśni świetna korona;
W postać ziemianki wcielona,
Słońcem jaśniejesz wieczystem.
Choć twą ojczyzną niebiosa,
Choć Parnas twoją świątynią,
O chciej być Aten władczynią,
Nadobna wnuko Heljosa!

FEDRA *(z uniesieniem).*

A więc mię przyjmij ty grodzie wspaniały,
Bądź mi ojczyzną! Na twojem niech łonie
Ubiegłe czasy zdrój Lety pochłonie,
Niech mię orzeźwią Cefizu kryształy.
Dzień ten niech będzie lat błogich przedświtem,
A gniewne bóstwa ofiarą ukoim.

(Spostrzega Hippolita).

Ktoś ty młodzianie?

HIPPOLIT.

Zwią mię Hippolitem,
Jam syn Tezeja.

FEDRA *(obejmując go).*

Bądź także i moim
Od tej godziny. — Odbierz te zadatki
Tkliwej miłości od przyszłej twej matki.
Wieść o twem męstwie rozlega się wszędy,
Młody mój woju!...

HIPPOLIT.

O dzięk ci za względy,
Jakimi darzysz mnie niezasłużenie.
Będę cię wielbić jak zorzy promienie.

TEZEUSZ.

O tylko Orfej swą pieśnią natchnioną
Mógłby wyśpiewać, co w duszy się dzieje:
Tę radość błogą i niewysłowioną,
Cudnej przyszłości promienne nadzieje,
Których dziś wątek uroczo się wszczyna,
Węzłem miłości dwie łącząc istoty,
Małżonkę drogą i mojego syna,
Ideał wdzięków i ideał cnoty.

ARICYA *(do Fedry).*

O przyjmij także w tej chwili godowej
Biednej sieroty hołdy i życzenia;
Jam szczep ostatni królów pokolenia,
Ostania kropla krwi Pallantydowej.
Dziś oni w grobie — wy w szczęściu i chwale,
Tyś Aten sercem, a Tezej ich głową.
On swą opieką mię okrył wspaniale,
Ty nie odmawiaj mi swojej królowo!

FEDRA.

Dziewczę ty moje! wiem, ileś cierpiała,
Wiem, jako losy dotknęły cię ostro.
Chcę ci być matką i drużką i siostrą...
Ja cię podźwignę lilijko ty biała
I otrę łezki w oczętach królewny,
A szczęście znowu jej lica spromieni.

TEZEUSZ *(z uniesieniem).*

O wy bogowie wielcy, nieskończeni,
Jakiż to widok wspaniały i rzewny!...
Jakież ofiary mam złożyć wam za to,
Żeście mi dali dzień świetny a błogi?
Żadna kraina tak nie jest bogatą,
By go opłacić!

FEDRA *(do siebie ze wzruszeniem, spoglądając na Hippolita).*

Ćo to jest?... o bogi!
Burza w mej duszy się zrywa,
Szalonym wichrem rycząca,
Znowu w otchłanie mię strąca...
Ha nieszczęśliwa!

TEZEUSZ *(do ludu).*

Nim bogi losów osłonę rozedrą,
Idźmy im wzniecić ofiarne płomienie.
O pójdź Aricyo! pójdź synu, pójdź Fedro!

FEDRA *(ponuro do siebie).*

To przeznaczenie!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

Wspaniała sala w pałacu królów ateńskich. — Na stole marmurowym leży lutnia.

SCENA PIERWSZA.

ARICYA. — OENONE.

ARICYA.

Po dniach szczęścia tryumfu i chwały,
Grom straszliwy! A któżby uwierzył,
Aby wielki bohater już nie żył,
Pozostawił w żałobie lud cały?
  Burza morska rozżarta, szalona
Pogrążyła nawę w głębi fal,
Grzebiąc w chłodnych państwach Posejdona
Chlubę Aten i Hellady żal.
  Pirytous napróżno się trudzi,
Przebiegając wybrzeża, ostoje...
Już Tezeja nie ujrzy nikt z ludzi!

OENONE.

Jakże nędznie zakończył dni swoje,
Mąż syt chwały tryumfów i cześci!
Tak szczęśliwy przy boskiej małżonce...
Dzisiaj ona w tej ciężkiej boleści

W swych komnatach łzy leje gorące.
Skamieniała z rozpaczy jak Niobe,
Pragnie ukryć przed ludźmi żałobę.
Jeden tylko Hippolit — ten żywy
Obraz męstwa, piękności ojcowskiej,
W samotności podziela z nią troski.

ARICYA.

I on dla niej był niesprawiedliwy
I on głosił sąd o niej zwodniczy,
Jako wszyscy i on orzekł z góry,
Że królowa okrutnej natury,
Ojca umysł tyrański dziedziczy!
Lecz gdy nagle stanęła tak cudna,
Z jakimś blaskiem nadziemskim u skroni,
Pierzchła chmura uprzedzeń ułudna
I lud przylgnął całem sercem do niej.

OENONE *(spostrzegając Fedrę).*

Otóż ona w królewskiej swej nędzy.

ARICYA.

O nieszczęsna!... uchodźmy stąd prędzej!
(Odchodzą na prawo).

SCENA DRUGA.

FEDRA. — HIPPOLIT.

HIPPOLIT.

O biedna matko! wciąż spuszczasz wzrok w ziemię...
Okrutny smutek twe czoło ćmi jasne.
Coś utraciła, jakie dźwigasz brzemię,

Wiem... to mi mówią cierpienia me własne.
Brakło Tezeja... a wśród Grecyi całej
Nikt go zastąpić, ni zrównać mu w stanie.
I w tobie serce już nie zmartwychwstanie...
I dla twej duszy znękanej, zbolałej
Niema już szczęścia!

FEDRA.

Szczęście jest mamidłem,
Snem duszy o czemś wzniosłem i wspaniałem,
Nikt go nie schwyci, bo lotnem swem skrzydłem
Pierzcha przed nami. Im z większym zapałem
Ścigamy za niem, ucieka tem hyżej.
Ten co je dostrzegł — ani się doń zbliży,
Ten co je schwyta — jeszcze się nie zrodził.

HIPPOLIT.

Straszliwym cios był, który cię ugodził!
On twoją przyszłość w rozpaczy kir stroi.
I ja cierpiałem i byłem już bliski
Czarnej rozpaczy... lecz losu pociski
Znieść muszę jako na męża przystoi.

FEDRA.

Jeśli od smutku sami nie ucieczem,
On nas odbieży. Czas wszystko niszczący
Wstrzymać w rozpędzie nie dziełem człowieczem!
Czyż wstrzymasz ręką potoku nurt rwący?
O i boleści nie uwięzisz w duszy!
I nim wiosenne przywdzieje świat szaty,
Z niewysłowionej okrutnej katuszy,
Ledwie westchnienie przypomni ci straty.
Znieść życia brzemię czas daje nam siłę;
Kogo cios w pierwszej chwili nie powali

Grotem piorunu odrazu w mogiłę,
Ten zwolna z cierpień wypłynie znów fali.

HIPPOLIT.

O jakże słodkie słowa z ust twych płyną
Boska istoto! Kto dźwięków ich słucha,
W pierś mu stracona wstępuje otucha,
Żal i zwątpienie bez śladu gdzieś giną.
Słów twych pieszczota boleści uśmierza...
W piersi mej, cierpień zgniecionej nawałą,
Zrazu od ciosów serce skamieniało,
A teraz czuję, że znowu uderza.

FEDRA.

Wspólne boleści i wspólne radości
Łączą dwa serca harmonii łańcuchem.
Jedni uczuciem, cierpieniem i duchem
Patrzmyż swobodniej w krainę przyszłości
I żyjąc razem, wszystko z sobą dzielmy,
Razem się smućmy i razem weselmy...
Razem do śmierci!

HIPPOLIT.

O nie mów mi o niej!
Już lubych istot wydarła nam mnóstwo...
Od jej potęgi niech Febus cię chroni,
Niechaj miłości ocali cię bóstwo!
O żyj! żyj dla mnie promieniu świetlany,
Rozjaśniający duszy mojej ciemnie...
Czyż wyrzec zdołam, co dzieje się we mnie
Przy tobie, Fedro? — Niewypowiedziany
Dreszcz mię przenika, gdy z ogniem w twem oku
Spojrzenia moje w skręt jedną się sprzęgą.

Gwiazdo promienna, błyszcząca śród mroku!
O któż cię taką uzbroił potęgą?!

FEDRA.

Ktom jest? — Czem jestem od dni mych zarania,
Winnam to wszystko miłości potędze.
Kto ją zapalił, bogowie czy jędze? —
Nie wiem... lecz to wiem, że ona pochłania
Mą istność. — Wiem to, że z siłą szaloną
Włada w mem sercu, w mem oku się żarzy,
Drży w moim głosie, płomieni na twarzy,
Wiem to, że miłość rozsadza me łono!

(Porywa lutnię).

O pójdź! pójdź do mnie, zapomniana drużko!
Dawno już dźwięk twój ucha mi nie pieści...
Przeznaczeń moich i nadziei wróżko,
Ty powiernico mych uczuć boleści!
Dziś, kiedy szał mnie natchnienia porywa,
Gdym znów śród burzy odnalazła się,
Gdym tak rozkoszą wzburzona szczęśliwa
Niechaj znów zabrzmią srebrne struny twe.

(Uderza kilka akordów i passaży, poczem przy dźwiękach lutni zaczyna mówić z natchnieniem, coraz bardziej wzrastającem. Hippolit jej słucha, jakby porwany i oczarowany jej niezmierną egzaltacyą — Arfa w orkiestrze).

Lutnio moja, o jedyna!
W harmonijne tony dzwoń.
Niech boskiego Apollina
W twoje struny trąca dłoń,
Bo lubemu splatam dźwięki,
Jemu pieni niosę dań,

Jemu lutni mojej jęki
Miłość, życie, wszystko dlań!
(Uderza w struny).
Jak rozkoszny kwiat wiosenny,
Co śle wdzięczne wonie w dal;
Jak jutrzenki blask promienny,
Powstający z łona fal;
Jak miłości czar dziewiczy,
Tchnący w serce błogi lęk,
Tak z młodzieńczych mu obliczy
Niezrównany bije wdzięk.
(Uderza w struny).
Gdy me ręce struny trącą,
W bezład spływa wątek pień,
Bo miłością płonąc wrzącą,
Zmóc nie mogę serca drżeń.
Bo jak w blaskach słońca bledną
Purpurowe światła zórz,
Tak on olśnił Fedrę biedną
Tak jej urok zagasł już...
(Odwraca się do Hippolita, zatapiając w jego oku namiętne spojrzenie).

HIPPOLIT *(z uniesieniem).*

O posłanko nadziemskich przestrzeni!
Pieśni twojej pochłania mię czar,
W twoich licach miłość się płomieni,
Z oka strzela płomienisty żar.
Piękność, wdzięki, namiętność, natchnienie,
Urok słowa i rozkoszy raj,
Wszystko w tobie, o cudne zjawienie!
Daj twą miłość! — o daj mi ją, daj!
(Rzuca się do jej stóp).

FEDRA *(otaczając go ramionami).*

Hippolicie wstań! ja kocham cię!
Moc przeznaczeń łączy nas na wieki,
Z moich objęć już nie wydrzesz się!
Jak w bezwodnej pustyni śród spieki,
Biedny pielgrzym upada z pragnienia,
Tak ja biedna w mej doli ciernistej,
Zapragnęłam pociechy, westchnienia,
Łzy od ciebie, zdroju mój srebrzysty!
Dziś wybucha żar twej namiętności,
Ty z miłości drżysz w objęciu mem,
Ty u mych nóg żebrzesz mej miłości...
Bogi! bogi! i to nie jest snem?!

(Przez chwilę, zatopieni we wzajemnem upojeniu, pożerają się wzrokiem. Potem Hippolit zrywa się, jakby przebudzony i odtrąca od siebie Fedrę).

HIPPOLIT.

Odstąp Fedro! odstąp nieszczęśliwa!
Jakiejż chciałem dopuścić się zbrodni?!...
Grot sumienia me serce przeszywa,
Syn i żona — oboje wyrodni —
Stargać chcieli najświętsze przysięgi!
Namiętnością porwany szaloną,
Pod urokiem twych wdzięków potęgi,
Zapomniałem, że jesteś mu żoną,
Żem ja synem! Oboje przeklęci
Urągamy Tezeja pamięci!
Odstąp Fedro! wzrok odwróć ognisty,
Który cios mi śmiertelny zadaje.
Obowiązek, gniew bogów, zwyczaje
Między nami mur wznoszą wieczysty.

FEDRA.

Więc uchodźmy z tej ziemi przeklętej,
Niech śmierć skrzydła swe lotne rozwinie!
O! tam w prawdy wieczystej krainie
Los nie zdoła nas dotknąć zawzięty.
Tam żal ziemski i bole ukoim...
O, tam możesz na wieki być moim!

HIPPOLIT.

Nie, nie Fedro! to próżna nadzieja,
Czyż tam zdrada być zdradą przestanie?
Tam nas spotka cień groźny Tezeja
I przekleństwem potrąci w otchłanie
W głąb Tartaru!

FEDRA.

Napróżno mój miły
Chcesz potargać różane te pęta.
Znam ja lepiej od ciebie twe siły...
Większa od nich miłości ponęta,
Tyś wychylił zatrutą jej czarę...
Próżny opór, — ty kochasz mię już.

HIPPOLIT.

Ja Aricyi przysiągłem mą wiarę...
Chcesz bym złamał, — to życie me skrusz!
Ja nas muszę z nad brzegu otchłani
Uratować wbrew woli twej, nim
Strasznym wirem obłędu porwani,
Runiem w przepaść!

FEDRA.

Ha! na czole mém
Znak zatraty snać bóstwo wyryło!

Przeznaczenie z niezbłaganą siłą
Ściga cały Minosowy ród!
Pocóż płonne goniłam rojenia?
Pocóż serce spotkałam z kamienia?
Przecz mię morze nie pożarło wprzód?!
Miłość! miłość! ona mię zabije!
Ona w każdem tętnie mojem drga.
Czyliż serce Aricyi tak bije?
Czy pokocha ciebie tak, jak ja —!?

(Chwytając go).

Hippolicie!

HIPPOLIT.

O puść mię na bogi!
W mojej duszy chaos, rozpacz, szał!...

FEDRA.

O nie odchodź, nie odchodź mój drogi!
Mnie opuścić, czyżbyś serce miał?
Gdyś gwałtowną miłością rzucony
O wzajemność błagał u stóp mych,
Jam słyszała wyrok niecofniony
Bóstw nadziemskich... czułam bytność ich!...
Gdy dreszcz słodki przebiegł nasze ciała,
Ogień uczuć spłynął w jeden żar,
Czułam, że to ich wola się stała,
Że ta miłość — to jest niebian dar!

HIPPOLIT *(obejmując ją namiętnie).*

Fedro moja! Fedro!

(Odtrąca ją).

O nie! nie!
Odstąp! odstąp... miej litość nademną!
Czy nie widzisz, co dzieje się ze mną?...

O nieszczęsny! — próżno silę się
Zwalczyć miłość, która mię zatraca, —
Zgnieść uczucia, co jak powódź rosną...
Ty mnie gubisz... Fedro, żegnam cię!

(Odchodzi).

SCENA TRZECIA.

FEDRA. — OENONE.

OENONE *(wchodząc spiesznie).*

O królowo! niosę ci radosną
Wieść: O Fedro! on wraca! on wraca!

FEDRA *(jakby z głębokiego snu przebudzona).*

Kto powraca?

OENONE.

I ty pytasz się?
Szczęścia twego wybiła godzina,
Czyż twe serce nadziemskie i wieszcze
Nic nie mówi, że się pytasz jeszcze,
Kto powraca?

SCENA CZWARTA.

FEDRA. — OENONE. — TEZEUSZ. — PIRYTOUS. — ORSZAK ZBROJNY. — *potem* HIPPOLIT i ARICYA.

TEZEUSZ *(wchodzi z pośpiechem i porywa Fedrę w objęcia).*

O moja jedyna!
Zbytek szczęścia, radości niezmiernej
Głos mój tłumi... W dalekiej stąd ziemi,
Otoczony ludami wrogimi,
Zginąć miałem... lecz zbawił mię wierny

Pirytous... o jemu złóż dzięki,
Że mię wydarł ze śmierci paszczęki.

(Do Fedry skamieniałej).

Co ci Fedro?... ty chwiejesz się zbladła...
Co ci?...

FEDRA *(usiłując wstrzymać się).*

Nic... nic... to zbytek wzruszenia...

TEZEUSZ *(do Pirytousa).*

Pomoc twoja jak z nieba mi spadła,
Na jej prośby, wszak z jej to natchnienia
Tyś mię szukał?

FEDRA *(na stronie).*

O!

HIPPOLIT *(wbiega i rzuca się na szyję ojcu).*

A więc cię do piersi
Tulę znowu mój drogi rodzicu!
I znów mogę w szlachetnem twem licu
Czerpać męstwo. O pójdźmy najpierwsi
Opiekuńczej hołd złożyć Atenie,
Za twój powrót, za twe ocalenie.

TEZEUSZ.

O mój synu, pod cierpień nawałem,
Wśród niedoli i ciężkiej tęsknoty,
W obcej ziemi dopiero poznałem,
Jak was kocham, najdroższe istoty!

ARICYA *(wchodząc).*

Spiesz, spiesz królu! lud zbiega się mnogi,
Pragnie widzieć, pragnie witać cię.

TEZEUSZ.

Tu go wpuścić — niech wnijdzie w te progi,
Niech lud wierny dzieli szczęście me.
Pójdźmy Fedro!

(Wszyscy, wyjąwszy Fedry, zwracają się ku arkadzie sali, poza którą widać przybywające tłumy ludu).

FEDRA *(usiłując zachować przytomność).*

O jakże mną miota
Przeznaczenia nieprzeparta moc:
Boleść, radość, zwątpienie, sromota,
Znikłe szczęście i rozpaczy noc.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

Scena przedstawia publiczny plac w Atenach. Głąb zajmuje świątynia Afrodyty, przed którą głównemi drzwiami stoi na podwyższeniu kilku stopni ołtarz tej bogini.

SCENA PIERWSZA.

FEDRA. — HIPPOLIT. — TEZEUSZ. — ARICYA. — OENONE. — ARCYKAPŁAN. — KAPŁANI. — MŁODZIEŃCY. — DZIEWICE. — ORSZAK KRÓLEWSKI. — LUD.

(Hippolit i Aricya stoją przed ołtarzem, na którego stopniach stoi Arcykapłan z pochodnią. Fedra z prawej, Tezeusz z lewej strony ołtarza. Kapłani otaczają z tyłu ołtarz. Młodzieńcy od strony Hippolita, dziewice po stronie Aricyi stoją ukośnie od ołtarza, aż ku przodowi sceny. Lud ugrupowany całkiem w głębi, na schodach świątyni. Przed ołtarzem odbywają się zaślubiny Aricyi z Hippolitem wśród hymnu).

ARCYKAPŁAN.

Afrodyte z pian zrodzona
Łaski swoje na nas zlej,
O świetlana, nieskończona!
Pobłogosław parze tej.

FEDRA *(cichym głosem, przechodząc koło Hippolita).*

Czyż choć słówkiem nie pocieszysz mnie?

HIPPOLIT *(smutno i łagodnie).*

Z wolą bogów kornie zgadzam się.

ARCYKAPŁAN.

Nieskalana ta ofiara,
Którą tu składamy ci,
Niechaj sprawi, by ta para
Używała błogich dni.

FEDRA *(cicho do siebie).*

To zanadto! czuję bliski zgon...
On ślubuje innej! bogi! on!!

CHÓR KAPŁANÓW, DZIEWIC i MŁODZIEŃCÓW.

Afrodyte z pian zrodzona,
Łaski swoje na nas zlej.
O świetlana! nieskończona!
Pobłogosław parze tej.

FEDRA *(j. w.).*

Gdzież odwaga? Gdzie znajdzie się siła,
Bym znieść mogła ten okropny cios?
Przemoc bogów w przepaść mię strąciła...
Mamże kląć ich i złorzeczyć w głos?!

ARCYKAPŁAN.

O bogini! o wspaniała,
Jak poranny słońca blask,
Chwała tobie, chwała! chwała!
Pani wdzięków, pani łask!

FEDRA *(j. w.).*

Apollinie! bożku zemsty żywy!
Mścij się za mnie! nie szczędź swoich strzał,

Pod któremi Pyton legł straszliwy;
Jakoś Nioby syny trupem słał,
Jako oni nie uszli zaguby —
Tak swym grotem zniszcz rywalkę mą.
Niechaj zginie, nim wyrzecze śluby,
Nim mu wiarę zaprzysięgnie swą!

ARCYKAPŁAN.

Eros niechaj ich w różanny,
Czarujący wiedzie kraj,
Gdzie miłości nieustanny
Zakochanych czeka raj.

CHÓR.

Eros niechaj ich w różanny,
Czarujący wiedzie kraj,
Gdzie miłości nieustanny
Zakochanych czeka raj!

FEDRA *(w pół pozbawiona przytomności, zaledwie mogąc utrzymac się na nogach, na odgłos hymnu nie może stłumić wzburzenia i mówi do siebie cicho, ale z coraz bardziej wzrastającem wzruszeniem).*

Czas ubiega!... bogów rzeszo mściwa!
Czyś ogłuchła na jęk mej rozpaczy?
Ból okrutny pierś moją rozrywa,
A wy moim urągacie łzom!
Wy milczycie... bogi! co to znaczy?
Gdzie moc wasza? gdzie zabójczy grom?!

ARCYKAPŁAN *(wznosząc płonącą pochodnię w górę).*

Pobłogosław o Hymenie
Młodej parze światłem twym,
Niech pochodni twej płomienie
Rozjaśniają życie im!

(Fedra podczas następnego chóru toczy z sobą gwałtowną walkę, usiłując powstrzymać wybuch gniewu i rozpaczy).

CHÓR.

Pobłogosław o Hymenie
Młodej parze światłem twym,
Niech pochodni twej płomienie
Rozjaśniają życie im.

ARCYKAPŁAN *(uroczyście).*

Aricyo! oto oblubieniec twój!
Dozgonną wierność przysięgnij mu.

FEDRA *(z dzikim okrzykiem biegnie do Arcykapłana).*

Stój!!
Czyś oszalał bezbożny kapłanie?
On jest moim! jego z objęć mych
Żadna przemoc wydrzeć nie jest w stanie!
Szydzę z ciebie! szydzę z bogów twych!
Rozpacz i ból niewypowiedziany
Nie porusza tych ohydnych mar,
Ja te nędzne przeklinam bałwany!
Gardzę nimi! drwię z gniewu i kar,
Oni chcą mię pozbawić miłości
Hippolita, co mi szczęściem był.
Precz z ołtarzem kłamstwa i podłości!
Razem z ich czcią niechaj runie w pył!

(Wywraca ołtarz, potem wyrywa pochodnię z rąk Arcykapłana i rzuca ją na ziemię).

Zgaśnij blasku płomienisty!
Niemaż tu weselnych gód!
Niech uderzy grom siarczysty
I zagładzi wrogi ród!

(Wszyscy z przerażeniem cofają się. Kapłani i młodzieńcy gaszą pochodnie. Fedra stoi jak posąg na stopniach wywróconego ołtarza).

ARCYKAPŁAN.

Przekleństwo nam!

CHÓR.

O dniu straszliwy!
Zginiemy wraz,
Bo Hades mściwy
Wytraci nas!

(Fedrę nieprzytomną, chwiejącą się i bliską upadku Hippolit chwyta w swoje objęcia i sprowadza ze stopni ołtarza).

HIPPOLIT.

Fedro!

FEDRA *(rzucając na niego upajające, wpół zagasłe spojrzenie).*

Umrzyj... umrzyj ze mną wraz!

HIPPOLIT.

Tak umrzyjmy, na wieki zgubieni,
Miejsce nasze wśród przeklętych cieni,
Gińmy razem! ten świat nie dla nas!

FEDRA.

O śmierć dla mnie jest pełną ponęty,
Gdyś się moim ubłagać dał łzom.

(Upada w objęcia Hippolita, który klęcząc obok Fedry, wpatruje się w nią z obawą. Aricya, ogłuszona bolem i zgrozą, stoi jakby nieprzytomna. Inne osoby, będące na scenie, przychodzą powoli do opamiętania).

TEZEUSZ *(rozłączając gwałtem Hippolita z Fedrą).*

Precz niewierna! — puszczaj ją przeklęty!

(Do Hippolita).

Ty nieszczęsny! Tyż to Hippolicie,
Tyś zapomniał należnej mi czci?
Tyś mię shańbił?! Tyś zatruł mi życie
I królewskiej skaził czystość krwi?!
Mógłżeś uledz żądzy jej zbrodniczej?

HIPPOLIT.

Ojcze, ty ją widziałeś natchnioną,
Tyś się poił wdziękiem jej obliczy,
Tyś jej mowę pochłaniał pieszczoną
I olśniony jej boską istotą,
Blaskiem ogni, co w jej oku skrzą,
Sam uległeś... a mnie pytasz o to,
Jak się stało, żem pokochał ją?...
Wszak krew u mnie nierównie gorętsza,
Umysł słabszy, natura nie świętsza...
Winy mojej nie taję. Weź życie!
Cóż mi po niem... użyj władzy twej,
Lecz o jedno błaga cię twe dziécię:
O pozwól mu skonać u stóp jej!

TEZEUSZ.

A więc w zbrodni twej zapamiętały
Nie znasz żalu? Za twój straszny czyn
Lud truchleje... niebiosa zadrżały,
A ty nędzny chlubisz się z twych win?!

(Zwracając się do zbrojnych).

Do Trezeny! precz z nim! tam na bogi
Hańbę naszą obmyje swą krwią!

ARICYA.

Tezeuszu! cofnij rozkaz srogi,
Siebie ukarz! nie jego, nie ją!

TEZEUSZ.

Co?!

ARICYA.

Tak, siebie. Któż kazał ci gonić
Marną sławę po szerokim świecie?
Dwoje ludzi w porannych lat kwiecie
Od pokusy czyż zdoła się bronić?
Dwa samotne serca bolejące
W jedno serce często łączy łza.
W liście suche zarzewie rzuć tlące,
A w płomienie zamieni się skra.

TEZEUSZ.

I tyż bronisz tych, co cię nikczemnie
Oszukali?... co z wstydu wyzuci,
Ulegając najnędzniejszej chuci,
Szydzą jawnie i z ciebie i ze mnie?!

ARICYA.

To był obłęd, dziki wybuch szału,
Spójrz na Fedrę — nie patrzy, nie słucha.
Czyż to dziecię poezyi, zapału,
Córa wyżyn najwznioślejszych ducha,
Myślą może dopuścić się zbrodni?
O nie, nigdy! Wpływ ofiary tej,
Tkliwe hymny, blask świętych pochodni,
Widno zmysły odebrały jej.

TEZEUSZ *(do Hippolita)*.

Któż podnietą w tym czynie zbrodniczym?
Niech twe słowo zasłonę tę zedrze.

HIPPOLIT.

Nic nie wyznam. Ja nie wiem o niczém,
Każ mię zabić, ale przebacz Fedrze!

TEZEUSZ.

Precz z mych oczu! zginiecie oboje.
Pójdź Aricyo.

ARICYA.

O ja pójdę z nim
Do Trezeny... tam miejsce jest moje,
Los małżonka będzie losem mym.

(Zbrojni otaczają i wyprowadzają oboje).

TEZEUSZ *(wpatrując się w omdlałą Fedrę).*

Fedro! Fedro! w postaci uroczej
Duchu piekieł! Złamałaś mi śluby,
Znieważyłaś bogi. Ja twej zguby
Nie chcę. I tak życie twe zamroczy
Wieczna rozpacz, tęsknota, boleści,
Gdy się dowiesz, że twój ulubiony
Z swą małżonką opuścił te strony,
Że go ona na łonie swem pieści.
Śmierć najmilszem marzeniem twej duszy,
Lecz nie umrzesz... o, jeszcze lat wiele
Konać będziesz w pogardzie, w katuszy.
O bogowie, krzywd ludzkich mściciele,
Wy ukarzcie ich zdradę. Łzy moje
Waszej zemście oddaję — ich dwoje,
Syn mój drogi, małżonka jedyna,
W dom mój wnieśli zakałę i srom;
Nie mam żony i nie mam już syna!
Puste serce... i pusty mój dom!

(Odchodzi — za nim wszyscy, oprócz Fedry i Oenone).

SCENA TRZECIA.

FEDRA. — OENONE.

FEDRA *(podnosząc się).*

Czy słyszałaś... on przeklina
Jedynego swego syna...
Własne dziecię, własną krew!
Ale niebios on nie wzruszy,
Hippolita czystej duszy
Nie dosięgnie bogów gniew.
Niechaj klątwa mnie powali!
Żar ognisty niech mię spali!
On nie winien, tylko ja!
Namiętnością obłąkana,
Owładnęłam duch młodziana...
Szał ogarnął serca dwa!
I uczucia wzniosłe, czyste,
Nieskalane, promieniste
Wystrzeliły w cudny kwiat.
Żądza ziemska ich nie splami,
Bo wybiegły pieśnią, łzami
W górne sfery, poza świat.
Grom ugodził we mnie biedną
I promyki szczęścia bledną...
I miłości runął tron.
Serce tylko piosnkę nuci,
Że on wróci... że on wróci...
O, tak! Do mnie wróci on!

OENONE.

O, daremne są twoje nadzieje.
On z swą żoną zmierza ku Trezenie.
Miłość dawną wzmocniło cierpienie.

FEDRA *(gwałtownu)*.

To nie prawda! Och, ja oszaleję...
Wszak ty kłamiesz... nieprawdaż? mów żywo!
Król ci kazał — wyznaj! on nie słyszy.

OENONE.

Rzekłam prawdę.

FEDRA.

Ona towarzyszy
emu? Ona! I miłością tkliwą
Tchną nawzajem!! Czy ja śpię... czy marzę?!
On Aricyą nademnie przekłada...
Ha! rozumiem. O biada mi! biada!!
Jam bluźniła! jam bóstwa ołtarze
Zgruchotała!
Więc w nieszczęść powodzi,
W walce z losu zrządzeniem zawziętem
Brakło tylko napełnić go wstrętem!

OENONE.

Król tu idzie.

FEDRA.

Cóż król mnie obchodzi,
Gdym straciła me szczęście jedyne?
Wszak mnie miłość popchnęła do zbrodni,
A ja blaski jej świętej pochodni
Zagasiłam. O ciężką tę winę,
Okupując błagalną ofiarą,
Hippolita osłonię przed karą.

(Odchodzą z Oenoną).

SCENA TRZECIA.

(Scena zaciemnia się coraz bardziej. Bałwany czarnych chmur okrywają horyzont, błyskawice przerzynają powietrze, wicher wyje i słychać grzmoty w oddaleniu).

TEZEUSZ *(wchodzi powolnym krokiem, znękany boleścią).*

Daremnie uchodzić stąd chciałem...
Jakaś dziwna, niepojęta siła
Tu mię ciągnie, tu mię iść zmusiła.
Czarne myśli tłoczą się nawałem
I gwałtownie w te pędzą komnaty,
Gdzie przebyłem wiosnę życia całą
W lepszej doli.
W tem miejscu przed laty
Lube chłopię w mych oczach igrało...
Tum pacholę wprawiał do oręża,
Tu wziął z lauru najpierwszą koronę,
Tu w mych oczach rozwinął się w męża...
Dziś komnaty te osamotnione,
Jak me serce, jak moje nadzieje...
Cisza głucha... już dźwięk jego mowy
Jej nie przerwie. Jakiś chłód grobowy,
Chłód okropny z ciemnych komnat wieje.
(Grzmi. Tezeusz wspiera się na zwaliskach ołtarza).
Niebo groźną zapowiada burzę...
Wicher zrywa czuby drzew w zamieci.
(Wpatrując się w niebo).
Zda się w czarnej otulone chmurze
Widmo klątwy za mym synem leci.
Jam wywołał straszne te zjawiska,
Ja zbudziłem mściwy bogów gniew
Przeciw niemu...
(Błyskawica).

Jak okropnie błyska!
Całe niebo rozlewa się w krew.
(Nadsłuchuje).
Jakaś wrzawa dobiega z daleka...
Jęk to wichru?... czy głosy boleści?...
To głos ludzki... o cóż mi obwieści?
Jakież nowe nieszczęście mię czeka?

SCENA CZWARTA.

TEZEUSZ. — ARICYA. — PIRYTOUS. — MŁODZIEŃCY. — NIEWOLNICY.

ARICYA *(blada i znękana wchodzi chwiejnym krokiem — za nią Pirytous na czele orszaku młodzieńców, którzy niosą na marach zwłoki Hippolita, płaszczem przykryte i stawiają je u stóp Tezeusza).*
Królu! oto zwłoki twego syna.

TEZEUSZ *(zakrywając twarz).*
O bogowie!!

ARICYA.
Kwiat wdzięczny podcina
Ostrze śmierci. Patrz on niemy, blady —
Pokój błogi świeci w jego twarzy...
Już on więcej ciebie nie znieważy,
Ni mniemanej nie popełni zdrady,
Ani w szczęściu zaporą ci stanie.
O coś błagał — wysłuchały bogi.
(Rzuca się z boleścią na ciało Hippolita).
O mój drogi! o drogi mój!... Drogi!

TEZEUSZ *(zakrywając twarz rękami).*
O!!

PIRYTOUS
Bądź mężnym!

TEZEUSZ.

Już nie zmartwychwstanie!
O zbyt spiesznie Erynny potworne
Wypełniły płoche złorzeczenia.

PIRYTOUS.

Zapadały już cienie wieczorne
Kiedym z niemi zdążał ku Trezenie.
Ciężkim bólem Hippolit znękany
Szedł w milczeniu. Chcieliśmy daremnie
Tkliwem słowem goić świeże rany
I rozproszyć duszy jego ciemnie.
Otulony zadumy obłokiem,
Puścił wodze — a rącze rumaki,
Jakby dając współczucia oznaki,
Z łbem zwieszonym powolnym szły krokiem.
Wtem grom straszny powietrze przerzyna,
Huk okropny wtórzy w ziemi łonie.
Mróz przestrachu krew w żyłach nam ścina,
Popłoszone dębem stają konie —
A noc czarna kirem nas oblekła
I dokoła ryczy burza wściekła.
Nagle morze zbielało od piany,
Wody kipią, wzdymają się, rosną:
Fal spiętrzonych rozwarły się ściany
I poczwarę wyrzuciły sprosną;
Ziejąc żarem, w kłąb rozwinion smoczy,
Srogi potwór wprost na nas się toczy.
Kiedy zagrzmiał piorunowym rykiem,
Drżały szczyty niewzruszonych skał,
Cały orszak rozprasza się z krzykiem.
Syn twój jeden niezachwiany stał
I potęgą prawicy swej dzielnej

W pierś straszydła śle pocisk śmiertelny.
Runął potwór pod końskie kopyta,
Tocząc z paszczy posokę obrzydłą.
W tem rumaki zrywają wędzidło
I unoszą wichrem Hippolita.
Ledwie błyskiem wóz koło nas mignął
Krzyk okropny nieszczęście nam wieści,
Krzyk podwójny: rozpaczy, boleści!
Pędzim za nim — dech w piersi zastygnął...
Naraz jakby sił brakło naturze,
Cisza tłumi burzę rozszalałą...
Błysnął księżyc przez szczelinę w chmurze
I oświecił zgruchotane ciało
Hippolita. Chwytam je w ramiona,
Cucę... próżno... już skrzące to oko
Zaciemniła śmiertelna opona.
Spojrzał tylko, raz westchnął głęboko
I skonał...

TEZEUSZ.

Och!!

PIRYTOUS.

Wypełnił się srogi
Los przeznaczeń.

ARICYA.

O drogi mój, drogi!
Ja cię w szatę ustroję weselną,
Pójdziem razem w nadziemskie krainy,
Gdzie za nasze cierpienia bez winy
Bogi dadzą radość nieśmiertelną.

(Upada na zwłoki Hippolita i nie podnosi się więcej, chociaż zdaie się słyszeć słowa Fedry).

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — OENONE. — FEDRA.

(Fedra wchodzi chwiejnym krokiem, wsparta na Oenonie, otoczona orszakiem niewiast).

FEDRA *(do Tezeusza).*

Mimo twej wzgardy, pomimo ohydy,
Jaką tchniesz dla mnie, przed tobą tu staję;
Jad przez Medeę przywiezion z Kolchidy
Krąży w mych żyłach i śmiałość mi daje
Mówić do ciebie.
W chwili uroczystej,
Gdy już śmiertelne wstrząsają mną dreszcze,
Usta nie skłamią.
Słuchaj mię — raz jeszcze
Powtarzam: Syn twój czysty i niewinny
Jak cześć dziewicza, jak uśmiech dzieciny.
Jam tylko winna!

TEZEUSZ.

A więc z twojej winy
Zginął?

FEDRA.

Tak, z mojej. — Gdy śród młodzi mnóstwa
Błysła mi jego postać jaśniejąca
Cudną pięknością, podobna do bóstwa,
Padł na mnie urok i stanęłam drżąca...
Myśl obłąkana wybiegła do nieba,
Bom w nim ujrzała promiennego Feba.

(Pauza).

Moc tylko ducha strzegła czci niewieściej,
A tyś mię w walce opuścił z sumieniem.

(Pauza).

Nagle nadchodzą o śmierci twej wieści
I cóż dziwnego, że tracę moc ducha,
Że żar tłumiony w płomienie wybucha,
Że z piersi wzdętej nadziemskiem natchnieniem
Wybiegły pieśni?...
I któż go obwini,
Że pod ich grotem, jak raniona łania
Padł... i podobnej do natchnień bogini
Słał uwielbienie w chwili obłąkania.
Lecz w jednej chwili rozerwał te pęta,
Na jego sercu ciążące ołowiem.
Za cóż więc bogów nienawiść zawzięta
Karze nas srodze?

TEZEUSZ.

Za co? Ja ci powiem:
Czyż sprawiedliwość odwieczna przebaczy
Mnie, żem was wydarł Minosowi zdradnie,
Tobie — żeś na łup dała go rozpaczy,
Nam — za Arjadnę... Wspomnij o Arjadnie!
Gdzie twoja siostra? Przez nas opuszczona
W bezludnej ziemi z rozpaczy tam kona.
Lecz wyrzutami już cię nie obarczę
I jam zawinił.

(Wyciąga ręce ku niebu).

O przebacz twe męki
Nieszczęsna siostro! opuszczony starcze!
Jak ja przebaczam tej biednej.

FEDRA.

O dzięki!
Tyś mi przebaczył... śmierć będzie mi lżejszą.

(Pauza).

O, śmierć jest w życiu chwilą najpiękniejszą,
Ona mnie wzniesie w krainę błękitną
Odwiecznych bogów... w nieskończoną toń

(Pauza).

Na mojem czole jeszcze wieńce kwitną
I laur, zdobiący mą skroń,
Nie zwiądł od ognia boleści.
I cóż mi po nim w skonania godzinie?
Nie chcę już wieńca!
Niechaj owinie
Skronie młodzieńca.

(Zdejmuje laur z głowy i wieńczy czoło Hippolita).

Niech mu nadziemską pieśnią szeleści.
Jemu oddaję to, co mi było
Najwyższą w świecie rozkoszą...
Niech laur nad jego mogiłą
Żałobne duchy unoszą

(Pauza).

Ja świat, na którym wycierpiałam tyle,
Który mi łamał lotne moje skrzydła
I zwodne ziemskie mamidła,
Rzucam w tę chwilę.
Śmierć mię wyzwala z tych marnych obsłonek,
Powłoka łamie się krucha,
Wieczysty świta mi dzionek;
Mojego ducha
Unosi geniusz poezyi skrzydlaty
W dal... poza światy.

(Zwraca się do Hippolita).

Tobie poświęcam ostatnie me tchnienie.
Tam nasza miłość będzie trwała nieskończenie,

Wolna od więzów, w które je pętało
To biedne ciało.
(Pauza. Fedra wpatruje się w niebo).
Jakież to światło tam
Wśród nocy cienia?
To moja gwiazda! o ja ciebie znam!
Gwiazdo natchnienia,
Jasności promieniejąca!
W te krainy powiedź nas,
Gdzie króluje miłość wrząca,
Nieskalana i przeczysta,
A potężna i wieczysta,
Jak bóg bogów... Kronion... Czas!
(Osuwa się na stopnie ołtarza i umiera lekko).

KONIEC.

RUY BLAS

DRAMAT W 5 AKTACH

WIKTORA HUGO

OSOBY:

RUY BLAS.
DON SALLUSTIO DE BAZAN.
DON CEZAR DE BAZAN.
DON GURITAN HR. ONATO.
HRABIA DE CAMPOREAL.
MARKIZ DE SANTA-CRUZ.
MARKIZ DEL BASTO.
MARKIZ DE PRIEGO.
KSIĄŻĘ ALBA.
DON MANUEL ARIAS.
MONTAZGO.
DON ANTONIO UBILLA.
COVADENGA.
GUDIEL.
LOKAJ.
ALKAD.
ODŹWIERNY.
ALGUAZIL.
PAŹ.
DONNA MARIA z Neuburga, królowa hiszpańska.
KSIĘŻNA ALBUQUERQUE.
KASYLDA.
DUEGNA.

DAMY — PANOWIE — RADCOWIE TAJNI — PAZIOWIE — DUEGNE — ALGUAZILE — GWARDYA — ODŹWIERNI.

Rzecz dzieje się w Madrycie 169... r.



AKT I.

DON SALLUSTIO.

Sala Danai w pałacu królewskim w Madrycie. — Umeblowanie wspaniałe w stylu pół flamandzkim z czasów Filipa IV-go. Po lewej stronie wielkie okno w złoconych ramach — po obydwóch stronach w ścianach skośnych, zastępujących miejsca kątów, drzwi nizkie, prowadzące do wewnętrznych apartamentów. — W głębi wielka przegroda szklanna z złocistemi ramami, otwierająca się szerokiemi podwojami oszklonemi na wielką galeryę. Galerya ta, ciągnąca się przez całą scenę, jest osłonięta wielkiemi oponami, które spływają z góry na dół przegrody szklannej. — Na przodzie stół, fotel i potrzeby do pisania.

Don Sallustio wchodzi przez małe drzwi z lewej strony, za nim Ruy-Blas i Gudiel, niosący szkatułkę i różne podróżne pakunki. Don Sallustio, ubrany w kostyum czarny, aksamitny, dworski, z czasów Karola II-go. Złote runo na szyi. Na kostyumie czarnym bogaty płaszcz z jasno-zielonego aksamitu, bramowany złotem i podszyty czarnym atłasem — szpada z wielką gardą, kapelusz z białemi piórami. Gudiel ubrany czarno, ze szpadą przy boku. Ruy-Blas w liberyi: spodnie i kaftan brunatny, wyłogi czerwone, obszyte galonami — bez szpady — głowa odkryta.

SCENA PIERWSZA.

DON SALLUSTIO. — GUDIEL — *za nim* RUY-BLAS.

DON SALUSTIO.

Ruy-Blas, drzwi zamknij — otwórz okno — dnieje.

(Ruy-Blas spełnia rozkaz; potem na znak Don Sallustia wychodzi drzwiami w głębi — Don Sallustio idzie do okna).

Wszystko śpi jeszcze — wnet dzień zajaśnieje.

(Zwraca się porywczo do Gudiela).

Grom mię ugodził — wpływ mój obalony,
Gudielu, jam w niełasce, wygnan, wypędzony!
W dniu jednym wszystkom stracił — rzecz jeszcze
[tajemna,
Nie mów o tem przed nikim. — Miłostka nikczemna,
Rzecz w moim wieku głupstwa, szaleństwa oznaką,
Jeszcze z kim? Z dworką, z dziewką prostą, ladajaką!
Uwiedziona — rzecz straszna! — lecz pannica miła
Z dworu królowej — z nią tu z Neuburga przybyła
Więc z lamentami na mnie ta wiedźma zażarta
Na pokoje królewskie przywlokła bękarta.
Każą mi się z nią żenić. Nie chcę — więc wygnany,
Wygnany! lat dwadzieścia pracy niesłychanej,
Dwadzieścia lat dostojeństw, trudów w dzień i w nocy.
Prezes Alkadów dworu — monarszej wszechmocy,
Którego nikt bez trwogi nie wyrzekł nazwiska;
Głowa domu Bazanów celem pośmiewiska!
Władza, znaczenie, wszystko, o czem wciąż marzyłem
Wszystko, co chciałem zrobić i co już zrobiłem,
Stopnie, urząd, godności... wszystko naraz w prochu,
Pośród wrzasków i szyderstw podłego motłochu!

GUDIEL.

Książę! o tem nikt nie wie.

DON SALLUSTIO.

Tak, dzisiaj do świtu —
Lecz jutro będą wiedzieć. Wyjeżdżam z Madrytu,
Ja nie chcę upaść — o nie! Zniknę niespodzianie,

(Gwałtownie rozpinając kaftan).

Spinasz mię zawsze ciasno, jak księdza w sutanie,
Zanadto ściskasz kaftan — duszę się mój drogi.

(Siada).

O ja wykopię skrycie — nie budząc twej trwogi,
Głęboki dół pod tobą — dół ciemny — grobowy...
Wygnany!

(Zrywa się).

GUDIEL.

Lecz skądże wypadł cios ten?

DON SALLUSTIO.

Od królowej;
O ja się zemszczę, zemszczę! słyszysz mię Gudielu?
Ty, któryś mię wychował — który od lat wielu
Pomagałeś mi — służył na każde skinienie,
Ty, który znasz najgłębsze myśli moich cienie,
Jak biegły budowniczy na jeden rzut oka
Wie, gdy wykopał studnię, jak ona głęboka.
Jadę — schronię się w Finlas — w kastylskie wyżyny,
Do mych dóbr—tam plan zrobię. Dla jednej dziewczyny!
Urządź wszystko do drogi — niech czasu nie tracą,
Ja chcę jeszcze pomówić z owym — wiesz — ladaco.
W każdym razie przyda się, gdy nadejdzie pora.
Ja tutaj panem jestem tylko do wieczora...
Zemszczę się — jak?... Nic nie wiem — drzemią jeszcze
[plany.
Lecz pragnę zemsty strasznej, zemsty niesłychanej!
Pospiesz i do wyjazdu zrób przygotowanie.
Jedziesz ze mną — idź!

(Gudiel kłania się i odchodzi).

Ruy Blas!

RUY BLAS *(ukazując się we drzwiach, w głębi).*

Jestem jasny Panie!

DON SALLUSTIO.

Gdy tu już spać nie będę — gdyż rzucam stolicę —
Trzeba zostawić klucze, zamknąć okiennice.

RUY BLAS *(kłaniając się).*

Natychmiast Excellencyo.

DON SALLUSTIO.

Słuchaj — proszę ciebie,
Królowa wróci tędy galeryą do siebie,
Idąc ze mszy na salę, gdzie da posłuchanie.
Za dwie godziny Ruy Blas bądź tu!

RUY BLAS.

Będę panie!

DON SALLUSTIO *(idąc do okna).*

Patrz! czy widzisz człowieka tego tam na placu,
Pokazał papier strażom przy bramie pałacu.
Daj mu znak, nic nie mówiąc, by wszedł tu tajemnie
Przez wąskie schody.

(Ruy Blas daje znak — Don Sallustio mówi dalej, wskazując drzwi na prawo).

Zanim odejdziesz odemnie,
Zobacz obok w pokoju straży pałacowych,
Czy trzech Alguazilów czeka tam służbowych.

RUY BLAS *(idzie do drzwi na prawo, otwiera i wraca).*

Są, lecz śpią Excellencyo.

DON SALLUSTIO.

Ciszej... pst, stąpanie,
Będę cię potrzebował, bądź na zawołanie.
Stój na czatach, ażeby nam nie przeszkadzali.

(Wchodzi Don Cezar de Bazan: — kapelusz na bakier — wielka opończa podarta nie dozwala widzieć nic więcej z pod spodniego ubioru nad pończochy opadłe i wykrzywione trzewiki — u boku wielki rapier. W chwili, gdy wchodzi, spotyka się wzrokiem z Ruy Blasem i obadwa okazują zadziwienie).

DON SALLUSTIO *(przypatrując się im, mówi do siebie).*

Co znaczą te spojrzenia — czyliżby się znali?

(Ruy Blas wychodzi).

SCENA DRUGA.

DON SALLUSTIO. — DON CEZAR DE BAZAN.

DON SALLUSTIO.

Aha! to ty bandyto!

DON CEZAR.

Tak kuzynku, to ja.

DON SALLUSTIO.

Miło widzieć takiego łajdaka, opoja!

DON CEZAR *(kłaniając się).*

Nawzajem.

DON SALLUSTIO.

Znam twe sprawki, rozboje, łupieże.

DON CEZAR *(uprzejmie).*

Są, jak mniemam, w twym guście.

DON SALLUSTIO.

Ot łotrowstwo świeże:
Karlosa Mirę zeszłej nocy okradziono,
Wzięto mu szpadę z gardą cudnie wyrzeźbioną,

Kaftan; w wielką niedzielę taka kradzież gruba! —
A że jest kawalerem świętego Jakuba,
Płaszcz mu pozostawili.

DON CEZAR.

O słodki Jezusie
Dlaczego?

DON SALLUSTIO.

Herb był na nim, bali się rabusie.
Cóż na ten rozbój mówisz?

DON CEZAR.

Do dyabła! to dziwy,
Żyjemy, mój kuzynie, w epoce straszliwej.
Boże mój, cóż nas czeka od nocnych hultai?
Nadskakują świętemu, by wszedł do ich zgrai.

DON SALLUSTIO.

Byłeś tam?

DON CEZAR.

Że tam byłem, chętnie się pochwalę,
Lecz twojego Karolka nie dotknąłem wcale —
Dawałem tylko rady.

DON SALLUSTIO.

O to cię zaszczyca —
Wczoraj na wielkim placu, po zajściu księżyca
Podła gawiedź, tłum bosy, hultajstwo obdarte,
Odważyło się napaść na królewską wartę!
Biłeś ją?

DON CEZAR.

Mój kuzynku — waść się mylić raczy
Nigdy nie plamię ręki na karkach siepaczy,
Byłem tam — lecz nic więcej — podczas bijatyki,

Chodząc pod arkadami, składałem wierszyki.
Ależ tęgo grzmocili!

DON SALLUSTIO.

To nie wszystko!

DON CEZAR.

Jeszcze?

DON SALLUSTIO.

Z Francyi na ciebie skargi nadeszły złowieszcze:
Żeś z zgrają wichrzycieli, z pod prawa wyjętą,
Skradł z kas rządowych sumę za podatki wziętą!

DON CEZAR.

Nie przeczę, ależ Francya to przecież kraj wrogi.

DON SALLUSTIO.

Z Flandryi, żeś napotkawszy poborcę śród drogi,
Odwożącego pieniądz, złożon na świątynie,
Całą intratę z winnic zabrał libertynie.
Czyż być może, byś pieniądz kościelny rabował?...

DON CEZAR.

We Flandryi... ha, być może... tylem podróżował...
Czy już wszystko?

DON SALLUSTIO.

Cezarze, wstydu ogniem płonę,
Gdy wspomnę na twe życie zszarzane, shańbione.

DON CEZAR.

Pysznie ci z tym rumieńcem.

DON SALLUSTIO.

Lecz ród nasz... cześć domu...

DON CEZAR.

Nazwisko me prócz ciebie nieznane nikomu,
Więc cześć domu nic nie wie.

DON SALLUSTIO.

Znajoma hrabini
Pytała mię niedawno, wychodząc z świątyni,
Co to za łotr, ot ten tam, czelnie stawia kroki.
Nos w górę, wzrok zuchwały, podparty pod boki,
Obdarty jak Job, dumny jak książę Brabancyi,
Choć w łachmanach, a jednak pełen arogancyi.
Dłoń, przy której rękawów wiszą zdarte szczęty,
Dumnie wsparł na rapierze, co mu tłucze pięty
I przechadza się z miną dumną i wspaniałą,
Choć mu z pod strzępów płaszcza nagie widać ciało.

DON CEZAR *(przyglądając się swojej tualecie)*.

Pewnieś jej odpowiedział, to ten zuch »Zafari«.

DON SALLUSTIO.

Nie, jam się spłonił panie...

DON CEZAR.

A ona bez miary
Śmiała się — lubię damy rozśmieszać pasyami.

DON SALLUSTIO.

Przestajesz z bezecnymi wciąż zawadyakami.

DON CEZAR.

Dependenci, studenci, każdy jak baranek.

DON SALLUSTIO.

Nierządnice wynosisz do stopnia kochanek.

DON CEZAR.

O lube me Lucynki, słodkie Izabelki,
Na wasz rachunek robią taki hałas wielki.
Czernią was duszki moje, z oczkami czarnemi,
Które bawię wieczorem sonety rannemi.

DON SALLUSTIO.

Nakoniec Matalobos, ten złodziej z Galicyi,
Który Madryt plondruje, drwiąc z naszej policyi,
Jest twoim przyjacielem.

DON CEZAR.

Łżysz, to nieszlachetnie.
Bez niego byłbym nagim — a byłoby szpetnie
Spotkać mię na ulicy bez szaty w chłód cięty.
To mię rozczula — błazen ambrą przesiąknięty,
Hrabia Alba szedł nocą, wzięto mu na drodze
Pyszny kaftan jedwabny...

DON SALLUSTIO.

Więc cóż?

DON CEZAR.

Ja w nim chodzę.
Dał mi go Matalobos...

DON SALLUSTIO.

Co?... kaftan hrabiego.
I ty... ty się nie wstydzisz?!

DON CEZAR.

A toż znowu czego?
Czyż to wstyd nosić kaftan, wyszyty brokatem,
Który grzeje mię w zimie, a przystraja latem?
Patrz, nowy, prosto z igły.

(Odkrywa płaszcz i pokazuje kaftan piękny z różowego atłasu, haftowany złotem).

Pełniutkie kaletki
Bilecików miłosnych — lubią go kobietki;
Ja biedny, zakochany, gdy mię głód podraźni,
Ślę do kuchni bogaczów westchnienia przyjaźni,
Skąd cudny zapach potraw w nozdrza mi zalata.
Siadam przy drzwiach i czytam liściki magnata.
A zwodząc jednocześnie serce i wnętrzności,
Mam woń przepysznej uczty i widmo miłości.

DON SALLUSTIO.

Don Cezarze!...

DON CEZAR.

Kuzynku! skończ już twe kazanie.
Jam pan z panów i krewny najbliższy twój panie,
Zwię się Cezar de Bazan, de Garoffa hrabia,
Los mię przy urodzeniu czepcem przyozdabia.
Byłem bogaty, miałem pałace i włości,
Hojnie opłacać mogłem ponęty miłości;
Ba, ależ lat dwadzieścia zaledwie się miało,
Gdy zmarnowałem wszystko i nic nie zostało
Z moich dóbr i dostatków — wszystko dyabli wzięli,
Prócz wyjącej, gdym uszedł, zgrai wierzycieli.
Tak jest, uciekłem z kraju, zmieniłem nazwisko.
Dziś jestem tylko sobie hulaszcze chłopczysko.
»Zafari« — nikt prócz ciebie znać mię tu nie może,
Nie dajesz mi pieniędzy — nie żądam, broń Boże,
Nocleg wygodny zwykle na bruku się miewa
Pod odwiecznym pałacem hrabiego de Teva,
Kędy od lat dziewięciu, gdy mię noc zaskoczy,
Sypiam pod oponami niebieskich przeźroczy.
Ptak jestem nieszczęśliwy — los toczy się kołem —

Wszyscy są przekonani, że w Indyach zginąłem.
Z fontanny na tym placu pragnienie me gaszę
I spaceruję wesół, swobodny jak ptaszę.
Mój pałac, w którym pieniądz miotałem do woli,
Jest własnością nuncyusza, księdza Espinoli.
Mniejsza z tem, czasem nałóg zajrzeć mię tam zmusza,
Więc wdaję się w gawędkę ze służbą nuncyusza.
Lubię gawędzić z gminem, jużto taki narów...
Czy nie mógłbyś mi dziesięć pożyczyć talarów?

DON SALLUSTIO.

Posłuchaj mię!

DON CEZAR.

Najchętniej — daj próbkę wymowy.

DON SALLUSTIO.

Przyzwałem cię tu w celu poważnej rozmowy.
Cezarze! jam niemłody, bezdzietny, bogaty,
Z wielkim żalem cię widzę na drodze zatraty.
Chcę cię dźwignąć z przepaści. Choć jesteś ladaco,
Jesteś i nieszczęśliwy — twe długi się spłacą,
Oddam ci twe pałace, przedstawię na dworze,
Zostaniesz znów magnatem, salony otworzę.
Niechaj zginie Zafari — Cezar zmartwychwstanie!
Będziesz w kasie mej czerpać, ile zechcesz panie,
Pełną ręką, bez względu o jutro, bez troski.
Wspierać bliźniego każe sam Zbawiciel Boski,
A jakaż wielka rozkosz, gdy się krewnych wspiera.

DON CEZAR.

Kuzynie, tyś twym sprytem przeszedł Lucypera.
To jest arcywymowne, coś wyrzekł przed chwilką.
Mów dalej!... Mów...

DON SALLUSTIO.

Cezarze, stawiam jeden tylko
Warunek — zanim dam ci objaśnienie małe,
Weź najprzód moją kiesę.

DON CEZAR *(chwytając kiesę pełną złota).*

Ależ to wspaniałe!...

DON SALLUSTIO.

Jest w niej pięćset dublonów.

DON CEZAR.

Ledwie oczom wierzę.

DON SALLUSTIO.

Od dziś dnia...

DON CEZAR.

Z duszą, ciałem do ciebie należę —
Co do warunków rozkaż: na honor szlachcica
Jestem twym niewolnikiem i moja szablica
Skrzyżuje się z kim każesz — nawet z kapitanem
Don Spavento, w szermierce prawdziwym szatanem.

DON SALLUSTIO.

Nie, tego nie potrzeba i z ważnej przyczyny
Nie użyję twej szpady.

DON CEZAR.

Cóż więc chcesz jedyny?

DON SALLUSTIO.

Znasz, ile mi wiadomo, łotrów bardzo wiele
W Madrycie?

DON CEZAR.

O ba — toż są moi przyjaciele.

DON SALLUSTIO.

Włóczą się ciągle z tobą — więc na me zlecenie
Mógłbyś, w razie potrzeby, zrobić zaburzenie.
O tem wiem — chwila czynu może nawet blisko.

DON CEZAR.

Na honor, chcesz sceniczne dać tu widowisko?
Jakąż wyznaczasz rolę dla mego geniuszu?
Czy mam pisać poemat, czy koncert dla uszu?
Lubię kocie muzyki. — Cóż obierasz z tego?

DON SALLUSTIO *(poważnie)*.

Mówię do Don Cezara, nie do Zafarego.
(Zniżając głos coraz bardziej).
Słuchaj!... trzeba mi w pewnym ukrytym zamiarze
Kogoś, coby pracując w mroku, ze mną w parze,
Pomógł cios przygotować, upragniony tyle...
Nie jestem ja złośliwy, lecz są takie chwile,
Że człek najwytworniejszy wstyd w piersi swej dusi
I założywszy rękaw, czyni to, co musi.
Zbogacę cię — lecz musisz być mi w tem pomocny.
Bez zgiełku, potajemnie, jakoby ptak nocny,
Zastawisz sidła w cieniu i uchwycisz w siatkę,
Jak słowika, lub młodą, naiwną dzierlatkę.
Musim uknuć plan straszny, zręczny i udatny.
A nie jesteś — jak mniemam — nazbyt skrupulatny.
Chcę zemsty!

DON CEZAR.

Zemsty?

DON SALLUSTIO.

Tak jest.

DON CEZAR.

Na kim?

DON SALLUSTIO.

Na kobiécie.

DON CEZAR *(prostuje się i spogląda dumnie na Don Sallustia).*

Dość tego! zamilcz! ha, na moje życie,
Raz musisz prawdę usłyszeć odemnie!
Człowiek, co idzie kręto i nikczemnie,
A krew szlachetna płynie mu śród żył,
Gdy przez intrygę mąż na białogłowę
Jak Alguazil podłą czyni zmowę,
Choćby kastylskim nawet grandem był,
Choćby złocistych haftów świecił łuną
I na swych piersiach nosił złote runo,
Markiz czy książę, pan pierwszy w stolicy —
W oczach mych podlec, jakich niema świat!
Na głównym rynku niech na szubienicy
Za tę nikczemność powiesi go kat!

DON SALLUSTIO.

Słuchaj!

DON CEZAR.

Milcz! każde twe słowo sromotą,
Schowaj twój sekret i zabierz twe złoto.
Och! ja pojmuję kradzież, mord, łupieże,
Motłoch, co szturmem mury więzień bierze,
Wyrznięcie zbirów, siepaczy i straży.
Napaść z toporem rozżartych korsarzy,
Rozbój, ząb za ząb i oko za oko!
Pojmuję wszystko — bo człek zawsze zwierz —
Lecz kopać w ciszy, podstępnie, głęboko
Dół pod kobietą — jak ty kopać chcesz —
Użyć przemocy, korzystać z słabości,
Złowić ptaszynę na lep nikczemności
I doprowadzić aż ku czci utracie — — — —

Ha, choćbym dostał koronę w zapłacie,
Gdybym był taką istotą przeklętą,
Podłą, nikczemną, to Bóg świadkiem mi,
Wolałbym, żeby głowę moją ściętą
U stóp szafotu rozdzierały psy!...

DON SALLUSTIO.

Ależ...

DON CEZAR.

Bogactw ci wcale nie zazdroszczę.
Tak jak dziś, w nędzy chcę wieść żywot mój.
Gdy się o wodę, powietrze nie troszczę,
Póki grzbiet w zimie okrywa mi zbój,
O mych straconych dostatkach nie marzę;
Dopóki mogę u twych gmachów bram
Spać głową w cieniu, a ciałem na skwarze,
To o pałace i włości nie dbam.
Bądź zdrów markizie — Bóg obu nas słyszy,
Ty z nikczemnymi dworakami żyj,
Ja wracam do mych poczciwych urwiszy,
Bo wolę wilków, niźli gniazdo żmij.

DON SALLUSTIO.

Chwilę...

DON CEZAR.

Dość tego — wizyta mię nuży,
Chcesz mię uwięzić, to nie zwlekaj dłużej.

DON SALLUSTIO.

O jakże błędne miałem o tobie mniemanie!
Sądziłem, żeś znikczemniał przez złe obcowanie.
Jestem bardzo rad z ciebie — podaj mi dłoń zacną.

DON CEZAR.

Jakto?...

DON SALLUSTIO.

Ba, krew szlachetną popsuć nie tak łacno,
Mój drogi, co mówiłem, była tylko próba,
Nic więcej.

DON CEZAR.

Czyż być może, a kobiety zguba,
Spisek, sieci... podstępy?...

DON SALLUSTIO.

Czyliż nie znasz żartów?
Fantazya i chimera.

DON CEZAR.

A do kroćset czartów,
Więc i spłacenie długów, włości et caetera
I te pięćset dublonów... to także chimera?!

DON SALLUSTIO.

Zaraz ci je przyniosę...
(Idzie do drzwi i daje znak Ruy Blasowi, żeby wszedł)

DON CEZAR
(na przodzie sceny, przyglądając się don Sallustiowi z boku).

Hm... fałsz w każdem słowie,
Wzrok zawsze n i e powiada, choć język t a k powie.

DON SALLUSTIO *(do Ruy Blasa).*

Ruy Blas zostań...

(Do Don Cezara).

Wnet wrócę.

(Odchodzi przez małe drzwi po lewej stronie. Jak tylko Don Sallustio wyszedł, Ruy Blas i Don Cezar zbliżają się szybko ku sobie).

SCENA TRZECIA.

DON CEZAR. — RUY BLAS.

DON CEZAR.

Czy to sen — czy czary?..
Nie mylę się, to Ruy Blas!

RUY BLAS.

Ach to ty Zafari?
Co robisz w tym pałacu?

DON CEZAR.

Tak sobie... z wizytą.
Nie mieszkam... lubiąc jak ptak przestrzeń nieprzebytą.
Lecz dlaczegoś w liberyę przebran mój kochany?

RUY ALAS.

Gdy nie noszę liberyi, wtedym jest przebrany.

DON CEZAR.

Jakto?

RUY BLAS.

Podaj mi rękę, niech ją ścisnę prędzej,
Jak w szczęsnych naszych czasach wesela i nędzy.
Gdy żyłem bez przytułku, prawie zawsze głodny,
Drżący w nocy od zimna, lecz za to swobodny,
Gdyś mię znał, byłem jeszcze człowiekiem... Mój Boże,
Obadwa dzieci ludu — w wiosennych lat porze
Podobni tak, że obu brano za bliźnięta,
Śpiewaliśmy o świcie jak boże ptaszęta.
A wieczór wobec Boga, obaj z sercem czystem,
Spaliśmy obok siebie pod niebem gwiaździstem.
Dzieliliśmy się wszystkiem, póki nas los srogi
Nie rozłączył i nie pchnął na odmienne drogi.

Po czterech latach znowu spotykam cię przecie,
Swobodnego jak cygan, żywego jak dziecię.
Zawsześ ten sam Zafari, co karku nie nagnie
Przed nikim, nic nie żąda, niczego nie pragnie,
A ja?! O jakaż zmiana, sieroce pachole,
Z litości przygarnięte — a karmione w szkole
Ambicyą i nauką — gdzie zamiast rzemiosła,
Nauczyli mię myśleć — wyobraźnia rosła,
Znasz mię... rwałem się duchem w nieścigłe przestrzenie,
W ciasne rymy wtłaczałem szerokie marzenie.
Próżnoś pragnął szyderstwem rozbić me obłędy,
W sercu nieokiełznane zrywały się pędy.
Dążyłem gdzieś wysoko, gdzieś w światy... sam nie [wiem,
Pierś płonęła żądzami, duch palił zarzewiem.
Z wiarą w świat biegłem ciągle za nieznanym celem,
I miast mężem... zostałem biednym marzycielem,
Jednym z tych, co stawając u królewskiej bramy,
Patrzą na wjeżdżające rycerstwo i damy.
I w próżniactwie na bruku umierając z głodu,
Sądzą, że ich Bóg wybrał na zbawców narodu.
Tak i ja w nieczynności i marzeniu miłem,
W dwudziestym roku życia w geniusz mój wierzyłem,
Zatopiony w dumaniach, obdarty i bosy,
Śledziłem, jakie ludom Bóg naznaczył losy.
Tworzyłem wielkie plany w rojeń moich manii,
Nad poniżeniem drogiej płakałem Hiszpanii,
Sądziłem, żem stworzony, abym rządził krajem...
A w rezultacie widzisz, czem jestem... lokajem.

DON CEZAR.

Ba! głód jest złym doradcą... dla kawałka chleba
Nieraz najdumniejszego karku nagiąć trzeba,

A najwyższy częstokroć jak najniżej spada...
Lecz los równie jak morze wzbiera i opada,...
Jest Bóg!

RUY BLAS.

Sallustio Bazan imię mego pana...

DON CEZAR.

Znam go, a więc tu mieszkasz w siedlisku szatana.

RUY BLAS.

Nie, dzisiaj tu przybyłem i o rannej porze
Pierwszy raz przestąpiłem ten próg.

DON CEZAR.

Czy być może?
Ale markiz z urzędu ma tu swe mieszkanie?

RUY BLAS.

Tak, gdyż musi u dworu być na zawołanie.
Lecz ma inne mieszkanie — skrzętnie je ukrywa,
Dom mały, w którym nigdy w dzień jasny nie bywa,
Sto kroków od pałacu — skryty w krzewy ciemne.
Otóż właśnie tam mieszkam — przez drzwiczki tajemne,
Których klucz sam posiada, wśród nocy nierzadko
Wchodzi tam skrycie z ludzi nieznanych gromadką,
Wszyscy zamaskowani — ciche szepcą słowa,
Zamknięci i nikt nie wie o czem tam rozmowa.
Dwóch negrów niemych użył do domu strzeżenia.
Jam ich panem, lecz mego nie znają imienia.

DON CEZAR.

Jako zwierzchnik alkadów pewnie tam przyjmuje
Swych szpiegów — stawia sidła i podstępy knuje.
Wszędzie on ma swą rękę tajną, niedojrzaną.

RUY BLAS.

Wczoraj mi rzekł: »Masz jutro w pałacu być rano,
Przed świtem wejdziesz skrycie przez wielką galeryę«.
Ledwiem wszedł, zaraz kazał włożyć mi liberyę,
I dzisiaj poraz pierwszy z zrumienionem czołem
Od wstydu tę lokajską szatę na się wziąłem.

DON CEZAR.

Miej nadzieję...

RUY BLAS.

Nadzieję... gdybyś wiedział bracie
Wszystko... bo jeszcze chodzić w bezecnej tej szacie,
Wyrzec się naraz szczęścia, godności i wiary,
To wszystko jeszcze niczem... słuchaj mię Zafari.
Nie czułem hańby, gdym ten ubiór brał,
Bo w piersiach moich czuję hydrę wściekłą,
Bo w piersiach moich noszę takie piekło,
Że zbladłbyś z trwogi, gdybyś wszystko znał.

DON CEZAR.

Co mówisz?

RUY BLAS.

Zbadaj głąb rozumu twego,
Wymyśl, wyobraź, wynajdź coś dziwnego,
Rzecz niesłychaną, straszną, niepojętą,
Szaloną burzę błyskaniem olśniętą,
Sporządź truciznę, przepaść najstraszniejszą,
Głębszą od szału, od zbrodni czarniejszą —
Jeszcześ nie zbratan z tajemnicą mą;
Zgadujesz?... o nie! nikt tego nie zgadnie.
Los w głąb przepaści popycha mię zdradnie.
Nie patrz!... królowę kocham! kocham ją.

DON CEZAR.

Boże!

RUY BLAS.

Na tronie z godłem cezarów na szczycie,
W Aranjuez, Eskurial lub tutaj w Madrycie,
Zasiada mąż, co światu potęgą swą świeci,
Z ziemi ledwie go widać — imię trwogę nieci,
Przed którym, jak przed Bogiem, wszyscy są równemi,
Mówi się doń na klęczkach ustami drżącemi,
Znak dostojeństwa przy nim stać z nakrytą głową,
Strącić może nam głowy jedno jego słowo.
Na każdy jego kaprys drżą półkule obie.
Żyje sam, z pychą swoją zamknięty jak w grobie.
Majestat straszny, wielki — pomazaniec Boży,
Pod którego brzemieniem świat cały się korzy.
A ja!... ja nędzny lokaj... wtrącon w szał miłosny,
O mocarza, o króla!... ja jestem zazdrosny.

DON CEZAR.

Ty zazdrosny o króla!?...

RUY BLAS.

Tak, zazdrość mię pali,
On jej mężem!...

DON CEZAR.

Tyś waryat!...

RUY BLAS.

Słuchaj! słuchaj dalej!
Co dzień — szaleniec na jej przyjście z rana
Czatuję tutaj... biedna, zaniedbana,
Życie jej pasmem najstraszniejszej nudy,
Na dworze pełnym kłamstwa i obłudy.
Jej mąż na łowach przepędza czas cały,
Bałwan — w trzydziestym roku już zgrzybiały,
Zarówno rządzić jak żyć niesposobny.

Ród ich upada — ojciec był podobny,
Król niedołężny, giął się pod koroną.
Tak piękna, młoda jego... jego żoną,
Żoną Karola... ach czyż to być może!
Wieczory biedna przepędza w klasztorze
Sióstr różańcowych... tam... na szczycie wzgórza.
Wiesz!... Jak w mem sercu powstała ta burza
Nie wiem... wiem tylko, że nad wszystko kwiatek
Lubi błękitny — ojczysty bławatek.
Więc codzień milę pędzę po ten kwiat,
Do Caramanchel, gdzie rośnie jedynie.
Potem ukradkiem w północnej godzinie,
Pełznę jak złodziej do zamkowych krat.
Przebywam skrycie park pilnie strzeżony,
Ażeby tylko kwiat jej ulubiony
Złożyć na ławce — dziś zaślepion szałem,
List do bukietu — bracie — włożyć śmiałem.
Chcąc pośród nocy dostać się tam skrycie,
Trzeba mur przebyć, a na jego szczycie
Rząd ostrych grotów sterczy najeżony.
O może kiedyś znajdę na nich zgon.
Czy też list znajdzie — bracie... jam szalony...
I moich szaleństw dzisiaj zbiorę plon!

DON CEZAR.

Do dyabła! o źle — oj ty głowo płocha,
Strzeż się — Ornato w królowej się kocha,
Jako mistrz dworu i jak zakochany.
Może się zdarzyć, że strażnik zaspany,
Nim złożysz bukiet, narobi ci biédy,
Wbije go w serce ostrzem swojej dzidy.
Kochać królowę? Czy ci zmysłów brak?
Jak ci to przyszło?

RUY BLAS *(z uniesieniem).*

Alboż ja wiem jak?
Och, jabym oddał szatanowi duszę,
Gdyby mię zrobił jednym z paniąt owych,
Na których z okien codzień patrzeć muszę,
Gdy wchodzą dumnie do bram pałacowych.
Oddam mu wieczność, by zdarł me okowy,
By mię uwolnił od liberyi tej!
Bym miał jak oni przystęp do królowej,
Lecz o wściekłości!... stanąć wobec niej
Jak lokaj!... stanąć w jej oczach lokajem,
Boże! ratuj mię!

(Zbliżając się do Don Cezara).

Ty swoim zwyczajem
Pytałeś, czemu serce me zadrżało.
Nie pytaj proszę! na cóż się to zdało.
Wiem, że ty umiesz — niech ci Bóg przebaczy,
Tysiącem pytań przywieść do rozpaczy.
Gdzie? odkąd? kiedy? jak? dlaczego? co?
Nic ci nie powiem, dość, że kocham ją!

DON CEZAR.

Gniewasz się bracie?

RUY BLAS *(padając na fotel, blady i wyczerpany).*

O nie — mylisz się,
Ja cierpię! Bracie, proszę opuść mię.
Porzuć szaleńca, co w piersi wypasa
Namiętność króla pod szatą fagasa.

DON CEZAR *(kładąc mu rękę na ramieniu).*

Rzucić cię?! ja com nie znał miłości ponęty,
Biedny dzwonek bez dźwięku, bez serca, pęknięty,

Którym nigdy o czystem uczuciu nie marzył,
Co go kiedy niekiedy szelągiem los darzył,
Ja o sercu wygasłem samotnik znękany,
Wczorajszego teatru afisz poszarpany,
Czy uwierzysz, że siłę miłości twej czuję
I o tyle zazdroszczę — ile cię żałuję!

(Chwila milczenia, trzymają się za ręce, ściskając i patrząc sobie w oczy z wyrazem smutku i serdecznej przyjaźni. Don Sallustio wchodzi, zbliża się zwolna, wlepiając wzrok badawczy w Don Cezara i Ruy Blasa, którzy go nie widzą).

DON SALLUSTIO *(trzyma w jednej ręce kapelusz i szpadę, które wszedłszy kładzie na fotelu — w drugiej worek z pieniędzmi, który składa na stole — potem mówi do Don Cezara).*

Oto pieniądze!

(Na głos Don Sallustia Ruy Blas zrywa się, jakby nagle z marzenia zbudzony i staje w postawie pełnej uszanowania z spuszczonemi oczyma).

DON CEZAR *(patrząc ukosem na Don Sallustia, do siebie).*

Niech cię czart zadławi,
Znać się luby kuzynek w szpiegowanie bawi,
Podsłuchał nas — pal dyable!

(Głośno do Don Sallustia).

Dziękuję kuzynie!

(Otwiera worek, wysypuje pieniądze na stół i układa z upodobaniem dukaty w kupki. Podczas gdy Don Cezar liczy — Don Sallustio idzie w głąb sceny, poglądając za siebie, czy nie zbudził uwagi Don Cezara. Otwiera małe drzwi na prawo i na jego znak wchodzą trzej Alguazille, uzbrojeni szpadami, ubrani całkiem czarno. Don Sallustio pokazuje im tajemnie Don Ce-

zara. Ruy Blas stoi nieruchomy jak posąg przy stole, nic nie widząc i nie słysząc).

DON SALLUSTIO *(cicho do Alguazillów).*

Pójdziecie zaraz w tropy jak tylko próg minie,
Za tym co liczy złoto — u spodu tarasu
Schwytacie go ostrożnie, zręcznie, bez hałasu,
Potem prosto do portu jak najkrótszą drogą,
Do Denii!

(Daje im pergamin z pieczęcią).

Oto rozkaz — znieście się z załogą,
Wsadzić na okręt — wreszcie nie bacząc na krzyki,
Sprzedacie go na morzu korsarzom Afryki.
Tysiąc piastrów nagrody. Teraz precz odemnie!

(Alguazille kłaniają się i odchodzą).

DON CEZAR *(kończąc układanie złota).*

Ach jakże to rozkosznie, jakże to przyjemnie,
Układać własne złoto! jakiż to dźwięk błogi.

(Podzieliwszy dukaty na dwie równe części, zwraca się do Ruy Blasa).

Oto część twoja.

RUY BLAS.

Jakto?

DON CEZAR.

Bierz i dalej w nogi.

DON SALLUSTIO *(który im się przypatruje w głębi sceny).*

Do dyabła!

RUY BLAS *(wstrząsając głową na znak odrzucenia ofiary).*

Nie!... me serce wydrzyj wprzód z niewoli,
Mój los wiąże mię tutaj — tu kres mojej doli.

DON CEZAR.

Rób jak chcesz, czyś ty waryat, czy ja człek rozumny,
Bóg to wie!

(Zbiera pieniądze do worka, który wpuszcza do kieszeni).

DON SALLUSTIO *(w głębi sceny wciąż im się przypatrując).*

Twarz ta sama i ten sam wzrok dumny.

DON CEZAR *(do Ruy Blasa).*

Bądź zdrów!

RUY BLAS.

Żegnam cię!

(Ściskają sobie ręce — Don Cezar wychodzi, nie spojrzawszy na Don Sallustia, który stoi w głębi na boku).

SCENA CZWARTA.

RUY BLAS. — DON SALLUSTIO.

DON SALLUSTIO.

Ruy Blas!

RUY BLAS *(zwracając się szybko).*

Słucham!

DON SALLUSTIO.

Dzisiaj rano
Kiedyś wchodził, czy pewnie ciebie nie widziano?
Bo wszak był już dzień jasny?

RUY BLAS.

Nie, dostojny panie,
Był zaledwie brzask szary, najpierwsze świtanie,
Kiedym wchodził...

DON SALLUSTIO.

Czy byłeś płaszczem osłoniony?...

RUY BLAS.

Tak!

DON SALLUSTIO.

Więc ponieważ cały zamek był uśpiony,
Nikt cię jeszcze nie widział w tej liberyi wcale?

RUY BLAS.

Nikt w calutkim Madrycie.

DON SALLUSTIO
(wskazując palcem drzwi, przez które wyszedł Don Cezar).

Dobrze, zamknij salę.
A teraz zrzuć ten ubiór.

(Ruy Blas zrzuca swój kolet liberyjny i ciska go na fotel).

Ktoś mi opowiadał,
Żeś będąc w szkołach, piórem bardzo pięknie władał,
Siądź i pisz!... Sekretarzem dziś moim cię zrobię.
Napiszesz słodki liścik — nie kryję nic tobie —
Do królowej... mych myśli — miluchnej mej donny.
A to istny szatanek tu z raju strącony.
Zaczynaj: »Grom straszliwy wisi nad mą głową,
Ty go jedynie możesz zażegnać królowo,
Gdy bytnością w mym domu zaszczycisz mię swoją,
W nocy — inaczej zginę! Życie me — cześć moją
I serce składam u twych stóp, które całuję«.

(Przerywając dyktowanie z uśmiechem).

Grom straszliwy!... styl niezły... jakże waść znajduje,
By ją wciągnąć w pułapkę — bo kobiety lubią
Dźwigać właśnie z przepaści tych, którzy je gubią.

Dodaj: »Przez drzwi sekretne, w dole, ponad drogą,
Można wnijść niewidzianą w nocy przez nikogo,
Ktoś wierny drzwi otworzy«. Biedna się nastraszy

(Przegląda pismo).

Wybornie — teraz podpisz.

RUY BLAS.

Imię cześci waszej?

DON SALLUSTIO.

Nie — pisz poprostu »Cezar«; pod tą nazwą łudzę
Dziewczęta.

RUY BLAS *(wstrzymując się z podpisem).*

A jeżeli pozna pismo cudze?

DON SALLUSTIO.

Ba — pieczęć starczy. Robię tak zawsze w potrzebie.
Ruy Blas, wieczór wyjeżdżam, zostawiam tu ciebie,
Mam pewien zamiar — pragnę ci pomódz serdecznie.
Lecz bym go mógł dokonać, potrzeba koniecznie
Być mi ślepo posłusznym. Znam cię, żeś służący
Oględny i ostrożny — wierny i milczący.

RUY BLAS *(kłaniając się).*

Excellencyo!...

DON SALLUSTIO *(ciągnąc dalej).*

Los świetny dla ciebie gotuję.

RUY BLAS.

Czy list zaadresować?

DON SALLUSTIO.

Sam zaadresuję.

(Zbliżając się do Ruy Blasa ze znaczącem spojrzeniem).

Chcę twego szczęścia.

(Chwila milczenia, daje znak Ruy Blasowi, aby znów usiadł przy stole).

Teraz pisz jeszcze: »Ja Ruy Blas,
Lokaj dostojnej części Markiza de Finlas,
Przyrzekam w każdej sprawie i w każdym zamiarze,
Jako wierny służący pełnić, co rozkaże«.
Podpisz nazwisko — datę — tak... daj!

(Składa i chowa do pugilaresu list i papier przez Ruy Blasa pisany).

Przyjacielu,
Przyniesiono mi szpadę, tę tam na fotelu.

(Wskazuje fotel, na którym leży szpada i kapelusz. Idzie tam i bierze szpadę).

Przypatrz się — drogi jedwab i haft na temblaku,
Niezrównany, przepyszny i w najnowszym smaku.

(Daje mu szarfę i szpadę do obejrzenia).

Patrz, jak piękna robota, wytworna i czysta.
Rękojeść Gil wyrzeźbił — najpierwszy artysta
I gwoli galanteryi wydrążył niewieściej
Pudełko na pastylki w głębi rękojeści,
Czekajno...

(Przewiesza przez ramię Ruy Blasowi temblak i szpadę).

Radbym widzieć, czy dobrze wybrana,
Na honor, ty masz minę prawdziwego pana!

(Nadsłuchuje).

Idą tutaj — odźwierny nadejście ogłasza,
Otóż Markiz del Basto.

(Drzwi galeryi podwójne roztwierają się — Don Sallustio zarzuca szybko swój płaszczyk na ramiona Ruy Blasowi w chwili, gdy markiz del Basto ukazuje się — potem idzie wprost do niego, ciągnąc z sobą osłupiałego Ruy Blasa).

SCENA PIĄTA.

DON SALLUSTIO. — RUY BLAS. — MARKIZ DEL BASTO — *później* MARKIZ DE SANTA CRUZ — *potem* HRABIA ALBA — *wreszcie* DWÓR CAŁY.

DON SALLUSTIO *(do markiza del Basto).*

Pozwoli cześć wasza
Przedstawić sobie mego kuzyna, Cezara
Hrabiego de Garofa i Velalcazara.

RUY BLAS *(na stronie).*

Boże!

DON SALLUSTIO *(cicho do Ruy Blasa).*

Śmiało!

MARKIZ DEL BASTO *(kłaniając się Ruy Blasowi).*

Cieszę się niezmiernie...

(Podaje Ruy Blasowi rękę, którą on bierze z zakłopotaniem).

DON SALLUSTIO *(cicho do Ruy Blasa).*

Milczenie!
Skłoń się.

DEL BASTO.

Kochałem niegdyś twą matkę szalenie.
(Cicho do Don Sallustia, wskazując Ruy Blasa).
Nadzwyczajnie się zmienił, ledwo go poznaję!

DON SALLUSTIO *(cicho do Markiza).*

Dziesięć lat starszy.

DEL BASTO *(podobnież).*

No tak...

DON SALLUSTIO *(klepiąc Ruy Blasa po ramieniu).*

Zwiedzał różne kraje.
Przypominasz markizie: marnotrawne dziecię,
Jak garściami pistole wyrzucał na śmiecie,
Owe sławne wieczory w grotach Apollina,
Sto muzyków na żołdzie drogiego kuzyna.
Codzień fety, koncerty, rój cudnych kapłanek
Olśniewały stolicę mnóstwem niespodzianek.
W trzy lata puścił wszystko — dziś zato z powrotem
Przywozi z Indyi galion napełniony złotem.

RUY BLAS *(z zakłopotaniem).*

Panie!

DON SALLUSTIO.

Zwij mię kuzynem — panem żadną miarą!...
Bazanowie mój drogi są szlachtą prastarą,
Don Iniguez z Iwizy naszym protoplastą,
Jego wnuk, Piotr de Bazan, wszakże wiesz, del Basto,
Maryę de Gor zaślubił. Ich potomstwem całem
Jan, który oceanu wód był admirałem,
Za króla don Filipa — ten dwóch synów rodzi,
Od których dwie gałęzie Bazanów pochodzi:
Moja, markizów Finlas i twoja kuzynie,
Hrabiów Garofa — równa w obydwóch krew płynie.
Obie się równoważą stopniem obok tronu,
Ty jesteś z Portugalii a ja z Arragonu,
Twoja gałąź od mojej nie jest niższą — zatem:
Jam jest owocem pierwszej, a ty drugiej kwiatem.

RUY BLAS *(na stronie).*

Dokąd mię on prowadzi?
(Podczas gdy Don Sallustio mówi, Markiz de Santa Cruz, Don Alvarez de Bazan y Benavides, starzec z białemi wąsami w wielkiej peruce, zbliża się ku nim).

MARKIZ DE SANTA CRUZ *(do Don Sallustia).*

Więc na równi stoim,
Jeśli jest twym kuzynem — jest także i moim.

DON SALLUSTIO.

Rzecz jasna, z pnia jednego wyszły linie obie.
Markiz de Santa Cruz.
(Przedstawiając Don Cezara).
Don Cezar.

MARKIZ DE SANTA CRUZ.

Wystaw sobie,
Byłem pewny, że umarł.

DON SALLUSTIO.

A tymczasem złuda.

MARKIZ DE SANTA CRUZ.

Więc powrócił?

DON SALLUSTIO.

Aż z Indyi.

MARKIZ DE SANTA CRUZ.

A toż cuda! cuda!

DON SALLUSTIO.

Poznałeś go?

MARKIZ DE SANTA CRUZ.

To dobre -- na chrzcie jego byłem.

DON SALLUSTIO *(cicho do Ruy Blasa).*

Staruszek niedowidzi, lecz mu to niemiłem,
Więc by dowieść że widzi, udał, że poznaje.

MARKIZ DE SANTA CRUZ *(wyciągając rękę do Ruy Blasa).*

Uściskaj mię!

RUY BLAS *(kłaniając się).*

O Panie!

MARKIZ DE SANTA CRUZ *(cicho do Don Sallustia, wskazując na Ruy Blasa).*

Ślicznie się wydaje.

(Do Ruy Blasa).

Cieszę się, że cię widzę.

DON SALLUSTIO
(biorąc na bok Markiza de Santa Cruz, mówi do niego cicho).

Spłacę jego długi.
Czy nie mógłbyś mi małej wyświadczyć przysługi.
Może wakuje jaka posada przy dworze,
Przy królu, przy królowej....

MARKIZ DE SANTA CRUZ *(podobnież).*

Być może... być może,
Pomyślę... wszakże z jednej pochodzim familii.

DON SALLUSTIO *(jak wyżej).*

Wszak masz ogromne wpływy przy radzie Kastylii,
Polecam go serdecznie.

(Opuszcza markiza i idzie ku innym panom, którym przedstawia Ruy Blasa. Pomiędzy nimi jest hrabia Alba, przepysznie wystrojony. Don Sallustio, przedstawiając Don Cezara).

Mój kuzyn Don Cezar
Bazan, hrabia Garofa i de Velalcazar.

(Panowie wymieniają poważnie ukłony ze zmieszanym Ruy Blasem).

DON SALLUSTIO *(do jednego z panów).*

Nie byłeś na balecie... ach, tancerka włoska
Zachwycała nas wczoraj — jakaż lekkość boska.

(Do hrabiego Alby).

Pyszny strój!

HRABIA ALBA.

Miałem sutszy, cały tkany złotem,
Z różowego atłasu — lecz nie mówmy o tem.
Skradł mi go Matalobos.

ODŹWIERNY DWORU *(w głębi sceny).*

Na miejsca panowie!
Najjaśniejsza Królowa.

(Wielkie zasłony szklannej galeryi rozsuwają się. Panowie ustawiają się po obu stronach podwoi. Gwardye stają szeregiem. Ruy Blas dyszący, odchodzący od zmysłów idzie na przód sceny i jakby chciał uciec).

DON SALLUSTIO *(cicho do Ruy Blasa).*

Co zaszło w twej głowie?
O ile los twój wzrasta — duch spada o tyle.
Otrząśnij się Ruy Blasie. Wyjeżdżam za chwilę,
Mały dom blisko mostu, obu niewolników
Oddaję ci Ruy Blasie i oprócz kluczyków,
Którymi się otwiera małe drzwi tajemnie,
Nic nie biorę. Rozkazy otrzymasz odemnie.
Ty spełniaj moją wolę — ja szczęsnym cię zrobię,
Wznieś się! nie trwoż niczego, gdy czas sprzyja tobie.
Dwór to kraj, gdzie się chodzi omackiem w potrzebie.
Idź z zawiązanem okiem — ja patrzę za ciebie.

(Nowy oddział gwardyi ukazuje się w głębi sceny).

ODŹWIERNY *(donośnym głosem).*

Królowa!

RUY BLAS *(przytłumionym głosem).*

Och! królowa!...

(Królowa, wspaniale ubrana, ukazuje się, otoczona orszakiem dam i paziów pod baldachimem szkarłatnym, niesionym przez czterech szlachty pokojowych. Ruy Blas pomieszany wpatruje się jakby pochłonięty tem olśniewającem zjawiskiem, wszyscy grandowie jako to: Don Sallustio, Markizowie del Basto i Santa Cruz, oraz hrabia Alba nakrywają głowy. Don Sallustio idzie spiesznie do fotelu, na którym leży kapelusz — bierze go i idzie do Ruy Blasa).

DON SALLUSTIO *(nakrywając głowę Ruy Blasowi, cicho).*

Dosyć już tej manii,
Cezarze, nakryj głowę — jesteś Grand Hiszpanii.

RUY BLAS *(nawpół przytomny, cicho do Don Sallustia).*

Co mi rozkażesz panie — prędzej w otchłań wtrąć.

DON SALLUSTIO *(wskazując na przechodzącą królowę).*

Podobaj się tej pani — jej kochankiem bądź.

(Zasłona spada wolno).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

KRÓLOWA HISZPANII.

Salon przyległy sypialni królowej. — Po lewej stronie drzwi do niej wiodące. — Po prawej, w ścianie skośnej, inne drzwi, prowadzące do zewnętrznych apartamentów. — W głębi wielkie okno otwarte. Czas popołudniowy pięknego letniego dnia. Wielki stół, fotele. Posąg Matki Boskiej bogato osadzony i opierający się o ścianę. Pod nim napis »Santa Maria Esclava«; przed posągiem pali się złota lampa. W pobliżu posągu portret króla Karola II, w naturalnej wielkości.

SCENA PIERWSZA.

KRÓLOWA. — KSIĘŻNA D'ALBUQUERQUE. — DON GURITAN. — KASSYLDA. — DUEGNY.

(Za podniesieniem zasłony królowa donna Marja z Neuburgu siedzi w kącie, mając przy sobie jedną z dam swoich, młodą i piękną — Królowa ubrana wbiałą suknię, wyszywaną srebrem, haftuje i niekiedy przerywa na chwilę robotę dla rozmawiania — w przeciwnym kącie siedzi w krześle poręczowem Donna Juanna de la Cueva, księżna d'Albuquerque, wielka ochmistrzyni z robotą kobiercową na kanwie — kobieta stara, ubrana czarno. — Przy księżnie, koło stołu, siedzi kilka dam, zajętych robotami kobiecemi. W głębi stoi Don Guritan,

hrabia Ornato, ochmistrz dworu, wysoki, chudy, wąs siwy. Hrabia ma około 55 lat, postawa wojskowa, wystrojony z przesadną elegancyą i ubrany wstęgami aż do ciżmów).

KRÓLOWA *(do Kassyldy).*

Odjechał przecie już — powinnam cieszyć się;
Nie mogę — markiz ten przeraża mię i straszy
On nienawidzi mnie.

KASSYLDA.

Toż według woli waszej
Musiał opuścić dwór.

KRÓLOWA.

On nienawidzi mnie!

KASSYLDA.

Pani!...

KRÓLOWA.

Kassyldo wierz — to nie jest urojenie,
Markiz robi na mnie złego ducha wrażenie,
Dzisiaj odjechać miał równo z brzaskiem jutrzenki,
Gdy zwykły obrzęd był pocałowania ręki;
Koleją według rang grandy przystępowali,
Podałam rękę im, choć smutna, lecz spokojna,
Zatapiając mój wzrok w przeciwną stronę sali,
Kędy jest wielki fresk, pamiętna jakaś wojna...
Gdy naraz — patrząc wciąż na owo malowidło,
Czuję jak zbliża się ohydne to straszydło,
A wtem ujrzałam go — widziałam tylko jego,
Szedł wolno, bawiąc się ostrzem sztyletu swego,
Niekiedy stali blask padał na mnie ognisty,
To znów olśniewał mnie wzrok jego płomienisty,

W pół zgięty sunął się, pełzając ku mnie wciąż.
Nagle uczuwam chłód, jakby mię dotknął wąż.

KASSYLDA.

Dopełnił tylko on swoich hołdów powinnych.

KRÓLOWA.

Dotknięcie jego ust nie takie jak u innych.
Dzisiaj ostatni raz — widziałam go — już niéma
Don Sallustia, lecz wciąż widzę go przed oczyma;
Napróżno toczę bój z dziwnej trwogi podnietą,
Czuję, żem przy nim jest tylko zwykłą kobietą.
Widzę, jak jego wzrok nienawiścią wciąż błyska
I jak zatruty prąd do mojej krwi się wciska
I aż do serca mi dosięga chłodny jad,
Odkąd się ręki mej dotknął usty ten gad.

KASSYLDA.

Pani, to tylko są wyobraźni twej mary.

KRÓLOWA.

O tak, cierpienia ból przenika moją duszę.
(Na stronie).
A z tem co dręczy mię kryć się przed niemi muszę.
(Do Kassyldy).
Gdzież są moi żebracy — te biedne ofiary?

KASSYLDA *(zbliżając się do okna).*

Są tam jeszcze na placu zgłodniali, znękani.

KRÓLOWA *(dając jej sakiewkę).*

Rzuć im moją sakiewkę.

KASSYLDA *(wyrzuca sakiewkę a potem wraca do królowej).*

O przez litość pani,
Ty która darzysz biednych jałmużną bogatą,
Czyż nie raczysz co rzucić hrabiemu Ornato?
Jedno słówko — patrz rycerz rozkochany stoi
I tem czulsze ma serce, im twardszy hart zbroi.

KRÓLOWA.

Ależ on taki nudny...

KASSYLDA.

Lecz pierś gorejąca.

KRÓLOWA *(zwracając się do Don Guritana).*

Dzień dobry!

DON GURITAN *(zbliża się do królowej z trzema ukłonami i wzdychając całuje jej rękę; królowa pozwala na to z miną obojętną i roztargnioną. Don Guritan zwraca się na swoje miejsce obok księżny i cofając się, mówi do Kassyldy).*

Ach królowa dziś zachwycająca!

KASSYLDA *(patrząc za odchodzącym).*

Och biedna stara czapla nad wodą się słania,
Wabiącą go. Po całym nieraz dniu czekania:
Dzień dobry, dobry wieczór — słówko gdy wyskubie,
Chwyta jak łup największy i unosi w dzióbie

KRÓLOWA *(z smutnym uśmiechem).*

Przestań!...

KASSYLDA.

Dla niego szczęściem choć spojrzeć na ciebie,
A gdy doń się odezwiesz, już jest w siódmem niebie
(Zachwycając się pudełkiem, stojącem na gueridonie).
Jaka pyszna kasetka.

KRÓLOWA.

Och, zamknięte wieczko,
Oto klucz.
(Podaje go Kassyldzie).

KASSYLDA.

Śliczna rzeźba.

KRÓLOWA.

Otwórz kochaneczko,
Myślę ją relikwiami napełnić świętemi,
A potem posłać ojcu do rodzinnej ziemi,
Będzie bardzo się cieszyć.
(Marzy przez chwilę, potem nagle zrywa się).
Nie chcę myśleć dłużej,
Odpędzę myśl, która mię i dręczy i nuży.
(Do Kassyldy).
Idź przynieś jaką książkę dla twej pani biednej;
Same tylko hiszpańskie — niemieckiej ni jednej.
Król poluje — wciąż w lasach — w przeciągu pół roku
Zaledwie dni dwanaście spędził przy mym boku.

KASSYLDA.

Czyż warto iść za króla, oddać życie swoje?

KRÓLOWA *(wpada znowu w marzenie, potem na nowo zrywa się).*

Wyjdźmy!
(Na te słowa, wyrzeczone rozkazująco przez królowę, księżna d'Albuquerque, która dotąd nieruchomo siedziała, podnosi głowę, potem wstaje, składa niski ukłon królowej).

KSIĘŻNA *(tonem twardym i suchym).*

Kiedy królowa chce wyjść, to podwoje
Winny być otwierane — tak żąda ustawa —

Przez Grandów — którzy od nich mają klucze z prawa.
Żaden z nich być w tym czasie w pałacu nie może!

KRÓLOWA.

Ależ oni mnie więżą — mam tu umrzeć — Boże!
Och księżno!

KSIĘŻNA *(j. w.)*.

Jestem wielką ochmistrzynią dworu
I wypełniam mój urząd.
(Siada).

KRÓLOWA *(biorąc się za głowę obydwoma rękami, mówi na stronie)*.

Uledz bez oporu,
Czyż znów marzyć?
(Głośno).
Nie — żywo, w lancknechta zagramy
Do mnie damy! stół podać!

KSIĘŻNA *(do dam dworskich)*.

Nie ruszać się damy.
(Podnosząc się i składając ukłon królowej).
Jej Królewska Mość może, według praw tej ziemi
Grać tylko z Najjaśniejszym lub jego krewnemi.

KRÓLOWA *(z uniesieniem)*.

Dobrze! a więc niech przyjdą.

KASSYLDA *(na stronie patrząc na księżnę)*.

Och, ta stara sowa!

KSIĘŻNA *(żegna się)*.

Bóg ich nie dał naszemu monarsze — Królowa
Matka zmarła — Król tylko sam jeden na świecie.

KRÓLOWA *(tonem rozkazującym).*

Podwieczorek!

KASSYLDA.

No tego nie zabroni przecie.

KRÓLOWA.

Zapraszam cię Kassyldo.

KASSYLDA *(patrząc na księżnę).*

Arcygodna dama!

KSIĘŻNA *(z dygiem).*

Gdy król nie jest obecny, królowa je sama.
(Siada).

KRÓLOWA *(doprowadzona do ostateczności).*

To nadto! — O mój Boże, któż mię stąd wyzwoli?
Ni wyjść, ni grać, ani jeść według własnej woli,
Odkąd jestem królową, wprost usycham marnie.

KASSYLDA *(patrząc na królowę z współczuciem).*

Biedna kobieta, takie wciąż znosić męczarnie
Na tym nieznośnym dworze, bez rozrywki żadnej,
Prócz patrzenia przez okno na ten park szkaradny,
Na te senne bagniska i wodę drzemiącą.
(Spoglądając na hr. Ornato, stojącego nieruchomie w głębi).
I tę na jednej nodze czaplę czatującą.

KRÓLOWA *(do Kassyldy).*

Cóż będziem robić? — pomyśl!

KASSYLDA.

Mam ideę nową:
W nieobecności króla ty rządzisz królowo,
Każ więc dla swej rozrywki zwołać dygnitarzy.

KRÓLOWA *(wzruszając ramionami).*

Rozrywka — mieć przed sobą osiem nudnych twarzy?
Słuchać ciągle o królu Francyi niedołężnym?
O Rzymie, albo o tym arcyksięciu mężnym,
Którego portret w Burgos, śród ludu gromady,
Pod złotym baldachimem obnoszą alkady?
Wymyślże co innego.

KASSYLDA.

Pragnęłabym z duszy...
Już mam — Niech który młody przyjdzie tu koniuszy.

KRÓLOWA.

Kassyldo!

KASSYLDA.

Ach tak pragnę widzieć młodych ludzi.
Ten wasz dwór przedostojny tak dręczy, tak nudzi,
Zda mi się, że tu starość przychodzi przed laty,
Że starzeję się, patrząc na te stare graty —

KRÓLOWA.

Śmiejesz się — serce więdnie, a czas szybko płynie.
Jak pierzcha sen podobnie i wesołość zginie —
(W zadumaniu).
Mem szczęściem w głębi parku ustronie wybrane,
Gdzie mi wolno być samą.

KASSYLDA.

Szczęście niesłychane,
Park, a w nim wszędzie sidła skryte za marmury,
Brak widoku, bo w y ż s z e, niż drzewa, są mury.

KRÓLOWA.

Tak pragnę wyjść tam czasem.

KASSYLDA *(cicho).*

Ty pani byś chciała
Wyjść, posłuchaj mię — cicho... wyjść, och to rzecz mała,
Nie masz w świecie więzienia już tak warownego,
Aby przy przebiegłości nie można wyjść z niego.
Mam sposób i możemy urągać tym ścianom,
Jeżeli zechcesz, wyjdziesz, na złość twym tyranom;
Wyprowadzę cię pani do miasta w noc cudną...
Pójdziemy.

KRÓLOWA.

Boże! nigdy! milcz!

KASSYLDA.

Lecz to nie trudno.

KRÓLOWA.

Dość!

(Oddalając się nieco od Kassyldy i wpadając napowrót w marzenie).

O czemuż nie jestem w mej ojczystej stronie,
Ja — tak wstrętna wielkościom — na rodziców łonie,
Kiedym z moją siostrzyczką wybiegała w pole,
Zbierać modre bławatki, różowe kąkole,
Rozmawiać z wieśniakami, pocieszać ich w znoju!
Niestety! raz wieczorem, obcy, w czarnym stroju,
Przybył z dalekiej ziemi i mnie zatrwożoną,
Monarchy hiszpańskiego witał narzeczoną.
Ojciec promieniał szczęściem — a matka — płakała —
Dzisiaj płaczą oboje — o jakżebym chciała
Tę kasetkę rodzicom przesłać potajemnie,
Jakżeby się cieszyli, jakaż zmiana we mnie!
Wszystkie me przywiezione wymarły ptaszyny.

(Kassylda robi znak skręcenia szyi ptakom poglądając z boku na księżnę).

Nie wolno mi hodować kwiatków mej krainy,
Nigdy mowa miłości usz mych nie pieściła,
Dzisiaj jestem królową — dawniej wolną była;
Ty mówiłaś, że park ten smutny i ponury,
On mi światem — bo świat mój zamknęły te mury.
Och nudy!

(Słysząc śpiew oddalony).

Jakieś śpiewy.

KASSYLDA.

To kwiaciarek grono
Wracając do dom piosenkę śpiewa ulubioną.

(Śpiew zwolna przybliża się tak, że słowa rozróżnić można. Królowa słucha chciwie).

ŚPIEW ZA SCENĄ.

I.

W błękit nieskończony
Ptasząt głosy płyną,
Lecz najtkliwsze tony
W głosie twym dziewczyno.

II.

Gwiazdek rojowiska
Świecą nad doliną,
Lecz najczystsza błyska
W oku twem dziewczyno.

III.

Maj przystraja światek
Kwiateczków drużyną,
Lecz najmilszy kwiatek
W sercu twem dziewczyno.

IV.

Ptasząt to kwilenie,
Gwiazdka z swą jasnością
I to kwiatków tchnienie
Zowie się miłością!...

(Głosy słabną i oddalają się).

KRÓLOWA *(rozmarzona).*

Miłość — tak! — są szczęśliwe — śpiew ich równocześnie
Działa na mnie nadzwyczaj lubo i boleśnie.

KSIĘŻNA *(do dam dworskich).*

Śpiew tych dziewcząt natrętnych mąci zamku ciszę,
Przepędzić je!

KRÓLOWA *(żywo).*

A toż co? zaledwie je słyszę,
Niech wracają spokojnie — niechaj każda śpiewa
Swobodnie. — Ja chcę księżno!
(Do Kassyldy, wskazując okno w głębi).
Tu mniej gęste drzewa,
Widok na wieś a za nią cienista dąbrowa.
Popatrzno moja droga.
(Idzie ku oknu z Kassyldą).

KSIĘŻNA *(podnosząc się z dygiem).*

Hiszpańska królowa
Wedle ustaw przez okno wyglądać nie może.

KRÓLOWA *(zatrzymuje się i wraca).*

Słońce w zachodzie, wdzięczne swym blaskiem pro-
[miennym,
Wietrzyk, orzeźwiający po upale dziennym,
Śpiew, który się każdemu rozlega w przestworze
Już dla mnie nie istnieją — Bywaj zdrów mi świecie,
Cudów twych, Stwórco, wielbić nie może twe dziecie,
Przyciśnięte niewolą, ciążącą jak ołów.

KSIĘŻNA *(dając znak obecnym, ażeby się oddalili).*

Wyjdźcie — dziś uroczystość Świętych Apostołów.
(Kassylda robi kilka kroków do odejścia, królowa zatrzymuje ją).

KRÓLOWA.

Opuszczasz mię?

KASSYLDA *(wskazując księżnę).*

Wszak muszę uledz jej żądaniom.

KSIĘŻNA *(schylając się aż ku ziemi).*

Zostawmy naszą panię świętym rozmyślaniom.

(Wszystkie wychodzą z głębokimi ukłonami).

SCENA DRUGA.

KRÓLOWA *(sama).*

Rozmyślaniom — mów myślom, co mię dręczą biedną.
Gdzież uciec — samą tutaj zostawili jedną,
Biedny mój duch bez światła błąka się i lęka.

(Marząc).

Och ta na murze krwawo wyciśnięta ręka,
On jest rannym, o Boże! — lecz sam sobie winien,
Czy na mur tak wysoki wspinać się powinien,
Aby mi przynieść kwiatki, których mi wzbroniono,
I po to na wyprawę narażać szaloną.
Na ostrzach kraty biedny poniósł cios tak wielki!
Był i szczątek koronki — Jednej krwi kropelki
Przelanej dla mnie łzami memi nie nagrodzę;
Codziennie, gdy po kwiaty ku ławce przychodzę,
Przysięgam Panu Bogu na wszystko na świecie
Nie powracać tam nigdy, a powracam przecie.
Lecz on trzy dni już nie był — pewnie dla tej rany
O! ktokolwiekbądź jesteś młodzieńcze nieznany,
Co mnie widzisz tak biedną w tej królewskiej kniei,
Co odemnie nie żądasz nic — nawet nadziei,
Gardząc niebezpieczeństwem, niezachwiany trwogą,
Narażasz twoje życie, przelewasz krew drogą,
By królowej Hiszpanii złożyć kwiatek skromny,
Ktokolwiek jesteś — duch twój zawsze mi przytomny,
Gdy mnie los niezbłagany skazał na męczeństwo.
Miej miłość twojej matki — me błogosławieństwo.

(Z żywością kładąc rękę na sercu).

Och jak jego list pali!

(Pogrążając się na nowo w marzeniu).

Tam ów człek bez cześci
Don Sallustio — los naraz nęka mię i pieści...
Szatana i anioła mam naraz przy sobie...
Nie widzę ich — lecz czuję potęgi te obie.
Ciągną mię gdzieś za sobą — dokąd? Bóg sam widzi,
Człowiek, który mię kocha — wróg, co nienawidzi.
Czy jeden od drugiego zbawi mię — któż zgadnie?
Mym losem dwóch przeciwnych losów siła władnie,
O jak słabą królowa — jakże mało znaczy!...

(Klęka przed posągiem Matki Bożej).

Módlmy się: Matko Boża wybaw mię z rozpaczy,
Bo podnieść oczu nie śmiem — jak błagać Cię — nie
[wiem.

(Przestaje się modlić i wstaje).

List, koronka i kwiaty palą jak zarzewiem.

(Wydobywa z za gorsu list zmięty, bukiet zeschłych, błękitnych kwiatów i kawałek skrwawionej koronki. — Wszystko to rzuca na stół — potem klęka i znowu się modli).

O Pani! Gwiazdo morza, pociecho strapionych!
Ratuj!

(Przerywając).

Ten list!...

(Zwracając się ku stołowi).

Wyrazów krwią jego zbroczonych
Nie chcę już więcej czytać!...

(Pada na kolana i znowu modli się).

O Matko jedyna,
Którać tyle przez nędzę ucierpiała syna,
Bądź pomocą cierpiącej!

(Wstaje i idzie kilka kroków ku stołowi — zatrzymuje się chwilę, a potem rzuca się na list, jakby pociągnięta nieprzepartą siłą).

Raz przeczytam jeszcze,
A potem... potem zniszczę to pismo złowieszcze

(Z smętnym uśmiechem).

Niestety cały, cały miesiąc powtarzam te słowa...

(Rozwija list odważnie i czyta).

»Pani — pod twemi stopy — wśród cieni się chowa
»Człowiek, który cię kocha, zgubiony, nieznany,
»Który cierpi!... robaczek w gwieździe zakochany,
»Który ci duszę swoją poświęci w potrzebie,
»Który kona w przepaści, gdy świecisz na niebie«.

(Kładzie list na stole).

Kiedy dusza spragniona ukoić ją przecie
Trzeba, choćby trucizną...

(Umieszcza list i koronkę znowu na piersiach).

Jam sama na świecie,
Więc trzeba, żebym komuś serce me oddała;
O gdyby król chciał tylko, jegobym kochała,
Lecz zostawia mię samą — miłości spragnioną.

(Wielkie podwoje w głębi otwierają się, a w nich ukazuje się odźwierny w paradnym stroju).

ODŹWIERNY *(donośnym głosem).*

List od króla.

KRÓLOWA *(jakby zbudzona zrywa się z okrzykiem radości).*

Od króla! jestem ocaloną.

SCENA TRZECIA.

KRÓLOWA. — KSIĘŻNA ALBUQUERQUE. — KASSYLDA. — DON GURITAN. — DAMY DWORSKIE. — PAZIOWIE. — RUY BLAS.

(Wszyscy wchodzą uroczyście do sali. — Na czele księżna, za nią damy — Ruy Blas zostaje w głębi; płaszczyk, spadający na lewe ramię, osłania go. — Dwaj paziowie na poduszce ze złotogłowiu niosą list królewski i na kilka kroków przed królową klękają).

RUY BLAS *(w głębi do siebie).*

Gdzież jestem — jaka piękna!... Jakież znoszę męki!

KRÓLOWA.

To pomoc dla mnie z nieba.

(Głośno).

Dać prędko!

(Zwracając się ku portretowi króla).

O dzięki

Mój królu!

(Do księżny).

Skąd te listy?

KSIĘŻNA.

Z Aranjuez Pani,

Gdzie król teraz poluje.

KRÓLOWA.

O moi kochani,

Jak król o mnie pamięta w mojej samotności,

Spragnionej mieć od niego choć słówko miłości.

Dajcież go!

KSIĘŻNA *(z głębokim ukłonem, ukazując list).*

Według ustaw listy monarchini
Ma otwierać i czytać wielka ochmistrzyni.

KRÓLOWA.

Czytaj więc!

(Księżna bierze list i otwiera powoli).

KASSYLDA *(na stronie).*

Zobaczmy co w tem piśmie miłem.

KSIĘŻNA *(czyta).*

»Pani! Wicher szalony — sześć wilków zabiłem.
Don Carlos«.

KRÓLOWA *(na stronie).)*

O mój Boże!

DON GURITAN *(do księżny).*

Już wszystko?

KSIĘŻNA.

Tak panie.

KASSYLDA *(na stronie).*

Proszę — zabił sześć wilków. Jak wzniosłe pisanie,
Biedna, jednej swobodnej nie znająca chwilki,
Tkliwa, chora, znudzona — a on bije wilki.

KSIĘŻNA *(pokazując list królowej).*

Czy dać?

KRÓLOWA *(odtrącając list).*

Nie!

KASSYLDA *(do księżnej).*

I to wszystko?

KSIĘŻNA.

Dowód uprzejmości,
Najwyższe doniesienie od królewskiej mości,
Ile ubił i jaką pogodę mieć raczył.
Wieść ważna.

(Przeglądając jeszcze raz list).

Król nie pisał — dyktował.

KRÓLOWA *(wyrywając list księżnie i przypatrując się).*

Dlaczego?
Tak, to nie ręka króla — podpis tylko jego.
(Przypatrując się jeszcze pilniej listowi — osłupiona, do siebie).
Czy to złudzenie? — Oby Stwórca mi przebaczył!
To pismo jak w tym liście.

(Wskazuje list, który schowała na sercu).

W oczach mi się dwoi.

(Do Księżnej).

Kto przywiózł list od króla?

KSIĘŻNA *(wskazując Ruy Blasa).*

Ten pan, co tam stoi.

KRÓLOWA *(zwracając się nawpół do Ruy Blasa).*

Jakto — ten młody człowiek?

KSIĘŻNA.

Tak jest — nie inaczej,
Rękodajny, którego król przeznaczyć raczy
Do orszaku królowej — a mnie z każdej strony
Przez markiza Santa Cruz mocno polecony.

KRÓLOWA.

Jego nazwisko?

KSIĘŻNA.

Zwie się don Cezar de Bazan
Hrabia Garofa — jako wzór młodzieży wskazan.
Ni rodu, ani manier on się nie powstydzi.

KRÓLOWA.

Chcę z nim pomówić.
(Do Ruy Blasa).
Panie!

RUY BLAS *(na stronie, drżąc).*

Ach! ona mnie widzi!
Mówi do mnie — o Boże! drżę.

KRÓLOWA *(do Ruy Blasa).*

Przybliż się panie!

DON GURITAN *(na stronie, spoglądając krzywo na Ruy Blasa).*

Tak młody rękodajny — to boże skaranie.
(Ruy Blas blady zbliża się wolno).

KRÓLOWA *(do Ruy Blasa).*

Przybywasz z Aranjuez?

RUY BLAS *(kłaniając się).*

Tak jest.

KRÓLOWA.

Król polował?
Ma się dobrze?
(Ruy Blas kłania się — ona mu pokazuje list).
I ten list król dla mnie dyktował.

RUY BLAS.

Tak jest — król był na koniu i dla posłannika...

(Po chwili).

Jednemu z dworzan zlecił pisać.

KRÓLOWA *(na stronie, patrząc na Ruy Blasa).*

Jak przenika
Wzrok. — Nie śmiem spytać komu...

(Głośno).

Znużony podróżą
Możesz odejść.

(Ruy Blas odchodzi kilka kroków).

Przy królu było dworzan dużo?

(Na stronie)

Czemuż jestem wzruszoną, gdy patrzę na niego.

(Ruy Blas kłania się).

Którzy?

RUY BLAS.

Nie umiem nazwać imienia żadnego,
Bawiłem nazbyt krótko na królewskim dworze,
Trzy dni jak opuściłem Madryt.

KRÓLOWA *(na stronie).*

Trzy dni! Boże!

(Królowa spogląda smętnie na Ruy Blasa).

RUY BLAS *(na stronie).*

Ona żoną innego — z zazdrości szaleję!
Jeszcze czyją! — o Boże! cóż się ze mną dzieje!

DON GURITAN *(przystępując do Ruy Blasa).*

Pan jesteś rękodajnym królowej. Czy, panie,
Znasz dobrze swoją służbę? Masz na zawołanie
Czuwać obok w pokoju — w nocy, jak służbowi,
I gdy przyjdzie do żony otworzyć królowi...

RUY BLAS *(drżąc, na stronie)*.

Ja otworzyć królowi?!

(Głośno).

Króla niema!

DOM GURITAN.

Może

Przybędzie niespodzianie w nocy.

RUY BLAS *(na stronie)*.

O mój Boże!

DON GURITAN *(na stronie)*.

Co mu jest?

KRÓLOWA

(która wszystko słyszała i wpatruje się bystro w Ruy Blasa).

Jak on blednie!...

(Ruy Blas chwiejąc się wspiera się na poręczy fotelu).

KASSYLDA *(do królowej)*.

Nasz dworzanin nowy

Zasłabł.

RUY BLAS *(zaledwie utrzymując się na nogach)*.

O nie, bynajmniej, lekki zawrót głowy,

Zmęczenie... wielki upał — i ruch przyspieszony.

(Na stronie).

Ja otworzyć królowi...

KASSYLDA.

Ach! wszak on raniony

W rękę!

KRÓLOWA.

Raniony w rękę?!

KASSYLDA.

On omdlewający,
Trzeba mu podać prędzej jaki płyn rzeźwiący!

KRÓLOWA *(wyjmując z za gorsetu flakon).*

Weź ten flakon Kassyldo i natrzyj mu skronie.
(W tej chwili jej wzrok pada na mankiet Ruy Blasa na prawej ręce).
(Na stronie).
Ta sama koronka.
(Wyjmując flakon wydobyła razem i kawałek koronki, który miała za gorsem — Ruy Blas, który nie spuszcza oka z królowej, widzi to).

RUY BLAS *(tracąc głowę).*

Och!...
(Spojrzenia Ruy Blasa i królowej spotykają się — chwila ciszy).

KRÓLOWA *(na stronie).*

To on!

RUY BLAS *(na stronie).*

Na jej łonie!

KRÓLOWA *(na stronie).*

To on!

RUY BLAS *(na stronie).*

O spraw to Boże, bym skonał tej chwili!
(W pośród nieporządku, jaki panuje pomiędzy kobietami, cisnącemi się dokoła Ruy Blasa, nikt nie spostrzega tego, co zaszło między nim a królową).

KASSYLDA *(dając wąchać Ruy Blasowi flakon).*

Ręka zbroczona. Czyście teraz się zranili? —
Nie. Rana się dawniejsza w drodze otworzyła
I dlaczegóż rannego król z listem posyła?

KRÓLOWA *(do Kassyldy).*

Proszę cię przestań pytać — badanie mu szkodzi.

KSIĘŻNA *(do Kassyldy).*

Cóż to moja kochana królowę obchodzi?

KRÓLOWA.

Ponieważ on list pisał — cóż więc w tem dziwnego,
Że przez niego król posłał.

KASSYLDA.

Nie wspomniał on tego,
Że list pisał.

KRÓLOWA *(na stronie).*

Och!
(Do Kassyldy).
Ciszej.

KASSYLDA *(do Ruy Blasa).*

Czy lepiej wam panie?
Mówcież.

RUY BLAS.

Och! tak mi dobrze.

KRÓLOWA *(do dam).*

Skończmy posłuchanie.
Pójdźmy. Hrabio Onato, udziel mu pomocy.
(Do paziów, stojących w głębi).
Najjaśniejszy Pan dzisiaj nie przybędzie w nocy,
Gdyż poluje — a łowy rozrywka tak miła.

(Wychodzi z orszakiem do swych apartamentów).

KASSYLDA *(patrząc na odchodzącą).*

Królowej coś się stało!

(Wychodzi temi samemi drzwiami, co królowa, niosąc szkatułkę z relikwiami).

(Ruy Blas zdaje się jeszcze przysłuchiwać z lubością ostatnim słowom królowej — zdaje się, jakby się stał łupem marzeń; kawałek koronki, który królowa w swem pomieszaniu upuściła, leży na kobiercu; Ruy Blas podnosi ją, wpatruje się w nią z miłością i okrywa pocałunkami. Potem wznosi oczy ku niebu).

RUY BLAS.

Na jej sercu była.

Dzięki Ci Boże wielki!

(Oglądając szczątek koronki).

Czy to łez jej ślady?...

(Chowa koronkę na sercu. — Don Guritan wchodzi ze drzwi pokoju, do którego towarzyszył królowej. Idzie wolnym krokiem ku Ruy Blasowi. Nie mówiąc do niego ani słowa, wyciąga do połowy swą szpadę i mierzy ją okiem ze szpadą Ruy Blasa, poczem chowa do pochwy. — Ruy Blas przygląda się temu z zadziwieniem).

SCENA CZWARTA.

RUY BLAS. — DON GURITAN.

DON GURITAN.

A więc równej długości przyniosę dwie szpady.

RUY BLAS.

Hrabio?

DON GURITAN.

W tysiąc sześćsetnym pięćdziesiątym roku
Mieszkałem w Alikancie, pod wpływem uroku
Pewnej damy — smyk jakiś, znać z sercem zranionem
Spacerował zbyt często pod lubej balkonem —
Bardzo blisko katedry. Ów młodzik w zaloty
Chodząc, miał minę najmniej kapitana floty.
Nazywał się Don Vasquez, był dumnym a pustym,
Zabiłem go!...

(Ruy Blas chce mu przerwać — Don Guritan wstrzymuje go gestem i mówi dalej).

W sześćsetnym sześćdziesiątym szóstym
Don Gil, hrabia d'Iscola, szlachta bardzo stara,
Posłał mej ukochanej, zwanej donna Klara,
Sługę z listem. — Lecz list ten oddała mi wierna
Sługa hrabiego, zwał się Grifel de Taverna;
Kazałem zabić sługę, pana sam zabiłem.

RUY BLAS.

Panie!

DON GURITAN.

W tysiąc sześćsetnym ośmdziesiątym, byłem
Zdradzonym przez kochankę, z tkliwości swej słynną;
Don Tirso de Gamonal ślicznym był chłopczyną,
Był bogatym a wszystkich gasił swą urodą.
Nosił przepyszne pióra. Było wówczas modą
Podkuwać muły złotem w naszym wielkim świecie,
Zabiłem don Tirsona Gamonal.

RUY BLAS.

Lecz przecie
Czego pan chcesz odemnie?

DON GURITAN.

Chcę powiedzieć panie,
Że póki ucho starczy noszą wodę w dzbanie,
Że jutro z rana słońce wejdzie koło czwartej,
Że znam pewne ustronie, gdzie rośnie las zwarty,
Pyszne dla dwóch szlachciców, co chcą ruchu użyć,
Że pan zwiesz się Don Cezar de Bazan — Ja za to
Don Gaspardo Guritan, hrabia de Onato,
Y Tassis y Guevarra.

RUY BLAS.

Będę panu służyć.
(Od kilku chwil Kassylda ciekawa, weszła przez drzwi małe w głębi, podeszła na palcach i słyszała ostatnie słowa mówiących, nie będąc przez nich widziana).

KASSYLDA *(na stronie).*

Trzeba ostrzedz królową.
(Niknie w drzwiach małych).

DON GURITAN *(zawsze niewzruszony).*

Lecz dla objaśnienia
Dam poznać, gdy pozwolisz, moje nawyknienia,
Dla waszej wiadomości. Jam dziwak ogromny,
Od młodości nadzwyczaj lubię ubiór skromny,
Nie lubię znów galantów, co trefią wąsiki,
Pięknych gachów, na których gapią się podwiki,
Raz promiennych nadzieją, znów bliskich omdlenia,
Co rzucają na damy ogniste spojrzenia,
Rozpierają na krzesłach, kręcą się na pięcie
I których wprawia w mdłości lada zadraśnięcie.

RUY BLAS.

Nic a nic nie rozumiem.

DON GURITAN.

Ach mój przyjacielu
Wszakże oba dążymy do jednego celu;
Jeden z nas jest zanadto panie w tym pałacu.
Pan jesteś rękodajnym — ja ochmistrzem dworu,
Jedne prawa — lecz nie są jednego waloru
I broń nasza nierówna na turniejów placu.
Ja mam prawa dawniejsze — ty masz młodsze prawa,
Więc jesteś dla mnie groźnym. — Fatalna to sprawa
Siąść do uczty z młodzieńcem, co ma ostre zęby,
Głód wilczy, wzrok iskrzący i siłę jak dęby;
To we mnie wzbudza trwogę — a staczać turnieje
Na tym gruncie miłosnym, co się ciągle chwieje,
Niedorzeczność, mój drogi. — Mój zawód skończony,
Mam podagrę — nie jestem tak ograniczony,
Bym szedł w zawody o względ każdej Penelopy,
Z młodymi, przystojnymi i tęgimi chłopy.
Otóż ponieważ ciebie znalazłem tak tkliwym,
Zgrabnym, pięknym, udatnym, młodym, pieszczotliwym,
Trzeba więc, bym cię zabił.

RUY BLAS.

Dobrze — spróbój!

DON GURITAN.

Panie,
Hrabio Garofa — jutro, zanim słońce wstanie,
Bądź na miejscu wskazanem bez żadnego świadka;
Zarzniemy się uprzejmie, pójdzie nam jak z płatka,
Ze szpadą i sztyletem jak się szlachcie godzi,
Która z odwiecznych domów, tak jak my, pochodzi.

(Wyciąga rękę do Ruy Blasa, którą on ściska).

RUY BLAS.

Lecz o tem ani słowa co zaszło.

(Don Guritan robi znak przyzwolenia).

O świcie.

(Odchodzi).

DON GURITAN *(sam).*

Ręka mu nie zadrżała, ścisnął przyzwoicie,
Wie, że zginie, a jednak wzrok śmiały — twarz szczera,
Dzielny szlachcic.

(Słychać skrzypnięcie klucza w małych drzwiach od pokoju królowej, na ten szelest Don Guritan odwraca się).

Zda mi się, że ktoś drzwi otwiera.

(Królowa otwiera drzwi i idzie żywo ku Don Guritanowi, zadziwionemu i zachwyconemu jej widokiem — trzyma w ręku małą szkatułkę).

SCENA PIĄTA.

DON GURITAN. — KRÓLOWA.

KRÓLOWA *(z uśmiechem).*

Właśnie was szukam hrabio.

DON GURITAN *(zachwycony).*

Paniś mnie szukała?

KRÓLOWA *(kładąc kasetkę na gierydonie).*

O Boże, to nic — raczej bagatelka mała.

(Uśmiecha się).

Tylko co rozmawiałam — pomiędzy innemi,
Że kobiety bywają czasem dziwacznemi

Kassylda zapewniała, że hrabia Onato
Wszystko dla mnie uczyni —

DON GURITAN.

Miała słuszność.

KRÓLOWA.

Na to
Odpowiedziałam, że nie.

DON GURITAN.

Byłaś pani w błędzie.

KRÓLOWA.

Mówiła, żeś pan gotów pobiedz dla mnie wszędzie,
Choćby nawet do piekła.

DON GURITAN.

Słuszności w tem wiele.

KRÓLOWA.

Ja zaprzeczam —

DON GURITAN.

Ja znowu twierdzić się ośmielę,
Gotów jestem wypełnić każde twe żądanie.

KRÓLOWA.

Każde?

DON GURITAN.

Każde.

KRÓLOWA.

Więc dobrze, przysiąż na to panie,
Że każda moja prośba zostanie spełniona.

DON GURITAN.

Więc na świętego Kaspra, mojego patrona,
Przysięgam! Wydaj rozkaz, spełnię go lub zginę!

KRÓLOWA *(biorąc szkatułkę).*

Dobrze! opuścisz Madryt w tę jeszcze godzinę,
Zawieziesz tę szkatułkę z drzewa cedrowego
Do Neuburga, z relikwią dla ojca mojego.

DON GURITAN *(na stronie).*

Wzięła mię.

(Głośno).

Do Neuburga?

KRÓLOWA.

Tak jest.

DON GURITAN.

O mil trzysta?!

KRÓLOWA.

Trzysta dziesięć.

(Pokazując na szkatułkę).

Na wierzchu jest rzeźba złocista.
Strzeż, by się nie zepsuła.

DON GURITAN.

Więc mam ruszyć w drogę?

KRÓLOWA.

Natychmiast.

DON GURITAN.

Gdyby jutro?

KRÓLOWA.

Zezwolić nie mogę.

DON GURITAN *(n. s.).*

Wzięła mnie.

(Głośno).

Gdyby...

KRÓLOWA.

Zaraz.

DON GURITAN.

Lecz...

KRÓLOWA.

Mam wasze słowo.

DON GURITAN.

Mam interes.

KRÓLOWA.

Odłóż go.

DON GURITAN.

Zlituj się królowo!

KRÓLOWA.

Nie mogę!

DON GURITAN.

Och! dzień tylko.

KRÓLOWA.

Nie!

DON GURITAN.

Bo...

KRÓLOWA.

Ja odchodzę.

DON GURITAN.

Och!

KRÓLOWA.

Jedź!

DON GURITAN.

Lecz...

KRÓLOWA.

Jedź!

DON GURITAN.

Ha!...

KRÓLOWA.

Za to uściskiem nagrodzę.
(Rzuca mu się na szyję i ściska go).

DON GURITAN *(zły i zachwycony).*

Ten uścisk, któż się oprze na taką podnietę!
(Na stronie)
Pan Bóg stworzył mężczyznę, a dyabeł kobietę.

KRÓLOWA *(pokazując przez okno).*

Powóz was oczekuje przed bramą na dole.

DON GURITAN.

Jak przewidziała wszystko!
(Pisze kilka słów szybko i dzwoni — Paź wchodzi).
Kochane pachole,
Zanieś Don Cezarowi de Bazan słów kilka.
(Na stronie).
Za powrotem na szpadę nabiję motylka.
O wrócę!
(Głośno).
Spełniam rozkaz — niech królowa żyje!
Odjeżdżam!

KRÓLOWA.

Och dziękuję.

(Don Guritan bierze szkatułkę, całuje królowę w rękę, składa głęboki ukłon i wychodzi. — Po chwili słychać turkot powozu, który się oddala).

KRÓLOWA *(upadając na fotel).*

Już go nie zabije!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

RUY BLAS.

Sala rządowa w pałacu królewskim w Madrycie. W głębi wielkie podwoje, na kilku stopniach podniesione. Na lewo w kącie ścianka poprzeczna, utworzona ze spuszczonej zasłony — w przeciwnym kącie okno. Po prawej stronie wielki stół czworokątny, okryty zielonym aksamitem. Dokoła stołu osiem taburetów, a przed każdym na stole pulpity do pisania. Przed stołem, od strony zwróconej ku widzom, wielki fotel obity złotogłowiem pod złocistym baldachimem, herbami Hiszpanii i insygniami królewskiemi. Obok tego fotelu krzesło. — W chwili podniesienia kurtyny przyboczna Rada królewska ma rozpocząć posiedzenie.

SCENA PIERWSZA.

DON MANUEL ARIAS. — DON PEDRO HR. CAMPOREAL. — MARKIZ DE PRIEGO. — DON ANTONIO UBILLA. — MONTAZGO. — COVADENGA. — RADCY SĄDOWI *w ubiorach czarnych — inni w strojach dworskich. — Hr. Camporeal ma wielki krzyż Kalatrawy na płaszczyku. — Markiz de Priego złote runo na szyi).*

(Don Manuel Arias i hr. Camporeal rozmawiają cichym głosem pomiędzy sobą — inni radcy tu i ówdzie tworzą grupy po sali).

HR. CAMPOREAL.

Jest jakaś tajemnica z tą nagłą fortuną,
Sekretarz generalny stanu — złote runo,
Książę Olmedo — wreszcie i minister nowy!

DON MANUEL ARIAS.

W pół roku?

HR. CAMPOREAL.

Uchyl tylko opony alkowy.

DON MANUEL ARIAS *(tajemniczo)*.

Królowa?

HR. CAMPOREAL.

Tak — król chory, na duchu zgnębiony,
Wciąż siedzi przy grobowcu pierwszej swojej żony.
Abdykował i całkiem zamknął w Eskurialu.
Królowa rządzi wszystkiem.

DON MANUEL ARIAS.

Mój Camporealu,
Ona rządzi Cezarem, a on rządzi nami.

HR. CAMPOREAL.

On dziwne życie wiedzie, rozważcie to sami.
Najprzód Don Cezar nigdy nie mówi z królową,
Unikają się wzajem — przeczysz?... daję słowo,
Od pół roku ich śledzę w interesie wspólnym.
Dalej rządząc się jakimś kaprysem szczególnym,
Mieszka w domu ukrytym. To mi nie pojęte,
Dlaczego okiennice są zawsze zamknięte,
Dwaj czarni niewolnicy strzegą drzwi wychodnich,
Możnaby wielu rzeczy dowiedzieć się od nich,
Lecz niemi...

DON MANUEL ARIAS.

Niemi?

HR. CAMPOREAL.

Niemi. Służby reszta cała
Tu w pałacu w pokojach jego zamieszkała.

DON MANUEL ARIAS.

Rzecz dziwna.

DON ANTONIO UBILLA *(który od niedawna zbliżył się ku rozmawiającym).*

Jeden z rodów najpierwszych Hiszpanii.

HR. CAMPOREAL.

Dziwna, że uczciwości jakiejś popadł manii,

(Do Manuela)

On krewny Don Sallustia, który przed pół rokiem
Wpadł w niełaskę. — Santa Cruz pchnął go szybkim [krokiem
Na dworze. Ów Don Cezar, co ma władzę taką,
Był za młodu w Madrycie szalonym hulaką,
Hultajem jakich mało, o nic on nie pytał
I za swoje dochody uważał kapitał.
Co dzień zmieniał kochanki, karoce, rumaki,
A miał tak ostre zęby i apetyt taki,
Że byłby w roku pożarł wszystkie skarby Peru —
I znikł, gdy jego mienie zrównało się zeru.

DON MANUEL ARIAS.

Wiek to zrobił z szaleńca to zacności dziwo.

HR. CAMPOREAL.

Na starość nierządnica udaje cnotliwą.

UBILLA.

Mam go za uczciwego.

HR. CAMPOREAL *(śmiejąc się).*

O czysty Ubilla
Wierzy w jego uczciwość jak w łzy krokodyla.

(Tonem znaczącym).

Dom Najjaśniejszej Pani kosztuje nie więcej
Na rok jak sześćset sześćdziesiąt cztery tysięcy,
Paktol niewyczerpany, obfity, głęboki,
W który można na pewne zarzucać swe włoki.
Woda mętna, łup pewny.

MARKIZ DEL PRIEGO *(łącząc się z nimi).*

Niech was nie uraża,
Lecz zbyt głośno ganicie pana sekretarza —
Mój dziad, dworak zabity, sławny hipokryta,
Mawiał: gryź do krwi króla, a pieść faworyta.
Ot lepiej się zajmijmy publicznemi sprawy.

(Wszyscy zasiadają około stołu — jedni biorą pióra, drudzy przewracają papiery, zresztą próżniactwo ogólne, chwila milczenia).

MONTAZGO *(cicho do Ubilli).*

Z kas na zakup relikwij miałeś pan łaskawy
Dać dla mego siostrzeńca na kupno posady.

UBILLA *(cicho do Montazga).*

A pan znów obiecałeś zarządcą Granady
Zrobić Melchiora Elvę, mojego kuzyna.

MONTAZGO *(z oburzeniem).*

Dałem wiano twej córce. Czyż moja w tem wina,
Żeście nienasyceni — rady z wami niéma.

UBILLA *(cicho).*

Wasz siostrzan kupi urząd.

MONTAZGO.

Wasz zarząd otrzyma.

(Ściskają sobie ręce).

COVADENGA *(podnosząc się).*

Panowie Radcy stanu, główwnie idzie o to,
By nie krzywdzić się wzajem, a każdy miał złoto,
Urządźmy nasze działy bez wzajemnej szkody!
Sto rąk chciwych rozrywa skarbowe dochody,
Takiej klęsce publicznej położyć kres trzeba,
Bo jeden ma za dużo, drugi mało chleba.

(Do Ubilli)

Cały dochód z tytoniu tyś zabrał kolego,
Indigo znów i piżmo zagarnął Del Priego.
Camporeal z niewiernych pogłówne pobiera,
Dzierży monopol soli, jedwab et caetera,
Piąty procent od złota, ambry i gagatu.

(Do Montazgi)

Spoglądasz na mnie krzywo — a wiadomo światu,
Żeś nie tylko zagarnął, twym manewrom dzięki,
Z arszeniku i śniegu dochód do swej ręki;
Masz od portów, mosiądzu i od kart opłaty,
Toć i kary od mieszczan, którym walą baty,
Dziesięciny i ołów, wosk, olej różany —
Ja nic nie mam panowie — jestem zrujnowany!

HR. CAMPOREAL *(wybuchając śmiechem).*

Ty stary dyable stękasz! Nic nie masz? to lubię.
A któż to drze Jamajkę i puszcza krew Kubie,
Oj masz ty długie łapy o potężnej sile,
W jednej trzymasz Majorkę, a w drugiej Antylle.

COVADENGA *(zapalając się).*

Ja nic nie mam.

MARKIZ DEL PRIEGO.

Masz negrów!

(Wszyscy podnoszą się i kłócą się, mówiąc razem).

MONTAZGO.

Nie, mam puste kasy.
Skarżę się jak najsłuszniej. — Dajcież mi choć lasy.

COVADENGA.

A więc zwróć mi arszenik, a twoi negrowie...

(Od kilku chwil Ruy Blas wszedł drzwiami w głębi i nie będąc widzianym przez radców, przysłuchiwał się ich rozmowie. Ubrany czarno, w szkarłatnym aksamitnym płaszczyku: u kapelusza pióro białe, na szyi złote runo. Idzie naprzód wolno i wchodzi pomiędzy radców w czasie ich najgorętszej kłótni).

RUY BLAS.

Smacznego apetytu!

(Wszyscy zwracają się ku niemu. Milczenie zadziwienia i niespokojności; Ruy Blas kładzie kapelusz, zakłada ręce na piersiach i patrzy im bystro w oczy).

Oto ministrowie!...
Cnotliwi rądcy — oto manier wasz
Służenia!... słudzy, co rabują dom!
Wybrać godzinę, czyli wam nie srom,
Godzinę straszną, gdy ginie kraj nasz.
Lecz wy na celu innych spraw nie macie,
Jak kieszeń napchać i uciekać z łupem.
Bądźcież przeklęci, gdy ojczyzna trupem,
Grabarze, co grób matki okradacie!
Czyliż wam lica wstydem nie nabiegą?
Naród wielkością, cnotami dostojny
Upadł. Od czasów Filipa czwartego
Portugalię, Brazylię bez wojny
Wzięto nam — Brisach stracony dla tronu —
Steinfort, Franche Comté po ostatnie wsie.

Nie masz Ormuzu, Goa, Rusillonu,
A trzy tysiące mil wybrzeży gdzie?!
Patrzcie od wschodnich do zachodnich granic,
Europa wroga szydzi, ma nas za nic.
I jakby król wasz był już tylko marą,
Hollandya z Anglią chcą podzielić nas,
Rzym oszukuje. Słynący złą wiarą
Piemont się łasi, a gotuje raz.
Książę Sabaudyi znanym jest z chytrości,
Francya, by wziąść nas, czeka sposobności.
Austrya czyha, a infant umiera.
A wicekróle?... Medina pożera
Neapol, Leganu marnie Flandryę traci,
Wróg za Medyolan Vaudmontowi płaci.
Jak kraj ratować? Hiszpania w nędzy,
Nie ma żołnierzy, zasobów, pieniędzy.
Morska potęga — o wstrzymaj gniew Boże!
Trzysta okrętów pochłonęło morze,
Nie licząc galer. — Ileż ciężkich strat!
I wy — wyż śmiecie! Od dwudziestu lat
Lud pod ciężarem upadając marnie,
Na wasze zbytki, metresy i psiarnie,
Ten lud znękany krwią własną i potem,
Dostarczył pięciuset milionów złotem.
Czyż nie dość jeszcze? Czyż to mało wam?
Ha, wstyd mię za was! Zbójcy u miast bram,
Niepłatny żołdak niszczy ogniem plony,
Z każdego krzaku muszkiet wymierzony,
Nie dość, że możni toczą bój zacięty,
Okręg z okręgiem, z konwentem konwenty,
Każdy sąsiada chce pożerać ciało,
Jak na okręcie, gdy chleba nie stało.
Kościół w ruinie, w niej pełzną gadziny,

Są wielkie rody — ale gdzież ich czyny?
Intrygą pany piętnują swój wiek,
Cała Hiszpania jeden brudny ściek,
Każdy z magnatów trzyma zastęp liczny
Łotrów na żołdzie — tłum to stujęzyczny:
Włoch, Arnaut, Flamand. — Policya się kryje,
Biednych uciska — możnym czołem bije,
Co noc morderstwa — wszędzie krzyk »Pomocy!«
Mnie pod Toledem obdarto tej nocy.
Jedna część łupi drugą część narodu,
Sędzie sprzedajni, a żołnierz mrze z głodu.
Zwycięzcy świata, straszni dla sąsiadów,
Cóż mamy wojska — sześć tysięcy dziadów!?
Bosych nędzarzy, odzianych w łachmany,
Żydzi, żebracy, włóczęgi, cygany!
Każdy pułk mnóstwo hoduje łotrzyków,
Z nich się to tworzą bandy rozbójników.
Gdy noc zapadnie wraz roją się sępy;
Zbój Matalobos ma większe zastępy,
Niż król Hiszpański, z którym toczy wojnę;
Króla znieważa chłopstwo niespokojne,
Powozy błotem obrzuca na drodze.
A on — ten pan wasz w żałobie i trwodze,
Sam w Eskurjalu, wśród zmarłych, znękany
Ugina czoła i pacierze szepce.
Patrzcie niestety! Europa depce
Kraj, co purpurę zmienił na łachmany.
Państwo w ruinie, lada dzień w proch padnie,
Wy się kłócicie, kto resztki rozkradnie!?
A lud hiszpański, któremuście, karli!
Miłość ojczyzny i zapał wydarli,
Shańbiony w waszej kałuży umiera,
Jak lew, którego robactwo pożera.

Karolu Piąty — w tych czasach sromoty
Co robisz w grobie? gdzie orzeł twój złoty?
Powstań cesarzu! przypatrz się tej zgrai,
Dziedzictwo twoje na łasce hultai.
Hiszpania kona w niemocy i bolu,
Twego ramienia trzeba nam Karolu!
Gdzieżeś promienny ty cesarski globie,
Coś rzucał blaski na półkule obie?
Gdy je zajęły cesarskie dzierżawy,
Schodzi to słońce za obłok plugawy
I ludom twoim jasności swej skąpi
I wkrótce inne słońce je zastąpi.
Cesarstwem twoim frymarczy hołota,
Chełpiąc się blaskiem skradzionego złota.
Wielkość twą zdeptać chcą te nędzne karły,
Berło twe sprzedać, olbrzymie umarły,
Purpurą twoją dzielą się bezbożnie,
Orła cesarstwa — co strzegł swoich praw —
Skubiąc z piór złotych chcą piec na swym rożnie,
Powstań Cesarzu i Hiszpanię zbaw!

(Radcy przerażeni milczą; tylko hrabia Camporeal i Markiz del Priego dumnie podnoszą głowy i patrzą nienawistnie na Ruy Blasa — Po chwili Camporeal, porozumiawszy się z del Pregiem, pisze kilka wierszy na arkuszu i tamtemu daje do podpisu).

HR. CAMPOREAL

(wskazując na markiza, oddaje papier Ruy Blasowi).

Ja i markiz del Priego, wnosimy żądanie,
Byś nas książe uwolnił.

RUY BLAS *(odbierając papier chłodno).*

Bardzo dobrze panie,
Pewnieście się stęsknili do swoich familii.

(Do del Priega).

Jedź pan do Andaluzyi.

(Do Camporeala).

A pan do Kastylii,
Do dóbr waszych, dziś jeszcze, kto nie chce iść z nami
Drogą pracy poczciwej, ten może z panami
Wyjechać.

(Cisza w całem zgromadzeniu. Ruy Blas zasiada przy stole w krześle poręczowem, stojącem po prawej stronie królewskiego fotelu. Zajmuje się otwieraniem korrespondencyi. Podczas gdy przegląda listy, jeden po drugim, Covadenga, Arias i Ubilla rozmawiają przytłumionym głosem).

UBILLA *(do Covadengi wskazując na Ruy Blasa).*

Mamy mistrza, zwalił wszystkich nas,
Będzie on kiedyś wielkim.

DON MANUEL ARIAS.

Gdy mu starczy czas.

COVADENGA.

Kto chce zbyt wiele widzieć, traci wzrok z kretesem.

UBILLA.

Richelieu'm będzie on.

DON MANUEL ARIAS.

Gdy nie Oliwaresem.

RUY BLAS *(przebiegłszy jeden z listów, który tylko co otworzył).*

Co to! spisek panowie. Cóż na to mówicie?

(Czyta).

»Książe Olmedo czuwaj! sidła knują skrycie.
»Ktoś bardzo znaczny ma być z Madrytu porwany«.
Nie wymienia nikogo — list nie podpisany —
Będę czuwał.
(Jeden z woźnych zbliża się do Ruy Blasa z ukłonem)
Czego chcesz, prędzej!

WOŹNY.

Excellencyo,
Ambasador francuski chce złożyć atencyą.

RUY BLAS.

Ach! d'Harcourt — przeproś, teraz nie mogę — Cóż dalej?

WOŹNY *(z ukłonem)*.

Poseł cesarza Niemiec w honorowej sali
Czeka na Excellencyę.

RUY BLAS.

Niech raczy darować,
Później!
(Woźny kłania się i odchodzi. Po chwili wchodzi paź, ubrany w liberyę koloru ognistego, z galonami srebrnymi i zbliża się do Ruy Blasa).

RUY BLAS *(spostrzegając go)*.

Paziu, dziś wcale nie będę przyjmować.

PAŹ *(z cicha)*.

Hrabia Onato właśnie wrócił z swej podróży.

RUY BLAS *(z gestem zadziwienia)*.

Ach!... niech jeszcze zaczeka, kiedy czekał dłużej,
Niech jutro przyjdzie do mnie, będę na usługi.
Idź!

(Paź odchodzi. — Do Radców).

Panów proszę wrócić tu o drugiej.
Dla zdania swych urzędów — teraz żegnam was.

(Wszyscy odchodzą, kłaniając się nisko Ruy Blasowi).

SCENA TRZECIA.

RUY BLAS. — KRÓLOWA.

(Ruy Blas przez chwilę sam — marzy głęboko, po chwilce obicie w kącie sali usuwa się, w otworze ukazuje się królowa, ubrana biało, z koroną na czole. Jest rozpromieniona i spogląda na Ruy Blasa z podziwieniem i uszanowaniem. Jedną ręką podtrzymuje zasłonę, po za którą widać rodzaj ciemnego gabinetu i można rozróżnić małe drzwi. Ruy Blas odwracając się spostrzega królowę i zostaje jakby skamieniałym na widok tego zjawiska).

KRÓLOWA *(w głębi sceny).*

O dzięki!

RUY BLAS.

Boże!

KRÓLOWA.

Słyszałam jakieś przebył męki,
Nie mogłam dłużej zostać w tej ustroni,
By nie uścisnąć szlachetnej twej dłoni.

(Idzie żywo ku Ruy Blasowi, bierze go za rękę i ściska, zanim ją zdołał usuuąć).

RUY BLAS *(na stronie).*

Próżno pół roku unikałem jej.

(Głośno).

Pani tam byłaś?...

KRÓLOWA.

Świadkiem walki twej,
Duszą chłonęłam każde twoje słowo.

RUY BLAS (*wskazując oponę*).

Nic nie wiedziałem, że tam drzwi królowo.

KRÓLOWA.

Nikt o tem nie wie — skrytkę tę przed laty
Król Filip trzeci zrobił. Tam na czaty
Zasiadał, śledząc radzące swe sługi.
Widziałam nieraz jak i Karol drugi,
Słuchając nieraz mienił barwę lic,
Widząc ich zdrady.

RUY BLAS.

I cóż mówił?

KRÓLOWA.

Nic!

RUY BLAS.

Nic? a cóż robił?

KRÓLOWA.

Wyjeżdżał na łowy,
Lecz ty!... słyszałem jak groźnemi słowy
Nikczemnym hańbę wyrzucasz i srom.
Patrzałam na to — tu — z pod tej opony,
Jak na zdradzieckie głowy padał grom,
Jak zachowując spokój niewzruszony
Ich piętnowałeś a każdy twarz krył.
Wszystko przed tobą jak przed Bogiem drżało,
Tyś tylko jeden głowę wznosił śmiało,
I każdem słowem kruszyłeś ich w pył.
Skąd ty wiesz wszystko i znasz wszelki ból,

Kto cię nauczył przemawiać jak król?
Skąd ta potęga — żeś jako Pan w niebie,
Wielki i straszny?...

RUY BLAS.

Skąd?... bo kocham ciebie!
Wiem, że niechęcią pałając tajemną,
Pragną mię zgubić i ciebie wraz ze mną,
Lecz nic nie zdoła zachwiać mną w tej sprawie.
Zbawiając ciebie i Hiszpanię zbawię.
Miłość niestety ściga mię bez końca,
Wzdycham do ciebie, jak ślepy do słońca.
O słuchaj pani: w marzeń mych uroku,
W prochu, zdaleka, uwielbiałem cię.
Nie śmiem na ciebie podnieść mego wzroku,
Bo ty jak anioł blaskiem ślepisz mnie!
Pół roku pani ciebie unikałem,
Pół roku nędzny kryłem się z mym szałem,
A ilem cierpiał — o któż pojmie to!
Pół roku kryłem uczucia namiętne
A dziś wyznaję głośno miłość mą —
O każ mi umrzeć, bom znieważył cię,
Lecz przebacz! przebacz!

KRÓLOWA.

Mów! zachwycasz mnie!
Jam w życiu takiej nie słyszała mowy,
Pierś moja pała — krew bije do głowy,
Chcę widzieć ciebie i słyszeć głos twój.
I ja cierpiałam, ale stokroć więcej,
Tęskniąc do ciebie od sześciu miesięcy.
O czemuż milczeć muszę — Boże mój,
Milczę nieszczęsna, bo w sercu mem trwoga.

RUY BLAS *(który słuchał z zachwytem).*

O pani, dokończ! mów! na imię Boga!

KRÓLOWA.

Dobrze więc — słuchaj.

(Podnosząc oczy ku niebu).

Czyż kary to warte,
Czy to jest zbrodnią, że serce rozdarte
Dozwala widzieć, co kryje się w niem?
Tyś mnie unikał, a ja cię szukałam
I codzień tutaj za oponą stałam,
By się przysłuchać mądrym słowom twym.
Tu przez twój rozum głęboki a męski
Poznałam wszystkie państwa mego klęski.
Wiem, żeś ty gwiazdą śród zbłąkanych dróg.
Ja cię stopniami przez czas ten wznosiłam
Do szczytu władzy i tam postawiłam,
Gdzie cię postawić powinien był Bóg.
Ciebie zajmuje, com ja ukochała:
Niegdyś kwiat drobny — dziś monarchia cała.
Wprzód znałam dobrym — dziś cię wielkim znam,
To co najbardziej kobiety porywa,
Potężny rozum i siła prawdziwa,
Wszystko to w tobie zjednoczone mam!

(P. k. m.).

Boże, jeżelim grzeszna, za cóż w tę ciemnicę
Zamknięto mię jak w klatce biedną gołębicę,
Bez miłości, nadziei, bez szczęścia promienia?
O kiedyś ci opowiem wszystkie me cierpienia.
Zapomniana, samotna jak krzyż na mogile,
Oporu, poniżenia doznaję co chwilę.
Bronią mi chować ptaszków i kwiatków hodować.

Nigdzie mi wyjść nie wolno, nikogo przyjmować,
Ni rodziny, ni ziomków widzieć nie mam prawa,
Najmniejszej mi rozrywki broni ich ustawa.
Jestem tu nie królową lecz więźniem w niewoli.
Książę gdyś tu zesłanym został z Bożej woli,
Wydźwignij kraj z przepaści, tę prośbę mam jedną.
Ratuj lud uciśniony i kochaj mnie biedną.
Wszystko to jest bez ładu, co mówię ci ninie,
Lecz widzisz, że co mówię, to z serca mi płynie.

RUY BLAS *(upada na kolana przed nią).*

Pani!

KRÓLOWA.

Weź mego ducha — widzi Bóg na niebie,
Jam dla wszystkich królową — kobietą dla ciebie
Przez miłość, przez to serce, które odtąd twoje,
Przysięgam — wierząc w cześć twą, o mą się nie boję —
Kiedy mię wezwiesz, przyjdę. Jam zawsze gotowa.
Cezarze! Duch twój wielki — potężna twa głowa,
Bądź więc dumnym, bo gieniusz jest twoim udziałem,
Bądź zdrów!
(Całuje go w czoło, podnosi oponę i znika).

SCENA CZWARTA.

RUY BLAS *(sam).*

O Boże, czyż niebo ujrzałem?!
W życiu mem Panie pierwsza ta godzina,
Że świat ten cały jaśnieć mi zaczyna
I raj widziany dotąd w widmach sennych,
Rozwarł się dla mnie w marzeniach promiennych.
We mnie, wkoło mnie, rozkosze nieznane,
Szał, zachwyt, duma, szczęście niespodziane,
Wszystko, czem bóstwo zdobi świat uroczy,

To w jej miłości dla mnie się jednoczy,
Ona mnie kocha, serce rwie się z łona,
Jam więcej niż król, bo mnie kocha ona.
W głowie się mięsza: pogromca, kochany,
Książę Olmedo — u nóg mych Hiszpany.
Anioł, któremum zdala słał westchnienia,
Jednem swem słowem w człowieka mię zmienia;
Więc weszła gwiazda, o której marzyłem!
O jam jej pewny, wszakże z nią mówiłem.
Ona tu była, nad jej czołem czystem
Mały dyadem lśnił blaskiem srebrzystem,
A gdy na smutną żaliła się dolę,
Zmienił się nad nią w świętych aureolę.
Ja — próżen trwogi — gdym od niej kochany,
Ja przez jej miłość regentem wybrany,
Ja, co zazdrości o króla nie taję,
W obliczu Boga głośno to wyznaję:
Poświęcam odtąd, pókim żyw na świecie,
Ramię królowej, a serce kobiecie,
Że wierniejszego tobie sługi nie masz,
Że miłość moja czysta... że...

(Od kilku chwil przez drzwi w głębi wszedł człowiek, obwinięty wielkim płaszczem, mający na głowie kapelusz z galonem srebrnym. Zbliża się on powolnym krokiem ku Ruy Blasowi, nie będąc przez niego widzianym i w chwili gdy Ruy Blas uniesiony zachwytem i szczęściem wznosi oczy ku niebu, on mu kładzie raptownie rękę na ramieniu. Ruy Blas zwraca się ku niemu jakby nagle zbudzony. Człowiek ten pozwala płaszczowi swemu zsunąć się na ziemię. Ruy Blas poznaje Don Sallustia. Don Sallustio ubrany jest w liberyę ognistego koloru, lamowaną srebrnym galonem, podobnie jak paziowie Ruy Blasa).

SCENA PIĄTA.

DON SALLUSTIO. — RUY BLAS.

DON SALLUSTIO *(kładąc rękę na ramieniu Ruy Blasa).*

Jak się masz?

RUY BLAS *(osłupiały, na stronie).*

Boże, zginąłem! Markiz!

DON SALLUSTIO *(śmiejąc się).*

Przysiągłbym kochanie,
Że nie myślałeś o mnie.

RUY BLAS.

Tak dostojny panie.
W istocie, żem zdziwiony.

(Na stronie).

Dolo niezbłagana,
Zaledwie anioł zniknął — spotykam szatana!
(Biegnie do małych drzwi poza oponą i zamyka je na zasuwę, potem wraca cały drżący do Don Sallustia).

DON SALLUSTIO.

No, jakże ci tu idzie?

RUY BLAS *(wlepia wzrok nieczuły w Don Sallustia, mogąc zaledwie zebrać zmysły).*

Co ten ubiór znaczy?

DON SALLUSTIO *(zawsze z uśmiechem).*

Wszakże wejść do pałacu nie mogłem inaczej,
W tem ubraniu wejść można wszędzie w każdej dobie.
Wziąłem więc twą liberyę i jestem przy tobje.
(Wkłada kapelusz — Ruy Blas pozostaje z gołą głową).

RUY BLAS.

Lękam się o cześć waszą.

DON SALLUSTIO.

Tak!? ja się nie trwożę.

RUY BLAS.

Wszakżeś panie wygnany...

DON SALLUSTIO.

Ej, czyż to być może?

RUY BLAS.

Jeżeli was poznają w pałacu... w dniu jasnym...

DON SALLUSTIO.

Jak na dworaka grzeszysz pojęciem zbyt ciasném.
Czyżby dworak wśród balów, festynów i tańca,
Miał czas przypomnieć sobie rysy wywołańca?
A zresztą któż tam zważa na rysy fagasa.

(Rozpiera się w fotelu — Ruy Blas stoi).

Powiedz mi, czy to prawda, bo to u was masa
Bajek, że w przesadzonej jakiejś gorliwości
Dla skarbu publicznego i cząt piękności
Posłałeś na wygnanie markiza del Priego.
Markiz grand pierwszej klasy, nasz krewny do tego,
Matka jego Sandowal jak twoja — odwieczna
Szlachta. — Herb w złotem polu beleczka poprzeczna,
Zobacz twój herb Cezarze, ten sam, tyś zbyt srogi,
Tak się między krewnymi nie robi, mój drogi.
Pomnij, że kruk krukowi nie wykala oka,
Patrz siebie, nie widź drugich, to mądrość głęboka.
Każdy za siebie!...

RUY BLAS *(nabierając nieco otuchy).*

Słuszność tu była powodem.
Markiz del Priego, magnat znakomity rodem,
Ma błąd brzydki, dochody przywłaszczać Hiszpanii.
Mieliśmy zbroić armię w obawie kampanii,
Skarb był próżny, bój blizki, a my na rozdrożu,
A tu infant bawarski na śmiertelnem łożu.
Hrabia Harrach, którego znacie, miał zlecenie
W imię cesarza Niemiec zrobić oświadczenie,
Że jeśli arcyksiążę zechce praw dochodzić,
To wojna!

DON SALLUSTIO.

Powietrze się musiało ochłodzić,
Bądź łaskaw, zamknij okno!

(Ruy Blas blednie ze wstydu i rozpaczy, waha się chwilę, potem robi wysilenie — idzie zwolna ku oknu, zamyka je i wraca do Don Sallustia, który siedząc każdy jego ruch uważa z miną obojętną).

RUY BLAS
(zaczynając na nowo i starając się przekonać Don Sallustia).

Choć chwila sposobna,
Wasza cześć mi to przyzna, wojna niepodobna
Bez pieniędzy, bez armii — o rozważ to panie,
Runie godność Hiszpanii i jej panowanie.
Co do mnie, gdybym tylko zastępy miał zbrojne,
Wypowiedziałbym zaraz cesarzowi wojnę.

DON SALLUSTIO
(przerywając Ruy Blasowi i wskazując na chustkę, którą upuścił).

Proszę cię! podnieś chustkę.

(Ruy Blas jakby na mękach, waha się, potem podnosi ją).

Daj mi ją.

(Ruy Blas podaje, Don Sallustio chowa ją do kieszeni).

Cóż dalej?

RUY BLAS *(z wysileniem).*

Trzeba ocalić państwo — dokoła się pali,
Dobro kraju wymaga zaparcia własnego,
Hiszpania błogosławić będzie zbawcę swego,
Zbawmy ją — wróćmy chwałę groźną naszych znaków,
Zerwijmy nić intrygi i maskę z łajdaków!

DON SALLUSTIO *(niedbale).*

Najprzód człowiek porządny tak się nie wyraża,
Bo to czuć pedantyzmem a uszy obraża.
Po co robić te wrzaski przesadne nad miarę,
Że tam ktoś wziął ze skarbu milioników parę,
Któż się o bagatelki podobne kłopota!
Mój kochany, pan wielki, to nie my hołota,
Żyje hojnie, rozrzuca pieniądze gawiedzi,
Nie jak ów bocian, który wciąż nadużyć śledzi.
Pychą jak pan nadęty — czerwony ze złości.
Lecz waść, jak widzę, chciwy jest popularności.
Chcesz aby cię wielbili kupcy i mieszczuchy,
To śmieszne. Masz znów jakieś dziwaczne podmuchy,
Interesa publiczne?! — Pilnuj własnych bratku,
Dobro Hiszpanii — frazes — którym na ostatku
Inni tak dzwonić będą, jak ty dzwonisz w świecie.
Popularność — to sława w zdawkowej monecie —
Strzec skarbu publicznego jak pies na łańcuchu,
Śliczny zawód — piękniejszych jest wiele mój zuchu!
Cnota, wiara, uczciwość — dziś szychem w narodzie,
Za Karola Piątego bywało to w modzie,
Przecież nie jesteś głupcem, byś wierzył w te bańki
Głupiego entuzyazmu. Jeszcześ był u niańki,
Gdy my, panowie wielcy i członkowie rady,

Zarówno kłuciem szpilki, jak i ostrzem szpady,
Niszczyli te porywy do cnoty, do czynu,
Puszczając brednie z wiatrem wśród oklasków gminu.

RUY BLAS.

Jednakże...

DON SALLUSTIO *(z lodowatym uśmiechem).*

Jesteś jednym z najgenialniejszych —
Ale przejdziemy teraz do rzeczy ważniejszych.

(Tonem krótkim i rozkazującym).

Masz czekać mię o brzasku w tem domostwie małem,
Które ci przed odjazdem moim darowałem;
Sprawa, którąm zgotował, jutro się przeważy.
Dwóch czarnych niewolników niech będzie na straży,
A w gęstwinie przy furtce, gdzie mur ogrodowy,
Miej pojazd zaprzężony, do drogi gotowy.
Zaprzęgi ja zamówię — resztę jak najprędzej
Zrób — jeśli potrzebujesz, przyślę ci pieniędzy.

RUY BLAS.

Spełnię wszystko, co wasza cześć mi rozkazała,
Ale musisz mi przysiąc, że sprawa ta cała
Nie dotyczy królowej.

DON SALLUSTIO *(który się bawił nożem z kości słoniowej, zwraca się w połowie ku Ruy Blasowi).*

Cóż tobie do tego?

RUY BLAS *(chwiejąc się i patrząc na niego z przerażeniem).*

O pan jesteś okropny! — czuję coś groźnego,
Widzę, że mię pociągnąć chcesz w przepaść bezdenną,
Czuję twą moc straszliwą, zgubę mą brzemienną,
Jakiś potworny zamiar kryje się w twym planie,
Coś niewysłowionego. O zlituj się panie,

Bo... ja ci wyznać muszę... że przeczucie owe...
O tem nie wiesz... O panie... ja... kocham królowę.

DON SALLUSTIO.

Ależ dawno wiem o tem.

RUY BLAS.

Wiesz?!

DON SALLUSTIO.

Nudzisz mię daremnie.
I cóż to ma do rzeczy?

RUY BLAS
(opierając się o mur, żeby nie upadł i mówiąc jakby do siebie).

On sobie drwi ze mnie,
Nikczemnik szydzi ze mnie w oczy żywe,
Nademną wisi nieszczęście straszliwe,
O Boże! Panie miłosierny w niebie
Ratuj mię! ratuj!

DON SALLUSTIO.

Przyjdźże raz do siebie.
Więc to wszystko na seryo brałeś mój chłopczyku?
To bałwan! Mimo przeszkód, trudności bez liku,
Do celu, co ci wróży najszczęśliwszą dolę,
Idę. Ty bądź spokojny i spełniaj mą wolę.
Wszak ci raz powiedziałem i powtarzam jeszcze,
Że na najpierwszym planie szczęście twoje mieszczę.
Wobec tego drwij sobie z miłosnych cierpieni,
Każdy z nas je przechodzi... jeden dzień to zmieni.
A znowu tam gdzie losy monarchii się ważą,
Cóż znaczy lichy los twój: czyń więc, co ci każą.
Proszę cię, miejże rozum i raz poznaj przecie
Swój stan. Wiesz, żem ja dobry, łagodny jak dziecię.

Lecz cóż u dyabła — lokaj z ordynarnej gliny,
Naczynie, które mogę stłuc każdej godziny...
Z takich jak ty, kochanku, robi się co nie chce,
Wszak pan i dla kaprysu może, jeśli zechce,
Raz przestroić lokaja, to znów zdemaskować.
Ja cię zrobiłem panem, aby pożartować.
Wprawdzie błyszczysz jak książę strojem jaśniejącym
Lecz nie zapomnij o tem, żeś moim służącym;
Dziś serduszko królowej pani niepokoim,
Jutro, gdy każem, staniesz za pojazdem moim,
Miej więc rozum.

RUY BLAS *(słucha jak obłąkany, nie wierząc swoim uszom).*

Za jakąż zbrodnię znoszę karę?
Boże, skąd takie cierpienia nad miarę?
Cóżem zawinił? Tyś jest dobrotliwym,
A mnie w odmęcie pogrążasz straszliwym!
Ha, gdzieżem zaszedł i za co mię ninie
Dręczy bez winy, dlatego jedynie,
Bym na ofiary biednej patrzył zgon,
Strąca mię w przepaść i jątrzy bez miary,
Serce me pełne miłości i wiary,
Aby dla siebie zemsty zebrać plon!

(Do siebie).

Tak, to jest zemsta, o, ręczę mą głową,
Wiem przeciw komu — chce zgubić królową.
Czy paść jej do nóg i powiedzieć o tem?
O Boże, stać się jej wzgardy przedmiotem,
O zgrozo! lokaj z podwójnem obliczem,
Bezczelnik, co go przepędzają biczem,
O nigdy! nigdy! w głowie miesza się!

(Pauza).

O Boże! Boże! z przerażenia drżę!
Ha, on zbudował z szatanem do spółek
Machinę zbrojną w tysiąc niecnych kółek.
Chcąc jej spróbować, więc pod koła potem
Rzucił liberyę — rzecz jakąś — fagasa,
By się przypatrzyć, jak z nich wyjdzie masa
Kawałów ciała, zlanych krwią i błotem.
Głowa strzaskana, serce dymi jeszcze,
Najmężniejszego czyż nie przejmą dreszcze,
Gdy pozna z resztek, które koło zmiele,
Że to był człowiek, choć w lokajskiem ciele?

(Odwraca się ku Don Sallustiowi).

Ale czas jeszcze wstrzymać od wybuchu,
Straszliwe koła nie są jeszcze w ruchu.

(Rzuca się do nóg Don Sallustiowi).

Zlituj się panie nad nią i nademną,
Wiesz, żem ci wierny — tyś nienadaremno
Nieraz to mówił. O tyś nie wyzuty
Z litości panie.

DON SALLUSTIO.

A to łeb zakuty
Nie do zniesienia.

RUY BLAS *(nie wstając).*

Łaski!

DON SALLUSTIO.

Tyś nudny dyabelnie.

(Zwracając się ku oknu).

Zdaje mi się, że okna nie zamknąłeś szczelnie,
Bo czuję jakiś przeciąg.

(Idzie ku oknu i zamyka).

RUY BLAS *(powstając).*

Ha, dość próźb i trwogi,
Jestem książę Olmedo i rządzę wszechwładnie,
Tylko skinę, a głowa twa natychmiast spadnie.

DON SALLUSTIO.

Coś powiedział? Powtórz raz jeszcze, mój drogi,
Ruy Blas księciem Olmedo?! ależ mój kochany,
Księciem Cezar de Bazan został mianowany.

RUY BLAS.

Ja cię uwiężę.

DON SALLUSTIO.

Ktoś ty, powiem przed królową.

RUY BLAS *(rozjątrzony).*

Lecz...

DON SALLUSTIO.

Oskarżysz, więc oba przypłacimy głową.
Przewidziałem — tryumf cię zawiedzie zdradziecko.

RUY BLAS.

Ja zaprzeczę wszystkiemu!

DON SALLUSTIO.

Jakież z ciebie dziecko?!

RUY BLAS.

Nie masz żadnych dowodów!

DON SALLUSTIO.

Ty nie masz pamięci...
Ja mam... tak, niech mi Pan Bóg pomoże i święci,
Ty jesteś rękawiczką, a ja jestem ręką.
(Ciszej, zbliżywszy się do Ruy Blasa).

Jeśli mię nie usłuchasz i równo z jutrzenką
Nie będzie w pogotowiu to, co rozkazałem,
Jeśli poszepniesz słówko o tem zajściu całem,
Jeśli okiem lub gestem zdradzisz swego pana,
Ta, o którą się lękasz, ta twoja kochana,
Gdy rozgłoszę po świecie tę chryję szaloną,
Zostanie z czci odartą jutro... i zgubioną.
Nadto prześlę jej liścik zapieczętowany,
Charakter tego pisma jest jej dobrze znany,
Podpisany — no, wszakże wiesz czyim imieniem.
Już widzę, jak biedaczka czyta z przerażeniem
Słowa, gdy się nie mylę, następne: »Ja Ruy Blas,
Lokaj dostojnej cześci, Markiza de Finlas,
Przyrzekam w każdej sprawie i każdym zamiarze,
Jako wierny służący pełnić, co rozkaże«.

RUY BLAS *(złamany, gasnącym głosem).*

Dosyć tego, wystarczy, spełnię rozkazanie.
(Drzwi w głębi otwierają się, widać wchodzących członków Rady tajnej).

DON SALLUSTIO
(obwija się szybko płaszczem i mówi do Ruy Blasa cicho).

Nadchodzą!
(Kłaniając się nizko Ruy Blasowi, mówi głośno).
A więc mogę odejść, książe panie!
(Odchodzi).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

DON CEZAR.

Mały pokój okazały, lecz ponury. Wykładanie drzewem i meble starożytnego smaku i złocenia, ściany obite szkarłatnemi makatami, przeglądającemi przez miejsca i poręcze foteli pasami złotemi horyzontalnemi. W głębi podwoje — na lewo w ścianie kątowej komin duży, rzeźbiony, z czasów Filipa II-go, z tarczą herbową znajdującą się wewnątrz. W takiejże ścianie na prawo nizkie drzwi, prowadzące do ciemnego gabinetu. Jedno tylko okno po lewej, umieszczone wysoko i opatrzone kratami i daszkiem wewnątrz, jak okna więzienne. — Na ścianach kilka zakopconych i zatartych portretów. — Stół toaletowy z lustrem weneckiem. Wielkie fotele z czasów Filipa III-go. Stół czworoboczny, z przyrządami do pisania — mały gierydon na złoconych nogach w kącie — Dnieje.

Za podniesieniem kurtyny Ruy Blas czarno ubrany, bez płaszcza i złotego runa, wielce wzruszony, przechodzi się wielkimi krokami po pokoju — W głębi stoi paź nieruchomy, jakby oczekujący jego rozkazów.

SCENA PIERWSZA.

RUY BLAS. — PAŹ.

RUY BLAS *(sam).*

Co czynić? pierwsza ona — ona — tylko ona,
Choćby o mur bryznęła głowa ma skrwawiona,
Choćby mię szubienica lub piekło czekało,
Muszę ją zbawić — lecz jak — aby się udało.

Co robić? — krew poświęcić i serce i duszę.
To nic jeszcze — to łatwo. — Spisek zniszczyć muszę,
Muszę zgadnąć, przeniknąć; wiedzieć potrzebuję,
Co ten zły człowiek robi — gdzie skrycie nurtuje,
Wychodzi nagle z cieni i w cień znów zapada,
A w ciemnościach ukryty co robi? Któż zbada?
Gdym w pierwszej chwili błagał dla siebie litości
Byłem tchórzem i głupcem. Nie masz wątpliwości,
Że to wielki nikczemnik. — O dobrze to czuję,
Że ten potwór oddawna swój zamach gotuje.
Dziś, gdy zdobycz już trzyma i w paszczy unosi,
Miałby puścić królowę — dlatego że prosi
Jego lokaj? — Któż zwierzę drapieżne ubłaga!
Gdym ją zgubił nikczemny, sumienie wymaga
Zbawić za wszelką cenę ofiarę płochości.
Stało się. — Więc runąłem z takiej wysokości
Tak nisko — tylem marzył — Ja muszę ją zbawić,
Lecz on kiedy, którędy może się tu zjawić,
Z jakich drzwi — z jakiego się wysunie załomu?
Ten pan mojego życia, tak jak tego domu,
Lada chwila może się zjawić niespodzianie.
Ma od każdych drzwi klucze — skrytki w każdej ścianie,
Może wejść — wyjść, gdy zechce — Jak po tej podłodze
Może przejść po mem sercu — W ciągłej jestem trwodze,
Los straszny czarną chmurą nad nami się szerzy,
Burza nadciąga szybko, grom wkrótce uderzy,
W głowie zamęt — myśl biedna skupić się nie może,
Rozum stracił swą bystrość — O Boże! mój Boże!
Porwany wściekłym wirem chwieje na wsze strony
Jak pęk nadwodnej trzciny, burzą pokręcony,
Co robić? — myśleć trzeba... ha — najpierwsza rada,
By nie wyszła z pałacu — bo tu czyha zdrada.
Dokoła mnie noc czarna, w koło ryczą fale,

Czuję rozpięte sieci — lecz gdzie, nie wiem wcale.
Tak — niechaj więc z pałacu nie wychodzi krokiem,
Muszę ją ostrzec — nie mam nikogo pod bokiem
Pewnego.

(Myśli zakłopotany, potem nagle, jakby oświecony promieniem nadziei — podnosi głowę).

Don Guritan — człowiek z duszą prawą
I kocha się w królowej.

(Daje znak paziowi, aby się zbliżył).

Paziu pospiesz żwawo
Do hrabiego Onato — poproś go odemnie,
By zaraz do pałacu pospieszył tajemnie,
Niechaj błaga królowę z usilnością całą.
Od nas obu, ażeby cokolwiek się stało,
Nie wychodziła z domu przez trzy dni — Idź skrycie,
Żeby cię nikt nie dojrzał — idzie o twe życie.

(Paź chce odejść — zatrzymuje go.

A...

(Wyrywa kartkę z pugilaresu i ołówek).

Czekaj, do królowej dam jeszcze słów parę.

(Pisze szybko na kolanie).

»Pani, radom hrabiego zupełną daj wiarę«.

(Składa papier i oddaje paziowi).

Co zaś do pojedynku, powiedz mu kochanie,
Że żałuję niezmiernie iż nasze spotkanie
Odwlekło się — że stanę natychmiast na placu,
Gdy minie chwila groźna — Proś niech do pałacu
Spieszy i zaraz stara się mówić z królową,
Żeby nie wychodziła — powtórz słowo w słowo,
Niech nie wychodzi! — słyszysz! niech w domu zostanie.
Idź, milcz i bądź ostrożnym.

PAŹ *(wychodząc).*

Będę książę panie!

RUY BLAS.

Pospiesz drogą najkrótszą, żywo moje dziecię.

PAŹ.

Idę.

(Odchodzi).

RUY BLAS *(sam, upadając na fotel).*

No teraz jestem spokojniejszy przecie,
Jednak siły umysłu odzyskać nie mogę,
Zda mi się, że obrałem najpewniejszą drogę,
Don Guritan z zadania wywiąże się swego,
Mamże na Don Sallustia czekać tu? Dlaczego?
Nie! wyjdę, krok ten może skrzyżuje mu plany.
Już dzień — O teraz pójdę i Pana nad pany
Pójdę błagać, by wsparł mię w tej sprawie przeklętej.

(Bierze kapelusz, leżący na kredensie, potem dzwonek ze stołu i dzwoni. Dwóch murzynów, ubranych w liberyę z jasno zielonego aksamitu, obszytą galonami, ukazuje się w głębi, we drzwiach).

Wychodzę — może tutaj człowiek osłonięty
Przyjdzie przez drzwi tajemne do pokoju tego,
Macie go obsługiwać jakby mnie samego.
Wolno mu robić co chce, gdyby weszło więcej
Wpuścicie ich — precz!

(Skinieniem głowy żegna czarnych, którzy się schylają na znak posłuszeństwa i wychodzą).

Idźmy.

(Odchodzi).

(W chwili, gdy się drzwi zamykają za Ruy Blasem, słychać wielki łoskot w kominie, którym spada człowiek, okryty potarganym płaszczem, a następnie wpada na pokój).

SCENA DRUGA.

DON CEZAR *(sam, pomięszany, zdyszany, rozczochrany i ogłuszony, równocześnie jest krotochwilny i zaniepokojony).*

Błagam najgoręcej
O przebaczenie.

(Podnosi się trąc nogę, którą spadając potłukł — idzie ku środkowi z niskimi ukłonami, bez kapelusza).

Państwo sobie rozmawiali,
Przechodzę tylko tędy, proszę mówić dalej,
Wszedłem cokolwiek nagle i niezwykłą drogą,
Przepraszam... nie z mej winy...

(Zatrzymuje się na środku pokoju i spostrzega, że jest sam).

Co? niema nikogo?
Przecież słyszałem z dachu jak tu coś mówiło...
To pysznie... Zbierzmy myśli — samotność jest miłą.

(Siada na fotelu).

Uf co za awantury — wychodzę z przygody
Jak pies, kiedy na brzegu otrząsa się z wody.
Najprzód alguazile biorą mię pod straże
I na okręt pakują. — Potem ci korsarze,
Potem to wielkie miasto, gdziem wziął tęgie basy,
Potem ta żółta baba maurytańskiej rasy,
Która mię uwieść chciała. — Potem z galer fuga,
Potem długie wędrówki, do kraju żegluga.
Wreszcie — któżby uwierzył — A niech piorun trzaśnie!
Ledwiem wrócił, tych samych aguazilów właśnie

Spotykam — oni za mną — ja w nogi — ci w tropy,
Skaczę na mur — dom jakiś — pędzę wprost do szopy,
Wspinam się jak kot zręcznie i dostaję na dach,
Z dachu w komin i w dziurę. Po tylu zawadach
Dostaję się tu wreszcie na rodzinne łono
Przez komin; lecz w kawałki potargał się pono
Mój płaszczyk nowiuteńki — oj cóż się z nim stało!
Przez Boga! — Don Sallustio to łotr jakich mało.

(Przeglądając się w zwierciedle).

Mój płaszcz dzielił me losy i podarł się srodze.

(Zdejmuje płaszczyk i ogląda w lustrze kaftan różowy, zużyty, podarty i połatany, potem nagle zaczyna trzeć nogę ręką, spoglądając na komin).

I kolano potłukłem, aj jakiż ból w nodze.

(Otwiera szufladę komody i w jednej z nich znajduje płaszczyk z jasno zielonego aksamitu, haftowany złotem, który w 1. akcie Don Sallustio dał Ruy Blasowi, ogląda go i porównywa ze swoim).

Ten jest lepszy od mego — ha, przyda się w biedzie.

(Zarzuca na siebie zielony płaszyk, a swój, złożywszy starannie, kładzie na miejsce tamtego do szuflady — dołącza do tego kapelusz swój, który uderzeniem pięści pakuje pod płaszcz i zamyka szufladę — poczem przechadza się z dumą w nowym płaszczu).

Wszystko jedno — znów korzyść — jakoś dobrze idzie.
Ach mój miły kuzynek chciał mię jak urwisa
Słać do Afryki, gdzie człek myszką dla tygrysa,
Ale czekaj szatanie, ja ci pieprzu zadam
I straszliwie się zemszczę — tylko wprzód pośniadam,
Don Cezara de Bazan ujrzysz tu za chwilę
Z kupą łotrów, co czuć ich stryczkiem o dwie mile.

Potem ci przyprowadzę moich wierzycieli
I każę, aby dzieci i baby swe wzieli.

(Spostrzega w kącie parę wspaniałych bucików z cholewami, garnirowanemi koronką — zdejmuje żwawo swoje i wdziewa nowe).

Teraz zobaczmy, gdzie mię rzucił los okrutny...

(Obejrzawszy pokój wokoło).

Dom jakiś tajemniczy, odludny i smutny.
Drzwi mocne, w oknach kraty, jakby więzień mury;
I do tego pudełka dostałem się z góry,
Zupełnie jakby wino szyjką do butelki.

(Z westchnieniem).

Aj wino — dobre winko!...

(Spostrzega małe drzwi po prawej stronie, otwiera, wchodzi prędko do gabinetu, potem wychodzi z giestem zadziwienia).

Dziwo! cud, cud wielki,
Gabinecik bez wyjścia i ciemno jak w grobie.

(Idzie do drzwi w głębi, otwiera i wygląda przez nie, potem zamyka je i wraca na przód sceny).

I tam pusto — gdzież jestem u dyabła? Ej co tam,
Gdym zemknął alguazilom, to z reszty drwię sobie,
Głupstwo — czegóż się troszczę, na co się kłopotam,
Że dom taki ponury i cóż? — niepotrzebnie
Głowę sobie zawracam.

(Siada na fotelu, ziewa, a potem zrywa się).

Nudzę się haniebnie.

(Spostrzega małą szafkę w kątowej ścianie na lewo).

Co to? biblioteka — hm, jakiś uczony
Tu mieszka.

(Idzie i otwiera — jest to spiżarka, dobrze zaopatrzona).

Gwałtu! pasztet, wino i kawony!
Toż kompletna zastawa — sześć butelek w rzędzie,
A ja ten dom czerniłem! Cofam, byłem w błędzie.

(Przeglądając flaszkę po flaszce).

Jakiż dobór w tej szafce! skąd się to tu wzięło?

(Bierze z kąta pokoju mały stół okrągły, niesie go na przód sceny i z humorem zastawia wszystkiem, co się znajduje w spiżarce: wynosi półmiski, butelki, talerze, potem salaterkę, kieliszki i sztućce. Zasiada za stołem, bierze butelkę i odtyka).

Przeczytajmy to najprzód.

(Napełnia kielich winem i wypija jednym haustem).

Fiu! to arcydzieło
Genialnego poety, który słońcem zwie się:
Xérès des chevaliers. Cóż wyżej myśl wzniesie,
Cóż zrówna tym utworom, w których takie dozy
Upajających wrażeń.

(Pije).

A teraz do prozy:
Pasztet!

(Napoczyna pasztet).

Psy alguazile, dałem im kominka
Jak zając — ślad stracili...

(Zajada).

Kapitalna szynka.
A gdy przyjdzie pan domu? no to go zaproszę,
Jeśli mię nie wyrzuci.

(Idzie do bufetu, przynosi jeszcze jedno nakrycie i stawia na stole).

Lecz wprzód dom spustoszę.

(Zajada podwójne kąski).

Uczta skończona.

(Wstaje).

Teraz użyjmy przechadzki.

(Rozgląda się po mieszkaniu).

Lecz kto tu może mieszkać? Ba! jakiś chłop chwacki.
Tu się jakaś miłosna ukrywa intryga.
Toż ja im nie przeszkadzam — a że los mię ściga,
Więc błagam gościnności. Jak w Rzymie mocarze
Wypędzeni błagali...

(Klęka przed stolikiem i obejmuje go rękami).

Ściskając ołtarze.

(Pije).

Zresztą sądząc po winie, pan domu nie może
Być złym. Powiem, kto jestem, serce mu otworzę —
I basta. Pękniesz z gniewu kuzynku złośliwy,
Co ten cygan? bandyta? ten gałgan parszywy?
Ten obdartus Zafari, wszelkiem błotem zmazan,
Jest kuzyn Don Sallustia — Don Cezar de Bazan?!
O to mi niespodzianka! Krzyk w całym Madrycie,
Zgromadzają się tłumy, każdy pyta, bada,
Skąd wrócił, kiedy wrócił, w nocy, czy o świcie?
Skąd człek ten zapomniany, jak bomba tu spada?
»Tyś jest Cezar de Bazan?« »Do usług narodzie,
Zniknąłem w waszej pamięci jakby kamień w wodzie«.
»Przecież umarłeś?« »Gdzież tam, żyję, zdrów kocha-
[nie«.
»Uu źle«, krzykną mężczyźni, lecz co rzekną panie?
Słodka wieść kuzynkowi lotem się udzieli,
Mieszająca się z wyciem trzystu wierzycieli.
Pyszną odegram rolę. — Gdybyż jeszcze złotka!...

(Słychać łoskot przy bramie).

Ktoś idzie! Bezwątpienia przyjemność mię spotka —
Wylecę za drzwi, głupstwo, nie pierwszy raz przecie.
Nie dajmy się Cezarku.

(Obwija się płaszczem aż po oczy. Drzwi w głębi otwierają się. Wchodzi lokaj w liberyi, niosąc na barkach wór złota).

SCENA DRUGA.

DON CEZAR. — LOKAJ.

DON CEZAR *(przyglądając się od stóp do głów lokajowi).*

Kogo szukasz dziecię?

(Na stronie).

Nie wygląda na zbira — a więc nie ma trwogi.

LOKAJ.

Don Cezara de Bazan.

DON CEZAR *(odsłaniając twarz).*

Mnie?... to ja mój drogi.

(Na stronie).

Otóż znowu cud jakiś?...

LOKAJ.

To pan byćby miałeś
Don Cezarem de Bazan?

DON CEZAR.

No ja — wszak słyszałeś:
Cezar — prawdziwy Cezar — Sam Cezar — do biesa
I hrabia de Garofa.

LOKAJ *(kładąc wór na fotelu).*

Więc dla pana kiesa.

DON CEZAR *(jak olśnięty, na stronie).*

Pieniądze! cóż u dyabła?!

(Do lokaja).

Hę?

LOKAJ.

Przeliczyć proszę
Złoto, które dla jaśnie pana tu przynoszę.

DON CEZAR *(z powagą).*

Bardzo dobrze, rozumiem.

(Na stronie).

Do milion kartaczy,
Niech mi dyabeł łeb urwie, gdy wiem, co to znaczy.
Lecz nie traćmy kurażu.

(Głośno).

Dać pokwitowanie?

LOKAJ.

Nie trzeba Excellencyo.

DON CEZAR *(wskazując stół).*

Połóż tam kochanie.

(Lokaj kładzie).

Kto przysłał?...

LOKAJ.

Wszak wie hrabia...

DON CEZAR.

No wiem, muszę wiedzieć..
Lecz...

LOKAJ.

Więc mi rozkazano to tylko powiedzieć,
Że złoto jest od tego — na ten cel, co wiecie.

DON CEZAR *(zadowolony objaśnieniem).*

Aha.

LOKAJ.

Rzecz mamy oba zachować w sekrecie,
Sza!...

DON CEZAR.

Sza! A więc to złoto — ty masz styl wspaniały,
Powtórzno mi raz jeszcze...

LOKAJ.

To złoto...

DON CEZAR.

Wór cały...
Jest przysłany od tego?...

LOKAJ.

Na ten cel, co wiecie
I mamy...

DON CEZAR.

Rzecz tę oba...

LOKAJ.

Zachować w sekrecie.

DON CEZAR.

No to jasne jak słońce.

LOKAJ.

Spełniam rozkaz, ale
Nic a nic nie rozumiem.

DON CEZAR.

Ba!...

LOKAJ.

A pan?...

DON CEZAR.

Nic wcale.

LOKAJ.

Jakto?...

DON CEZAR.

To jest rozumiem i biorę mój kumie,
Bo gdy złoto brać trzeba, to każdy zrozumie.

LOKAJ.

Sza!

DON CEZAR.

Sza — sekret zachować, ależ wiem do kata.

LOKAJ.

Licz pan.

DON CEZAR.

Za co mię bierzesz?
(Podziwiając okrągłość worka).
Sakwa dość brzuchata.

LOKAJ *(nalegając)*.

Lecz...

DON CEZAR.

Ależ ja ci ufam...

LOKAJ.

Złoto jest w dublonach...
Jest tam trochę kwadrupli i nieco w koronach.
Widziałem wszystko dobrze, bo przy mnie liczono.

(Don Cezar otwiera sakwę i wyjmuje woreczki ze złotem, które z przyjemnością wypróżnia na stół i pełnemi garściami napełnia sobie kieszenie; potem zatrzymuje się i mówi do siebie majestatycznie).

DON CEZAR.

Otóż moje przygody wieńczą się koroną
Uroczą, czarodziejską, którą zwią milionem.

(Znowu sobie napycha kieszenie).

Ba, jabym sobie z całym poradził galionem.
(Napełniwszy jedną kieszeń, napycha drugą, potem szuka w sukniach więcej kieszeni i zdaje się jakby zapomniał o obecności lokaja).

LOKAJ *(który patrzył na niego niecierpliwie).*

Czekam dalszych rozkazów.

DON CEZAR *(zwracając się do niego).*

Nudzisz mię szkaradnie.
Jakich?!

LOKAJ.

Te, co mam spełnić żywo i dokładnie,
O czem wie wasza godność, a ja nie wiem wcale.
Sprawy ważne...

DON CEZAR *(przerywając z udaniem, że pojmuje).*

Publiczne i prywatne — ale
Jakie?

LOKAJ.

No te, o których jasny panie wiecie.
Mówię, co mi kazano:

DON CEZAR *(klepiąc go po ramieniu).*

Dobrze moje życie.
Łepski jesteś!

LOKAJ.

Ażeby przyspieszyć działanie,
Przysłano mię tu w pomoc wam dostojny panie.

DON CEZAR.

Trzeba więc mądrze działać — tembardziej, że spieszą.

(Na stronie).

Jeśli wiem, co powiedzieć, niechaj mnie powieszą.

(Sadza go).

Najprzód siadaj tu przy mnie.

(Napełnia szklanki).

Napij się fujaro!

LOKAJ.

Jakto panie?

DON CEZAR.

Wypij to!

(Nalewa mu szklankę, lokaj wypija, nalewa znowu).

Pij maderę starą.

(Lokaj wstaje — Don Cezar sadza go, wlewa mu szklankę wina w gardło i napełnia ją znowu).

Pogawędzimy.

(Na stronie).

Już w oku iskrzyć mu zaczyna.

(Głośno — rozwalając się na fotelu).

Człowiek mój przyjacielu jest to podła glina,
Raczej człowiek jest dymem, który z żądz powstaje...
Jest on wcielonem głupstwem — jak to, co ci baję.
A kiedy ów dym czarny wychodzi z komina
Namiętności — to w błękit wspina się i wspina
I tak — tak idzie w górę — a my upadamy.

(Pocierając stłuczoną nogę).

Człowiek to podła glina — a wszystko to złoto...

(Napełnia znów obie szklanki).

Pijmy — mniej warte, niźli pijacka piosenka.

(Zbliżając się ku niemu z miną tajemniczą).

Jeśli wóz przeładujesz — to zaraz oś pęka,
Zaś mur bez fundamentu bardzo łatwo fika.
Mój drogi, bądź tak dobry — popraw mi płaszczyka.

LOKAJ *(z godnością).*

Panie — jam nie jest szatny.

(Zanim Don Cezar zdołał mu przeszkodzić, dzwoni dzwonkiem, leżącym na stole).

DON CEZAR *(na stronie — przelękniony).*

Oj! ten osioł dzwoni.
Sprowadzi gospodarza, a ten mnie wygoni.
Masz dyable!

(Dwaj murzyni wchodzą — Don Cezar w największej niespokojności odwraca się jakby nie chciał wiedzieć, co się stanie).

LOKAJ *(do murzynów).*

Prędzej zapiąć płaszczyk jaśnie panu!

(Murzyni zbliżają się poważnie do Don Cezara, który patrzy na nich z miną osłupioną. Zapinają mu spinkę płaszcza, poczem kłaniają się i odchodzą, zostawiając Don Cezara zdumionego).

DON CEZAR *(wstając od stołu, mówi na stronie).*

A toż ja widzę jestem gościem u szatana.

(Idzie na przód sceny i przechadza się wielkimi krokami)

Ha niech się co chce dzieje — bierzmy, co Bóg daje.
Mam pieniądze — huk złota — więc na tem przestaję,
Lecz co robić z pieniądzmi.

(Zwracając się ku lokajowi, siedzącemu przy stole, który wciąż pije i zaczyna kiwać się na krześle).

A nie zleć ladaco.

(Rozmyślając na boku).

Gdyby tak spłacić długi — a to znowu na co?!
Lub gdyby wierzycieli czyścowe duszyczki
Orzeźwić kroplą rosy w postaci zaliczki?...
Fi! — któż widział podlewać takie podłe zielsko...
Coś mi to złoto w mózgu przewraca dyabelsko —
Już to nic tak nie psuje ludzi jak mamona,
Mogłaby skorrumpować nawet i Katona,
A szlachcica zaraża kupiecką głupotą —
Płacić długi — to znaczy pieniądz rzucać w błoto.
Hm... hm...

LOKAJ *(wypróżniając szklankę).*

Cóż ja mam robić?

DON CEZAR.

Ty?! toż myślę o tem —
Nim wymyślę — pij chłopie!
(Lokaj pije — Don Cezar zatopiony w myślach, nagle uderza się w czoło, jakgdyby wpadł na jakiś pomysł).

Tak...

(Do lokaja).

Wstań i napchaj złotem
Kieszenie — Potem pójdziesz około pałacu
Uliczką, a doszedłszy do wielkiego placu
Znajdziesz pod liczbą dziewięć budowę koślawą,
Domek ładny — lecz szkoda, że w oknie na prawo
Łuszczka, zamiast źrenicy papierowe łaty.

LOKAJ.

Więc dom jest jednooki?

DON CEZAR.

Głupiś — zezowaty.
Idąc na górę strzeż się byś nie spadł!...

LOKAJ.

Drabina?

DON CEZAR.

Niby — cokolwiek stromo — Jest tam kobiecina,
Poznać ją bardzo łatwo — na łbie czepiec stary,
Włosy bujne, kudłate, spadają na bary,
Mała krępa i ruda — choć rodem Hiszpanka.
Bądź dla niej bardzo grzeczny — to moja kochanka
Lucynda — niegdyś jasna blondynka, brwi krucze,
Tańcowała jak anioł na placach kaczucze.
Dziś grat!... Dasz jej odemnie sto dublonów. W klitce
Obok znajdziesz drągala o czerwonej kitce
Na szczątkach kapelusza, co spada na oczy,
Nos błękitny, twarz w trądach, błędnie wzrokiem toczy,
Rapir stary, złamany broń jego stanowi,
Dasz odemnie sześć piastrów temu urwiszowi;
Nieco dalej jest jama, czarna jak czeluście,
Na rozdrożu: szynk, śpiewy jakby na odpuście.
Na progu fajkę pali i kufle wysusza
Człowiek manier wytwornych — najzacniejsza dusza,
Dasz mu trzydzieści piastrów. Niechaj ufa słowu
Memu, że jak przepije, to mu przyszlę znowu.
Rozdaj więc tym hultajom, jak kazałem, złoto,
Będą ślepie wytrzeszczać — nie turbuj się o to.

LOKAJ.

Potem...

DON CEZAR.

Resztę zachowaj — a po tej robocie...

LOKAJ.

Co rozkaże cześć wasza?

DON CEZAR.

Urznij się huncfocie!
Potłucz garnki przekupkom i wrzeszcz z całej mocy,
A nie wracaj aż jutro rano — w nocy.

LOKAJ.

Już ja sobie dam radę.

(Idzie ku drzwiom zataczając się).

DON CEZAR *(patrząc za nim).*

Upił się jak bela.

(Przywołując lokaja, który wraca).

Gdy wyjdziesz, to za tobą pójdzie gapiów wiela,
Staraj się więc postawą zjednać cześć maderze.
Niechaj chód twój wykwintne maniery przybierze,
Gdy ci przypadkiem dublon z kieszeni wyleci,
Niech leży — a jeżeli zamiatacze śmieci,
Żacy lub dependenci, chętkę na to mają,
I podniosą coś z ziemi — ha to niech zbierają.
Gdy coś nakształt złodzieja zbliży się do ciebie
I długimi palcami w kieszeni pogrzebie,
Bądź pobłażliwym — widać, że to człowiek taki,
Jak my — a więc dla wszystkich przywilej jednaki.
Ten świat pełen kłopotów, nędzy i cierpienia,
Trzebaż osładzać życie biednego stworzenia.

(Melancholicznie).

Wszystkich tych nieboraków kiedyś czeka stryczek.
Trzebaż być nieco względnym dla biednych duszyczek,
Idź.

(Lokaj wychodzi — Don Cezar siada przy stole, opiera się na łokciach i pogrąża w rozmyślaniach).

Powinnością jest mędrca i chrześcijanina
Użyć dobrze pieniędzy, gdy się wieść zaczyna.
Mam za co żyć przez tydzień — więc pohulam sobie,
A jeśli coś zostanie, to z tego porobię
Bogobojne fundacye — Troszkę śmiało roję,
Mogą mi wziąć, co dali — przecież to nie moje,
A fagas przez omyłkę nademną się znęcił,
Niedosłyszał nazwiska albo je przekręcił.

(Drzwi w głębi otwierają się — Wchodzi Duegna stara, siwa, w czarnej baskinie i mantyli, z wachlarzem).

SCENA CZWARTA.

DON CEZAR. — DUEGNA.

DUEGNA *(na progu).*

Wszak Don Cezar de Bazan.

DON CEZAR *(zatopiony w rozmyślaniach nagle podnosi głowę).*

Na ten raz.

(Na stronie).

Babina.

(Podczas gdy Duegna w głębi sceny składa głębokie ukłony, Don Cezar niezmiernie zdziwiony idzie naprzód).

Dyabeł lub Don Sallustio figle rozpoczyna:
Załóżmy się, że markiz wkrótce tu przybędzie.
Duegna —

(Głośno).

Tak ja jestem Don Cezar — w tym względzie...

(Na stronie).

Młoda zwykle przysyła jakąś starą sowę.

DUEGNA *(z ukłonem, żegna się).*

Niech cię dostojny panie dzisiaj w dni krzyżowe
Pobłogosławi Jezus — Pan niebiosów możny.

DON CEZAR *(na stronie).*

Milutkie powitanie — ha, będę pobożny.
(Głośno).
Amen. Cóż jejmość żądasz?

DUEGNA.

Niechaj będzie chwała!
(Tajemniczo).
Czyście prosili pani, która mię przysłała,
By zezwoliła w nocy na tajne spotkanie?

DON CEZAR.

Jam wcale nie od tego.

DUEGNA *(wyjmuje z woreczka bilecik złożony i pokazuje go Don Cezarowi, nie pozwalając mu wszakże wziąć).*

Więc piękny mój panie
Dobrze żeś tutaj przyszedł, a wiesz sprawa czyja
I kto mnie tu przysyła — Pani ta wam sprzyja
Jak o tem dobrze wiecie.

DON CEZAR.

Ja?!

DUEGNA.

Niebo was sprzęga
Z osobą, której mężem stary niedołęga
A wiedząc, że ja umiem milczeć jak mogiła,
Dla dania wam objaśnień tutaj mnie przysyła;
Nie znam wcale tej Pani — lecz wy dobrze znacie,

Poufna mi to rzekła. Czy na tem dość macie,
Toć wszystkim...

DON CEZAR.

Mnie wyjąwszy.

DUEGNA.

Rzecz jasna — ta dama
Z przyjacielem swej duszy chce spotkać się sama,
Lecz bojąc się zasadzki jest wielce ostrożna,
Bo zanadto ostrożnym nigdy być nie można;
Krótko mnie tu przysyła, bym zbadała źródło
I miała zapewnienie od was.

DON CEZAR *(na stronie).*

Stare pudło.
Mój Boże, ileż cierni przy jednym bilecie.
(Głośno).
Powiedziałem, żem Cezar.

DUEGNA *(kładzie list na stole — Don Cezar przypatruje mu się z ciekawością).*

A więc napiszecie
Na drugiej stroni listu: »Przybądź«, a przybędzie.
Tylkoż nie własną ręką — Ostrożność na względzie.

DON CEZAR.

A zatem cudzą ręką —
(Na stronie).
To baba ostrożna,
(Wyciąga rękę, żeby wziąć list, który jest znów zapieczętowany, ale Duegna nie pozwala).

DUEGNA.

Nie otwieraj — wszak z wierzchu list swój poznać można.

DON CEZAR.

No tak!...

(Na stronie).

Gdybyż go przejrzeć — chociażby dwa słowa.

(Dzwoni — wchodzi murzyn).

Umiesz pisać?

(Murzyn skinieniem głowy potwierdza — Don Cezar zdziwiony na stronie).

A to co?

(Głośno).

Cóżeś ty? Niemowa?

(Murzyn skinieniem głowy potwierdza. Don Cezar jeszcze bardziej zdziwiony).

Otóż masz! znów niemowa! Coż się dalej stanie?

(Wskazując murzynowi list, który Duegna przytrzymuje na stole).

Napisz tu słowo »Przybądź«.

(Murzyn pisze — Don Cezar daje znak Duegnie, żeby list wzięła, a murzynowi, żeby odszedł).

Możesz iść kochanie.

(Murzyn wychodzi).

DUEGNA *(schowawszy list do torebki, podchodzi do Don Cezara).*

Pan ją wkrótce zobaczysz — musi być prześliczna

DON CEZAR.

Jak anioł!

DUEGNA.

Powiernica też ładna — fertyczna.
Podczas kazania ze mną mówiła na boku,
Rysy jak u aniołka — lecz szatanek w oku,
A w intrygach miłosnych spryt zadziwiający.

DON CEZAR.

Czy tak?

(Na stronie).

Chętniebym przestał nawet na służącej.

DUEGNA.

My sądzimy — gdyż piękność brzydoty się kaja,
Sułtankę z niewolnicy — a pana z lokaja,
Wasza musi być śliczną?...

DON CEZAR.

Czyż mnie masz za gapę?
Śliczna.

DUEGNA *(kłaniając się nisko przy wyjściu).*

Całuję rączki.

DON CEZAR *(dając jej garść złota).*

Smaruję ci łapę.
Trzymaj stara!

DUEGNA *(chowając do kieszeni).*

Młódź zawsze szczodrobliwą bywa.

DON CEZAR *(żegnając ją).*

Idź.

DUEGNA *(kłaniając się).*

Gdybyś pan co żądał — zowię się Oliwa,
Kościół San Izydoro.

(Wychodzi, a potem drzwi otwiera i wsuwa głowę).

Niech mnie pan przywoła,
W trzeciej arkadzie z prawej, wchodząc do kościoła.

(Don Cezar zwraca się z niecierpliwością — drzwi się zamykają, potem uchylają się znowu a w nich ukazuje się stara).

Dzisiaj się zobaczycie — pamiętajcież o mnie
W swych modłach...

DON CEZAR *(przepędzając ją z gniewem).*

Precz!

(Duegna znika — drzwi się zamykają).

Odtąd już przyrzekam niezłomnie
Niczemu się nie dziwić. Wciąż dziwy i dziwy,
Co chwila mię spotyka wypadek szczęśliwy,
Wprzód żołądek a teraz serce ma przysmaki,
Wszystko to bardzo piękne — ale koniec jaki?!

(Drzwi w głębi otwierają się, a w nich ukazuje się Don Ouritan, trzymając w ręku dwie gołe szpady).

SCENA PIĄTA.

DON CEZAR. — DON OURITAN.

DON OURITAN *(w głębi sceny).*

Czy Don Cezar de Bazan?

DON CEZAR *(zwraca się i spostrzega Don Ouritana ze szpadami).*

Znów nowa afera,
Awantura wspaniałe rozmiary przybiera.
Uczta pyszna! pieniądze — schadzka — pojedynek,
Cezarku, tyś jest losu ulubiony synek.

(Idzie naprzeciw Don Ouritana z głębokimi ukłonami. Don Ouritan patrzy na niego surowym wzrokiem i postępuje naprzód krokiem sztywnym).

Tutaj szlachetny panie — niech wasza cześć siada.

(Wskazuje mu fotel, ale Don Ouritan stoi wyprężony).

Rozgość się pan jak w domu — precz wszelka żenada.
Wielcem rad, że cię widzę — pogawędźmy chwilę;

Cóż tam w naszym Madrytku? — Czy wciąż zabaw tyle,
Bom ja tutaj jak obcy — Czy się zawsze losem
Zajmują Lindamiry i Matalabosem?...
Ja przyznam się otwarcie, że się lękam prędzej
Złodzieja serc — niżeli złodzieja pieniędzy.
Och kobiety mój panie — to szatańskie plemię,
Biorą mię za łeb — chociaż nie bito mię w ciemię.
Racz mię pan naprowadzić na właściwą drogę,
Bo ja się w żaden sposób połapać nie mogę.
Czuję, żem ja tu śmieszny — niby trup wskrzeszony
Lub Hidalgo stuleciem od nas oddzielony,
Którego nieświadomość fatalnie przygniata,
Gdyż przybywam tu panie prawie z końca świata.

DON GURITAN.

Pan przybywasz — ja także — nie masz i godziny,
Jak powróciłem z drogi.

DON CEZAR (*wesoło*).

Z jakiej też krainy?

DON GURITAN.

Z daleka — aż z północy.

DON CEZAR.

Ja także z daleka,
Z południa.

DON GURITAN.

Ja się wściekam!

DON CEZAR.

Jeśli pan się wścieka,
To ja pękam ze złości!

DON GURITAN.

Sześćset mil szalonych!

DON CEZAR.

Ja tysiąc!... Cóż tam kobiet brunatnych, zielonych,
Żółtych, czarnych, niebieskich! Kraj to osobliwy:
Algier — to szczęsne miasto i Tunis pieściwy,
Widzieć tam można Turków, jak w zajęcia braku
Wbijają ludzi na pal, lub męczą na haku.

DON GURITAN.

Zadrwiono ze mnie panie!

DON CEZAR.

A mnie wprost sprzedano.

DON GURITAN.

Mnie wygnano podstępnie.

DON CEZAR.

Mnie już, już, wieszano.

DON GURITAN.

Pędzą mnie do Neuburga jedynie dlatego,
Bym wiózł w liście te słowa: »Waryata starego
Trzymać raczą najdłużej Ich Moście książęce«.

DON CEZAR *(wybuchając śmiechem)*.

Przepysznie! któż to pisał...

DON GURITAN.

Ależ ja kark skręcę
Cezarowi de Bazan!

DON CEZAR *(seryo)*.

Ah!

DON GURITAN.

Szalony zuchwalec!
Przed chwilą zamiast niego przychodzi służalec,
Aby go wytłumaczyć. Ja z takim cymbałem
Nie mam nic do czynienia — zatem go kazałem
Uwięzić. Sam przychodzę tu do jego pana,
Do bezwstydnego zdrajcy — Cezara Bazana.
Chcę go zabić. Gdzież on jest?

DON CEZAR *(zawsze z powagą).*

Tu w własnej osobie.

DON GURITAN.

Co?

DON CEZAR.

Jam Cezar de Bazan.

DON GURITAN.

Pan żartujesz sobie
Jeszcze.

DON CEZAR.

A no tak — jeszcze.

DON GURITAN.

Porzuć pan tę rolę,
Nudzisz mię pan, to nie jest do żarcików pole.

DON CEZAR.

A pan znowu mię bawisz — robisz jakieś miny
Zazdrosne. Żal mi ciebie mój panie jedyny,
Gdyż zło, co na nas spada, z naszych win się rodzi,
Jest gorszem, niż zło, które od innych pochodzi.
Wolałbym być nędzarzem, skąpcem, wierzycielem,
Niż zazdrosnym rogalem i szyderstwa celem,

A żeś pan jest rogalem, więc ręczę honorem,
Że twa żona dziś przyjdzie tu do mnie wieczorem.

DON GURITAN.

Moja żona?!

DON CEZAR.

Tak pańska.

DON GURITAN.

Panie mój łaskawy,
Jam bezżenny!...

DON CEZAR.

I robisz tutaj tyle wrzawy,
Nie żonaty? Mój panie! Już od pół godziny
Wrzeszczysz jak mąż zdradzony od swojej babiny.
A ja w prostocie ducha, w wyrazach wymownych
Mnóstwo rad w takim razie udzielam stosownych,
Jeżeliś jest beżenny — bodaj mię zabili —
Nie masz prawa być śmiesznym jak jesteś w tej chwili.

DON GURITAN.

Czy wiesz, że mnie przywodzisz do ostateczności?

DON CEZAR.

Ba!

DON GURITAN.

Tego już zanadto.

DON CEZAR.

Ej?

DON GURITAN.

Pękam ze złości!

DON CEZAR *(przyglądając się z miną ironiczną trzewikom Don Guritana, które wedle najświeższej mody pokryte są wstążkami).*

Dawniej modnisie wstążką stroili swe głowy,
A dzisiaj, jak uważam, jest w modzie zwrot nowy,
I spustoszoną głowę wyręczają nogi.
To ślicznie!...

DON GURITAN.

Chodźmy bić się.

DON CEZAR *(obojętnie).*

I owszem mój drogi.

DON GURITAN.

Nie jesteś Don Cezarem — to mię nie obchodzi,
Muszę zacząć od ciebie.

DON CEZAR.

Strzeż się pan dobrodziej,
Byś nie skończył przezemnie.

DON GURITAN *(pokazując mu szpady).*

Wybieraj.

DON CEZAR *(biorąc szpadę).*

Z ochotą,
Gdy mam dobre spotkanie nie gniewam się o to.

DON GURITAN.

Gdzie?

DON CEZAR.

Za murem tuż zaraz jest samotna droga.

DON GURITAN.

Zginiesz za Don Cezara.

DON CEZAR.

Na prawdę?

DON GURITAN.

Na Boga!

DON CEZAR.

Lecz gdy jeden z nas zginie, wątpię byś próbował
Zabić Cezara.

DON GURITAN.

Idźmy.

(Wychodzą — słychać oddalający się odgłos ich kroków. — Małe drzwi skryte w murze otwierają się po prawej stronie, wchodzi przez nie Don Sallustio).

SCENA SZÓSTA.

DON SALLUSTIO

(ubrany w kostyum ciemno-zielony, prawie czarny, wchodzi zakłopotany i zajęty — ogląda się i nadsłuchuje z niespokojnością).

Nic nie przygotował.

(Spostrzegając stół zastawiony).

A to co znaczy?

(Słysząc kroki Don Cezara i Don Guritana).

Kroki — a tam co takiego.

(Przechadza się na przodzie sceny, myśląc).

Gudiel widział dziś pazia stąd wychodzącego.
Poszedł za nim — paź prosto szedł do Guritana.
Nie widziałem Ruy Blasa. Ten paź, na szatana! —
Czyżby przeciw mnie działał? — może ostrzeżenie
Posłał przez dziada, który kocha ją szalenie,
Od negrów się nie dowiem nic — i oto tego
Nie przewidziałem nawet, że użyje jego.

SCENA SIÓDMA.

DON SALLUSTIO. — DON CEZAR.

DON CEZAR *(na progu, wchodzi z gołą szpadą, którą wchodząc rzuca na fotel).*

Byłem pewny, że cię tu ujrzę dyable stary.

DON SALLUSTIO *(odwraca się i ujrzawszy Cezara, słupieje).*

Don Cezar!?

DON CEZAR *(zakładając ręce na krzyż, wybucha śmiechem).*

Knujesz jakieś piekielne zamiary,
Lecz ja ci wszystko psuję, nieprawdaż. coś z biedą
Uknuł duszko i włażę tu jak Piłat w Credo?

DON SALLUSTIO *(na stronie).*

Wszystko stracone.

DON CEZAR *(śmiejąc się).*

Otóż od rana się męczę,
Ażeby porozrywać twe siatki pajęcze.
Żaden się z twych projektów nie ostoi wcale,
Choć idę po omacku — wszystko ci rozwalę.
Ach, jakież to zabawne!...

DON SALLUSTIO *(na stronie).*

Dyabeł go tu niesie.

DON CEZAR *(śmiejąc się coraz bardziej).*

Twój człek z worem pieniędzy przyszedł w interesie,
Niosąc złoto od tego — na ten cel, wiesz, co to.
(Śmieje się).

DON SALLUSTIO.

Cóż dalej?

DON CEZAR.

Spoiłem go.

DON SALLUSTIO.

Lecz któż zabrał złoto?

DON CEZAR *(majestatycznie)*.

Ja — i rozdałem różnym ludziom wielkodusznie.
Sto dyabłów! mam przyjaciół.

DON SALLUSTIO.

Lecz ty mnie niesłusznie
Posądzasz.

DON CEZAR *(dzwoniąc złotem w kieszeniach)*.

Napełniłem także me kieszenie.
(Zaczyna się znowu śmiać).
A ta dama... wiesz... owa.

DON SALLUSTIO.

Ha!...

DON CEZAR.

Znasz to stworzenie.
Posłała mi Duegnę — nadobna staruszka,
Bródka szczecią porasta, a nosek jak gruszka.

DON SALLUSTIO.

Poco?

DON CEZAR.

By z roztropnością wybadać z daleka,
Czy Don Cezar de Bazan tutaj na nią czeka —

DON SALLUSTIO *(na stronie)*.

Boże!

(Głośno).

Coś odpowiedział?

DON CEZAR.

Dałem przez matronę
Znać, że ją czekam.

DON SALLUSTIO.

Może nie wszystko stracone.

DON CEZAR.

Wreszcie ten twój rębajło — jakiś tam kapitan,
Co mi mówił na placu, że się zwie Guritan,
Któremu dziś fagasa miałem posłać z listem,
I wpada tutaj do mnie z wyzwaniem siarczystem,
Grożąc, że mnie zabije, gdy uwięził posła.

DON SALLUSTIO.

I cóżeś z nim uczynił?

DON CEZAR.

Ha — zabiłem osła.

DON SALLUSTIO.

Zabiłeś!

DON CEZAR.

Tak — w tej chwili kona niezawodnie.

DON SALLUSTIO.

Czy umarł?

DON CEZAR.

Zdaje mi się.

DON SALLUSTIO *(na stronie)*.

Oddycham swobodnie.
Śmiało więc — nic nie zepsuł jeszcze — łaska nieba,
Przeciwnie. — Teraz tylko pozbyć się go trzeba.

Uwolnijmy się prędzej od tego natręta,
Mniejsza już o pieniądze. Historya przeklęta.

(Głośno).

Czy cię tu nikt nie widział oprócz tamtych osób?

DON CEZAR.

Nie, lecz mię widzieć będą, czy wiesz w jaki sposób?
Narobię w mieście wrzawy, awantur, hałasu,
Zrobię skandal straszliwy. Ciesz się już zawczasu.

DON SALLUSTIO *(na stronie).*

Przeklęty!

(Zbliżając się żywo do Don Cezara).

Weź pieniądze, ale wychodź zaraz.

DON CEZAR.

Tak, byś mnie kazał schwytać — oho, sztuka na raz!
Jużbym tutaj nie wrócił — koncept śliczny, ale!
Nie chcę z galer tureckich patrzeć na mórz fale.
Nie! nie!

DON SALLUSTIO.

Bądź przekonany...

DON CEZAR.

Zresztą mam tu ślady,
Że w tej matni ktoś padnie ofiarą twej zdrady,
Każda intryga dworska, podwójną drabiną.
Z jednej strony w kajdanach nieszczęśni, co giną,
Idą w górę — po drugiej kat wchodzi — a zatem
Prawda jak Bóg na niebie, że ty jesteś katem.

DON SALLUSTIO.

Och!

DON CEZAR.

Ja popchnę drabinę a ty bęc!

DON SALLUSTIO.

Na nieba!

DON CEZAR.

Żeby ci popsuć wszystko mnie zostać tu trzeba,
Wiem żeś silny, przebiegły, znasz każdą tu skrytkę.
Umiesz trzy marjonetki na jedną brać nitkę,
Więc zostaję.

DON SALLUSTIO.

Posłuchaj.

DON CEZAR.

Milcz, znam twe wybryki.
Ach! tyś mnie kazał sprzedać korsarzom Afryki.
Ach! tworzysz mi fałszywych Cezarów. Bóg świadkiem,
Że ja ci niedaruję!

DON SALLUSTIO.

Przypadkiem...

DON CEZAR.

Przypadkiem,
Daj więc pożreć to głupcom, co łotry gotują.
Precz z przypadkiem. Drżysz bratku, że plany się psują,
Ale ja tych ocalę, których pragniesz zguby,
Z okna krzyknę, kto jestem.

(Wchodzi na stopień pod oknem i wychyla się na ulicę).

Czekajno mój luby!...
Właśnie alguazyle pod oknem tu stoją.

(Wysuwa rękę przez kratę i kiwa nią, wołając).

Hola!

DON SALLUSTIO *(przerażony na przodzie sceny).*

Wszystko zgubione, jeśli go poznają.

(Wchodzi alkad z alguazylami, Don Sallustio niezmiernie zakłopotany. Don Cezar idzie z tryumfującą miną naprzeciw alkadowi).

SCENA ÓSMA.

DON CEZAR. — ALKAD. — AGUAZILE. — DON SALLUSTIO.

DON CEZAR *(do alkada).*

Zechciej pan tutaj zaraz spisać wywód słowny.

DON SALLUSTIO *(wskazując na Don Cezara).*

Oto jest Matalobos, morderca gwałtowny.

DON CEZAR *(osłupiały).*

Co?!

DON SALLUSTIO *(na stronie).*

Wygram, jeżeli zwłoki zyskam jedną dobę.

(Do alkada).

Ten człowiek śmiał w dzień jasny napaść mą osobę,
Chwytajcie rozbójnika!

(Alguazyle porywają Don Cezara za kołnierz).

DON CEZAR.

Co! on?! on się waży?!

(Do Don Sallustia).

Kłamiesz bezczelny łotrze!

ALKAD.

Kto tu wołał straży?

DON SALLUSTIO.

To ja!

DON CEZAR.

To już zanadto!

ALKAD.

Milcz, dosyć już tego!

DON CEZAR.

Jestem Cezar de Bazan — krewny pana tego.

DON SALLUSTIO.

Don Cezar?! proszę zajrzyć pod kołnierzyk płaszcza,
Znajdziecie tam wyszyte: »Don Sallustio« zwłaszcza,
Że dopiero co ten płaszcz, skradł mi.

(Alguazyle zdzierają mu płaszcz, alkad go ogląda).

ALKAD.

Tak jest panie.

DON SALLUSTIO

A kaftan który nosi...

DON CEZAR.

Przeklęty szatanie!

DON SALLUSTIO *(ciągnąc dalej).*

Ukradł hrabiemu Albie, w święta Wielkiej Nocy.
Patrzajcie — oto herby.

(Wskazuje na herby wyszyte na lewym rękawie).

DON CEZAR *(na stronie).*

Jestem w jego mocy.

ALKAD *(oglądając herby).*

Tak jest, dwie złote wieże.

DON SALLUSTIO.

Dwaj rycerze zbrojni,
Don Henryk i don Guzman.

(Cezar szamoce się, a podczas tego wypada mu z kieszeni spodni kilka sztuk złota. — Don Sallustio wskazuje na nie).

Czy ludzie dostojni
Noszą złoto na sposób tego tu artysty?

ALKAD *(wstrząsając głową).*

Hm, hm...

DON CEZAR *(na stronie).*

Zginąłem.

(Alguazyle rewidują go i zabierają mu pieniądze).

ALGUAZIL *(wyjmując paczkę listów).*

Listy.

DON CEZAR *(na stronie).*

Ach to owe listy.
Biedne listy przetrwały przygody podróżne.

ALKAD *(przeglądając papiery).*

Listy? cóż to ma znaczyć — charaktery różne.

DON SALLUSTIO *(zwracając jego uwagę).*

Wszystkie do hrabi Alby.

ALKAD.

Tak.

DON CEZAR.

Lecz...

ALGUAZIL *(wiążąc mu ręce)*.

Rzecz skończona.

INNY AGUAZIL *(wchodząc głównemi drzwiami)*.

Jakiś człowiek przebity u stóp muru kona.

ALKAD.

Kto go zabił?

DON SALLUSTIO *(wskazując Don Cezara)*.

On!

DON CEZAR *(na stronie)*.

Po cóż wdałem się z nim w zwadę.

DON SALLUSTIO.

Wchodząc tu trzymał w ręku zakrwawioną szpadę,
Oto jest...

ALKAD *(oglądając)*.

Krew w istocie.

(Dając rozkaz).

Niech go odprowadzą straże.

DON SALLUSTIO *(do Don Cezara, którego odprowadzają alguazile)*.

Dobranoc Matalobos!

DON CEZAR *(postępuje krok ku niemu i zatapiając zwrok w niego)*.

Jest Bóg!... On cię skarze!

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

TYGRYS I LEW.

Ten sam pokój, co w poprzednim akcie. — Lampa na stole. — Za podniesieniem zasłony Ruy Blas sam, ubrany w długą opończę, która pokrywa jego spodni ubiór.

SCENA PIERWSZA.

RUY BLAS.

Skończyło się, znikł sen i pierzchnął marzeń czar.
Błądziłem cały dzień, gnała mię jakaś moc,
Teraz nadzieję mam — spokojny jestem. Noc
Przynosi lepszą myśl. Uliczny zamarł gwar,
Nic nie zatrważa mnie pośród tych czarnych ścian,
Sprzęty na miejscu swem i niema żadnych zmian.
Niemi na górze śpią — spokojny cały dom,
Nie ma co trwożyć się — daleko jeszcze grom.
Dotąd szło dobrze wciąż. Mój paź to wierne dziecię
I Don Guritan wie, że to o nią szło przecie.
Wszak mogę Boże mój za to ci złożyć dzięki,
Że na czas doszła ją przestroga z mojej ręki,
Żeś ty dopomógł mi — o dobry Boże mój,
Anioła wydrzeć z szpon, z szatanem stoczyć bój,
Żem zdołał zbawić ją — usunąć wszelką trwogę,
Że ocaloną jest i że ja umrzeć mogę.

(Wyjmuje z zanadrza małą flaszeczkę i kładzie ją na stole).

Tak, umrzej teraz podły — zapadnij w głębinę,
Umrzyj, jak umrzeć winien ten, co maże winy
W tym domu sam, nikczemny i nędzny się truj
W tej lokajskiej liberyi — bo to całun twój.
Boże, jeśli ten szatan swą ofiarę przyjdzie
Oglądać.

(Zasuwa meblami drzwi skryte).

Niech przynajmniej przez te drzwi nie wnijdzie.

(Wraca ku stołowi).

Och, wszakże paź mój musiał znaleść Guritana.
Wszakże wtenczas nie było jeszcze ósmej z rana.

(Wpatruje się w flaszeczkę).

Na siebiem wydał wyrok i oto gotowa
Już kara — pod nią moja uchyla się głowa.
Trzeba tylko grobowe ciężkie wybrać wieko.
Jedynem mojem szczęściem biedz myślą daleko
W czas miniony. Upadłem, nikt mi nie pomoże.

(Siada na fotelu).

A jednak mnie kochała. O, wspieraj mnie Boże!
Nie mam odwagi umrzeć.

(Płacze).

Czemuż los nam nie dał
Spokoju!

(Ukrywa twarz w ręku i płacze z łkaniem).

Boże!

(Podnosi głowę i jak obłąkany wpatruje się w flaszeczkę).

Człowiek, który mi to sprzedał,
Pytał, jaki dzień dzisiaj mamy — nie wiedziałem.

Jak moja głowa pała. Czemuż w życiu całem
Tak źle i tak źli ludzie. Umrę — to rzecz mała,
Nikt po mnie nie zapłacze. Ona mnie kochała.
Myśleć, że chwil, co przeszły, nikt już nie dogoni,
Już jej nie ujrzę — ręki nie ścisnę w mej dłoni,
Ust, co dotknęły czoła. Aniele uroczy,
Biedny aniele — umrzeć, gdy rozpacz pierś tłoczy.
Jej lica jasne, czyste jak promień jutrzenki.
Ruch, co pod majestatem dziewicze krył wdzięki.
Jej oko, co me serce czarem upajało —
Jej uśmiech, jej głos — Boże! nic, nic nie zostało,
Nie usłyszę, nie ujrzę jej! Czyż to być może?!
Nigdy!

(Wyciąga z rozpaczą rękę ku flaszeczce, a w chwili, gdy ją ściska konwulsyjnie, drzwi w głębi otwierają się, w głębi królowa ukazuje się w sukni białej, okrytej ciemną mantylą, której kaptur, spadający na plecy dozwala widzieć twarz bladą. Trzyma w ręku latarkę skrytą, stawia ją na ziemi i idzie spiesznie ku Ruy Blasowi).

SCENA DRUGA.

RUY BLAS. — KRÓLOWA.

KRÓLOWA *(wchodząc).*

Don Cezar.

RUY BLAS *(zwraca się ku niej z poruszeniem przestrachu i nagle przytrzymuje opończę, która pokrywa jego liberyę).*

Ona tutaj! ach, ratuj ją Boże,
Zginęła.

(Głośno).

Pani!

KRÓLOWA.

Co to? Skąd twe pomięszanie
Cezarze!

RUY BLAS.

Kto cię tutaj sprowadził?

KRÓLOWA.

Ty panie.

RUY BLAS.

Ja? jakto?

KRÓLOWA.

Tyś mi przysłał.

RUY BLAS.

Na Chrystusa rany!
Co?

KRÓLOWA.

List.

RUY BLAS.

Odemnie?

KRÓLOWA.

Tak jest, twą ręką pisany.

RUY BLAS.

Co? ja? ja list pisałem — tu oszaleć trzeba.
Nie pisałem żadnego — przysięgam na nieba.

KRÓLOWA *(wyjmując z za gorsu list, który mu pokazuje).*

Czytaj więc.

RUY BLAS *(czytając).*

»Grom straszliwy wisi nad mą głową,
Ty go możesz jedynie zażegnać królowo«.

(Wpatruje się w list z osłupieniem, jak gdyby nie mógł dalej czytać).

KRÓLOWA *(czytając dalej i wskazując palcem wiersze).*

»Gdy bytnością w mym domu zaszczycisz mię swoją
W nocy — inaczej zginę«.

RUY BLAS *(gasnącym głosem).*

To na zgubę twoją
Ten list.

KRÓLOWA *(czytając dalej).*

»Przez drzwi sekretne, w dole, ponad drogą,
Można wnijść niewidzianą w nocy przez nikogo.
Ktoś wierny drzwi otworzy«.

RUY BLAS *(na stronie).*

O tym liście w trwodze
Zupełnie zapomniałem.

(Do królowej silnym głosem).

Wyjdź pani.

KRÓLOWA.

Wychodzę.
Wypędzasz mię Cezarze — za cóż mi Bóg zsyła
Cios taki? Cóżem winna?

RUY BLAS.

To, żeś tu przybyła —
Gubisz się.

KRÓLOWA.

Jakto?

RUY BLAS.

Pani — nie pytaj! litości
Uchodź!

KRÓLOWA

Aby uniknąć wszelkiej wątpliwości
Z zapytaniem Duegnę posłałam dziś z rana.

RUY BLAS.

Boże! każda sekunda próżno zmarnowana.
Przyspiesza twoją zgubę, a intryga podła
Grozi ci — uchodź!

KRÓLOWA *(jakby natchniona nowym pomysłem).*

Miłość mnie tutaj przywiodła,
Gdy ci niebezpieczeństwo zagraża nieznane,
Nie chcesz go ze mną dzielić — a więc tu zostanę.

RUY BLAS.

Zaklinam cię królowo! Co za myśl! o Boże!
Zostać w podobnem miejscu i w tak późnej porze.

KRÓLOWA.

Tyś list pisał — a zatem...

RUY BLAS *(podnosząc ręce ku niebu w rozpaczy).*

Niech się Bóg zmiłuje
Nademną!

KRÓLOWA.

Wypędzasz mnie?

RUY BLAS *(biorąc ją za rękę).*

Chciej pojąć.

KRÓLOWA.

Pojmuję.
W pierwszej chwili pisałeś list do mnie — a potem...

RUY BLAS.

Nie pisałem — Och, jestem szatanem — Wiedz o tem,
Że cię tu biedne ptaszę uchwycono w sidła,
Ze wszech stron czyha na cię potwora obrzydła,

Nic wynaleźć nie mogę, żeby cię przekonać,
Słuchaj — zrozumiej przecie — kocham cię! chcę skonać
U nóg twych — i by zniszczyć twoje omamienie
Wydarłbym z piersi serce i oddał zbawienie,
Och jak cię kocham... idź! idź!!

KRÓLOWA *(wahając się).*

Ależ...

RUY BLAS.

Z piekłem zbratan
Ten, co ci drzwi nieszczęsna otworzył.

KRÓLOWA.

Kto?

RUY BLAS.

Szatan!

KRÓLOWA.

Ten, człek krył się za murem — był zamaskowany.

RUY BLAS.

Zamaskowany? Cóż rzekł? mów jak był ubrany?
Kto to? w głowie mej zamęt — myśl błąka się luźno,
Kto to był?!

(Człowiek czarno ubrany i zamaskowany ukazuje się we drzwiach).

ZAMASKOWANY *(w głębi).*

To ja!

(Zrzuca maskę, jest to Don Sallustio — Królowa i Ruy Blas poznają go z przerażeniem).

SCENA TRZECIA.

DON SALLUSTIO. — RUY BLAS. — KRÓLOWA.

RUY BLAS *(do królowej)*.

Uchodź — Uchodź!

DON SALLUSTIO.

Już zapóźno,
Z księżny Neuburskiej spadła hiszpańska korona.

KRÓLOWA *(z przestrachem)*.

Don Sallustio!...

DON SALLUSTIO.

Na zawsze jesteś połączona
Z tym człowiekiem.

KRÓLOWA.

O Boże! groźba się spełniła,
O Cezarze!...

RUY BLAS.

Królowo! cóżeś uczyniła?!

DON SALLUSTIO *(zbliżając się wolnym krokiem do królowej)*.

Schwytałem was! — lecz będę tu bez uniesienia
Przemawiać — w mojej duszy nie masz gniewu cienia,
Zastałem cię tu Pani, zważ, żeś jest w mej mocy,
Sam na sam z Don Cezarem — w jego domu, w nocy!
Ten czyn — jak na tę, która nosi króla imię
Wystarczy, by małżeństwo unieważnić w Rzymie...
Wnet uwiadomion będzie o tem Ojciec święty...
Lecz możem się ułożyć i te brudne męty
Ukryć.

(Wyjmuje z kieszeni pergamin i rozkłada go przed królową).

Zechcesz podpisać tylko to podanie,
Najjaśniejszemu Panu wręczonem zostanie
Przez sekretarza stanu — postaram się o to.
Przed domem stoi powóz, opatrzony w złoto,
Wyjedziecie stąd razem — ja wam dopomogę
Wyjechać — na Toledo obrócicie drogę —
Przez Alkantarę wprost do Portugalii granic,
Gdzie dalej — wszystko jedno — nie zważamy na nic.
Nie chcemy widzieć. Spełnisz mą wolę — to zgoda.
Przysięgam, że mnie tylko znana ta przygoda,
Odrzucisz — Madryt rano o wszystkiem się dowie.
(Wskazuje na stół).
Tu oto są przybory wszystkie do pisania,
Cześć, życie twe spoczywa w jednem mojem słowie.

KRÓLOWA *(wzruszona pada na fotel).*

Zostaję w jego mocy.

DON SALLUSTIO.

Tylko podpisania,
Żądam pisma — królowi przeszlesz je od siebie.
(Do Ruy Blasa, który stoi skamieniały).
Nie troszcz się przyjacielu, pracuję dla ciebie.
(Do królowej).
Podpisz!

KRÓLOWA *(drżąc na stronie).*

Boże! cóż uczynić?

DON SALLUSTIO *(nachyla się do niej i podając pióro mówi).*

Cóż znaczy korona?...
Tron stracisz, lecz cię czeka miłość nieskończona.
Moi ludzie opodal — Co zaszło, przed światem
Ukryte. Prócz nas trojga nikt nie wie...

(Próbuje wsunąć pióro w rękę królowej, która ani bierze, ani odpycha).

Cóż zatem?

(Królowa niezdecydowana z przestrachem, jak w obłąkaniu, wpatruje się w niego).

Jeżeli nie podpiszesz — sama zgubisz siebie,
Skandal i klasztor...

KRÓLOWA *(znękana).*

Boże!....

DON SALLUSTIO.

Cezar kocha ciebie,
Godny ciebie — na honor — sławny dom Bazanów,
Ród wielki — niemal książe — i największy z panów
Królestwa — Grand Hiszpanii — z lenników czeredą
Posiada liczne włości — jest księciem Olmedo.

(Podsuwa pergamin królowej, która nieprzytomna i drżąca, gotowa jest podpisać).

RUY BLAS *(jakby nagle zbudzony).*

Ja zwię się Ruy Blas — jestem jego sługą.

(Wyrywa królowej pióro i rozdziera pargamin).

O nie podpisuj w imię Bożych ran!

KRÓLOWA.

Coś rzekł Cezarze?

RUY BLAS *(zrzuca wierzchnią suknię i zostaje w liberyi).*

Kłamałem za długo.
Jestem lokajem, a to jest mój pan!

(Zwracając się do Don Sallustia).

Mówię: że dość już podstępów i zdrady.
Chcesz mego szczęścia? nogą depcę je.

Długoś mi w ucho szeptał piękne rady
I spałem długo — lecz zbudziłem się.
Choć skrępowany twą siecią nikczemną,
Z podłym tygrysem nie poluje lew
W haniebnej spółce, to wspólne masz ze mną,
Ja strój lokajski — ty lokajską krew.

DON SALLUSTIO *(do królowej zimno).*

Tak, to mój lokaj.
(Do Ruy Blasa tonem pana).
Ani słowa więcej.

KRÓLOWA *(wydając nareszcie krzyk rozpaczy i załamując ręce).*

Boże!

DON SALLUSTIO.

Zanadto pospieszyłeś się.
(Zakładając ręce na piersiach i prostując się, mówi grzmiącym głosem do królowej).
A więc już dość tej igraszki dziecięcej,
Zemsta dojrzała i zgubiłem cię.
Cóż sądzisz? Madryt będzie miał rozrywkę.
Wzięłaś mi urząd — z tronem żegnaj się!
Tyś mnie wygnała — ja wypędzam cię!
Tyś mi dać chciała za żonę swą dziewkę,
(Wybuchając śmiechem).
Ja za kochanka lokaja ci daję,
Możesz z nim ślub wziąć — choć jesteś zamężną,
Robisz go księciem — no to będziesz księżną,
Król umrze — w zamian lokaj ci zostaje.
(Zgrzytając zębami).
Tyś mię złamała i rzuciła w pył.
I tyś spać mogła?! gdzież twój rozum był?!

(Podczas tej mowy Ruy Blas idzie do drzwi w głębi i zamyka je na klucz, następnie zbliża się niepostrzeżenie do Don Sallustia zwolna i ostrożnie i w chwili gdy tamten kończy mówić i wlepia w królowę, na poły martwą, wzrok pełen nienawiści i tryumfu, Ruy Blas nagłem szarpnięciem wyrywa mu szpadę z pochwy).

RUY BLAS *(straszliwy, ze szpadą w ręku).*

Ty śmiesz nieszczęsny znieważać królowę!

(Don Sallustio rzuca się ku drzwiom).

Nie przejdziesz tędy — próżno, nie trudź się.
Markizie, dotąd szatan wspierał cię,
Lecz niech tu przyjdzie, niech cię z rąk mych wydrze,
Dziś na mnie kolej — dziś zetrę łeb hydrze.
Nikt cię nie zbawi, ni ludzie, ni piekła,
Pod moją stopą pień się duszo wściekła!

(Do królowej).

Ten człowiek mówił do ciebie zuchwale.
Czy wiesz dlaczego? To nie człowiek wcale,
To dziki potwór — to szalony pies!
Prosić go, błagać, zaklinać daremno.
Deptał me serce, znęcał się nademną,
A gdym ja płakał — śmiał się z moich łez.

(Do Don Sallustia).

Tyś tu wyzionął skarg swoich bez liku,
Nic nie odpowiem na oszczerstwo to —
Nic nie rozumiem, wiem tylko nędzniku,
Żeś monarchinię śmiał znieważać swą.
Człowiek, którego świat z mądrości zna,
Śmiałeś to zrobić, gdy tu jestem ja?!
I tyś mógł sądzić, że to ujdzie ci?
Wiedz o tem panie jaśnie oświecony,

Że jeśli zdrajca lub głupiec szalony
Czyn taki spełni potworny jak ty,
Pan czy chłop prosty zarówno ma prawo
W twarz jego plunąć i zabić ten gad.
Nożem, siekierą krew wylać plugawą.
Byłem lokajem — teraz jam twój kat!

KRÓLOWA.

Wszak nie zabijesz tego człeka?

RUY BLAS.

Pani,
Widok krwi jego oczu twych nie zrani,
Podłą swą duszę wyzionie on.

(Wskazując gabinet).

Tam

(Popychając Don Sallustia do gabinetu).

Idź tam i Stwórcy proś za zbrodnie twe.

DON SALLUSTIO.

To jest morderstwo!

RUY BLAS.

Sądzisz?

DON SALLUSTIO *(bezbronny, rzucając wściekłe spojrzenia dokoła).*

Bronić się!
Ja chcę się bronić!

(Do Ruy Blasa).

Daj mi broń!

RUY BLAS.

Nie dam!
Chcesz bić się ze mną? Dziwna twa logika!

Alboż ja szlachcic — bić się panie mój
Z tym, co na rozkaz twój okna zamyka
Co go bić możesz? Lokaj jest to zbój.
Zabija — więc też zabiję cię ja,
Jak nikczemnika, jak tchórza, jak psa!

KRÓLOWA.

Łaski! och łaski!

RUY BLAS *(do królowej, chwytając markiza).*

Każdy się tu mści,
Anioł szatana nie ocali dni.

KRÓLOWA *(padając na kolana).*

Łaski!

DON SALLUSTIO *(wołając).*

Na pomoc! ratujcie mnie!

RUY BLAS *(wznosząc szpadę).*

Precz!

DON SALLUSTIO *(chcąc go odtrącić).*

Morderstwo!

RUY BLAS *(wtrącając go do gabinetu).*

O nie! to jest kata miecz!
(Wpada za nim).

KRÓLOWA *(nawpół martwa pada na fotel).*

O Boże!
(Chwila milczenia).

SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA. — RUY BLAS.

RUY BLAS

(wchodzi blady, bez broni, postępuje zwolna ku królowej, nieruchomej i zlodowaciałej. Potem zdala od niej upada na kolana, wlepiając wzrok w ziemię, jak gdyby nie śmiał oczu podnieść na królowę, mówi głosem poważnym i przytłumionym).

Pani przed twym sądem staję,
Szczerą ci prawdę wyspowiadać mam:
Jam nie tak winien, jak ci się wydaje,
Choć cały ogrom winy mojej znam.
Zbrodzień w twych oczach jak się wytłumaczy,
Błąd wyznać trudno, a skonałbym raczej,
Niż zniósł, byś wzgardą przytłoczyła mnie.
Jestem niewinny, fatalności siła
Pchnęła mię w przepaść — miłość mnie zgubiła,
Czyż to jest zbrodnią, że tak kocham Cię?

KRÓLOWA.

Panie...

RUY BLAS.

Nie trwóż się — zdaleka od ciebie
Wyznam ci prawdę, czystą jak Bóg w niebie.
O wierz mi, nie mam ja duszy skalanej.
Nieraz przez miasto pędziłem zdyszany
Jakby szaleniec, aby ujrzeć cię.
Kiedyś jechała zwiedzać twe szpitale,
Biegłem za tobą w upojeniu, w szale,
Nieraz przechodnie wyszydzali mnie,
Czasem znój starła litościwa ręka,
Pani zlituj się — och serce mi pęka!

KRÓLOWA.

Cóż chcesz?

RUY BLAS *(składając ręce).*

Odpuść mi, zbaw mię w zatraceniu!

KRÓLOWA.

Nigdy!

RUY BLAS.

Więc nigdy?

KRÓLOWA.

Tak!

RUY BLAS *(idzie wolnym krokiem do stołu).*

Tak?

(Bierze ze stołu flaszeczkę i wychyla ją jednym tchem).

Smutny płomieniu
Zgaśnij.

KRÓLOWA *(zrywając się i biegnąc ku niemu).*

Co czynisz?

RUY BLAS.

Mażę winy me,
Tyś mię przeklęła — błogosławię cię,
Po wszystkiem!

KRÓLOWA *(w uniesieniu).*

Cezar!

RUY BLAS *(kładąc flaszkę).*

O jak wspomnieć miło,
Żeś mię kochała...

KRÓLOWA.

Co w tej flaszce było?
Coś ty uczynił — Mów Cezarze! mów!
Ja ci przebaczam! ja cię kocham znów.

RUY BLAS.

Zowię się Ruy Blas.

KRÓLOWA *(obejmując go rękami).*

Ruy Blasie mój drogi,
Ja ci przebaczam — mów, umieram z trwogi,
Czy to trucizna — prędzej wyznaj mi!
Mów.

RUY BLAS.

Tak, trucizna, ale w sercu radość.

(Trzymając ją w objęciu i wznosząc oczy ku niebu).

Sprawiedliwości uczyniłem zadość,
Lokaj, królowo, błogosławi ci,
Bo jego serce rozdarte w boleści
W godzinie zgonu miłość twoja pieści.

KRÓLOWA.

Ja cię zabiłam, o Boże mój! Boże!
Brakiem litości!

RUY BLAS *(słabnąc).*

O, kto żyć nie może,

(Głos jego cichnie, królowa trzyma go w objęciu).

Niech ma śmierć taką! — Gaśnie życia zdrój,
Bądź zdrowa!

(Upada).

KRÓLOWA *(rzucając się na jego ciało).*

Ruy Blas!

RUY BLAS *(umierający, usłyszawszy swe imię, otwiera oczy).*

Aniele ty mój!

KONIEC.

MACHABEUSZE

TRAGEDYA W 5 AKTACH

OTTONA LUDWIGA

OSOBY:

ANTYOCH EUPATOR, syn Antyocha Epifanesa, króla Syryi.
GORGIAS, NIKANOR, } wodzowie syryjscy.
MATATIAS, kapłan izraelski w Modynie.
LEA, jego żona.
SYMEON, JUDA, ELEAZAR, JAN, JONATAN, JOARIM, BENJAMIN, } ich synowie.
NOEMI, żona Judy, córka Boaza.
JOJAKIM, syn młodszego brata Matatiasa.
SIMEI, kapłan izraelski w Modynie.
AMRI, jego syn.
BOAZ, brat Simejego.
AARON, syn innego brata Simejego.
IZACHAR, jeden ze starszyzny Modynu.
URIEL, setnik izraelski.
NATAN, wojownik izraelski.
JOZUE, ELIAS, MIZAEL, RUBEN, } obywatele Modynu.
AEMILIUS BARBUS, poseł rzymski.
NIEWIASTA Z JEROZOLIMY.
STARZEC, jej ojciec.
SETNIK SYRYJSKI.

WOJOWNICY SYRYJSCY I IZRAELSCY. — ORSZAK BARBUSA. — LUD Z MODYNU I JEROZOLIMY. — SŁUŻEBNICE LEI. — STARCY. — NIEWIASTY. — DZIECI.

Akt I i II przed bramami Modynu, w III akcie na wzgórku przy Emmaus, w IV przy grobie Racheli i w Jeruzalem, w V w obozie Antyjocha przed Jeruzalem.
Rzecz dzieje się pomiędzy rokiem 167 a 161 przed Nar. Chr. P.



AKT I.

Pod bramami miasta Modynu, w górach Judei. — Po lewej stronie widzów domy rodziny Simejego. Po prawej dom Matatiasa. — Z lewej strony nieco w tyle droga skalista, wychodząca z doliny, otaczającej górę, na której Modyn stoi i urządzona tak, że najprzód ukazują się głowy wchodzących osób, potem dopiero całe figury. Po prawej stronie na przodzie sceny wyjście ze skalistego wąwozu. W głębi bramy miasta. Z poza murów je otaczających, a składających się po większej części z litej skały, widać domy miasta, wystające nad mury. W oddaleniu zębate szczyty gór Judei. Palmy i modrzewie porozrzucane nad wąwozem i po całej scenie. Po prawej stronie stół kamienny i ławeczka darniowa.

SCENA PIERWSZA.

(Lea stoi u wyjścia drogi, patrząc w dolinę — Joarim wije wieńce na kanapce — Benjamin stoi za nim, przyglądając się. — W głębi służebnice wiją także wieńce z kwiatów).

JOARIM
(w zapale opowiadania wskakuje na ławkę i wskazuje w dolinę).

Tutaj, z tej strony, w modrzewi dolinie
Stał Saul — a z tamtej Goliat z wojskiem swym.
Dawid wziął krzemień z rzeczki, co tam płynie,
Nieprawdaż matko?

LEA *(wskazując).*

A pod dębem tym
Starł się z olbrzymem.

JOARIM.

I zwalczył go sam!
A Saul na czele Izraela synów
Uciekających ścigał Filistynów
Całą dolinę, aż do Gazy bram.

BENJAMIN.

Opowiedz bracie co o Salomonie.

JOARIM.

Gdy Saul śmierć poniósł, Dawid siadł na tronie.
Po nim królował Salomon, syn jego,
Wtedy był wielkim Izrael!

BENJAMIN.

Dlaczego
Był wielkim?
(Biegnie do matki).
Matko, kto wielkim jest? Co?

LEA.

Ten, przed kim wszyscy, choć nie grozi, drżą.

BENJAMIN.

Więc on był takim?

LEA.

Tron Salomonowy
Na klęczkach czciło, kornie chyląc głowy,
Aż pięciu królów.

JOARIM.

Budował on nawy.

LEA *(w zapale opowiadania zapomina patrzeć na drogę i zbliża się ku dzieciom, które ją słuchają z wielką uwagą).*

One rozniosły wielkość jego sławy
Po wszystkich morzach, wszędzie, na świat cały.
Po Egipt nasze granice sięgały,
Haracz składali w skarbiec Salomona
Sąsiedni króle. Córa Faraona
Szczęśliwą była, że ją pojął on
I miasto Gazę wniosła mu na wiano.
Wszystką zastawę z złota miał kowaną
I sam zasiadał szczérozłoty tron.

BENJAMIN.

Chciałbym być wielkim!

LEA *(tuląc go do łona).*

Ty?...

BENJAMIN.

Żeby twe oczy,
Gdy o mnie mówisz, miały ten uroczy
Blask, jak gdy mówisz nam o Salomonie.
Byś nie płakała, że lud nasz wybrany
Niegodne depczą po karkach pogany
I że Syryjczyk na Dawida tronie.

JOARIM.

O ja nie płaczę — Juda ból zwycięża:
Mąż i łzy to wstyd.

LEA.

Lecz tyś jeszcze dziecię...

JOARIM.

Lecz będę mężem — byś przestała przecie
Płakać, że niema w Izraelu męża.

LEA *(pieszcząc go).*

Co? ty? ty mężem?

BENJAMIN *(tuląc się do matki z drugiej strony).*

I ja nim być chcę.

LEA.

Oby mąż zrobił, co dziecko przyrzeka,
Toby radością napełniło mnie.

JOARIM.

O przyjdzie zbawca, którego lud czeka,
Zbawca, co kamień odwali grobowy,
I lud nasz wzniesie nad pogańskie ludy,
I dźwignie z prochu pokolenie Judy,
Podwyższy Syjon i dom Dawidowy:
Więc nie płacz matko, bo dzień się przybliża.
Przez cię lud będzie oczyszczon od sromu,
Tyś z lędźwi Judy i Dawida domu.

(Eleazar ukazuje się u wejścia z doliny).

BENJAMIN.

Patrz! Eleazar.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — ELEAZAR.

LEA *(idąc naprzeciw niemu).*

Czy skończona strzyża
I ojciec wraca?...

ELEAZAR *(silnie wzruszony).*

Matko! pomóż mi!
Bym stąd uszedł.

LEA.

Cóż się stało ci?
Czy śle ojciec? jakżeś ty zmieniony,
Co to znaczy?

(Do dzieci, głaszcząc je).

Idźcie wić korony,
Idźcie dziatki...

(Odprowadza w głąb dzieci i wraca do Eleazara).

Przybiegasz bez tchu!
Co to?

ELEAZAR.

Matko! nie zostanę tu,
Nim tu przyjdą — porzucę te strony.

LEA.

Któż jest z ojcem?

ELEAZAR.

Ojciec Judy żony,
Boaz, Amri i Simej w sług gronie.

LEA.

Ojciec nie zna, choć biegły w zakonie,
Ludzi — gdybyż przejrzał tych obłudę.
Gdzież jest Juda?

ELEAZAR *(z goryczą).*

Pytasz się o Judę —
O mnie wcale nie zapytasz się!

LEA.

Czyś ty chory?

ELEAZAR *(z uniesieniem).*

Tak — chory na brata!
Imię Judy głazem mnie przygniata,
Wciąż je słyszę. Gdym stał za opoką,
Pytał jeden: »Kto jest ten postaci
Smukłej młodzian, co mu iskrzy oko?«
Drugi odrzekł: »Jeden z Judy braci«.
»Judy?« »Znasz go?« »Któżby z tej krainy
Nie znał ludu nadziei jedynej?«
Rzekł Pan: »Z rzeszy wywiodę im męża«.
Wywiódł Judę... dzielny do oręża,
Raz lwem bywa, znów barankiem, znowu
Lwem, jak trzeba, dumny, wierny słowu.
Mądry w radzie, a pochopny w czynie:
Wszak on zbawić może nas jedynie,
Nie on — to nikt. I wszędzie ta wiara,
Że on jeden przed Pana obliczem!
Czy kto spyta o Eleazara?
Juda wszystkiem — Eleazar niczem!
Któżby nawet wiedział, że istnieję,
Gdyby nie traf, żem jest Judy brat?
Puść mię!

LEA.

Dokąd?

ELEAZAR.

Gdzie mię los powieje,
Gdzie imienia Judy nie zna świat!

LEA.

Rzucić matkę byłżebyś ty w stanie?

ELEAZAR *(z goryczą).*

Cóż ci po mnie, gdy ci on zostanie!

LEA.

On?! Wszakże on porzucił mnie dawno,
Wszak mu teraz wszystkiem tylko żona:
Wziął tę dziewkę, rodem swym niesławną,
Z najmłodszego szczepu Aarona,
Co tajemnie Baalowi cześć składał.
Pan chce wynieść Matatiasa plemię,
Przez nie dźwignąć z upadku tę ziemię,
Bo zeń wyjdzie ten, co będzie władał
Izraelem.

ELEAZAR *(z tajemniczą trwogą).*

Pan podwyższyć chce
Ród nasz?... a więc królem... Juda?

LEA.

Nie!
Jam wojenny dała hart tej duszy —
On ramieniem, które jarzmo skruszy.

ELEAZAR *(niezmiernie wzruszony).*

Lecz któż będzie królem?... powiedz mi?
Matko! matko! Kto nim będzie?...

LEA.

Ty!...

ELEAZAR.

Ja!... skąd w duszy ta myśl ci powstała?

LEA.

Przecz mnie pytasz? dość, żem powiedziała.

ELEAZAR *(rozmyślając).*

Tak pamiętam — gdym był dzieckiem małem,
Raz już rzekłaś. — Gdy ojciec surowy,

Skarcił srogo mej dumy narowy —
I gdy siedząc na boku płakałem,
Ty ostrożnie bojąc się rodzica,
Przyszłaś do mnie i głaszcząc me lica,
Rzekłaś: — »nie płacz, nie płacz dziecię moje,
Świetne kiedyś będą losy twoje,
Jako palma będziesz nad lud stał«.

LEA.

Więc pamiętasz?...

ELEAZAR.

Zapomniećbym miał!
Prędzej w proch się rozsypie ma głowa,
Niż z pamięci ulecą te słowa!

LEA *(do siebie)*.

Czy mu objawić, co w duszy skrytości
Chowałam lata. — On nie Juda — nie,
Matatias mówić zabronił — mądrości,
Słuchać należy, nie słów.

(Głośno).

Dowiedz się,
Lecz pod pieczęcią zachowaj przysięgi:
Przed lat dwudziestu, kiedy mię Bóg tobą
Miał błogosławić — przejęta żałobą
Czytałam święte Jezajasza księgi.
I tam, gdzie prorok zbawcę zapowiada,
Co na Dawida zasiędzie stolicy,
Pośród czytania boleść mną owłada,
Że dom Dawidów — ojców moich dom,
Jęczy w niewoli tej pogańskiej czerni,
Szakal bezwładnej urąga się lwicy,
Rządzą niewierni, a słuchają wierni:

Że na mych synach pohańbienia srom,
Że ty dziecino, jeszcze niezrodzona,
Dźwigasz już pęta w głębi matki łona.
A więc popiołem głowę posypałam,
Rozdarłam szaty i nędzną się stałam
I przez trzy noce wołałam do Pana:
»Zmiłuj się Panie, zgładź nieprawość moją!
Duch mój ustaje i oko w łzach tonie,
Jestem podobną do zwiędłego siana,
Spraw by me syny wielbiły moc Twoją!
By lud Twe imię wielbił na Syjonie!«
I w uniesieniu jam zawołać śmiała:
»Panie wzbudź zbawcę ludu z mego ciała!«
I w tej gorzkości, gdy mi brakło słów...

ELEAZAR *(z niespokojnem oczekiwaniem).*

I w tej gorzkości, gdy ci brakło słów...

LEA.

Przypadł Duch Pański na mnie w onym dniu,
Oblicze Pana ujrzałam w płomieniu,
Jak niegdyś Mojżesz w gorejącym krzu.

ELEAZAR.

Oblicze Pańskie!...

LEA.

Rozwarły się ściany
Domostwa mego — znikł mi z oczu dom —
Nademną jaśniał przestwór nieprzejrzany...
Uderzył grom!...
I głos jako szum palmy śród oazy,
Jak szmer strumienia, co spada na głazy,
Przemówił z głębi błękitu przeźroczy —
I usłyszałam: »Podnieś twoje oczy«.

ELEAZAR.

Gdyś wzniosła oczy?...

LEA.

Ujrzałam nad głową
Spuszczającą się mitrę Aaronową
Z niebios. — Nad łonem mem zawisła ona,
Jak orzeł, kiedy waży się w przestrzeni,
A ja bezwiedna byłam, zachwycona,
Jakoby martwa... śród złotych promieni
Jaśniała mitra, koroną objęta,
Króla Dawida...

ELEAZAR.

Mitrę Aaronową,
Arcykapłańską, wkoło otaczała
Jakoby wieńcem...

LEA.

Dawida korona!...

ELEAZAR.

Nad twojem łonem... i byłaś poczętą
Mną, a nie Judą... kiedyś to widziała?

LEA.

Tobą!...

ELEAZAR.

A potem?... potem!?...

LEA.

Me widzenia
Pierzchły jako mgła od poranku tchnienia,
Upadłam na twarz...

ELEAZAR.

I jam słyszał pienie,
Wdzięczne jakoby archanielskie chóry,
W dolinie, nocą, płynące gdzieś z góry,
Co szło przedemną jako głos proroczy.

LEA.

Ty? Ty?!

ELEAZAR.

O matko! wszystko się jednoczy
Dowieść, że nie sen był, lecz objawienie,
Lecz choć do stanu arcykapłańskiego
Najbliższe prawo po domu Onjasa —
Co dziś z ramienia włada syryjskiego —
Ma dom mojego ojca, Matatiasa,
Ale jest tylu mężów tej rodziny,
Syny Onjasa i synów tych syny,
Że trudno wierzyć...

LEA.

W objawienie Boże
Nie wierzysz? — ale w przeszkody masz wiarę,
A kto w nie wierzy, ten je znaleść może.

ELEAZAR.

Lecz jak mam wierzyć, kiedy jest nad miarę
Przeszkód i zapór?

LEA.

Gdy wątpisz w moc nieba,
Próżno ci mówić.

ELEAZAR *(walcząc z sobą)*.

Rozmysłu tu trzeba...

LEA.

A więc i posty i noce bezsenne
I Jezajasza wyrazy płomienne,
Cud nawet, wszystko rozwagi wymaga?
Bądź więc rozważnym — nie wiele rozwaga
Kosztuje — dość już — ojciec z pasterzami
Wraca od strzyży — ukryj twe wzruszenie —
Nie mówmy o tem.

SCENA TRZECIA.

DAWNI i JUDA *(niosący na barkach zabitego lwa).*

LEA.

Juda?

JUDA.

Pokój z wami
Matko!

LEA.

Przychodzisz sam na zgromadzenie?

JUDA.

Toż niosę gościa — co choć nieproszony
Lubi się wpraszać...

(Rzuca lwa w głębię skalistej czeluści).

Dzisiaj miał upory,
Musiałem zmusić, by zwiedził te strony.

LEA.

Przecz się nie oblekł opończą pokory?

JUDA.

Toby lwem nie był...

(Patrząc w dolinę).

Zda mi się, że tam
Idzie Matatias...

LEA.

Czemuś przyszedł sam?

JUDA.

Nie idzie z domu ten, co za lwem pędził.
Sam idę, bym ci widoku oszczędził
Nienawistnego — jej upokorzenia...

LEA.

A nieszczędziłeś domowi shańbienia!

JUDA.

Nie mówmy matko o tem, co minęło.

LEA.

Jak serce twoje, co się odsunęło
Od matki, jako wielkie me zamiary,
Tak przeminęło, jak ów wielki siew,
Jak miłość ludu i potęga wiary,
Którą z krwią własną przelałam w twą krew!
O Judo, tak-że słuchasz głosu Pana?
Niedługo wielka godzina uderzy,
Która ma podnieść Matatiasa dom,
Ty, tego domu największy z szermierzy,
Tyś go poniżył!... Ulegnij mym łzom!
Niechaj cię zbudzi z odrętwienia Pan!
Zerwij małżeństwo, roztargaj te pęta,
W które cię skuła ta miłość przeklęta
I strąć tę dziewkę w jej nikczemny stan!

JUDA.

Żaden stan nie jest niskim, jeśli dusza
Wielkością cnoty wzniesie go wysoko,

Zaprawdę matko — zwykle ludzkie oko,
Jak twego Judy — winno na Noemi
Patrzeć nie z góry, ale z dołu — z ziemi.
Pokorą ona wszystkich do czci zmusza,
Że najdumniejszy, dosięgnąwszy tego
Miejsca, gdzie ona — skończyłby zawrotem.
Pocóż mię matko zmuszasz mówić o tem,
Rumienić za te pochwały?...

(Lea chce odpowiedzieć, ale widząc wchodzących, milknie).

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — SIMEI. — MATATIAS, *prowadzony przez* JANA. — BOAZ, AMRI i JONATAN *wchodzą z doliny.* — JUDA *wchodzących pozdrawia.*

SIMEI *(ukazując się z doliny).*

Do czego
Te wieczne skargi?

JUDA *(do siebie).*

Rozwodzi znów żale.

MATATIAS *(ukazując się).*

Wszakże na dzieci rodzica gniew spada.

BOAZ *(podobnież).*

Poddać się trzeba, nie wołać wciąż »biada!«

AMRI *(podobnież).*

Pan cię dostatkiem obdarzył wspaniale,
Cóż cię obchodzą cudze utrapienia?...

MATATIAS.

Czyż mi brat cudzym? Czy cudzym lud Boży?

SIMEI.

Mógłby być lepszym — sam sprawcą cierpienia.

JUDA *(na stronie).*

Zaprawdę!...

SIMEI.

Przecież bywało i gorzej,
Gdyśmy w niewoli byli Babilonu.
Czyż nie jesteśmy na ojcowskiej grzędzie,
Czyż się nie rządzim prawami zakonu?
Toć nam Antyoch dał arcykapłana.

JUDA *(na stronie).*

Póki ma z niego powolne narzędzie.

SIMEI.

Czyż nam zabrania modlić się do Pana?

JUDA.

Póki mu Antyoch mieszkać tu dozwoli
W swem państwie.

SIMEI.

Prawie nie czujem niewoli.
Antyoch stary jest tyranem — ale
Pan mu skrępował przeciwko nam dłonie.
Zato syn jego — co dziś na Syonie
Zasiada — dla nas łagodnym jest wcale
I codzień daje nam dowód niemylny
Swej przychylności.

JUDA.

O, wielce przychylny,
Bo czego ojciec nie wydarł przemocą,
On przychylnością kłamaną wyłudzi.

Ojcze! choć z innych przyczyn, pytam: Poco
Tyle bolejesz nad losem tych ludzi,
Którzy się śmieją — gdy ty lejesz łzy?!
Płaczesz nad nimi i żalisz się światu,
Przy ustach twoich wciąż goryczy czasza —
A to nie lud twój z pod wierzb Eufratu,
Zerwane struny arfy Jeremiasza!
O nie są wnuki jak dziady bywały —
Ojców ich chwała dziś im niepamiętną,
Przeszli rąk tyle — wszystkie ich spadlały
A każda na nich wycisła swe piętno;
Ku dawnym czasom myśl twoja się zwraca,
Błagasz o zbawcę, pytam się dla kogo?!...
Czas idzie naprzód — przeszłość nie powraca,
A młode plemię nową idzie drogą.
O gdybyś zaszedł dziś do Jeruzalem,
Tobyś skamieniał boleścią i żalem,
Jak ja. Gdzie spojrzysz, strój grecki, ofiary,
I grecka mowa!... Jak z nieba zesłany
Nadchodzi Joel — przyjaciel nasz stary.
»Joelu!«, wołam — a on pomięszany
Uchodzi... Widząc się pogoni celem
Przystanął w miejscu odludnem, ustronnem
I rzekł: »Proszę cię, nie zwij mię Joelem,
Ja się nazywam teraz Antygonem.
Widzę, żeś przybył gdzieś z dalekiej wioski,
Mówmy po grecku, lub opuść mię proszę.
Dziwisz się, że ja grecką szatę noszę,
Czyż nie piękniejsza niż strój nasz żydowski?
Głupich przesądów jak wstręt do tej szaty
Jest u nas mnóstwo — lata ich nie starły —
Czemuż stronimy od greckiej oświaty?
Wszakże lud każdy, tak jak nasz umarły,

Powinien czerpać z tej żywej krynicy!
Lecz mam nadzieję — Jazon nas odrodzi«.
»Jazon? Cóż Greka Izrael obchodzi?«
A on: »Na Zewsa! widno Modyficzycy
Żyją za światem — w tem też nasza zguba.
Toż się Jazonem zwie brat Oniasowy,
Co w dawnych czasach miał imię Jakuba —
On wam przesądy powybija z głowy,
Karność zaszczepi, oduczy lamentów,
Arcykapłanem gdy nam zajaśnieje«.
»On?« »Wszakże dawał już pięćset talentów
Antyochowi, gdy mu nie zabroni
Mitrę kapłańską z Oniasa wziąć skroni«.
I wkrótce...

MATATIAS.

Zamilcz — niechaj zaniemieje
Język twój ostry — o, wielkim jest grzechem
Kazanie pańskie bezbożnym truć śmiechem.
Szydzisz, że sprośny wyrzekł się imienia
Ojców, że idzie drogą zatracenia!

BOAZ.

Szydzisz, że z mową swych ojców się tai,
Którą Pan mawiał do nas na Synai!

MATATIAS *(ze zgrozą)*.

Bezbożny kupczy mitrą Aaronową!

JUDA.

Jest do sprzedania!

MATATIAS.

I lud Twój Jehowo
Toczy greckiego bałwochwalstwa trąd!

BOAZ.

O Panie! wchodzisz z ludem twoim w sąd!

SIMEI.

Zaprawdę głupstwo — wymysł, który w głowie
Powstał Jazona — czy jak tam się zowie.
Skądżeby miał on tyle do stracenia.

MATATIAS.

Z skarbnicy Pańskiej — z wdów i sierot mienia.
Okropność, Panie! język słowa niema,
By ją wyrazić. Ucho nie wytrzyma,
By jej wysłuchać. Lecz u stóp Syonu
Są jeszcze męże pośród synów Twych,
Którzy powstaną w obronie Zakonu,
Skarcą bezbożnych i wytępią złych!

JUDA.

Ojcze, tam jedni drugich przeklinają
Za to jedynie, że innym akcentem
Wyrazy w piśmie wymawiają świętem.
Ci wiernych — tamci świętych nazwę mają,
Oba stronnictwa z zazdrości, z uporu
Wpadły w zaciekłej nienawiści szał.
Syryjczyk szydzi z głupiego ich sporu —
Oto lud, ojcze, któryś zbawić chciał!

MATATIAS.

Panie, wybawcę daj ludowi swemu!

JUDA.

Panie, wybawcy ześlij inny lud!

MATATIAS.

Podwójna boleść na głowę staremu:
Lud grzeszy, a ten, co z potopu wód

Miał go wybawić czasu przygodnego —
Z nędzy sług twoich natrząsa się sam,
Szydzi bez serca, jak ongi z Noego,
Z własnego ojca natrząsał się Cham.

JUDA.

A więc mam jęczeć?! Ojców moich Panie!
Nie masz-że drogi jedno narzekanie?
Nie masz-że innej jak we łzach nadziei?
Czy już zabrakło ramienia w Judei?
Ja płakać nie chcę!

SIMEI *(do Matatiasa, który się odwrócił od Judy).*

Gwałtowny bez miary.
To młodość — młodość, rada wszystko burzyć —
Wiek, który nie wie, jak nadmiar sił zużyć.
Nie troszcz się, nieraz widziałem, mój stary,
Z najgwałtowniejszych z czasem się stawali
Najpotulniejsi. Ogień się wypali,
Zostanie popiół.

LEA.

Panie, sąd twój przemień
O twoim synu. Nienawiść go dręczy
Tylko z miłości, a każda z nich ręczy
Za jego serce. Wszakże zimny krzemień
Nie wyda iskry, aż ją stal wywoła,
Ażeby zbudzić w nim zbawcę Judei
Trza sposobności! Boazie! Simei!
Amri! siadajcie z nami wraz do stoła,
Matatias prosi! Zabawcież się w Panu,
A dawszy folgę pracy i strapieniu,
Bądźcie nam radzi i tutaj w palm cieniu
Niech wietrzyk chłodny śnieżnego Libanu

Myśl wam odświeży. Niechaj ptasząt gwary
Zbudzą wam w duszy wspomnienia młodości.
Dziewczęta wziąwszy lutnie i cytary
Tańcem i śpiewem będą bawić gości.

SIMEI *(do Amrego).*

Jak nas zaprasza — bo on chce — nieszczerze.
Mniejsza o szczerość, wolę jej wieczerzę.

(Zaproszeni zasiadają — służebne podczas muzyki zabierają się do tańca).

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — JOJAKIM.

JOJAKIM *(ukazując się z doliny).*

Biada! biada!

MATATIAS.

Co to, czy słyszycie?

(Zrywają się).

JOJAKIM *(staje osłupiały na widok tańców i kwiatów).*

Czyj to jest dom?

MATATIAS.

Pyta o to dziécię
Mego brata?

JOJAKIM.

Gniew Pana surowy
Nas dotyka — a Matatias gody
Tu wyprawia?! Popiołem swe głowy
Lud posypał! Tu stary i młody
Wieńce nosi? Jęk i rozpacz tam,
A tu tańce!

MATATIAS.

Przecz złorzeczysz nam?
Powiedz wprzódy, czegoś tak strwożony?
Czyby Onjas?

SIMEI.

Strącony?!

JOJAKIM.

Strącony?!
Ledwieś wyrzekł, a stoisz jak wryty,
Cóż więc powiesz, gdy poznasz moc straty?
Precz z wieńcami! Rozedrzyjcie szaty!
On zabity!

MATATIAS *(przerażony jak wszyscy).*

Coś wyrzekł!?

LEA.

Zabity!?
(Do Eleazara).
Słyszysz synu!

ELEAZAR *(do matki).*

Ha! trudne do wiary...

LEA.

Milcz i słuchaj!

JOJAKIM.

O Panie, spuść grom
Na morderców! i biczami kary
Pomścij starca! pomścij jego dom!

MATATIAS.

Dom Onjasa?

BOAZ.

Coś rzekł?!

ELEAZAR *(na stronie).*

Pierś mi drży.

LEA.

Tchnę zaledwie...

JOJAKIM.

Mało było krwi
Starca zbójcom — upić się nią chcieli.
Wszystkich siedmiu synów zgładził nóż,
Wnuki nawet drobne w pień wycięli,
Krew przelana woła o mściciela.

LEA *(do Eleazara).*

Wątpisz jeszcze?!

ELEAZAR *(do matki).*

O nie wątpię już!
Syn twój będzie królem Izraela.

LEA.

Juda ścieżki zgotuje przed tobą.

MATATIAS.

Córy Syonu, strójcie się żałobą!

BOAZ.

Onjaş ludowi krynicą był świętą!

JOJAKIM.

Dziś Menelaus do władzy się pnie.

LEA.

Czy on choe pomścić Onjasa?

JOJAKIM.

O nie!
On Jazonowi — niech klątwa nań spada!
Chce wydrzeć mitrę i na swą przeklętą
Wziąć głowę!...

SIMEI.

Złodziej złodzieja okrada!

LEA *(do Eleazara).*

Eleazarze! musim działać wraz,
Uprzedzić innych...

SIMEI *(porozumiawszy się oczyma z Amrim).*

Amri! nam iść czas.

LEA.

Czekajcie — w strasznej zamięszania chwili
Modyn wymaga, byście coś radzili —
Pomyślcież męże, co uczynić wam!

SIMEI *(do siebie).*

Czyż dla nóg cudzych ja stopniem być mam?
Sądzę, że się to nie przyda na wiele,
Mieszać w ich sprawy.

(Do swoich).

Pójdźcie przyjaciele,
Każdy być winien w domu w takim razie.

(Simei odchodzi z Amrim).

LEA.

Wy odchodzicie, gdy potrzeba rady?
Idziecie wszyscy, czy i ty Boazie?

BOAZ.

Jaż — człek maluchny — mam dawać przykłady?
Cóż od Boaza Modyn żądać może,
Jak tylko aby pod wyroki Boże
Uchylił głowy. Niechaj Pan was strzeże!

(Ściska Matatiasa i odchodzi).

LEA.

Puść ich — niech idą obłudni szalbierze,
Co się okryli pokorą zmyśloną! —
Nie myśl już o nich — niech zajmą cię panie
Prawa twych synów i ich powołanie!

MATATIAS.

Coć ci niewiasto? lica twoje płoną,
Skąd to wzruszenie?

LEA.

Z radości matczynej,
Że będzie widzieć w chwale swoje syny.
Lecz niech nadzieje w głąb duszy się kryją,
Do celu wiedzie przezorności droga.

MATATIAS.

Mówisz o prawach?...

LEA.

Zaliż ręka Boga
Nie usunęła przeszkód?...

MATATIAS.

Przecież żyją
Bracia Onjasa...

LEA.

Jakby już nie żyli,
W noc zapomnienia sami się strącili.
Możeż odstępca być arcykapłanem?
Prawa ich rodu zagasły przed Panem.
Prawa twe czyste, jako jaśniejąca
Gwiazda, co w koło wspaniały blask szerzy.

JOJAKIM.

Tak panie — tobie ta godność należy.

LEA.

Tobie już starość myśl często zamąca,
Ale masz synów, niech jeden z nich spieszy
Do Jeruzalem i pozna myśl rzeszy!
Niechaj przychylnych zjednoczyć się stara,
Niepostrzeżenie niechaj lud pozyska.
Zimny napozór, niech wszędzie się wciska,
A gdy bezbożnych dopełni się miara,
Gdy się uprzykrzą i zniecierpliwiony
Lud ten burzliwy wzniesie krzyk z wszej strony,
I gdy jak zawżdy pocznie się buntować,
Syryjczykowi na rękę to będzie
Spokój przywrócić — a pozór zachować,
A wtedy syn twój na miejscu zasiędzie
Arcykapłańskiem. O pospiesz się panie,
Zgubę nam może przynieść odwlekanie.
Bije godzina — — więc prędzej do czynu!
Czy słyszysz Judo, Matatiasa synu?

JUDA.

Wołasz mię matko?

LEA.

Godzina cię woła!
Do czynu w kim jest Dawidowa krew!

JUDA.

Mamże z szakalem walczyć!...

LEA.

Nie chcesz zgoła
Iść z nami?!

JUDA.

Czekam, aż się zjawi lew!

LEA.

Ty spisz — ty chwile pomijasz jedyne —
Czy mnie nie słyszysz?

JUDA.

Wszak słucham cię wciąż.

LEA.

Znajdzie w Judei mąż swoją godzinę,
Lecz z mego Judy nie będzie ten mąż.

JUDA.

Mnie spokój miły — walki nie rozumiem,
W której potrzeba ścinać się na słowa.
Gra to subtelna, ja w nią grać nie umiem —
Juda niezręczny, tępa jego głowa,
Tam trzeba posłać silnego w obłudę
Eleazara!

MATATIAS.

Ot masz twego Judę!

LEA.

Żony to chytrość jak wąż go oplata.

MATATIAS.

W szyderstwie nawet nie oszczędza brata!

JUDA.

Poślij go panie — on dostojeństw chciwy —
Ja nie!

LEA *(do Matatiasa)*.

Uczyń tak.

MATATIAS.

Boże sprawiedliwy,
Już nie mam syna!

LEA.

Jakto, nie masz syna?
Czyliż dla ciebie niczem objawienie,
Niczem ta wielka proroctwa godzina?
Zaliż snem tobie jej dziwne spełnienie,
Tej przepowiedni? Nieurodzonego
Pan już naczyniem zrobił swem wybranem,
By ofiarował i kadził przed Panem.
Patrz, jak wypiękniał, jak mu oko płonie,
Widno jak pragnie poświęcić się Bogu,
Widno jak blasku udzieli koronie,
Kiedy ją weźmie.

ELEAZAR.

Nie przestąpię progu
Domostwa tego, aż w szacie kapłana,
Aż gdy wypełnię rozkazanie Pana!
Kij i odzienie dajcie mi pielgrzymie,
Bym szedł kędy mię Pan śle...

LEA *(daje znak Joarimowi).*

Joarimie!

(Joarim idzie spełnić rozkaz matki do domu).

LEA.

Na licach jego ogień gorliwości,
Czoło królewskim blaskiem promienieje,
Bądź zawsze takim!

ELEAZAR.

Matko! miej nadzieję!
Mniejszym nie będę od mojej wielkości,
A gdy nad ludem wezmę panowanie,
To sam przez siebie i ja sam!

MATATIAS *(zgorszony).*

O Panie!
Zamknij Twe uszy!

LEA *(podając mu kij, który Joarim przyniósł).*

Bądź chwałą domowi.
Kij ten niech berłem Dawida się stanie!
Ojcze! błogosław wybawicielowi!

MATATIAS.

Takieżto matko twoje pożegnanie?
Ty, coś go winna strzedz od namiętności,
Gdy i człek stary nie wolen od skazy,
Budzisz w tym młodym kuszące obrazy
I wzbijasz pychę, co w sercu mu gości,
Pysznych Pan zniża, bacz niewiasto płocha,
By cię nie skarał za wyniosłość twą!...
I w tem, co serce twe najbardziej kocha,
Nie dotknął — żebyś nie przeklęła go!

LEA.

A więc w tej chwili smutnego przełomu
Mam go strofować? Wszak pierwszy to syn
Z rodzicielskiego wychodzący domu...
I w tem to dziecku mam ja szukać win,
W synu, co dom nasz podniesie i wsławi?!

ELEAZAR.

Odchodzę — niech mnie ojciec błogosławi.

LEA.

A mnie nie żegnasz nawet i spojrzeniem!
Idź... serce matki pójdzie z tobą wszędy.

MATATIAS.

Ty Jojakimie bądź jego sumieniem.

LEA.

Staraj się zyskać Antyocha względy,
Byś prędzej urząd wziął arcykapłana,
A i najmniejszych ująć staraj się.

MATATIAS.

Bądź zdala domu i rozmów pogana,
By między sługi nie policzył cię.

LEA.

O czemuż matka z tobą iść nie może,
Aby ci ścieżki wskazywała Boże,
Aby cię synu w każdej strzegła dobie.
Błogosławieństwo me będzie przy tobie:
Oby cię ręka wroga nie dotknęła,
Dopóki głosy nie spełnią się słów,
Póki wielkiego nie dokonasz dzieła.
Niech cię Pan wiedzie — synu mój — bądź zdrów!

MATATIAS.

Eleazarze! idź więc w imię nieba,
Zamierzaj mało — czyń więcej, niż trzeba,
Bądź prawym — abyś spotykał uczciwość.
Bądź sprawiedliwym — byś miał sprawiedliwość.
Nie wątp o innych, aby nie wątpili
Inni o tobie. Bądź mocnym w Zakonie.
Jedna wątpliwość gdy zrodzi się w łonie,
Co lata wzniosły, zburzy w jednej chwili,
Nie dufaj w rozum — bo zubożysz serce.
Niech rozum z wiarą nie będzie w rozterce:
Rozważ krok każdy, gdyż pierwszy zależy

Tylko od ciebie — na wpół tylko drugi,
Trzeci krok oślep nie wstrzymany bieży,
Jako liść pędem uniesiony strugi.
Kto sprzyja tobie, niech dozna wesela!
Kto ci jest wrogiem i kto z drogi świętej
Zechce cię odwieść — niech będzie przeklęty!
Niech cię prowadzi Pan Bóg Izraela,
Ty Jojakimie miej nad nim czuwanie.

JOJAKIM.

Stryju!... wypełnię twoje rozkazanie.

LEA.

Bądź zdrów! a często dawaj wieść o sobie,
Idziesz z ratunkiem twojemu ludowi,
Więc spiesz — a pomnij, że Syon w żałobie.

ELEAZAR.

Ojcze mój, matko! bywajcie mi zdrowi,
Żegnam was bracia. Zda mi się, że strzela
Skrzydło z bark moich — tak mi spieszno tam.

BRACIA ELEAZARA.

Bądź zdrów!

LEA.

Na drogę niech ci uścisk dam
I pozdrowienie.

(Rzuca się przed nim na twarz).

Królu Izraela.

ELEAZAR *(podnosząc ją z ziemi).*

O powstań — kiedyś niech tem pozdrowieniem
Jak matkę królów witają cię ludy!

(Odchodzi, wszyscy go odprowadzają oprócz Judy).

JUDA *(patrząc przez chwilę za odchodzącym)*.

Idź tam!... i zostań Antyocha cieniem,
Pełzać przed wrogiem, to nie sprawa Judy!
On się nie ugnie wzorem chwiejnych trzcin —
Niech myśl jedyna, którą pierś ma wzdęta
Wzrasta w milczeniu, w milczeniu poczęta,
Aż wyda owoc: — mową Judy — Czyn!

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Dekoracya ta sama, co w pierwszym.

SCENA PIERWSZA.

JUDA i NOEMI *wchodzą drogą z doliny* — LEA *wychodzi z domu, później* MATATIAS, *prowadzony przez synów:* JANA, JONATANA, JOARIMA i BENJAMINA.

LEA.

A więc posłannik mój spotkał się z wami?

JUDA.

Tyś słała po mnie?

LEA.

Synu mój, nad nami
Zawisła ręka Pańska.
(Wskazuje wchodzącego Matatiasa).

JUDA.

O Jehowo!

LEA.

Już anioł śmierci po nad jego głową
Wzniósł miecz, wnet zgasną dni jego na ziemi,
Umierający chciał widzieć Noemi,
Tę Simeitkę.

NOEMI *(biegnie do Judy, aby powstrzymać jego oburzenie).*

W tak bolesnej porze,
Wybacz to słowo...

JUDA.

Słyszysz, ojciec żąda
Judowej żony — idź więc doń w pokorze.

(Noemi rzuciwszy wzrok błagalny na Judę, idzie do Matatiasa — Lea i Juda postępują za nią).

MATATIAS *(wyciągając ku niej ręce).*

Niech raz cię jeszcze me oko ogląda,
Różo Saronu!

NOEMI *(tuląc go do siebie).*

Stokroć ojcze miły!

MATATIAS.

Życia mi nie życz — dni mię już strudziły,
Pragnę spoczynku — jak robotnik w znoju
Skwaru żniwnego pożąda drzew cienia,
Jako w pustyni pielgrzym pragnie zdroju,
Tu do mnie dziecię!

(Wskazuje na ławkę).

Tu miejsce wytchnienia,
Gasnące oko niechaj się zatrzyma
Na miejscach chwały — gdzie Judy siedziba,
Kędy ukorzył Pan Sennacheryba
I syn Izai zwyciężył olbrzyma.
Wonny, jak młodej dech oblubienicy,
Powiewa wietrzyk od judzkiej granicy,
Jako jej uśmiech wdzięczny i uroczy,
Tak mi to miejsce — tu zamknę me oczy.

(Dzieci dopomagają ojcu usiąść, a klęcząc dokoła niego podpierają go).

Boże Abrama! — o ty miłosierny!
Błogosławiłeś słudze twemu życie —
Mało zasłużył, a brał tak obficie.
Dałeś mi Panie dostatek niezmierny...
Czyliż przebaczysz, że ja nędzny mąż,
Obfite szczęście, któremś mnie wspomagał,
Z rąk wypuszczałem i płakałem wciąż
Nad moim ludem, któryś biczem smagał
I leżał ciągle twarzą mą na ziemi —
Boś wzmocnił ramię nad braćmi mojemi
I tej — przed którą drżeli narodowie,
Królowej ludów włożył szaty wdowie.
I złożył w prochu nicości i wzgardy
I nad tym ludem wyrzekłeś sąd twardy!...
W dziedzictwo twoje wtargnęły pogany
I twój przybytek splugawili święty;
Nie dość, że w pętach jęczy lud wybrany,
Jeszcze jest łupem niezgody przeklętej!
Synowie właśni, choć jarzmo ich tłoczy,
Hańbią swą matkę. Dopełnia się miara;
Pójdźcie synowie, nim zamknę me oczy
Chcę błogosławić. — Czy Eleazara
Niema? czy przyjdzie?

LEA.

Posłałam po niego.

MATATIAS.

Judy nie wzywaj — by z konającego
Ojca nie szydził.

JUDA.

Panie!

MATATIAS.

Jako skała
Ramię mojego Judy jest w potrzebie,
Lecz serca Juda niema — nie!

JUDA.

Czyż mam się chełpić?

LEA.

Eleazar działa
Dla twego ludu. — Panie nie smuć się.

MATATIAS.

O nie dla ludu — działa on dla siebie —
Dla swojej pychy — nie dla chwały Pana.
Cóż może Panu przyjść z ludu tej ziemi,
Który jest sługą obcego tyrana?
Umieram razem z nadziejami memi,
Już się me oko zbawcy nie doczeka,
O Panie puść mię — bo wolność daleka,
Słabo mi!

(Mdleje).

LEA.

Patrzcie czy Eleazara
Nie widać?

JONATAN *(patrząc w dolinę).*

Spieszy.

LEA.

O prędzej, ofiara
Bliska.

JONATAN *(przyzywa skinieniem).*

Z nim idzie Jojakim.

LEA *(oburzona).*

Na czyje
Wezwanie? po co?!

ELEAZAR *(ukazując się z doliny).*

Czy on jeszcze żyje,
By błogosławił?...

JOJAKIM *(wchodząc za nim).*

Aby przeklął cię!

LEA *(zastępując Jojakimowi).*

Czy chcesz go dobić?

JOJAKIM.

O lepiej niech mrze,
Niż żebyś prawdę dłużej przed nim kryła.

LEA *(wstrzymując go).*

Ja cię nie puszczę! nie!

ELEAZAR *(klęcząc przy ojcu, który odzyskuje przytomność).*

Dech jego wraca.

MATATIAS *(odzyskując przytomność).*

Czy to są głowy moich synów?

ELEAZAR.

Panie!

MATATIAS.

Głos jego słyszę. O niechajże wstanie
Duch mój gasnący i ożywi ciało
Choć chwilę, zanim zapadnie noc długa;
Co mi przynosisz?

ELEAZAR.

O panie, twój sługa
U Antyjocha ma łaskę niemałą.

JOJAKIM *(ze zgrozą).*

Łaskę... za cenę łaski Wszechmocnego!

MATATIAS.

Czy to Jojakim?

ELEAZAR.

O nie słuchaj jego,
Mnie słuchaj ojcze. Antyoch jest wspaniały,
A siostra jego, ta boska niewiasta,
Jak grecka Here, w blaskach swojej chwały
Urokiem wdzięków jeszcze ją przerasta
I z tronu swego zniżyła się ona
Do mnie, jak Diana do Endymijona.

LEA.

Kogóż nie ujmie wdzięk jego obliczy?

MATATIAS.

Czyż musisz słodkość obwijać w goryczy?
Śmiesz usta twoje i hańbić me uszy
Słowem nieczystem! — Biada słabej duszy!
Już w niej Syryjka panuje wszeteczna,
Ciągnąc ku swoim bogom!

JOJAKIM.

Hańba wieczna
Na jego głowę! Ojcze, przeklnij syna!
On ofarował wobec poganina!

MATATIAS *(przerażony).*

On!

LEA.

Ofiarował — lecz wedle zakonu.
Czemuż Pan Judy nie użył silnego?
Bo nie chce miecza. Posłannikiem jego
Przypodobanie. Z wysokości tronu
Królewna wielbi książęcia Syonu
I Antyocha dusza z nim związana,
Jako Dawida z duszą Jonatana,
Węzłem wieczystej przyjaźni.

(Jojakim wybucha śmiechem).

ELEAZAR.

Przyjaźni!...
Tak jest, przyjaźni. O ciebie to draźni,
Ty mi z twoimi zazdrościsz łask pana,
Antyoch czeka. Niechże wprzód umiera
Król stary, który Menelausa wspiera.
Wtedy mnie wzniesie na arcykapłana,
A z braci mojej porobi książęta.

JOJAKIM.

Przyjaźń pogana, to czeluść przeklęta!
Nieszczęsny, ty w nią pogrążasz twój ród.
A jego łaska, to tylko przynęta,
Którą chce wciągnąć w bałwochwalstwo lud.
Za marne cacka, błyskotki i kwiaty,
Ty Izraela wiedziesz do zatraty!

MATATIAS.

Mamże przeklinać własne moje dziecię!

LEA.

I ty w to wierzysz, co ten człowiek plecie,
Zazdrośnik, co mu cierniem wielkość nasza?

Czyż już nie pomnisz słowa Jezajasza,
Który powiada: »Azaż stanie się:
Izai będzie chorągwią obrany,
Assyryjczycy przyjdą, Egipcyany
Do Jeruzalem, aby wielbić mnie
I dać swój pokłon przed obliczność moją«.
Z Eleazara wypełni się to.
I ty się ważysz krew przeklinać swoją,
Własne twe dziecko? O nie przeklniesz go
Jak chce Jojakim!

(Staje przed Eleazarem).

Lub rzuć grom z prawicy
Na nas oboje!

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — AARON. — SIMEI, *potem* BOAZ.

AARON *(wbiegając przerażony z doliny).*

Biada! Syryjczycy
Za nami pędzą!

SIMEI.

Na koniach poganie,
Posły zniszczenia!

MATATIAS.

Dokądże o Panie!
Będziesz mnie ścigał? Czyliż z twojej łaski
Nie dasz odpocząć mrącemu starcowi?
O wejrzyj na nas!

AARON.

Przeciw Modynowi
Ciągnie Syryjczyk!

BOAZ *(wychodząc z swego domu).*

Do czego te wrzaski?
Sługi Jazona i orszak na przedzie
Menelausa, który tędy jedzie
Do Jeruzalem — odejdźcież w pokorze
I siedźcie cicho, bo gorzej być może.

AARON *(wskazując w dolinę).*

A więc sam obacz!

SIMEI *(podobnież).*

Już zsiedli pod lasem
I tutaj idą!

JUDA *(podobnież).*

Nikanor z Gorgiasem.

ELEAZAR.

Antyochowe groźne to narzędzie.

BOAZ.

Ciągną na Egipt...

SIMEI *(patrząc w dolinę).*

Ktoś spieszy tu w pędzie
Bez tchu!

AARON.

Przerażon drży na całem ciele,
Jak skazan na śmierć.

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — AMRI *wpada z doliny.*

AMRI.

Czy wiecie!... On... tam!...
W Jerozolimie!

JUDA.

Kto taki?

AMRI.

On sam!
Antyoch stary... wyłamał w kościele
Bramy! Przybytek Bogu poświęcony
Splamił posoką nieczystego zwierza!

JUDA *(w gniewie)*.

On się odważył!
(Do siebie).
Ha! raz lud uśpiony
Dostał cios w serce!

AMRI.

Wziął pokładne stoły,
Siedmioramienny świecznik i anioły,
Jehowo! z arki świętego przymierza
Wydobył Zakon i rozdarł go — och!
Własną swą ręką rozdarł go! — przeklęty!!

JOJAKIM.

Pan wzniósł prawicę! Ludu, padaj w proch!

AMRI.

Zakon Mojżesza wyjął z skrzyni świętej,
Mojżesza zakon! Zakon roztargany!
Zakon rozdarty!

JUDA *(na stronie)*.

I nasze kajdany,
Jeśli się jeszcze lud ten wzburzyć może,
Jeśli krew ojców jest w nim.

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — NIKANOR, GORGIAS *na czele żołnierstwa syryjskiego wchodzą z doliny — lud zbiega się tłumnie. Chwila oczekiwania.*

GORGIAS.

Nikanorze,
Weź żydów w pomoc — niechaj ołtarz wznoszą,
A moje usta rozkaz im ogłoszą.

NIKANOR.

Natychmiast — ziemia zasłana głazami,
Nuże żołnierze!
(Żołnierze znoszą kamienie i stawiają ołtarz).

SIMEI *(na stronie).*

Cóż z nami się stanie?

GORGIAS
(staje w środku i przemawia do ludu, a ile razy wymieni imię Antyocha, żołnierze nachylają się, toż samo Simeici i część ludu).

Pan nasz Antyoch — potężny król Syryi,
Galacyi, Rodu, Lidyi, Palestyny,
Egiptu, Indyj, Pergamu, Assyryi,
Pan Kapadocyi, Bityńskiej krainy,
Mezopotamii, Pontu, Babilonu
I Paflagonii — z wysokości tronu,
Antyoch, pan wasz, rozkazać wam raczy,
Iż wolą jego — aby nie inaczej
Wielbiono bogów, tylko, jak on każe:
By Olimp tylko miał w ludach czciciela!
Więc i wy męże Judy, Izraela,
Na waszych górach wznieść macie ołtarze
Z głazów i na nich wedle greckiej wiary
Bogom Olimpu składać swe ofiary!

NIKANOR *(zbliżając się)*.

Taka jest wola monarchy waszego.
Bądźcież posłuszni męże miasta tego
I głazy znosić pomagajcie straży.
A nuże!

SIMON *(występując naprzód)*.

Tego nikt z nas nie uczyni.
Zakon nam wzbrania mieć innych ołtarzy,
Jak tylko jeden, co stoi w świątyni
Jerozolimskiej. Jak jeden jest Bóg!
Jak niema innych według naszej wiary,
Tak tylko w jednej świątyni ofiary
Jerozolimskiej bierze od swych sług.

GORGIAS.

W Jerozolimskiej zajmie panowanie
Zews olimpijski. Tu zbudujem inną
Boskiej Atenie i tu jej cześć winną
Złożycie.

SIMEI *(przerażony)*.

Tutaj świątynia?

AARON *(mocno)*.

Nie stanie.

NIKANOR.

Śmiesz mruczeć zgrajo niesfornego ducha,
Mniemacie, że pan pół świata, wspaniały,
Byśmy szli w targi, śle nas w ten kraj mały?
Pan rozkazuje, a niewolnik słucha.
Zuchwały — brać go!

MATATIAS.

Panie! wspieraj nas!
Nie daj nam upaść tak nisko.

GORGIAS.

Kto z was
Zwie się Matatias?

ELEAZAR *(wskazując na ojca).*

Ten, co tutaj kona.

SIMON.

Pozwól mu umrzeć — mów do mężów grona.

GORGIAS.

Wyście synowie Matatiasa?

SIMON.

Panie,
Wyrzekłeś.

GORGIAS.

Zwiesz się?

SIMON.

Simon me nazwanie.

GORGIAS.

A więc Simonie — gdy z wszystkich w tem mieście
Jest najzacniejszy Matatiasa dom,
Więc dla przykładu pierwsi bogom nieście
Ofiary — aby nie uderzył grom
Gniewu monarchy!

SIMON.

Cóż króla gniew znaczy?
Gorzejby było ściągnąć Boży gniew!

NIKANOR.

Ty śmiesz rozkazom króla stawać wbrew!
Pierwszy więc zginiesz.

GORGIAS.

Przemówią inaczej,
Kiedy ich ciała zaczną szarpać kleszcze.

(Na przodzie po lewej, na ławce darniowej siedzi Matatias, z głową pochyloną w tył i wsparty na piersiach stojącego za nim Joarima; Benjamin i Noemi podtrzymują Matatiasa. Na samym przodzie Juda — dalej Eleazar i Lea. Po prawej stronie Simei, Amri i Boaz naradzają się ze swymi krewnymi. W głębi, w środku, żołnierze ustawiają na podniesieniu ołtarz z kamieni. Gorgias i Nikanor w środku ku przodowi; skoro ołtarz jest już gotowy, żołnierze ustawiają się za nim w półkole. Lud, na czele którego Aaron na przodzie, dzieli się na dwie części: po prawej Simei i jego stronnicy, po lewej Izachar, Uriel i stronnicy Matatiasa — wojsko otacza półkolem trzy grupy).

JUDA.

Wstrzymaj się serce, bo nie dojrzał jeszcze
Owoc ratunku!

(Do brata).

Ty spiesz Jonatanie
Do mego domu — znajdziesz tam schowanie,
W niem dużo broni, przynieś ją tu prędzej!

(Do Jana).

A ty po drodze o naszej mów nędzy,
Niech się tu zewsząd zbiega zbrojny lud.

JONATAN.

Bracie!?

JUDA.

Idź!

JAN.

Pomyśl!

JUDA.

Spełń mój rozkaz wprzód.
Potem odradzaj! Najprzód uzbrój nas,
Do rozmyślania będziem mieli czas.
(Jan i Jonatan odchodzą).

LEA *(do Eleazara).*

Patrz, oczy iskrzą — dech w piersi zamiera
I mimowolnie pięść zaciska się.
Ręka ku broni myślą się wydziera
I pierś wzburzeniem a goryczą tchnie,
Jednego słowa tylko, a zarzewie,
Co pod popiołem utajone tli,
Buchnie płomieniem i w siarczystym gniewie
W popiół obróci te pogańskie psy.
Straszliwej burzy dłużej nie powstrzyma,
Ni bojaźń śmierci, ni syryjski miecz,
Nadeszła chwila i wyboru niéma,
Już teraz cofnąć nie można się wstecz,
Powrotu niema i odcięta droga.
Trzeba iść z Bogiem lub wyrzec się Boga!
Czego nie męstwo, to rozpacz dokona.
Pan sam ci synu zsyła chwilę tę,
Wielkim przez siebie, nie przez łaskę wroga,
Bądź. Niech lud cały wielkim pozna cię,
Zawstydź oszczercę!

ELEAZAR *(do matki).*

I ty możesz marzyć?
Izrael skrawkiem Antyocha szat,
Przeciw potędze któż zdoła się ważyć

Powstać?! Wszak u nóg jego cały świat.
Stary nas gnębi — zaliż wieczny on?!
Wszak słońce zawsze jaśnieje po burzy,
Słońcem król młody, gdy wstąpi na tron.

GORGIAS.

Cierpliwość kona — łaska już się nuży,
Po raz ostatni wzywa ona was!

NIKANOR.

Biada, gdy spadnie na was króla gniew!

SIMEI *(do swoich).*

Co czynić?

AMRI.

Słuchać — póki jeszcze czas,
By Izraela nie płynęła krew.
Nad Matatiasa rodem ród twój stanie.

BOAZ.

Skłoń się w pokorze przed ręką Jehowy,
W której karzącą rózgą są poganie.

SIMEI.

Każdy żyć pragnie — ocalmy choć głowy.

GORGIAS.

Ołtarz już gotów. Niech się nad nim wzniesie
Posąg bogini, co wam łaskę niesie!

JOJAKIM *(zakrywa twarz płaszczem — inni czynią to samo).*

O niechaj Panie ciemność mię otoczy,
Bym nie oglądał tych obrzydliwości.
Biada mi!

MATATIAS.

Panie! gasnące me oczy
Uderz ślepotą!

GORGIAS.

Nie macież litości
Nad własnem miastem, by ocalić je?

NIKANOR.

Ludu uparty! Kto odważy się
Izraelskiego czcić Boga — ten zginie!
Znieważać Bogi mego króla — zginie.

LEA *(do Eleazara)*.

Jeszczeż się wahasz?

ELEAZAR *(walcząc z sobą)*.

Dokąd ciągniesz mnie?
Odstąp!

JUDA *(na stronie)*.

O Panie! hamuj serce me!

NIKANOR.

Kto natychmiast nie złoży ofiary,
Najstraszliwszej zaraz dozna kary.
Miasto oddam na pastwę płomieni,
Miecz do szczętu cały lud wypleni,
A to miejsce, gdzie stał gród zuchwały,
Każę zorać. Puszcza będzie głucha —
Wnuki wnukom będą powiadały,
Jak straszliwe królewskie karanie.

JUDA *(na stronie)*.

Panie! Panie! niech nikt go nie słucha,
O jak długo bawisz Jonatanie!

SIMEI *(zbliżając się do Gorgiasa).*

A więc...

JUDA *(zastępując mu drogę).*

Dokąd?

SIMEI.

Chcę złożyć ofiary...
Spełnić rozkaz przez króla wydany.

JUDA.

Izraelczyk chce uczcić bałwany
I wieść innych do zaparcia wiary?!

SIMEI.

Zejdź mi z drogi!

JUDA.

Starcze zaślepiony,
Wróć się!

AMRI *(do Simejego).*

Juda wzbraniać ci nie może
I masz wojsko do swojej obrony.
Śmiało panie!

JUDA.

Tak mi pomóż Boże,
Że bezbożnej przeszkodzę ofiarze.
Krok, a umrzesz!

LEA *(do Eleazara).*

Patrz Eleazarze,
Co mąż znaczy i potężna wiara —
I ty stoisz?! Czy ci brakło sił?!

ELEAZAR.

Raczej klątwa na Eleazara
Padnie, niżby króla zdrajcą był!

NIKANOR *(do Simejego).*

Idź przed ołtarz, zdrajcy trupem padną.
Dalej!

SIMEI *(do Iudy).*

Słyszysz?

GORGIAS.

Zaliż król nie zdoła
Bronić wiernych przed napaścią zdradną?
Hej żołnierze! Stańcie tu dokoła
Przy ołtarzu!
(Żołnierze podwójnym szeregiem otaczają ołtarz).

NIKANOR *(do żołnierzy).*

A kto się zuchwało
Stawi — zabić!

(Do Simejego).

No, teraz idź śmiało.

NOEMI *(staje pomiędzy Simeim i Judą).*

O błagam cię! nie idź stryju miły.
Słuchaj głosu twej Noemi panie!
Któż przewidzi, co się tutaj stanie,
Czy ten ołtarz nie kryje mogiły?
Nie idź!

JUDA.

Słuchaj!

SIMEI.

Nie przeszkadzaj mi!
(Odtrąca Noemi, która omdlewa na ręce Simona).
Idę!

MATATIAS.

Biada!

JUDA.

Zliczone twe dni!

SIMEI.

Cóż mam czynić mów, bo w życiu całem
Waszych ofiar nigdy nie widziałem.

GORGIAS.

Klęknij stary — obie ręce wraz
Wznieś do góry!

(Simei wszystko to robi).

AMRI — BOAZ — AARON.

On ocala nas.

JOJAKIM *(schylając głowę).*

Już ryczący krąży wkoło lew.

JUDA *(na stronie).*

Niechże na cię spadnie twoja krew.

GORGIAS.

Podnieś oczy! — a teraz o głazy
Uderz czołem.

JUDA.

Ha, dość tej obrazy!
Puszczajcie mnie!

(Roztrąca żołnierzy i wyrywa miecz żołnierzowi).

Psie zakamieniały!
Giń!

(Przebija Simejego).

SIMEI *(upadając u stóp ołtarza).*

Ratujcie!

(Juda roztrąca ołtarz, posąg rozbija się w gruzy — chwila przerażenia).

AMRI *(rzuca się ku Judzie, lecz wzrok jego wstrzymuje go).*

Mord! Mord!

NIKANOR *(cofa się w tył w osłupieniu).*

Ha! zuchwały,
Wziąć go.

(Żołnierze rzucają się ku Judzie, lecz strwożeni jego postawą zatrzymują się).

ELEAZAR
(postępuje parę kroków ku Judzie, staje i ledwie zdoła przemówić).

Judo!

JUDA *(staje nogą na gruzach posągu, wznosi miecz w górę).*

Jeden tylko Bóg,
Pan, który był, który jest i będzie,
Pan Bóg żywy — Izraela Bóg!
Bóg, co nie jest dziełem ludzkiej ręki —
Co wstępuje w kolumny płomienne —
Przed którym drżą niebiosa bezdenne,
Ziemskie moce, piekielne paszczęki,
Słońce, księżyc i gwiazd mnogi rój!...
I wyrzekł On: Jam jest Pan Bóg twój!
Którym wywiódł cię z domu niewoli,
Z ziem Egiptu. To me przykazanie:
Nie będziesz miał innych bóstw przedemną!
I nie będziesz mego nadaremno
Brał imienia!
Patrz głupi poganie!
Twoje bóstwo depce moja noga,
Leży w gruzach — wołaj twego boga!

Sam nie zdoła pomódz sobie głaz,
A ty myślisz, że ocali was!?

NIKANOR *(do żołnierzy).*

Dość już tego, porwać go — a nuże!
Czyż jednego lękacie się? tchórze!

JUDA *(uroczyście).*

Patrzaj na mnie ludu Izraela!
Ja sam jeden śród nieprzyjaciela,
Choć tak luźny — a boi się — wróg!
Jakaż to moc rękę mu okowa?
To Adonaj! Sabaoth! Jehowa!
Bóg wszechmocny! Ojców naszych Bóg!
On to skrzydłem osłania mię trwogi.
Drżą im serca i omdlały nogi —
Skamienieli — nie śmią ruszyć się!
Bo straszliwy w gniewie Pan nad pany,
On wytraci pośród was pogany,
Któż się oprze — jeżeli Bóg chce!

JOJAKIM.

Bóg chce!

SIMON — IZACHAR — URIEL.

Bóg chce!

LUD *(zbiegający się coraz liczniej).*

Bóg chce! Tak Bóg chce!

NIKANOR *(do żołnierzy).*

Naprzód!

JUDA.

Do mnie tłumie bałwochwalczy!
Wszak sam stoję? Cóż wstrzymuje was?!
Waszym bogom urągam — bo walczy

Bóg Jakubów! stoi pośród nas!
Bóg, co pobił króle wielkie, możne
I w dziedzictwo dał nam ziemie ich —
Który ramię gruchocze bezbożne,
Wiernych wspiera, a zabija złych!

LUD *(coraz groźniej)*.

Bóg chce! Bóg chce!!

URIEL.

Do broni!

LUD.

Do broni!!

(Wnoszą broń pękami i rzucają ją na jedną kupę, z której lud ją rozrywa i uzbraja się).

NIKANOR *(do swoich)*.

Czyście męże? Czy macie miecz w dłoni?
Hej waleczni! czyliż jeden żyd
Was przeraża?

LUD.

Do broni! do broni!

GORGIAS *(wstrzymując Nikanora przemocą)*.

Czy chcesz zginąć?

NIKANOR.

Wolę, niż znieść wstyd!

GORGIAS.

Chcąc wstyd pomścić — żyć trzeba.

NIKANOR *(ponuro)*.

Żyć trzeba!

Dobrze!

JUDA *(groźno)*.

Precz stąd!

GORGIAS.

Wrócimy na Feba
W sto tysięcy!

JUDA.

Pan za milion waży!

NIKANOR.

Miecz królewski dosięgnie zbrodniarzy.
(Do żołnierzy).
W pochód!

JUDA.

Niechże przyjdzie ten król srogi
Zabrać swoje zgruchotane bogi!

GORGIAS.

Straszną męką zapłacisz ten szał.

NIKANOR.

Dzisiaj szydzisz — jutro będziesz drżał.
(Odchodzi z wojskiem).

(Boaz, Amri i Aaron niosą do swego domu zwłoki Simejego, wydając krzyki boleści i zemsty. Lud aż do końca aktu znosi broń i uzbraja się, kobiety i dzieci pomagają im, żegnają się. Lud wciąż przybywa. Zdala wciąż słychać jego okrzyki i odgłos trąb wojennych).

JOJAKIM *(na czele części ludu posuwa się za Syryjczykami)*.

Nie puśćmy ich! Uciekają! Zdrada!!

ELEAZAR *(usiłując go wstrzymać)*.

Stój szalony, co chcesz czynić?

JUDA.

Biada
Temu, kto ich ścigać śmie!

(Na głos Judy lud zatrzymuje się. On rozdziera swój płaszcz w kawały i rozrzuca je stojącym dookoła).

Zmaczać mi to w odszczepieńca krwi,
Poroznosić po całej krainie
I przed ludem wołać głosem wielkim:
»Tak bezbożny z ręki Judy ginie,
Tak się stanie odszczepieńcom wszelkim!«
Ja w Judei niedostępne góry
Idę czekać, aż urosnę w siłę;
Aż lwu Judy urosną pazury.
Jan z niewiasty zostanie w Modynie,
Wy zaś męże — wszystko, co wam miłe,
Pozostawcie na swych domostw progu.
Kogo Pan nasz wybrał za naczynie,
Ten się cały musi oddać Bogu.

LEA.

Na Matatiasa Duch Pański zstępuje.
Słuchajcie!

MATATIAS *(uroczyście).*

Judo! mój synu jedyny!
Drży moje serce jako harfy struny
Pod ręką mistrza. Radości zwiastuny
Śle Pan starcowi. Ostatniej godziny
Konającego błogość obejmuje.
Klęknij tu! klęknij wojowniku Boży,
W ręce Pan twoje zwycięski miecz włoży,
Idźcie za Judą na bój — na zwycięstwo —
Ja za nim moje ślę błogosławieństwo!

Niech za nim idzie śród wojny tej świętej.
Kto go opuści — niech będzie przeklęty!
O Panie, w śmierci tyś mi ludu tego
Zbawcę dał ujrzeć....

ELEAZAR *(wydarłszy się wstrzymującej matce — chcąc mówić, zbliża się do ojca i wstrzymuje się o krok).*

Nim wysłuchasz mnie,
Nie umrzesz!...

MATATIAS.

Panie, odpuść sługę twego...
(Umiera).

JUDA *(klękając przy nim).*

Spoczywaj w Bogu!

LEA *(do Eleazara).*

Idziesz?

ELEAZAR.

Zaliż nie?
Jego przekleństwo, popędliwość twa,
Precz stąd mnie pędzą — ale wrócę ja
Zbawić lud, który szaleństwy waszemi
Gubicie!

JUDA.

Ludu, nie spoczniemy wprzódy,
Dopóki pogan nie wyprzem z tej ziemi.

ELEAZAR *(do Lei).*

Kiedyś, kto większy, matko spytam cię,
Czy ja, czy Juda?!

JUDA.

Do broni! Bóg chce!

LUD.

Bóg chce! Do broni!

JUDA.

Miecz Pański i Judy!

(Trąby. Juda na czele Uriela, Jonatana i innych odchodzi. Eleazar wydziera się matce i wybiega w dolinę. Pozostali otaczają ciało Matatiasa).

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Pole bitwy pod Emmausem — okolica skalista. Przez niejaki czas po podniesieniu zasłony, słychać za sceną odgłos trąb i okrzyki: »Zwycięstwo! Miecz Pana i Judy«.

SCENA PIERWSZA.

SIMON. — JONATAN. — SETNICY i WOJOWNICY IZRAELSCY.

JONATAN.

Syryjczyk pierzcha!

SIMON.

Pole Bet-Horona
I Emmausu dotąd znane mało
Imieniem Judy po świecie rozgrzmiało.

JONATAN.

Pod Bet-Horonem Judea wskrzeszona,
Emmaus wrogów użyźniony krwią!

SCENA DRUGA.

DAWNI. — JUDA i EMILIUS, BARBUS Z ORSZAKIEM.

JUDA *(do Emiliusa).*

Zdrowia Rzymianom.

(Do wojowników).

Zwycięstwo Pan dał,
Rozbitki pogan, co bronić się śmią,
Wrzucić do rzeki, postrącać ze skał.

(Dwóch setników odchodzi).

(Do Simona)

Ty do Modynu nieś tę wieść radosną,

(Do Jonatana).

Ty w Jeruzalem ogłoś Jonatanie,
Że nową bitwę przegrali poganie.

SIMON.

Na odgłos zwycięstw zastępy twe wzrosną.

(Odchodzi).

JONATAN.

Dobra wieść skrzydła gońcowi przypina,
Jak zła do ziemi przykuwa mu nogi
O dniu szczęśliwy! Pan z tobą mój drogi,
Tyś lwem Judei!

(Odchodzi).

SCENA TRZECIA.

POZOSTALI.

JUDA.

Cóż od Rzymianina
Usłyszy Juda?

EMILIUS.

Senat mnie przysyła,
Bym ujrzał zbliska sprawy twoje dzielne;
Widno zrządziły bogi nieśmiertelne,

Żem widział bitwę, jak małemi siły
Potęgę Syryi wojska twe zgromiły.
I senatowi powiem za powrotem,
Iż rzeczywistość rozgłos przewyższyła,
Lecz słów nie traćmy.

JUDA.

Wszak każdy wie o tem,
Iż Rzym krwi własnej nie szczędzi w potrzebie,
Lecz słowa skąpi — bo kto Rzymianinem,
Czynem przemawia.

EMILIUS.

I ty mówisz czynem!
Senat mię rzymski przysyła do ciebie,
By ci oznajmić: że nad światem Rzym
Czuwa — a śledząc przebieg wojny cały,
Nierówną walkę i dni pełne chwały,
Podziwiał ciebie — coś przykładem swym
W tym niedołężnym ludzie zbudził męstwo
I do cofnięcia przeciąwszy mu drogi,
Nauczył walczyć i odnieść zwycięstwo,
Podziwiał mądrość, gdy pobiwszy wrogi,
Umiałeś w zbytnim hamować zapale,
Młodego szczęścia nie rzucać na szalę
I stworzyć w ludzie odwagę z rozpaczy.
Więc Senat rzymski oznajmić ci raczy,
Że Hebrajczykom chcąc dopomódz szczerze,
Ciebie i lud twój w opiekę swą bierze!

JUDA.

Niech dziękczynienie Senat wasz potężny
Przyjmie za dobre o Judzie mniemanie,
Choć może Juda mniej zasłużył na nie,

Niż ten lud w jego oczach niedołężny.
Wierz mi: on więcej uczynił od Judy
I przez me usta głosi wam Rzymianie,
Że tylko godne wolności są ludy,
Co ją wywalczyć i bronić są w stanie,
Bez wsparcia obcych! Lud ten wpół umarły
W dwudziestu bitwach zbił nieprzyjaciela,
One mu bramy stolicy otwarły.
Antyoch gromion mieczem Izraela,
Traci odwagę, klęskami znużony,
Brak mu już ludzi i skarbów nie staje,
Radby raz skończyć ten bój nieskończony!
I dziś Rzym swoją opiekę nam daje,
Gdyśmy zwycięscy, gdyśmy się z paszczęki
Lwiej wydobyli. Niechże Senat dzięki
Przyjmie za przyjaźń w tej pomyślnej chwili,
Zażby nam sprzyjał, gdyby nas pobili?
Dziś jako równi od równych przyjmujem
To, co nam wasza życzliwość udziela
I Senatowi wzajem ofiarujem,
Miecz i opiekę ludu Izraela.

EMILIUS.

Wiernie usłyszy twe słowa lud wieczny,
Widzę, żeś równie dumny, jak waleczny.
(Odchodzi z swym orszakiem).

SCENA CZWARTA.

JUDA. — SETNICY *potem* JOJAKIM.

JUDA *(do setników).*

Słońce zachodzi — niech Uriel nakaże
Przestać pogoni!
(Setnik odchodzi, zaraz potem słychać odgłos trąb).

Porozstawiać straże
Wkoło obozu — a wasze staranie,
By czujne były.
(Setnik odchodzi).
O znam was Rzymianie,
Z każdego słowa pycha rzymska strzela.
O gdybym zdołał w piersi Izraela,
Wlać cząstkę tego, co w sercu niezgiętem
Rzymianin chowa. Być Rzymu klijentem?
Nigdy! Mocniejszy panem tylko może
Zostać słabszego. — Gdy niedźwiedź w oborze
Ma jedną łapę — już jest panem stada —
Opieka Rzymu — jedno, co zagłada.
(Jojakim wchodzi).
(Juda do setników).
Niech wojownicy wypoczną po znoju,
Dodać im jadła — nie szczędzić napoju.
Ciężki dzień mieli. — Niechże się drużyna
Cieszy zwycięstwem!

JOJAKIM *(żarliwie).*

O nie daj im wina,
Niech się nie cieszą — niech się modlą panie!
Niechaj nie piją — niechaj poszczą panie!
Niechaj pokornym nie pysznym lud będzie,
Nie on zwyciężył — lecz Pan niepojęty,
Niech się nie chełpi mizerne narzędzie.
Słońce zachodzi — wstaje Sabat święty,
Pan rzekł ludowi: »A ktoby dnia tego
Cokolwiek robił — niech duszę zatraci!
Ty panie w drogę wysłałeś swych braci!...
Poślij za nimi, niech zwrócą się w czasie,
By nie zgwałcili Sabatu świętego.

JUDA.

Gdybym słał po nich, to posłańcy zasię
Pogwałcą Sabat! niech jeden grzech starczy
Twej żarliwości.
(Tumult za sceną).
Co to? co się stało?

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — NATAN.

NATAN *(wchodząc spiesznie).*

Wszystko stracone! uchodź! uchodź panie,
Sam król Antyoch z nowych sił nawałą,
Z niezmiernem wojskiem wkroczył niespodzianie,
Dolina płonie od grotów i tarczy.

JUDA.

Antyoch?! Bredzisz! wino cię zamracza,
Za wiele piłeś i niewytrzeźwione
Oczy cię łudzą — wszak obóz otacza
Łańcuch czat naszych.

NATAN.

Zwycięstwem uśpione
Zeszły z stanowisk.

JOJAKIM.

O nie w tem przyczyna,
Zeszli — bo sabat święty się zaczyna.
Czaty wzbronione w tej świętej godzinie,
W której Pan winien panować jedynie.
Zeszli z stanowisk na moje wezwanie,
Święte Mojżesza strzegąc przykazanie,
Dobrze zrobili.

JUDA.

Ha niech grom was spali!
Dobrze zrobili! — O dobrze zrobili,
Że w ręce wroga lud Boży wydali!!
Lepiej, ażeby zakon przestąpili,
Niż rozkaz wodza!

JOJAKIM.

O Adonaj! kto tu
Śmie bluźnić?!

(Uriel wchodzi przerażony).

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — URIEL.

JUDA *(do Uriela).*

Niech pobojowisko
Lud opuści — trąbić do odwrotu!

URIEL.

Już zapóźno! Syryjczyk za blisko.

JUDA.

Więc z wybrańców wstrzymaj go oddziałem,
Reszta w góry! Za chwilę noc głucha
Nas ocali.

NATAN.

Z góry przewidziałem
Twe rozkazy — ale nikt nie słucha
I posłuszni tylko twemu bratu,
Krzyczą groźno, że podczas Sabatu
Bój wzbroniony.

JUDA.

Kto powiedział to,
Że nie wolno w sabatowym dniu
Walczyć?!

URIEL.

To on! Jojakim rzekł...

JUDA.

Co?
Nie Jojakim — Juda wodzem tu!
Juda, co miecz pierwszy wzniósł za Boga
Juda — który tylekroć zbił wroga.
Juda zbawca! I kto śmie lud Judy
Burzyć?! Szalbierz w opończy obłudy —
Głupiec! — co mu żarliwość przesadna
Rozum mięsza!... Juda tylko sam
Wodzem tutaj!... inna władza żadna
Nie istnieje. — Juda każe wam
Walczyć!

JOJAKIM.

Judo! rozkazy twe płonne.

(Wskazuje w dolinę).

Patrz! lud piersi nadstawia bezbronne
Pod miecz ginąc, a zabił Joela,
Co go pędził do przeklętych spraw.

JUDA.

Boże! Boże! lud ten ciemny zbaw!
Czyż me trudy i prace lat wiela,
Jeden waryat ma rozwalić w pył
I znów w jarzmo poddać Izraela,
Co tak bliskim wyzwolenia był?!

JOJAKIM.

Czem dziś Juda, a czem jest Jojakim?
Gdy cię matka sposobem wszelakim
Wynieść chciała — czemże byłem ja?

JUDA.

Więc cię nędzna owładnęła duma?
Więc chcesz władzy? A więc bierz władanie,
Rządź wojskami — niechaj usta moje
Przez twe mówią — niechaj moja dłoń
Przez twą gromi. — Niech mnie tylko znoje,
Tobie chwała i władza zostanie,
Tylko lud nasz od zagłady broń!
Wszystko, co mam, odstąpię ci z serca!
Jeśli dla twej zawiści to mało,
Weź mą wolność, życie, krew i ciało,
Lecz nas nie gub.

JOJAKIM *(wznosząc oczy ku niebu).*

O jakiż bluźnierca.
Czyliż ja Juda? — Panie! sługę twego
On chce przekupić. Dla bezbożnej pychy
Chce bym cię zdradził — o robaku lichy!
Lepiej niechaj lud zginie do jednego,
Niżby choć jednę literę w Zakonie
Miał odmienić.

JUDA.

Mądrość twoja panie
W fanatyzmie obłudnika kona,
On przekręca twoje przykazanie,
Od zarazy szkodliwszy bez miary,
Ciemną gawiedź niby w imię wiary,
Wiedzie na rzeź — walki im zaprzecza,

Od ust spiekłych czarę mi odrywa,
Jam zwycięstwo miał na ostrzu miecza,
On go złamał! Nie dość, że śmierć chciwa
W pierś mą godzi — jeszcze i sromota,
By mi zatruć ostatek żywota!
Nie — jam żywy i zanim mój lud
Zginie! Zdrajco musisz umrzeć wprzód.

(Posuwa się z dobytym mieczem ku Jojakimowi, ale obecni, prócz Uriela, zasłaniają go).

JOJAKIM.

Przekleństwo temu, kto z bezbożnym trzyma,
Niech krew męczeńska płynie Jojakima,
Umrę za mój lud!

WOJOWNICY *(zasłaniając go).*

Precz! kto na świętego
Miecz wzniesie — umrze!

JUDA.

A więc węża tego
Co was kąsa, przytulcież do łona,
Lwu, co szarpie — całujcie pazury,
Łotr, świętoszek, obłudnik ponury
Swem narzędziem robi cię zwiedziona
Zgrajo. — Mówcie, czem byliście wprzódy?
Psami pogan! nim błysnął miecz Judy
I w niewolę popadniecie znów,
Bo nie wasza — ale dłoń Judowa,
Nie wasz rozum — ale Judy głowa
Was wydarła z Antyocha kłów!
Przeklęte ramię — co za was walczyło!
Przeklęte serce — które dla was biło!
Przeklęte oko — com je za was miał!

Skrzydłami orła nie wzleci ropucha,
Nikczemna rzeszo bez serca, bez ducha,
Wracaj skąd wyszłaś — w niewolniczy kał!

JOJAKIM.

Stój bezbożny! słyszycie! słyszycie!
Te bluźnierstwa szarpią me wnętrzności,
Duch truchleje na to straszne wycie,
Pan mię zażegł ogniem żarliwości.
Tem się chełpisz, co uczynił Bóg?
Bo my niczem — a Pan działa wszędzie.
Złe i dobre czynimy bezwiednie,
Ty się chełpisz, żeś sam działał — brednie!
Bóg to sprawił. — On za swe narzędzie
Złych używa do swych tajnych dróg
I dopóty działać im pozwala,
Aż je skruszy, gdy dopełnią złości,
Tyś dopełnił miary nieprawości,
Ty robaku chcesz się równać z Bogiem?!
Otóż zsyła na nas Pan pogany,
By doświadczyć, czyli lud wybrany
Pójdzie za nim, czy za jego wrogiem.

URIEL *(do Judy).*

Cóż więc zrobisz? ujdziesz — czy też może
Złożysz władzę? wszak giniem...

JUDA.

Gdy złożę,
Wtedy zginiemy. — Ujść, umierać? — Nie!
Chcieć wmawiać w siebie, że śmierć wielkim czynem?
To podłość — każdy tchórz potrafi to!
Żyć, oto wielkość! Spełniać puhar z winem
Należy póty — aż zobaczysz dno!

Choć tam goryczy zjawi się mąt ciemny,
Kropla po kropli pić trzeba szkarady
Odstępstw, podejrzeń, niewdzięczności, zdrady,
Patrzeć wciąż na to, jak ten lud nikczemny
Burzy twe dzieło — coś w nie żywot włożył,
Burzy twe dzieło — któreś ty dłań stworzył.
A przecież wytrwać!... Przewracasz daremno,
Obłudne oczy! Nie cofniesz już wstecz
Tego, com zrobił, a lud pójdzie ze mną
I olśni wrogów znowu Judy miecz!

JOJAKIM.

Precz! Śmierć zwycięstwem, a zwycięstwo zgonem,
Gińmy za Pana, co nam Sabat dał.

JUDA.

Bóg dał nam Sabat — lecz nie spoczął sam,
Aż gdy stworzenie było już skończonem.
I tak zrób ludu! najprzód zwalczym wroga,
A potem Sabat — Zwycięstwo, lub zgon!
(Odchodzi, za nim Uriel).

JOJAKIM.

Za mną, kto życie chce oddać za Boga,
Gińcie bez walki — a nagrodzi on.
(Odchodzi, za nim wszyscy wojownicy).

SCENA SIÓDMA.

ANTYOCH. — NIKANOR. — ELEAZAR. — SYRYJCZYKOWIE.

ANTYOCH *(do Nikanora).*

Smutne o śmierci ojca przynosisz mi wieści,
To mnie tylko pociesza w tej ciężkiej boleści,

Że wojska, które w Persyi zgromadził król zmarły,
W celu aby ten motłoch buntowniczy starły,
Użyliśmy, jak święta wola jego żąda.
On już bogiem, z Olimpu tu na nas spogląda.
Najmilszą dlań ofiarą są ich krwi potoki
I płomienie ich grodów bijące w obłoki.
Niechże więc litość moja w grobie jego skona,
Niechaj gniew niezbłagany wzmocni me ramiona,
Dla tych tylko ma łaska niezmienną zostaje,
Co, jak ty, mój Ajaxie, rzucili tę zgraję,
Zrzekli się mowy ojców i błędnej ich wiary
I bogom swego króla składają ofiary.

ELEAZAR.

Panie, bogowie twoi moimi być muszą.
Twój Ajax tobie królu oddan całą duszą.

SCENA ÓSMA.

DAWNI — GORGIAS.

GORGIAS *(wchodząc spiesznie).*

Królu! już Nikomedes z buntowników rojem
Bój począł.

ANTYOCH *(idzie w głąb sceny i przypatruje się bitwie).*

Bój powiadasz? — i ty zwiesz to bojem?

NIKANOR *(patrząc w głąb).*

Na bogi! co to znaczy? ten tłum niezliczony
Pozwala się zabijać — ginie bez obrony,
Tarcz nawet nie używa ta czerń obłąkana?!

GORGIAS.

Co więcej — patrzcie! patrzcie! jedni na kolana
Padają, drudzy psalmy wznosząc całą siłą,
Rzucają się na miecze!

ANTYOCH.

Jakby szczęściem było
Ginąć od naszej broni. Jakież zabobony!
O jakiż to lud ciemny!

NIKANOR.

Zda się upojony
Szałem śmierci chce ginąć.

ANTYOCH.

Jeden tylko dzielny
Jak Ares, woła na nich i w ten bój śmiertelny
Chce ich wciągnąć. Zaliż to nie Juda na czele
Jak bóg wojny, swym mieczem wszystko trupem ściele?
Sam jeden szerzy przestrach pośród naszych szyków,
Chwieją się — gdyby tysiąc takich wojowników
Jak Juda — wnetby bitwy zmieniła się postać
I moje sto tysięcy nie mogłyby sprostać.
Jakież męstwo niezłomne, siła niepojęta!
Odwraca się do swoich i wrzącemi słowy
Woła! błaga! zaklina — napróżno — bydlęta
Nie chcą walczyć i pod miecz poddają swe głowy.
Zabija najbliższego — nie zważają inni,
Klęcząc podnoszą ręce, bezbronni, bezczynni,
Jakby bożyszczom swoim nieśli za śmierć dzięki,
Wszystko jedno, czy z naszej, czyli z Judy ręki,
Weseli, jakby w szczęsną pospieszali drogę.
O ja ten lud ujarzmię — lecz Judy nie zmogę!

ELEAZAR.

Czyliż mnie jego wielkość ścigać nie przestanie?
Zwyciężony zwycięża!

ANTYOCH *(patrząc w głąb).*

Skąd to obłąkanie?!

ELEAZAR.

Sabat, żydowskie święto — w dniu tym prawo Boże
Wzbrania Izraelitom zająć się robotą.

ANTYOCH.

Tak?! Zużyjmyż zabobon. Uderz Nikanorze
Z połową mych zastępów i dokonaj klęski,
Bijąc te ślepe tłumy własną ich głupotą.

(Nikanor odchodzi).

My z resztą w dalszy pochód wyruszym zwycięski,
Niechaj śmierć i pożoga poprzedza nas wszędzie.

(Do Gorgiasa).

Ty do Jerozolimy! Powiesz im, że będzie
Ajax, syn Matatiasa, ich arcykapłanem.
Ktoby śmiał się sprzeciwiać — umrze! Tak ma być!
I ten lud zabobonny zowie mię tyranem,
A głównym mu tyranem — jego zakon! Idź!

(Gorgias odchodzi na prawo — Antyoch z orszakiem na lewo).

ZMIANA.

(Ta sama dekoracya, co w dwóch pierwszych aktach. Poranek. Za sceną słychać tumult, szczęk broni i okrzyki walczących).

SCENA DZIEWIĄTA.

JOZUE. — RUBEN. — MIZAEL. — ELIASZ, *potem* IZACHAR i GROMADA LUDU.

JOZUE.

Słychać szczęk broni.

ELIASZ.

Walka śród wąwozu!

MIZAEL.

Oddawna wieści brak z Judy obozu.

RUBEN.

O Panie! Panie! a wróg naszych bije!

WSZYSCY.

Już po nas! biada!

IZACHAR *(wchodząc)*.

Nie, bo Lea żyje!

LUD *(zbiegając się ze wszech stron)*.

To nasz Izachar — mędrzec jakich mało,
Syn Medimnacha. Mów! mów! co się stało?

IZACHAR.

Zastęp poganów przez Judę rozbity,
Zbłądził w ucieczce pomiędzy gór szczyty,
W wąwozów naszych skaliste bezdroże;
Jakiś mu zdrajca drogę wskazał może,
Gdyż przejścia tutaj nieznane obcemu.
Na szczęście Lea zapobiegła temu.
W jarze, skałami najeżonym wkoło,
Z garścią walecznych stawiła im czoło.
Zwarli się z sobą — próżno kilka razy

Wróg darł się w górę — jednych w przepaść głazy
Strącają, innych trupem oręż kładzie,
Reszta strwożona ucieka w nieładzie,
A lud okrzykiem zbawczynię swą wita!

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — LEA *otoczona zbrojnymi stronnikami, którzy z głębi doliny prowadzą schwytanego* AARONA.

LUD.

Oto Debora! Niech żyje Judyta!
(Jan wychodzi z miasta z drugą gromadą ludu, wiodącą uwięzionego Boaza i staje ze swoimi za Leą, która zajmuje prawą stronę sceny.

JOZUE — ELIASZ — MIZAEL — RUBEN.

Niech żyje matka! Tyś pierwszą w Modynie!

MIZAEL.

Padnijcie na twarz!

LEA *(wstrzymując ich skinieniem).*

Nie! Panu jedynie
Składajcie dzięki, obrońcy naszemu,
A potem Judzie, Jego wybranemu
I wiernym, co krwią zbawili te mury;
O jakież zajdą czoło Judy chmury
Na wieść, że Modyn chciała wydać zdrada,
Że syn Modynu wiódł wroga przez jary.
Lecz Pan pomięszał bezbożne zamiary
I zdrajcę schwytać pozwolił ludowi,
Patrz Izraelu! poznaj wroga twego!
(Na znak dany przez Leę wyprowadzają naprzód Aarona).

JOZUE — ELIASZ — MIZAEL.

Aaron!?

RUBEN.

Bratanek zdrajcy Simejego!
Biada mu! biada!!

LUD *(groźno)*.

Biada Aaronowi!

JAN.

Nie na tem jeszcze skończyła się zdrada!
Gdym stał na czatach, ukryty przy bramie,
Inny mąż niechęć chciał rozniecić w ludzie
Przeciwko Lei i przeciwko Judzie.

RUBEN.

Kto taki? powiedz!

LUD *(groźno)*.

Biada zdrajcy, biada!

JAN.

Chciał lud przerazić — więc niegodnie kłamie,
Że zastęp Judy ciężkie poniósł klęski,
Że tutaj ciągnie Antyoch zwycięski
I Modyn czeka lada dzień zagłada.

LEA.

Kto to rzekł?

JAN *(wyprowadzając Boaza naprzód)*.

Boaz!

LUD *(groźno)*.

Biada! Biada!

JOZUE.

I Simeitom!

MIZAEL.

Sam swej zguby chciał!

IZACHAR.

Na bezbożników przyszedł dziań zatraty,
Obydwóch w przepaść postrącać ze skał.

SCENA JEDENASTA.

AMRI *wychodzi z miasta, z trzecią gromadą ludu.*

AMRI.

Popiół na głowy!

TRZECIA GROMADA (*wielce wzruszona*).

Rozedrzyjcie szaty!
Biada, Syryjczyk!

LEA (*występując naprzód*).

Ludu!

AMRI.

Zrób więc cud
I zbaw nas teraz!

TRZECIA GROMADA.

Tak jest, ocal lud!

LEA.

Modyńczycy — to syn Simejego,
Chciał nas wydać — lecz podstęp odkryty,
Zdrajcy w pętach — a wróg uszedł zbity.

AMRI.

Uszedł — garstka, licha garść? — Cóż z tego.
Lecz się rozpraw z wojskiem niezliczonem,

Co w Emaus i pod Bet Horonem
Jak szarańcza rozłożyły się.

TRZECIA GROMADA *(z krzykiem).*

Pobij wojska, co przy Bet Horonie
I w Emaus rozłożyły się.

LEA.

Stokroć Juda stał w ludu obronie,
Zaż nie żyje? — więc zgromi i te!

AMRI.

Wstrzymaj króla, który gniewem tchnący,
Wiedzie z Persyi zalew swój niszczący,
Króla królów, który świątyń gmachy
Stroi w lazur i złociste dachy;
On handlarzy zabrał z sobą w pole,
By im sprzedać pobranych w niewolę,
Idzie straszny, niosąc miecz mściciela,
By w pył roznieść garstkę Izraela.
Więc zbaw teraz zagrożony lud!
I cud uczyń!...

TRZECIA GROMADA.

Tak! tak! uczyń cud!

PIERWSZA GROMADA
(stojąca dotąd na boku, przechodzi na stronę Lei, aby dla jej obrony połączyć się z drugą. Amri z trzecią gromadą zajmuje lewą stronę sceny).

Pan jest z Leą!

LEA.

Biada, kto usłucha
Syna zdrajcy! Niech spadną przekleństwa
Na zbrodniarza, co osłabia ducha

I lud wciągnąć chce do odszczepieństwa!
Cóż dobrego Simei tu sprawił,
By syn jego posłuch u was miał?
Gdy poganin ołtarz tu wystawił
I do ofiar przymusić was chciał,
Czy to Boaz wtedy lud ocalił?
Czy to Amri sprośne bóstwo zwalił?
Im ważyło stokroć więcej życie,
Niż Bóg ojców!

IZACHAR.

Słyszycie! Słyszycie!

DWIE PIERWSZE GROMADY.

Śmierć Simejtom!

BOAZ.

Panie! któżem ja,
Bym twojemu ludowi doradzał?
Któż mnie lepiej, niż ty Panie, zna?
Jam w pokorze przed Tobą wciąż chadzał.
Ty z pokory obnażasz mię szat,
Bym rzekł prawdę... co zrobił mój brat.
Wszak dlatego chciał złożyć ofiary,
By miecz wstrzymać — wszak Antyoch stary
Nie był wiecznym — dopóki on władał,
Strach tu rządził. Dobry jego syn
Już posłusznym łaskę zapowiadał.
A cóż pomógł wściekły Judy czyn?
Bój raz wszczęty póty nie ustanie,
Aż wytępi biedny twój lud Panie
Krwi niesyty Syryjczyka miecz.

TRZECIA GROMADA.

Syny nasze Juda gubi — precz
Z bezbożnym!

DWJE PIERWSZE GROMADY.

Chwała Judzie, chwała!

LEA.

Gdyby Simei spełnił czyn potworny,
Wtedy wolność naszaby skonała.
Mówisz, że on chciał lud Boży zbawić.
Tak, to prawda, jakżeś ty pokorny!
Jak złość twoja, co cię chce zadławić,
Odszczepieniec bez wiary, sumienia,
Simej zrzekł się Boga Izraela
I lud ciągnął w otchłań potępienia.
Chciał zeń zrobić bałwanów czciciela —
I zaprawdę stałoby się to,
Gdyby Judy nie powołał Pan!

IZACHAR i DWIE PIERWSZE GROMADY.

Śmierć odstępcom!

(Trzecia gromada stoi wahająca się i nie wiedząca, co ma czynić).

BOAZ.

Pan powołał go,
Ona rzekła, że go wezwał Pan!
Jeśli prawda i któż przeciw Judzie
Śmiałby szemrać. A jeżeli nie?!
Skąd wie ona — co nie wiedzą ludzie?
Zaliż z Panem naradzała się?
Skąd wie o tem — czego ni lud cały,
Ani wasze uszy nie słyszały?
Dziś do ludu nie mówi głos Pana,
Tylko pismo — tylko święte księgi
Głoszą wolę najwyższej potęgi.

Dobrze! gdzież więc ta rzecz napisana?
Pan powiedział: »Czasu pogodnego
Lud mój zbawię«. To są słowa Jego.
Lecz gdzież w księgach wierni wyczytali,
Że przez Judę Pan swój lud ocali?
Gdy chce zbawić, potrzebujeż wprzódy
Uciekać się do ramienia Judy,
Lub innego? Zaliż sam nie może?!
To bluźnierstwo przeciw Tobie Boże.

TRZECIA GROMADA *(groźno)*.

To bluźnierstwo! bluźnierstwo!

BOAZ.

A zatem,
Jeśli Juda nie był powołany,
Skąd mu przyszło wyzywać pogany
I z swą garstką walczyć z całym światem?

(Trzecia gromada coraz groźniej następując na Lęę, z pomiędzy dwóch pierwszych coraz więcej przechodzi na stronę przeciwników. Izachar, Jozue, Eliasz, Mizael i Ruben najdłużej przy niej pozostają).

BOAZ.

Juda śmiał się wedrzeć w boskie prawa.

TRZECIA GROMADA.

Wdarł się! wdarł się Juda w Boże prawa!

LEA.

On z miłości...

AMRI *(szyderczo)*.

Ku temu ludowi,
Którym gardził, plwał w każdej godzinie!

LEA.

Lud ten...

AMRI.

Pod miecz dał Syryjczykowi
Na zatratę!

TRZECIA GROMADA *(gwałtownie).*

Niech ginie! niech ginie!

BOAZ.

Pan wrogowi wydał swe pisklęta
I skazał je na karzące bicze.
Wtedy zwróci ku nam swe oblicze,
Aż w swych złościach lud się upamięta.
Biada! biada, śmierć Izraelowi,
Jeśli sam się nie podda królowi!

WIĘKSZA CZĘŚĆ LUDU.

Biada! biada! śmierć Izraelowi,
Jeśli sam się nie podda królowi!

LEA.

Biada! biada! śmierć Izraelowi!
Gdy się w sidła odszczepieństwa złowi!
Zaślepieńcy, nie wierzcie mu.

AMRI.

Precz!
Wojska króla odpędzono wstecz,
Więc je przyzwać pospieszcie co tchu.

LUD.

Idźmy, idźmy przywołać je tu.

(Chcą iść).

LEA *(trzymając na ręce Benjamina i Joarima, zagradza ludowi drogę do wąwozu).*

Nazad zdrajcy! precz stąd zwodziciele!
Wróg do miasta nie dostanie się!
Nie przejdziecie, chyba po mem ciele,
Zdepczcie wprzódy mnie i dzieci me,
Precz stąd!

AMRI.

Jeszcze się wahacie?!
Po czem pozna król, że mu sprzyjacie,
Jeśli ujrzy żywe wrogi owe
Wśród nas?

LUD.

Ustąp!

(Słychać coraz bardziej zbliżającą się muzykę tryumfalną).

LEA *(tuląc chłopców do siebie).*

Ha, rozumiem cię!...
Wzrok tygrysi śmierć im zapowiada,
Lecz kto dotknie dzieci moich — biada!

AMRI.

Bracią Judy wydajmy królowi,
By się zemścił, a na trupach ich
Niechaj związek z Syryą się odnowi.

LEA *(broniąc dzieci, które jej Amri chce wydrzeć).*

O Elochim! cudem zawstydź złych,
Żeś Ty z Judą. Czyż twe objawienie
Było marą?!...

AMRI.

Weźcież suce szczenię!

SCENA DWUNASTA.

DAWNI i ORSZAK Z SZYMONEM. — *Z boku wchodzi* NOEMI.

(Z miasta wychodzą dziewice, uwieńczone kwiatami, towarzyszy im muzyka grająca na fletach, arfach i cymbałach. Za nimi starcy, niewiasty, dzieci w uroczystym pochodzie. Pomiędzy ludem niezmierne wzruszenie).

CHÓR DZIEWIC.

Wyznawajcie Pana nad Pany,
Bo na wieki miłosierdzie Jego!
Wyznawajcie Boga nad Bogi,
Bo na wieki miłosierdzie Jego!
Który króle poraził wielkie,
Bo na wieki miłosierdzie Jego!
I wybawił nas z rąk nieprzyjaciół,
Bo na wieki miłosierdzie Jego!

BOAZ.

Co to?

AARON.

Psalm chwały.

AMRI.

Czyż znowu w zamęcie
Ten lud?...

AARON.

On Bogu składa dziękczynienie.

LEA.

Ci nie z Modynu...

JAN.

O gdybyż to Juda.

LEA *(z okrzykiem).*

To nie sen, to cud!...

DZIEWICE.

Zwycięstwo!

BOAZ.

Przeklęcie!

JAN.

Simon!!

SZYMON.

Zwycięstwo — Pan objawia cuda —
Z Judą Sebaoth! Pana miecz i ręka
Judy zwycięża!

AMRI.

O niech pierś nie pęka!
Juda? szaleńcy, toż przy Bet Horonie
Ogromne siły królewscy zebrali.
Pan lud swój waży, a jeśli do szali
Gniew swój przyrzuci, to ona zatonie
W przepaść. Któż zmieni, co odwieczny zrządził?
On sądzić będzie!

SZYMON.

Będzie?!... Już osądził.
Te sto tysięcy lekkie były wcale.
Pan miecz swój rzucił na Judową szalę,
Juda wzniósł ręce i wołał: »Jehowo!«
I powstał wicher tuż nad jego głową,
Chmury kurzawy z pogodnej przeźroczy
Piaskiem sypnęły Syryjczykom w oczy,
Nie wiedząc nawet, skąd uderza cios.
Zasłali pole jako zżęty kłos.

LEA.

Wierzycież teraz, com wyrzekła wprzódy,
Że Pan Zastępów wybrał ramię Judy?

PIERWSZA GROMADA *(staje znowu około Lei).*

Tak, Pan Zastępów wybrał ramię Judy.

AMRI.

Po co te wrzaski — pobił? Cóż wielkiego
Pod Bet Horonem, w porównaniu tego,
Co w Emmausie? Tam większa potęga,
Jak olbrzym, który swą głową chmur sięga
Przeciw chłopięciu. Czyż trzeba im broni?
Jeśli pić zechcą — to w Jordanie wody
Braknie! Oddychać — powietrza nie stanie!
Na jedną ucztę zjedzą wszystkie trzody!
Drży ziemia cała, czując ich stąpanie,
Od ich pocisków zaćmi się blask słońca,
Wicher ich krzyku zwali Judę sam!
Więc się nie cieszcie, a czekajcie końca,
Tam Pan osądzi...

SIMON.

Osądził i tam!
Pod Emmausem niezmierne te czernie
Zaległy pole jako zżęte ściernie,
Ciała ich dane na pożarcie lwom.

IZACHAR.

Niech więc zaginie Simejego dom!

LEA.

Pan Judę na swej stolicy posadził,
Aby pogany sądził i wygładził.
Juda nad ludzi wyższy — niepoczęty...
Nie stworzon z gliny...

AMRI.

Niech będzie przeklęty!
Zawczesna radość w nicość się obróci,
Gdy z Elimajdy Antyoch powróci.

SZYMON.

Już wrócił.

AMRI.

A więc nadszedł sądu czas.

SZYMON.

Nikt nie osądzi, gdzie Bóg sądził raz.
Antyoch swego nie doszedł obozu,
W pośrodku drogi trupem upadł z wozu —
Tak z wysokości tyranów Pan strąca.

LEA.

Małoż ci cudów ty rzeszo łaknąca?

IZACHAR.

Śmierć Boazowi i Amremu śmierć!
Całej rodzinie Simejego!

LUD.

Śmierć!

IZACHAR.

Zburzyć ich domy — kamienować wraz!

LUD *(chwytając Simeitów)*.

Ukamienować!

IZACHAR.

Oto ołtarz tam,
Gdzie Simei zgrzeszył, niechże ten sam głaz
Skarze ich!

NOEMI *(chwyta się płaszcza Lei i mówi błagająco).*

Pani!

LEA.

Cóż wspólnego mam
Z córką Boaza? Precz!

IZACHAR.

Córa Boazowa
Niech ginie razem z domem Simejego!

SZYMON.

Matko, ratuj ją! to żona Judowa,
On ją tak kocha!

LEA.

Och! dla syna mego
Córa królewska. Czy chcesz, aby gniew
Pana trwał wiecznie? Odstąp ją mój synu,
Dalej dziewice, zaczynajcie śpiew.
Głośmy zwycięstwo mieszkańcom Modynu.
(Bierze od jednej z dziewic arfę i staje na czele orszaku).
Niech pieśni nasze zabrzmią Judy chwałą.

NOEMI *(pochwycona przez lud).*

Jam żona Judy — och, zlitujcie się —
Oni nie słyszą — Boże, ratuj mnie!

LUD *(rzuciwszy na kolana Simeitów, wznosi nad nimi ręce).*

Krew na twą głowę, tyś z nimi bluźniła!
Więc umrzesz!

BOAZ *(klęczący).*

Stójcie!

AMRI *(na kolanach).*

Poseł!...

BOAZ.

Bóg nam zsyła
Ratunek!

SCENA TRZYNASTA.

NATAN *(wybiegając z miasta).*

Biada!

AMRI *(zrywając się).*

Co to? co się stało?!

LEA *(wstrzymując pochód).*

Poseł... więc nowy tryumf zapowiada.

AMRI.

O, to nie gołąb z gałązką oliwy,
To poseł Hioba!

NATAN.

O biada nam! biada!
Na Jeruzalem ciągnie Antyoch mściwy!

LEA *(odpinając naramiennik i dając go Natanowi).*

Weź to Natanie za twój żart niewczesny,
A powiedz prawdę, gdzieśmy zwyciężyli,
Prędzej!

NATAN.

Pierś naszą przeszył miecz bolesny,
Przeczżem nieszczęsny dożył takiej chwili?!...

LEA.

Jeśli to nie żart — kłamią usta twoje,
Wszak Antyocha już ciemny grób kryje,
Zaliż umarli mogą toczyć boje?

NATAN.

Stary król umarł, ale młody żyje.

LEA.

A więc tem lepiej — podźwignie się wiara,
Wszak Antyoch młody naszym przyjacielem.
I nawrócony przez Eleazara,
Starego króla stanie się...

NATAN.

Mścicielem!
Faworyt króla, a odstępca Boga,
Niezbłaganego zrobił z niego wroga,
Dziś nam wybierać śmierć, albo okowy!

LEA.

Pod Emmausem stoi Juda dzielny,
Co w pył rozwieje królewskie zastępy.

NATAN.

Pod Emmausem spokój dziś śmiertelny.
Ucztę na trupach wyprawiają sępy,
O lepszy kąsek wiodąc z sobą spór.
Zastępy Judy kłosem się pokładły,
Antyoch ciągnie straszny i zajadły
Do Jeruzalem, a tam głód i mór!

SCENA CZTERNASTA.

DAWNI. — JOJAKIM *wchodzi z bram miasta.*

JOJAKIM.

Raduj się ludu!

LEA.

Słyszysz!

JOJAKIM.

Pan nad Pany...

LEA (*do Natana*).

Skłamałeś starcze.

JOJAKIM.

Judę...

LEA.

Zbił pogany?!

JOJAKIM.

Strącił pysznego.

LEA.

Antyoch z wojskiem całem...

JOJAKIM.

Zniósł zastęp Judy!

NATAN (*do Lei*).

Słyszysz, nie skłamałem.

LEA (*do Jojakima*).

To fałsz wierutny!

JOJAKIM.

Twój Juda przeklęty,
Bitwą znieważyć kazał sabat święty —
Lecz jam to sprawił, że się pobić dali.

LEA.

Nędznik zgubił nas i jeszcze się chwali!?

JOJAKIM.

To ty niewiasto gorsza od Kaina,
Razem z twym synem gubisz Boży lud.

LEA *(do ludu).*

Stoicie bladzi i drżący jak trzcina,
Przecz nie wierzycie? — Pan okaże cud.
Dokończy pogrom przez Judę poczęty
Mój Eleazar!

JOJAKIM *(z szyderstwem).*

Co? Ajax?!

LEA.

Przeklęty
On i dom jego! przekleństwo niewieście,
Co go wydała! przeklęty dzień...

SZYMON *(przerażony).*

Stój!

JOJAKIM *(szyderczo).*

Owszem, przeklinaj!

LEA.

Ha, nadszedł dzień wreszcie,
W którym zabłyśnie Eleazar mój.
Wszak rzekł mi niegdyś: »Kiedyś spytam ciebie,
Kto większy: Juda — czy ja?« Wszakże Pan
Nad nim, nie Judą, dał znaki na niebie,
Że on ludowi królem będzie dan.
Nad nim blask jaśniał królewskiego wieńca,
Juda był gwiazdą — on niebios ozdobą,
Słońcem, co spali tego odszczepieńca.

JOJAKIM *(wybuchając śmiechem).*

Co?! Eleazar Ajaxa?

LEA.

Wraz z tobą.

SZYMON.

O biadaj matko — spełniły się słowa
Matatiasowe!

LEA *(strwożona).*

Co to... czy to zmowa?

SZYMON.

Będziesz zmuszona przekląć twoje dziecię.

JOJAKIM *(z zadowoleniem zemsty).*

Toż się Ajaxem Eleazar zwie!

(Wszyscy z przerażeniem odsuwają się od Lei).

SZYMON.

O tak jest matko — przeczyć już daremnie,
Gdy do Jerycho wkradłem się tajemnie,
Sam go widziałem...

WSZYSCY.

Biada!

LEA *(od wszystkich opuszczona, jak bezprzytomna).*

Kto rzekł biada,
Gdyśmy zwycięzcy? — dlaczego tak blada
Twarz u każdego, jakoby w dniu klęski,
Nuże dziewice, wznieśmy hymn zwycięski.

(Staje na czele dziewic i postępuje kilka kroków naprzód, lecz orszak przerażony nie rusza się z miejsca. Lea, obejrzawszy się wkoło, poznaje z ponurych twarzy rzeczywistość i wpada w zwątpienie).

Biada mi! biada! straszliwa godzina.

(Rozdziera szaty).

JOJAKIM.

Wróżyłaś wielkość dla twojego syna,
Już się spełniła przepowiednia owa.

LEA *(wznosząc oczy do nieba).*

Czyżby dwuznaczne były Twoje słowa?!
O jakaż dola!

SZYMON.

Dobrej, albo złej
Bóg nie jest twórcą, ale człowiek sam.

LEA *(z radością).*

O przecież jeszcze inne dzieci mam.

AMRI *(wydziera jej Joarima i uprowadza na lewą stronę pomiędzy swych stronników, którzy go chwytają i wyprowadzają za scenę).*

Nie masz już dzieci!

SZYMON *(rzuca się na Amrego, który chce porwać Benjamina).*

Nie dotykaj jej!

AMRI *(wskazując swym stronnikom Szymona).*

Wziąć go!
(Chwytają Szymona — Amri wskazuje Jana).
I tego!

(Biorą Jana — Amri wyrywa Lei Benjamina i uprowadza go między swoich).

LEA *(chce biedz na pomoc Benjaminowi, lecz ją przytrzymują — ona chce się wyrwać).*

Precz! puszczajcie mnie!

AMRI *(odchodząc).*

Naprzód z więźniami! Za Judowych braci
Hojnie nam Antyoch łaską swą zapłaci —
Wprost do obozu!

(Odchodzi ze swymi stronnikami i więźniami).

LEA.

Dzieci!

(Chce iść za nimi, ale wyczerpana z sił upada. Dziewice grupują się koło niej).

Dziatki me!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

Na drodze z Modynu do Jeruzalem. Okolica skalista — tu i ówdzie rosną sykomory i krzewy granatu — po obydwóch stronach sceny skały wysokie, stanowiące stromy wąwóz. — Po prawej stronie wielki sykomor — po lewej krzak granatu — w głębi w oddaleniu widać Jerozolimę na wzgórzu. — Brzask.

SCENA PIERWSZA.

AARON *z kilku zbrojnymi prowadzi pojmanego* JANA — *po chwili wchodzi* AMRI, *z resztą swych stronników, prowadząc* JOARIMA i BENJAMINA.

AARON.

Zaczekać chwilę, aż Amri z chłopcami
Zdąży tu.

AMRI *(wchodzi).*

Gdzie jest mój stryj?

AARON.

Tam na przodzie.

AMRI.

Spocznijmy nieco po długim pochodzie.
(Siadają na złomach, prócz synów Lei).

BENJAMIN *(do Joarima, wskazuje za scenę).*

Patrz, nasza matka wciąż idzie za nami.

JOARIM.

Biedna chwieje się... pada... już powstaje,
Znowu upadła...

JAN.

O straszliwe losy!

JOARIM.

Jakaś dziewczyna, zbierająca kłosy,
Podniosła matkę... ręce jej podaje.

JAN *(patrząc za sceną)*.

W jakimże stanie — szaty poszarpane,
Znój zlewa skronie — wichry włos rozwiały,
A od częstego upadku na skały
Oblicze jej krwią i pyłem skalane.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — LEA Z DZIEWCZĘCIEM.

JOARIM.

Nieszczęsna matka!

LEA *(ukazując się na scenie, wsparta na dziewczęciu)*.

Ha, to Amri krwawy!

AMRI *(zrywając się — za nim wszyscy)*.

Na Simejego! milcz rodzie plugawy!
Jeśli żyć pragniesz, to od jęków wara!
Jak czajka wrzeszczy za dziećmi wciąż stara,
Zrazu mię bawił jej wrzask. — Teraz ona
Nudzi mię... Naprzód — niech z tyłu zostanie.

(Idzie, za nim orszak i jeńcy — ogląda się).

Co to? gdzie Szymon? nie widzę Szymona!
(Chwyta za pierś Aarona).
Gdzie on! mów nędzny!

AARON.

Uszedł — ale panie
Tyś winien temu.

AMRI *(gwałtownie).*

Dowiodę ci nożem,
Kto tu zawinił!

AARON.

Słuchaj i sądź potem:
Gdyśmy szli wązkiem, skalistem bezdrożem,
Uskoczył na bok Szymon szybkim zwrotem.
Zerwał swe pęta i znikł pośród skał.

AMRI.

Poszliście w pogoń?

AARON.

Azarjasz go chciał
Schwytać... gdy pogoń nadbiegła tam nasza,
Znalazła tylko trupa Azarjasza,
A Szymon zniknął. — Toż go należało
Zabić. — Tyś winien temu, co się stało.

LEA.

Amri! zlituj się, bo Pan skarze cię!
Oddaj mi dzieci!

AMRI.

Precz! nie drażnij mnie!

LEA.

Oddaj mi dzieci!

AMRI.

Precz niewiasto zła!

LEA.

Oddaj mi dzieci!

AMRI *(do swoich, wskazując sykomor na przodzie).*

Tu do tego pnia
Przywiązać wiedźmę!

LEA.

Mnie wiązać?!

AMRI *(widząc wahanie swych ludzi).*

No prędzej!
(Ludzie chwytają Leę — dziewczę ucieka).

LEA.

O Panie! Panie! a więc mię w mej nędzy,
Opuszczasz!?
(Do Amrego).
Pozwól mi iść, jam gotowa
Milczeć, jednego nie wyrzeknę słowa,
Puść mię — rozpaczy powróz nie skrępuje.

AMRI *(do jednego z ludzi, który się waha, przejęty boleścią).*

Czego się wahasz — wiąż, gdy rozkazuję.

LEA *(podczas gdy ją wiążą do drzewa).*

Okrutny, wiązać matkę nieszczęśliwą...
O nie, nie Amri — serce twe nie skłonne
Do okrucieństwa. — Ty masz duszę tkliwą,
Ja się poddaję jak dziecię bezbronne,
Tak mię udręczać ty nie jesteś w stanie,
Sam mnie uwolnisz, rozetniesz me pęta.

AMRI.

Dumna, a żebrze!

LEA.

Twoje urąganie
Znoszę pokornie.

AMRI.

Boś do stóp mych zgięta!

LEA.

Czyż ci nie dosyć, że twa przeciwniczka
Upokorzona, nędzna błaga cię?...

AMRI.

Mnie nie uprosisz — błagaj raczej stryczka,
Gdy się powiesisz, może urwie się.
(Daje znak swoim i odchodzi ze wszystkimi).

SCENA TRZECIA.

LEA *sama* — *potem* NOEMI.

LEA.

Poszli z dziatkami — a jam tu została...
Przytomność ginie — głowa moja pała...
Nie wiem co czynię...

NOEMI.

O straszny widoku!

LEA.

Biada! mi biada!
(Patrząc za nimi).
Już znikli w wąwozie!
A ja nie mogę ni jednego kroku!

Próżno mię wstrzymać chcesz nędzny powrozie,
Ja cię roztargam!

(Próżne usiłowanie — noc zapada).

Ha, daremny szał!
Do lwiej jaskini wiodą dzieci me,
A ja tu ginę śród odludnych skał.

NOEMI *(zbliżając się).*

O bądź spokojna — ja uwolnię cię.

LEA.

Kto do mnie mówi? — Kto spieszy z pomocą
Nędznej kobiecie? — czuję twoje łzy
Na moich rękach — a poznać cię nocą
Nie mogę wcale — powiedz mi, ktoś ty?
Głos twój tak wdzięczny jak głos Benjamina,
Mowa tak słodka, wzruszająca, miła,
Czyś ty aniołem, którego Bóg zsyła
Cieszyć, gdy straszna przypadła godzina?

NOEMI *(rozwiązując ją).*

Już jedna ręka uwolniona.

LEA.

Zdala was nie chcę mieć nawet w koronie,
Ale przy sobie, chociaż w doli złej.
Niech was nie cierpią — lecz na matki łonie,
Niech was poniżą — lecz przy piersi mej.

(Uwolniona z więzów).

Mnie ścigaj Panie — niech burze i grady,
Niech we mnie Panie gromy twe uderzą,
Dotknie zaraza, powali głód blady,
Lecz ocal synów!

(Zrywa zwierzchnią szatę).

Precz mi z tą odzieżą!
Przeklęta wielkość, której dumne serce
Tak pożądało. — Synów mych morderce
Wydarli — a ja zbawić ich nie zdołam
I wszystkich siedmiu przepadło bez wieści
I w sercu siedem tkwi mieczów boleści,
Panie! o Panie! nadaremnie wołam
W dniu utrapienia!

NOEMI *(podnosząc ją).*

Powstań matko biedna!

LEA *(usiłując ją poznać).*

Skąd się tu wzięłaś, ktoś ty? co za jedna,
Że się litujesz? — Odejdź! ja zostanę.
Gdy wszystkie moje nadzieje rozwiane,
Chcę tutaj umrzeć...

NOEMI.

Upadasz pod znojem,
Pokrzep twe siły...
(Podając jej naczynie z wodą, które Lea odtrąca).

LEA.

Precz mi z tym napojem! —
Chcesz, żebym żyła, gdy dzieci me giną?
Żebym ja żyła! Szalonaś dziewczyno!

NOEMI.

A więc żyj dla nich — dla nich pokrzep się,
Trzeba je zbawić.

LEA.

Trzeba zbawić je!
Czyż to podobna?

NOEMI.

Król jest litościwy,
On błagań twoich odrzucić nie zdoła.

LEA.

Panie, czyś swego zesłał mi anioła
Pocieszyciela? — o tak, ja żyć muszę,
Ja go błaganiem do litości wzruszę —
Ocalę dzieci — ja ubłagam go!
Podaj mi napój!
(Pije).
Wzmocnione nadzieją
Wracają siły — gdzie poganie są?
Wskaż mi!

NOEMI *(wskazując).*

O tam ich namioty bieleją.
(Księżyc wschodzi i oświeca scenę).
Księżyc zajaśniał blaski srebrzystemi,
Pójdź, ja powiodę.

LEA *(poznając ją przy świetle księżyca).*

Boże! tyś Noemi!
Pocoś tu przyszła?!

NOEMI.

Bym uratowała
Ciebie.

LEA.

Co? ty, ty! którą bez wytchnienia
Nienawiść moja zażarcie ścigała?
Odejdź odemnie — oszczędź poniżenia. —

NOEMI.

Przedwieczny zesłał na nas dzień ten srogi,
By cię przekonać o miłości mej.

LEA.

Wracaj do ojca czcić z nim wasze bogi,
Uciekaj zdala od twej świekry złej.

NOEMI.

Bóg twój jest moim — chcę dzielić twe trudy,
Wierną do śmierci chcę pozostać tobie;
Jeśli ty umrzesz, to małżonka Judy
Z drogą macierzą w jednym spocznie grobie.
(Lea pada na kolana i obejmuje nogi Noemi).
Co czynisz matko?!

LEA.

Przed tobą się korzę,
Boś stokroć lepsza, aniżeli ja.
Teraz błogosław — niechaj mię wspomoże
Błogosławieństwo i modlitwa twa.
Idę... Pan z tobą!

NOEMI.

Chceszże iść bezemnie?

LEA.

Gdy duch twój będzie towarzyszyć mi,
To próby moje nie spełzną daremnie.
Przyjm mój ostatni podarunek — łzy.
Tą resztką mienia dziel się z dziećmi memi
I czekaj na mnie — aż powrócę z niemi.
(Odchodzi).

NOEMI *(odprowadzając ją).*

Więc tu zostanę, niech cię anioł Boży
Szczęśnie prowadzi, opieki udziela.
(Wychodzi z nią na chwilę).

SCENA CZWARTA.

JUDA. — URIEL i KILKUNASTU WOJOWNIKÓW.

JUDA.

Zanim zabłyśnie pierwsza łuna zorzy,
Zgromadź tu zbrojnych mężów Izraela.
Czekać mnie — muszę tajnie wnijść do miasta.
Tam głód, zaraza z każdą chwilą wzrasta.
Ale cierpienia mężnych nie złamały,
Nim odsiecz przyjdzie wytrwają w obronie.
Antyoch mniema, że siadł na Syonie,
Lecz ja go strącę jak owoc dojrzały!

(Mężowie rozchodzą się — Noemi wraca).

SCENA PIĄTA.

JUDA. — NOEMI.

NOEMI.

Tutaj do Pana będę modły słała,
By ją z pogańskich oswobodził sideł.

JUDA *(idzie kilka kroków w głąb za odchodzącymi).*

Niechaj Bóg mściwy użyczy wam skrzydeł.

(Wraca).

Mnie nie zatrzyma poganów nawała,
Warowny obóz, zasieki i rowy.
Ciesz się Antyochu pogłoską radosną,
Że Juda upadł. O, skrzydła mu rosną,
Wnet starym długiem zapłaci dług nowy.
Pod mój sierp ostry dojrzewajcie kłosy.
Do Jeruzalem!

NOEMI *(która siadła pod krzewem granatu).*

Co to? jakieś głosy...

(Przybliża się i poznaje Judę).

To Juda!

(Klęka przed nim).

Panie!

JUDA.

Czego ona chce?

Kto jesteś?!

NOEMI.

Judo! nie poznajesz mnie,
Twej służebnicy wiernej ci do zgonu?

JUDA *(podnosząc ją).*

Tyżeś to dziecię — ty, różo Saronu?

NOEMI.

We krwi i prochu, zwiędła i znękana.

JUDA.

Tu do mej piersi droga, ukochana!
Skąd się tu wzięłaś samotna, śród nocy,
Gdzie bracia moi?

NOEMI.

W Antyocha mocy.

JUDA.

Wszechmocny panie! kto ich zawiódł tam?

NOEMI.

Amri, co zgubę wszystkim przysiągł wam.

JUDA.

A matka?

NOEMI.

Poszła, wzmógłszy sił ostatek,
Błagać Antyocha o życie swych dziatek.

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — URIEL.

JUDA.

Jego ubłagać?! rozjuszonej lwicy
Raczej łup wydrzesz.

(Do Uriela).

Pod mury stolicy
Podejdź ostrożnie i obsacz gór szczyty
Ponad obozem; tam czekaj ukryty,
Aż zagrzmią trąby — wtedy wpadłszy, siecz!
Gdy ja od miasta na pogan uderzę.

(Do Noemi).

Matka go zdoła ubłagać?... nie wierzę,
Płacz ich nie zbawi, ale Judy miecz!

(Po krótkim namyśle).

Gdybym próbował... nie, wyboru niéma,
Droższą, niż bracia, jest Jerozolima.
Gdyby upadła, zginie wszystko wraz!
Postanowienie moje niecofnione.

(Do Uriela).

Tobie oddaję w opiekę mą żonę,
A bądź gotowym, gdy nadejdzie czas.

(Do Noemi).

Bywaj Noemi — pierś ma drży obawą,
Że cię nie ujrzę...

NOEMI.

Jakto, chcesz mię zbyć,
Ty idziesz na śmierć — a kto ci dał prawo
Samemu ginąć?!

JUDA.

O nie... ja chcę żyć
Dla ciebie droga... tyś mi tu na ziemi
Wszystkiem... bądź zdrowa!

(Idzie kilka kroków w głąb).

NOEMI *(z krzykiem).*

Judo mój!

(Na krzyk żony powraca i porywa ją w objęcia).

Noemi!

(Po chwili wydziera się z jej uścisku i szybko odchodzi głębią — Noemi mdleje i pada na ręce Uriela).

ZMIANA.

(Ulica w Jerozolimie z widokiem na świątynię. Noc rozjaśniona światłem księżyca, czarne obłoki, zapowiadające zbliżającą się burzę, przeciągają).

SCENA SIÓDMA.

Przed drzwiami domostw leżą chorzy i głodni. Na przodzie po prawej stronie przed domem leży NIEWIASTA *z dzieckiem i* STARZEC. SZYMON *z prawej —* JONATAN *z lewej strony wchodzą, a poznawszy się nawzajem, rzucają się z łkaniem w objęcia).*

JONATAN.

Szymon!

SZYMON.

Jonatan! O czemuż z Amrego
Rąk się wydarłem!

JONATAN.

Los wrogi nas zdradza,
W koło grasuje zarazy, śmierć blada,
Wołam »do broni!« — nikt nie odpowiada,
Czasem mię pyta wzrok konającego:
»Kto mi spokojnie umierać przeszkadza?«

SZYMON.

O ludzkie oczy tego nie widziały,
Com ja oglądał, idąc ku tej stronie.
Tutaj niemowlę przy skostniałem łonie,
Tam mąż z rozpaczy, głodu, oszalały.

JONATAN.

Inni jak do snu kładą się na ziemię,
Czekając, aż śmierć zabierze swój łup;
Chętnie rzucają ciężkie życia brzemię,
Grób im wolnością — a wezgłowiem trup.

SZYMON.

Głód i powietrze na wyścig w lud godzi,
A on z przestrachem zwątpiały wzrok toczy.
Przekleństw mu brakło i z łez wyschły oczy,
Wróg u bram stoi... cóż go to obchodzi?
Martwych nie zbudzisz.

NIEWIASTA *(czepiając się sukni Jonatana).*

Duszo litościwa!
Chleba! daj chleba! patrz, kona mój mały,
Choć jeden kąsek — czy jesteś ze skały?

JONATAN *(wyrywa się).*

Puść mię! napróżno ratunku głos wzywa,
Wszakże głód szarpie i wnętrzności moje,
Chyba krwią własną twe dzieci napoję.

NIEWIASTA.

Na imię Judy, na imię zbawienia!
Ratuj nas! Matka i siedmiu mych braci
Do ostatniego czekali nań tchnienia,
Wierząc, że przyjdzie i pogan wytraci
I zanim przybył — wszyscy zmarli wraz.

JONATAN.

O dziś i Juda już nie zbawi nas!

STARZEC *(nie ruszając się)*.

Wszak on przybędzie?

NIEWIASTA.

Ojciec pyta cię,
Czy Juda przyjdzie?
(Milczenie).
Nie mój ojcze, nie!
(Słychać wrzawę w oddaleniu).
Co to... słyszycie! co znaczą te krzyki?

JONATAN.

Wrzawa wojenna...

SZYMON.

Pewnie Syryjczyki
Szturmują bramy!

JONATAN *(dobywając miecza)*.

Do broni, hej ludu!
Za mną na mury!

SZYMON.

O prędzej sto razy
Potrafisz bracie martwe zbudzić głazy,
Niż konających... Nie uczynisz cudu.

JONATAN.

Już się zbliżają... co czynić? na nieba!
Radź, radź Szymonie!

SZYMON.

Bracie! Umrzeć trzeba!

JONATAN (*nadsłuchując*).

To nie jest okrzyk rozpaczy...

SZYMON (*smutno*)

Ułuda.

JONATAN.

Coś się szczęsnego wydarzyło...

LUD (*za sceną — niewyraźnie*).

Juda!

CHORZY (*podnoszą się i nadsłuchują*).

Juda!

JONATAN.

Słyszałeś?

LUD (*bliżej i wyraźniej*).

Juda!

NIEWIASTA.

Bóg nas wspiera.

Ojcze! to Juda!

STARZEC (*podnosząc się z wysileniem*).

Juda!
(*Kona*).

NIEWIASTA.

On umiera,

Nie widząc Judy!

LUD *(tuż za sceną).*

Juda! zbawca nasz!
(Chorzy dźwigają się — niektórzy wstają).

SZYMON.

Patrz, konający nie czują swych ran,
Wpół martwi wstają!?

LUD *(napełnia scenę).*

Judę zesłał Pan!

NIEWIASTA *(wskazując synowi Judę, będącego za sceną).*

Ten mąż... tam... widzisz... pamiętać go masz,
Przypatrz się dobrze... to Juda Joelu!

SZYMON.

Pan nas ocalił — powstań Izraelu!
Jako przynosi dzień gwiazda zaranna,
Tak Juda wolność...

LUD *(radośnie).*

Hosanna! hosanna!

SCENA ÓSMA.

LUD i JUDA.

(Tłumy obojej płci otaczają wchodzącego Judę — jedni, padając na kolana, wznoszą ręce — inni cisną się, ażeby się dotknąć jego szat).

JUDA.

Bracia!

JEDEN Z LUDU.

Milczenie — Juda mówić chce —
Śmierć, kto mu przerwie!

JUDA *(z trudnością stara się powstrzymać silne wzruszenie).*

Biedne dzieci me!
Mężnie dni męki przebywacie krwawe,
Lecz wnet się skończą — otrzymacie strawę
Obfitą. Już grom nad poganem grzmi,
Odsiecz już blizka — wszak wytrwać zdołacie,
Nim wzrosnę w siły jeszcze kilka dni? —
Nieprawdaż mili?

JONATAN.

Niepodobna bracie,
Do szczętu prawie żywność wyczerpana,
Ledwie do jutra.

JUDA *(rozkazująco).*

Poznajcież moc Pana:
Znieść do świątyni wszystką żywność zgoła,
Wyprawim ucztę w dziedzińcu kościoła,
Aby mężowie odzyskali moc —
A gdy księżyca ostatnie promienie
Zgasną i ciemna zapanuje noc,
Wtedy cichaczem, jako zmarłych cienie,
W obozu pogan wciśniemy się głąb.
Przedtem gór szczyty osadzą kapłany
Z srebrnemi trąby — i na znak mój dany
Zabrzmią okrzyki zewsząd i dźwięk trąb!
Uriel uderzy na nich z drugiej strony.
Wtedy mniemając, że jest otoczony,
Wróg straci głowy i popłoch szeroko
Śród Syryjczyków szerzyć będzie trwoga,
A my uderzym na nich w imię Boga!
Bracia ząb za ząb i oko za oko!
Niech bez litości wszystkich miecz wygładzi!

(Spogląda po swoich).

Dlaczegoż niemi stoicie i bladzi,
Jakoby trwogą złamani złowieszczą?...
Czy już nie żyje Izraela Bóg!?

(Błyskawica i piorun).

Czy słyszysz ludu? te gromy ci wieszczą,
Że Pan jest z nami a w zatracie wróg —
I nad pogany wyciągnął prawicę:
Grom jego mieczem — słowem, błyskawice.
Nadeszła wreszcie wybawienia pora,
Ujdzie zagłady Dawidowy gród,
A jako Barak, Judyt i Debora
Doznali wsparcia — dozna go dziś lud!
Więc z poniżenia powstań ludu Boży,
Niech wróg wrogowi poda zgody dłoń,
Na jego ustach pocałunek złoży,
Dalej do uczty, a potem za broń!

LUD *(w ekstazie).*

Dalej do uczty, a potem za broń!

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

Wspaniały namiot Antyocha z ciężkiej, złotem bramowanej materyi, oświecony pięciu lampami srebrnemi, zawieszonemi u stropu. Gdy głąb namiotu się rozsunie, widać zdala na wzgórzu Jerozolimę, zrazu oświetloną blaskiem księżyca, później coraz częściej gromadzą się burzliwe chmury i zupełna ciemność zapada. Po prawej stronie pod baldachimem, na podniesieniu, krzesło tronowe, na którem król siedzi.

SCENA PIERWSZA.

ANTYOCH. — ELEAZAR *stojący przy tronie i* NIKANOR *naprzeciw niego — potem* GORGIAS.

NIKANOR.

Rozkazy twoje monarcho spełnione,
Już się oporni nie zdołają skryć,
W popiół obrócą piece rozpalone
Tych, co twych bogów wzbraniają się czcić.

ANTYOCH.

Czy z Jeruzalem nie przybyły gońce?
Gniew mój się zwiększa, a cierpliwość skraca,
Mieli się poddać, nim zapadnie słońce...

(Odgłos kroków za sceną).

Ha, przecież idą!...

NIKANOR *(patrzy za scenę).*

To Gorgias powraca.

ANTYOCH.

Gorgias powraca!? na Bogi, to zdrada!
Wszak go do Syryi wysłałem.
(Gorgias wchodzi i klęka przed Antyochem).

ANTYOCH.

Tyś wbrew
Moim rozkazom postąpił!?

GORGIAS.

Niech spada
Na me poselstwo, nie na mnie twój gniew.

ANTYOCH.

Jak śmiałeś wracać?

GORGIAS.

Wróciłem, bo w drodze
Lizymach...

ANTYOCH.

Jakto? wszakże na czas wojny
On rządził Syryą...

GORGIAS.

Przygnębiony srodze,
Miał ledwie z sobą mały hufiec zbrojny.

ANTYOCH.

O zdrajca!

GORGIAS.

O nie, ale buntownicy...

ANTYOCH *(zrywając się).*

Co? bunt!?

GORGIAS.

Wybuchnął w murach twej stolicy...
Wojna z żydami oburza twe ludy,
Na wszystkich ustach straszne imię Judy.
Wprzódy szemrali, dziś się już bunt szerzy,
O panie, wracaj ratować koronę!

ANTYOCH.

Wszakże mam wojska...

GORGIAS.

Nie licz na żołnierzy,
Wszystko, co żyje, niechętne, wzburzone,
Mimo kar wszelkich nie będą się bili
Przeciwko żydom. — Jedyna otucha
Wracać do domu.

ELEAZAR.

Przecież zwyciężyli.

GORGIAS.

Zrazu zwycięstwa podniosły ich ducha.
Było ich mnóstwo do walczenia skłonnych,
Lecz w Emausie straszna rzeź bezbronnych,
Co szli z odwagą pod miecz niesłychaną,
Była pogromem, królu, nie wygraną.
Rycerstwo twoje zeszło na morderce,
Więc oburzenie owładło ich serce.
Bo tylko wściekłość równą wściekłość budzi,
W zaciętym boju tylko ona rośnie,
Ale mordować tych bezbronnych ludzi,
Którzy z hymnami na śmierć szli radośnie,
Z uśmiechem w ustach, bez skargi i bolu,
A zamiast przekleństw przebaczenia łza...

Było okropne!... O potężny królu,
Twój tron w Judei runął tego dnia.

ELEAZAR.

Nie zważaj panie — garstka obłąkanych,
To nie lud cały.

ANTYOCH *(nie zważając na niego, do Gorgiasa).*

Kończ! w rysach znękanych
Widzę, że sroższe kryjesz jeszcze wieści.

GORGIAS.

Przebacz, że czarę przepełniam boleści,
Filip — któremu ojciec twój przy zgonie
Rozkazał wzmacniać twoje panowanie...

ANTYOCH.

I cóż?

GORGIAS.

Chce berło przywłaszczyć twe panie,
Gdy wraz nie wrócisz, zasiędzie na tronie.

ELEAZAR *(do Nikanora).*

Co, król ma wracać, gdy Jerozolima
Już się poddaje?

GORGIAS.

Tu wyboru niéma,
Wracać lub zginąć... Demetrius zuchwały,
Syn twego stryja, przekroczył granice;
Już miasta Jońskie królem go uznały,
A dziś stolica jego dążeń celem.
Gdziekolwiek przyjdzie, czyni obietnice,
Zaniechać zgubnej wojny z Izraelem
I z groźnym Judą zachować przymierze.
Więc jako zbawcę lud wita go wszędzie.

ELEAZAR.

Gdy król stąd ruszy, stokroć gorzej będzie,
Rokosz ogromne rozmiary przybierze...

GORGIAS.

Nie — stokroć gorzej, jeśli tu zostanie,
Gdyż buntownicy, wzmógłszy się na sile,
Zagarną państwo, a za nami w tyle
W całej Judei groźny lud powstanie.

ELEAZAR.

Jest na to sposób — niechaj król rozkaże
Rozgłosić wszędzie o poddaniu miasta,
A lud broń złoży.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — SETNIK.

ANTYOCH.

Czego chcesz?

SETNIK *(składając pokłon).*

Niewiasta
Chce mówić z królem — przywiodły ją straże —
Matka Judowa.

ELEAZAR *(na stronie przerażony).*

O potęgi nieba!
Co tu do króla wiedzie nieszczęśliwą?

ANTYOCH *(porywczo).*

Matka Judowa?! Wprowadzić co żywo.
(Setnik odchodzi).
W pień wytnę żydów, jeżeli potrzeba,
Ale utwierdzę moje panowanie,
Choćby w pustyni!

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — SETNIK. — LEA.

(Lea, wprowadzona przez setnika, zaraz przy wejściu do namiotu pada na twarz. Nikanor ją podnosi i prowadzi przed tron — ona rzuca się powtórnie na twarz i czeka, aż król przemówi).

ELEAZAR *(na stronie).*

O straszliwe chwile!
Zaledwie zdołam pohamować się —
Święta niewiasta powalona w pyle,
Przecz moc twa Panie do ziemi ją gnie?
Pogruchotałeś naczynie wspaniałe,
Lecz każdy szczątek majestatem lśni.
Unika matki oko twe nieśmiałe,
Eleazarze niewdzięczny i zły,
Lecz ukryj boleść a na siebie bacz,
Bo jej nie zbawisz a sam zginiesz marnie.

ANTYOCH.

Ktoś jest? twe imię?

LEA *(podnosząc głowę do góry).*

Niedola i płacz,
Odziana w szaty sieroce i wdowie.
Tyś jest obrazem bóstwa na tej ziemi,
Zlituj się królu nad synami memi!

ANTYOCH.

Są w mojej mocy?

LEA.

Tak — Simeitowie
Tu ich przywiedli.

ELEAZAR *(na stronie).*

Więc nowa ofiara...

I bracia moi!

LEA.

Przez Eleazara!

(Ogląda się i zatrzymuje wzrok na Eleazarze, który się odwraca).

Który, jak mówią, zyskał twoje względy,
Niech jego wierność powstrzyma zapędy
Twojego gniewu. Niechaj go ukoi,
Wszak nie chcesz Panie, by umarł z boleści;
Na łaskawości wielkość królów stoi,
Niechże twa dobroć łaskę im obwieści.

ELEAZAR *(na stronie, kryjąc oczy w ręce).*

Umilknij serce biedne i cierp skrycie.

ANTYOCH.

Ty mię o życie błagasz synów twych?

LEA.

Tylko o życie!

ANTYOCH.

Śmierć ich albo życie
W własnej ich mocy.

LEA *(przerażona).*

Jakto w mocy ich?

ANTYOCH.

Który z nich pokłon uczyni Zewsowi,
Będzie żyć — umrze, kto sprzeciwi się.

LEA.

Królu, to zbrodnia przeciw Zakonowi,
Czegoż wymagasz?

ANTYOCH.

Czego prawo chce.

LEA.

Tyś je stanowił, a więc twoje słowo
Może to cofnąć, coś rozkazał sam.

ANTYOCH.

Bogów Olimpu, nie cześć Mojżeszową
Musicie święcić — poprzysięgam wam!

LEA.

Nigdy!

ANTYOCH *(do Nikanora).*

Więc niechaj na śmierć ich prowadzą,
Jak każe prawo!

NIKANOR *(chcąc odejść).*

Spełnię rozkaz.

LEA *(wstrzymując go).*

Stój!
Chwilkę jeszcze, niechaj się zgromadzą
Myśli moje... pragnę je pozbierać,
Bym pojęła straszny rozkaz twój.
Boga swego zdradzić... lub umierać.
(Rzuca się na twarz przed królem).
Miłosierdzia! umieram z rozpaczy!
Wszak w twej piersi także serce bije,
Miałeś matkę — wiesz, co matka znaczy,
Twe oblicze tylko srogość kłamie,
Lecz w twej duszy łagodność się kryje...
Łaski!
(Nikanor chce odejść, Lea zrywa się i wstrzymuje go).
Czekaj! król wyrok złagodzi.

NIKANOR.

Zbyt uporni...

ANTYOCH.

Ja ich upór złamię!

LEA.

Wszak ich upór wasza srogość rodzi,
Młode chłopię jest dzikie i żywe,
Lecz gdy matka przemówi do niego,
Zmieni w męża chłopca zuchwałego.
Nakłoń ku mnie ucho litościwe,
Niech twa dobroć ujrzeć mi pozwoli
Synów!

ANTYOCH.

Dobrze — lecz ich do mej woli
Skłoń!

LEA.

Czyż matka może radzić źle?
Mogęż z nimi być sam na sam?

ANTYOCH.

Nie!
Nie wymagaj za wiele.

LEA.

Za mało
Żądam, bo gdy wobec ciebie
Mówić będę, będzie im się zdało,
Żeś mi kazał...

(Antyoch daje znak — Nikanor wychodzi i po chwili wprowadza synów Lei).

SCENA TRZECIA.

ANTYOCH. — LEA. — NIKANOR. — JAN. — JOARIM. — BENJAMIN. — ELEAZAR. — SETNIK. — GORGIAS.

ELEAZAR *(na stronie).*

O Stwórco na niebie,
Bracia moi!

BENJAMIN *(biegnąc do matki).*

Matko!

JOARIM *(podobnież).*

Matko!

JAN *(obejmując jej nogi).*

Bóg nam ciebie zsyła.

LEA *(ściskając ich).*

Dzieci drogie! jakżem ja tęskniła!

ANTYOCH *(do Lei).*

Mów!

LEA *(wskazując na Antyocha).*

To król jest! a na rozkaz jego
Albo zaraz spadną wasze głowy —
Lub, gdy czci się zrzekniecie Jehowy
I oddacie pokłon bogom jego,
Da wam wolność!

BENJAMIN.

On nas na śmierć śle
Za co matko?

LEA.

Za co? bo tak chce!

JOARIM.

Wszakże król ten człowiekiem jest przecie,
Jak ty matko, ja i bracia moi.
Boga słuchać chcą synowie twoi
A nie ludzi.

LEA.

Bohaterskie dziecię
Przebacz matce. Izrael nie zginie,
Gdy Pan w dziecko wlał taką potęgę.
Joarimie! Janie! Benjaminie!
Pójdźcie tutaj wykonać przysięgę,
Że zrobicie, co wam matka powie.

JOARIM.

Byle tylko nie wbrew Zakonowi.

LEA.

Bluźnisz chłopcze — tylko dla zbawienia
Moich dziatek przysięgi tej chcę.

JAN.

Rozkaż matko, a twoi synowie
Chętnie spełnią twoje polecenia.

LEA.

Więc połóżcie ręce na mej głowie.
(Spełniają rozkaz).
Tak! a teraz...

JAN.

Mów.

ELEAZAR *(walczy z sobą, lecz nie może się przemódz).*

Ha, nie mogę... nie!

ANTYOCH.

Nim przysięgną, wskazać, co ich czeka.

(Na znak króla rozsuwają się tylne opony namiotów: noc pochmurna, księżyc zniknął, scenę tylko oświeca łuna gorejących pieców — wicher — błyskawice).

LEA *(ujrzawszy odblask ognia, cofa się z przerażeniem).*

Ha, okropność!
(Zwolna odzyskuje odwagę i pada na kolana)
Boże Izraela!
Tyś na obraz swój stworzył człowieka,
Abyś miał w nim wiernego czciciela.
Jak do ziemi wiodłeś obiecanej
Przez pustynię z Egiptu, tak Boże
Wiedź me syny z pomiędzy pogany
W kraj wieczysty przez ogniste morze!

ANTYOCH.

Kończ!

LEA.

Wraz skończę — chwilę tylko jeszcze,
Niech wypełnię obowiązek święty
I przysięgę synom mym obwieszczę!
Kto ją złamie, niech będzie przeklęty!
Kto ją złamie — niechaj jego kości
Psy rozwleką i podepcze wróg.
Więc słuchajcie: jest na wysokości
Bóg jedyny, Izraela Bóg!
Fałszem bogi tej pogańskiej czerni,
Innych bogów prócz niego nie znamy.
Przysięgnijcie być do zgonu wierni,
Temu Bogu i przelać zań krew!

TRZEJ SYNOWIE.

Wieczną Bogu wierność przysięgamy!

LEA *(do Antyocha).*

Słyszysz królu?! Na mnie zwróć swój gniew,
Bom z nich tylko wieczną hańbę zmyła:
Mnie każ zabić, bom ja zawiniła.

ANTYOCH.

Ty żyć będziesz stworzenie szalone!

(Do Nikanora).

Najstarszego wrzucić w piec ognisty!
Zobaczymy, czy ten Bóg wieczysty
Twoim synom przyjdzie na obronę.

(Burza — gromy coraz częściej uderzają).

LEA.

Pomnij królu, że twoja potęga
Choć tak wielka, poza świat nie sięga,
I że twoje policzone dnie.
Pomnij panie, że w sądu godzinie
Krew niewinnych, która dziś popłynie,
Świadczyć będzie i potępi cię!

(Antyoch daje znak — Nikanor chce wyprowadzić Jana).

O litości! nie uważaj królu,
Com mówiła — to w trwodze i bólu —
Przebacz dzieciom — Panie, przebacz mi!

ANTYOCH.

Wszak czas jeszcze powstrzymać ich karę,
Niechaj złożą mym bogom ofiarę,
A natomiast synów oddam ci.

LEA.

Ha, wzbudziłeś straszną pomstę Bożą,
Krew mych dziatek wywoła mściciela,
Niech za prawdę głowy swe położą.
Śmierć niewinnych gniew Pański rozbroi,
Wyswobodzi syny Izraela,
Roztrzaskaną będzie twoja moc.
Twa potęga już się nie ostoi,
Boś odrzucon w potępienia noc.

ELEAZAR.

Dość już tego! precz dłuższe wahanie!
(Rzuca się na kolana przed Antyochem).
O monarcho, zmień twój wyrok srogi!
Jam utwierdzał twoje panowanie,
Zrzekł się mego a czcił twoje bogi
I dla ciebie zerwał z całym światem;
Racz od śmierci uwolnić mych braci,
Wierność moja dobroć twą odpłaci,
Jam jej synem — ja jestem ich bratem,
Ich lud moim — ich Bóg, moim Bogiem,
Z niemim złączon węzłami świętymi,
Co im drogiem, to i dla mnie drogiem,
Chcę żyć z nimi, albo umrzeć z nimi.

ANTYOCH.

Zdrajco! larwę zrzuciłeś zawcześnie.

ELEAZAR *(oburzony).*

Zdrajco?! Za toż tak mię łżysz boleśnie,
Żem ci służył i najlepiej radził?

ANTYOCH.

Mamże wierzyć temu, co swych zdradził?

ELEAZAR.

Jam pod nogi rzucił ci me serce,
Ty je depczesz — bo ci już zbyteczne.
Sprawiedliwe wyroki odwieczne,
Przeniewierca karze przeniewiercę!
Ty za wierność moją bezprzykładną,
Moich braci wydajesz na męki,
Sam na drogę popychasz mię zdradną.

ANTYOCH.

Precz z mych oczu!

ELEAZAR.

Odtrącasz mię? dzięki!
To zaiste królewska nagroda.
Bo gdzieś ty jest — tam śmierć i zniszczenie.
Gdzie cię niema, światło i swoboda.
(Rzuca się w objęcia braci).
Jam wasz znowu!

LEA *(tuląc go do piersi).*

Twoje urodzenie
Dziś twa matka święci drugi raz.

ELEAZAR.

Z wami bracia pragnę ponieść męki,
Grzech odkupić i umierać wraz.
Matko droga! tobie składam dzięki,
Twym przykładem dziecię nawrócone,
Z strasznej próby wychodzi zwycięsko.
Tyś mi kiedyś wróżyła koronę —
Dziś więc wezmę koronę męczeńską.
(Do Antyocha).
A ty królu idź zgubnemi drogi,
Śród pożogi i krwi naszej strug.

Gardzę tobą i twoimi bogi,
Bo mym Bogiem ojców moich Bóg!

(Obejmuje Jana i Joarima i odchodzi z nimi, wszyscy trzej śpiewają hymn).

Panie Zastępów bądź błogosławiony,
Do ciebie wznosimy głos!
Dodaj wytrwania, siły i obrony,
Abyśmy znieśli ten cios!

(Nikanor i Gorgias idą za nimi – podczas następującej sceny słychać psalm raz głośniej, to znowu ciszej. Burza coraz groźniejsza).

LEA *(patrząc z boleścią za odchodzącymi).*

Rzucacie matkę, przeszytą mieczami,
Ani uścisku... ani jednej łzy...
O moje dzieci!...

(Porywa się).

O nie! precz ze łzami,
Precz z tą boleścią, co pierś targa mi!
Mamże rozpaczą weselić tyrana?!
Wznieśmy hymn chwały... Hosanna! hosanna!

(Woła za scenę).

Umrzyjcie mężnie... rozdział nasz chwilowy.

(Ukazuje niebo).

Tam znów się złączym!

(Grzmi silnie).

BENJAMIN.

Słyszysz grom Jehowy?

LEA.

To Pan znak daje, że przyjął ofiarę,
Niechajże znak ten utwierdzi twą wiarę,
Bo Pan Sebaoth błogosławi nam.

(Do Antyocha).

Słyszysz?! to zwiastun powstającej burzy,
Która w Judei potęgę twą zburzy,
W nikczemną słomkę zmieni się jej tram,
I legniesz w prochu pod niemocą własną.

(Śpiew ustaje, wicher zrywa część namiotu i gasi trzy lampy).

I zgaśniesz nędzny jak lampy te gasną.

(Nadsłuchuje i mówi z boleścią).

Ha! Już nie żyją.

(Nowy gwałtowny grzmot).

(Do Benjamina).

Słyszysz, mój jedyny,
To Bóg cię woła!

BENJAMIN *(do Antyocha).*

Spiesz! czy twoi kaci
Tak się znużyli męczeniem mych braci,
Że brak ich dla mnie?

ANTYOCH *(do siebie).*

Jakaż to niewiasta!
Jakież to dziecko! odwaga w nich wzrasta
Równo z boleścią.

(Do Lei).

Nie chcę waszej krwi,
Zwolń go z przysięgi, a przebaczę wam.
Ratuj swe dziecię!

LEA.

Ratuj siebie sam!

ANTYOCH.

Zrobię go wielkim...

LEA.

Większym on, niż ty!

ANTYOCH.

Jedno twe słowo życie mu ocali.

LEA *(wskazując niebo)*.

Tam będą żyli, co tu żywot dali.

ANTYOCH.

Niech więc na ciebie spadnie jego krew.

LEA *(zaledwie zdołając się przezwyciężyć)*.

Czas Benjaminie! Ustał braci śpiew,
Śmierć ich żywota przerwała już nić.
(Klęka i obejmuje go).
Żegnam cię! żegnam najmilejszy —
(Odpycha go gwałtownie).
Idź!

(Benjamin wznosi ręce i śpiewając hymn odchodzi).
(Lea na kolanach sili się, aby nie upaść, nie słyszy nic, mając wytężony wzrok w stronę, gdzie zniknął Benjamin).

SCENA CZWARTA.

ANTYOCH. — LEA. — GORGIAS. — SETNIK, *potem* NIKANOR.

ANTYOCH.

Cóż tam się stało — mów prędzej!

GORGIAS.

O panie!
Nadludzka siła w każdym tym młodzianie,
Nic ich nie ugnie — chętnie szli na męki,

Śpiewem składając Bogu swemu dzięki,
Takiej pogardy śmierci nie widziałem
Nigdy w mem życiu!...

NIKANOR *(wchodząc spiesznie).*

Królu, śmierć młodzieńców
Wzbudziła zgrozę w wojsku twojem całem.
Straż przerażona odleciała jeńców,
Rokosz podnosi już głowę zuchwałą,
Królu, to naszą sprowadzi zagładę,
Rozżarte wojsko w sztuki poszarpało
Ród Simeitów za ohydną zdradę,
Wśród wycia wichrów i gromów łoskotu
Wrzask buntowniczy! Daj rozkaz odwrotu.

ANTYOCH *(po krótkim namyśle).*

Trąbić na odwrót — wyruszym w tę chwilę.
(Setnik odchodzi).

LEA *(upada bezsilna).*

Chwała ci Panie! wróg czołga się w pyle,
Dziatki me padły jak skoszone kłosy,
Lecz lud twój żyje. Zabrałeś je wprzódy,
Niż mnie.
(Czwarta lampa gaśnie).
Już umarł!
(Słychać ze wszystkich stron dźwięk trąb).

ANTYOCH.

Co to za odgłosy?
(Pierwsze promienie zorzy — burza oddala się).

NIKANOR — GORGIAS.

To wróg! do broni!
(Wypadają).

IZRAELICI *(za sceną)*.

Miecz Pana i Judy!

SYRYJCZYKOWIE *(za sceną)*.

Zdrada! zdrada! ratuj się kto może!

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — NIKANOR. — GORGIAS. — JUDA. — WOJOWNICY IZRAELSCY i SYRYJSCY.

JUDA *(wpadając)*.

Królu Syryi, nawet i w lwiej norze
Skryć przedemną tobie się nie uda
I pod ziemią ja wynajdę cię!

NIKANOR *(ze zbrojnymi zasłania Antyocha i chce uderzyć)*.

Brońmy króla!

ANTYOCH.

Stójcie! Tyżeś Juda.
Opuść miecz twój i posłuchaj mnie;
Patrz, zastępy moje niezliczone
Silne ciałem, gdy twe wycieńczone
Głodem! wszystko wróży, że wygrana
Przy mnie!

JUDA.

A ze mną moc Pana.
Dość słów! walczmy!

ANTYOCH.

Gdybym tylko chciał
Walczyć z wami — to po krótkim boju
Byłbyś wodzem pokrwawionych ciał,

Lecz ja pragnę odejść stąd w pokoju,
Nie chcę zguby waszej dumny wrogu,
A więc Judo, dość tych walk zaciętych,
Oddawajcie cześć waszemu Bogu,
Ustępuję.

JUDA.

Matkę oddaj mi,
Braci moich i w niewolę wziętych.

ANTYOCH.

Bóg twój nawet ich nie odda ci —
Już nie żyją!

JUDA *(wznosząc miecz).*

A więc niechaj ginie
Ich zabójca!

(Chce uderzyć — Syryjczykowie zasłaniają króla).

LEA *(dźwignąwszy się z wysileniem, staje między walczącymi).*

Matatiasa synie,
W imię Boga, co był, jest i będzie,
Rozkazuję, włóż do pochew miecz!
W ręce Pana złóż pomsty narzędzie,
A w pokoju daj im odejść...

(Do Antyocha i Syryjczyków).

Precz!

(Antyoch z wojskiem odchodzi).

(Do Judy).

Nie umniejszaj zasługi twych braci
Bronią ziemską; synaczkowie mili
Życiem swojem lud ten odkupili.

Bądź zdrów! matka ostatek sił traci,
Módl się.
(Chwieje się — Juda ją podtrzymuje).

JUDA.

Matko!

LEA *(słabnącym głosem).*

Pochowasz me zwłoki
Obok ojca, gdzie nasz grób rodzimy...
Potem pójdziesz.. do Jerozolimy
I oczyścisz tam przybytek Pański
Ze sprosności i grozy pogańskiej.
Niech on będzie... wieczną wam ostoją.
(Słabnąc).
Panie, wielkie oglądałam cuda...
Więc w pokoju odpuść... sługę Twoją.
(Umiera — ostatnia lampa gaśnie).

JUDA *(składa zwolna matkę na ziemi).*

Umarła święta!

SCENA SZÓSTA.

JUDA. — JONATAN. — SZYMON. — KAPŁANI. — WOJOWNICY.

WSZYSCY.

Niech żyje Juda!
Niech żyje zbawca!

URIEL.

Niech króluje nam!

WSZYSCY.

Niech nam króluje!

JUDA (*w środku, uroczyście*).

Jam nie zwyciężył, lecz Jehowa sam.
On nas prowadził śród cierniowych dróg.
Więc nikt nie może wznosić się przed Panem,
Ja chcę mu służyć — być jego kapłanem,
Lecz królem naszym niechaj będzie Bóg.

(Zasłona spada zwolna).

KONIEC TRAGEDYI.

SPIS RZECZY.

